

Magda Szabó

Tajemnica Abigél

Abigél

Przekład: Alicja Mazurkiewicz

1

Gina jedzie na pensję

Nagła zmiana, jaka nastąpiła w jej życiu, pozbawiła ją tylu rzeczy i dokonała takiego przewrotu, jakby na dom, w którym mieszkała, spadła bomba.

Jako pierwsza zniknęła z jej otoczenia Marchelle, którą, od chwili kiedy do nich przybyła, nazywała panną Marchelle, ale o której nigdy nie myślała jako o Francuzce, swojej wychowawczyni, mieszkającej przez dwanaście lat w sąsiednim pokoju.

Marchelle była kimś więcej niż płatną guwernantką, jej obecność pozwoliła Ginie zapomnieć, że właściwie jest to osoba obca i w rzeczywistości nie może zastąpić matki, którą dziewczyna straciła, mając dwa lata. Marchelle zawsze potrafiła zrozumieć nawet to, czego sama Gina nie umiała dość jasno wypowiedzieć, co wyrażała wzrokiem lub o czym ledwo bąknęła. Były momenty, kiedy Gina uważała ją prawie za tak bliską sobie istotę jak ojca. Jeśli czasami ogarniała Marchelle tęsknota za ojczyzną albo Gina się przed nią na coś skarżyła, guwernantka zwykła wówczas mówić, że dziewczynka powinna się tylko cieszyć, ponieważ ma ojca, który kocha ją nade wszystko, ona zaś dawno już straciła rodziców i musi utrzymywać się z tego, czego kiedyś się od nich nauczyła, z ojczyztego języka. I

dodawala jeszcze, ze skoro juz tak musi byc, to szczeniwiwie sie zlozylo, ze znalazla taki dom jak dom Giny, i chociaż nie wyszła za mąż, to czuje sie u państwa Vitaych tak, jakby miała rodzinę, a przynajmniej dziecko. Marchelle była osobą, za którą człowiek tęsknił jak za własnymi rodzicami, gdy był daleko od domu, i Gina czuła, że wychowawczyni nie dlatego jest dla niej taka dobra, że płacą jej za to, ale dlatego, że ją kocha.

A teraz już nie ma Marchelle, wróciła do Francji. Ojciec powiedział, że nie mogła zostać u nich dłużej, i niewątpliwie miał rację. Generał nie odesłałby jej, gdyby nie był do tego zmuszony, któż bowiem lepiej niż on wiedział, jakie uczucie niszczy, rozdzielając je. Teraz jest wojna – wyjaśniał generał – narody Marchelle i Giny walczą po przeciwnych stronach, więc zupełnie zrozumiałe, że nie może w ich domu mieszkać Francuzka. Jeśli kiedyś znów nastanie pokój, Marchelle wróci do nich i wszystko będzie tak jak przedtem. Marchelle zresztą nie zabrała wszystkich swoich rzeczy, tylko złożyła je do skrzynek i kazała znieść do piwnicy.

Ale przecież ciotka Giny – Mimó – jest Węgierką, nie Francuzką, i jeśli już Marchelle musi wyjechać, to dlaczego opieki nad nią nie może przejąć ciotka, tylko wysyłają Ginę na pensję z internatem? Kiedy prosiła ojca, żeby pozwolił jej zamieszkać z ciotką, skoro już uważa, że musi mieć ona nad sobą stałą kontrolę, generał tylko pokręcił głową.

Gdyby jednak Gina nie musiała chwytac się každej

możliwości, aby tylko zostać w domu, to sama by przyznała, że ciotka Mimó nie może być następczynią Marchelle, bo po prostu nie nadaje się do tej roli. Gina kochała ciotkę, ale często bawiła się jej kosztem i wiedziała, że mimo swoich czternastu lat jest chyba od niej dojrzała, choć ciotka była wdową i przekroczyła już czterdziestkę. Teraz, kiedy okazało się, że i z nią musi się rozstać, że i ją utraci, ten fakt w jakimś nowym świetle ukazał jej postać ciotki, przydał jej znaczenia. Zapomniała nagle o tym, jak bawiły ją starania ciotki, aby zachować przemijającą młodość, jej ambicje, by w każdym towarzystwie tylko nią się zajmowano, i nadzieja, z jaką oczekiwała cudu po nowych kosmetykach i innych modnych artykułach. Gina zapomniała także o tym, jak szybko razem z Marchelle odkryły, że owe sławne herbatki – ciotka Mimó w każdy czwartek urządzała popołudniowe spotkania towarzyskie połączone z tańcami – nie były w zasadzie zorganizowane po to, żeby, jak twierdziła ciotka, dać jej małej bratanicy okazję do przebywania w towarzystwie, nabrania ogłady i nauczania się tańca, tylko dlatego że sama ciotka Mimó pragnęła się bawić, tańczyć, prezentować swoje nowe stroje, często zmieniające się fryzury i być może nawet wyjść za mąż.

Gośćmi na czwartkowych herbatkach byli bowiem przeważnie panowie, z których każdy mógłby być ojcem, a nawet dziadkiem Giny, młodych kawalerów można było policzyć na palcach. I jeśli nawet Marchelle miała rację, gdy mówiła, że młoda dziewczyna nie na wieczorkach i

tańcach nabywa podstawowych umiejętności potrzebnych jej w wieku dojrzałym, to jednak pod pewnym względem się myliła. Niewątpliwie potrzebne są w życiu godność i zdyscyplinowanie, umiejętność odróżnienia prawdziwego nieszczęścia od głupstwa, szczególnie zaś w czasie wojny, gdy na całym świecie giną dziesiątki tysięcy ludzi. Ale właśnie na słynnych herbatkach u cioci Mimó Gina poznała Feriego Kuncza. Młody porucznik, prawie naruszając granice dobrego wychowania, nie widział nikogo poza nią i Gina, trochę niespodziewanie i trochę może przedwcześnie, nieco tym wystraszona, a jednocześnie szczęśliwa, odkryła, że jest zakochana w Ferim Kunczu i w przyszłości chciałaby zostać jego żoną.

Marchelle jednak nie patrzyła przychylnym wzrokiem na tę historię z Ferim (to była zresztą jedyna sprawa, o której Gina nigdy nie śmiała wspomnieć ojcu). Natomiast ciotka okazała się bardziej wyrozumiała, kiedy zauważyła, co się kluje między bratanicą a porucznikiem. Ciocia Mimó w rozmowie z Giną powiedziała, że nie ma nic piękniejszego i bardziej niewinnego od pierwszej miłości, której wspomnienie nawet wtedy pozostanie świeże i wzruszające, jeśli nie uwieńczy jej małżeństwo. Ona sama zaś chętnie będzie aniołem stróżem tego czystego, szlachetnego uczucia. I była. Marchelle nie lubiła Feriego i niechętnie patrzyła na rodzącą się między młodymi sympatię. Niedługo przed tym, jak generał oznajmił jej, że musi wrócić do Francji, zagroziła Ginie, że powie jej ojcu o stałych czwartkowych spotkaniach z

porucznikiem, o ich rozmowach szeptem. Generał bowiem często podkreślał, że życzy sobie, aby właśnie ona, Marchelle, a nie jego niepoważna młodsza siostra zwracała uwagę na to, by do dziewczynki nie zbliżał się nikt z oficerów, bo tylko tego by brakowało, żeby któryś zaczął ją adorować. W końcu jednak nic mu nie powiedziała, ponieważ całkiem zaabsorbowały ją przygotowania do podróży i rozstanie z rodziną Vitaych. Spokojnie zresztą mogłaby o tym donieść ojcu, bo przecież teraz Gina i tak rozstanie się z porucznikiem. Jeśli nie zostanie w Peszcie, to w jaki sposób będzie mogła utrzymać kontakt z Ferim Kunczem?

Nie ma już Marchelle, jutro nie będzie ciotki Mimó, Feriego i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zniknie też Atala Sokoray. I to również niełatwo jest przyjąć do wiadomości. W szkole imienia Atali Sokoray znała każdy kąt, każdy kamień. Była to słynna, stara stołeczna pensja o doskonale dobranym zespole pedagogicznym. Kiedy na przykład ciotka Mimó prosiła o zwolnienie Giny na organizowany w domu bal czy mikołajki, przełożona zawsze ją zwalniała i oczywiście wolno było Ginie chodzić systematycznie do teatru i opery. Czasami zjawiał się na spektaklach generał, siadał wówczas w tyle łoży, za Giną, Marchelle i ciotką Mimó. Już sama ta chwila, kiedy otwierały się drzwi i chłodny powiew powietrza muskał szyję i plecy Giny, a potem, gdy ojciec siadał za nimi, skrzypiał wyściełany czerwonym pluszem fotel, bardziej ją uszczęśliwiała niż

oglądana sztuka lub opera. Odwracając się, napotykała uśmiechnięte szare oczy ojca patrzące na nią spod brwi o tak podobnym do jej brwi zarysie. Również włosy mieli podobne, były tak samo miękkie, z tą tylko różnicą, że ojciec miał włosy szpakowate, a Gina ciemnoblonde; wykrój ust, rysy twarzy, kształt zębów także były identyczne. Ojciec i córka – chociaż w ciągu czterdziestoletniego życia Giny żadne z nich tego głośno nie wypowiedziało – kochali się ogromnie i właściwie tylko wtedy czuli się szczęśliwi, kiedy mogli być razem. Dlatego też zupełnym absurdem wydawała się decyzja, że po wyjeździe Marchelle Gina pojedzie na pensję do prowincjonalnego miasta i tam będzie kontynuować naukę, oraz to, że ojciec, który w normalnych warunkach spełniał wszystkie prośby córki, w tym wypadku pozostał głuchy na wszelkie jej błagania, a nawet sam zdecydował o jej losie, nie rozmawiając z nią wcześniej na ten temat, i jedynie zakomunikował jej swoją decyzję.

Gdyby jej chociaż to wszystko wyjaśnił, gdyby powiedział cokolwiek, co mogłaby zrozumieć i zaakceptować, wówczas może lepiej by zniosła zerwanie z otoczeniem, do którego przywykła. Ojciec jednak nie bawił się w wyjaśnienia. Oznajmił tylko, że najwyższy już czas, by Gina przywykła do większej dyscypliny, niż może jej to wpoić wychowawczynie w domu, a poza tym powietrze na prowincji jest zdrowsze i on, który tak mało może poświęcić jej czasu, będzie spokojniejszy, gdy wybitni profesorowie zajmą się jej wychowaniem.

Dlatego też szkoda było się nad tym zastanawiać. Ich willa stała na zboczu Góry Gellérta od strony Dunaju, gdzież więc mogłoby być zdrowsze powietrze niż tam, na stoku góry, w ich ogromnym ogrodzie? I któż lepiej niż Marchelle potrafiłby wdrożyć jej dyscyplinę i porządek? Lepsi nauczyciele? Przecież ojciec wybrał dla niej najlepszą szkołę w stolicy. Nie, ojciec nie powiedział całej prawdy, po prostu chce się jej pozbyć z domu i nie oznacza to nic innego jak to, że chyba ciocia Mimó miała rację, kiedy od paru miesięcy tłumaczyła Ginie, że jej ojciec dlatego tak się zmienił, stał bardziej mrukliwy i milczący, że chyba w grę wchodzi tu kobieta. Przecież to wprost niemożliwe, aby tyle czasu spędzał na służbie. Jeszcze się przekona, że ojciec kiedyś nagle się ożeni. Czy to możliwe, że ta nowa żona nie chce jej wychowywać? Czy to możliwe, aby ojciec bardziej kochał jakąś obcą kobietę od swojego dziecka?

Podobieństwo Giny do ojca przejawiało się również w tym, że po kilkugodzinnym daremnym błaganiu nagle zamilkła, o nic już nie prosiła i nie skarżyła się więcej. Generał, który znał córkę tak, jakby był jej matką, a nie ojcem, wiedział, jaka rozpacz, jaki beznadziejny smutek kryje się za jej zdyscyplinowanym milczeniem. Bez łez i scen spakowała walizkę w przeddzień wyjazdu. Nie trwało to długo, ponieważ niewiele rzeczy pozwolono jej zabrać z sobą.

Ojciec, jak się okazało, jeszcze przed odejściem Marchelle odwiedził owo miasto, w którym upatrzył tę

szkołę. Poinformował więc Ginę, że wychowanki otrzymują tam specjalne szkolne wyposażenie, wystarczy zatem, jeśli zapakuje tylko swoje szlafroczyki i bieliznę osobistą, wszystko inne otrzyma na miejscu. Nim zamknęła walizę, rozejrzała się jeszcze po pokoju i wsunęła między nocne koszule swojego ulubieńca, łaciatego pluszowego pieska, potem jednak rozmyśliła się i odłożyła go na dawne miejsce. Niech i piesek tu zostanie, niech żaden z dawnych ulubionych przedmiotów nie towarzyszy jej w tym nowym obcym świecie, niech ta zmiana będzie całkowita. Podręczniki, zeszyty również będą nowe. Dotychczas chodziła do szkoły świeckiej, teraz zaś będzie w szkole protestanckiej, inne są tam podręczniki, a nawet bibuła.

Tego dnia złożyli ciotce pożegnalną wizytę, a potem poszli na cmentarz.

Ciotka Mimó dostała spazmów, kiedy dowiedziała się, w jakim celu do niej przyszli. Częściowo oburzył ją fakt, że zabierają jej Ginę spod boku, a częściowo, że dowiaduje się o wszystkim w przeddzień wyjazdu bratanicy i nikt jej dotychczas słowa o tym nie powiedział. Gina czuła się ogromnie nieszczęśliwa, słuchając nieustających wyrzutów ciotki, bo przecież niczemu nie była winna. Jak tylko dowiedziała się od ojca, co ją czeka, natychmiast chciała biec do ciotki po pociechę i pomoc. Wybiegła do holu, gdzie stał telefon, ale nie zdążyła nawet wykręcić numeru, kiedy wyrósł obok niej generał i wyjął jej słuchawkę z ręki. „Nie wolno ci nikomu o tym

wspominać – rzekł, i to nie takim jak zawsze tonem, lecz rozkazująco, jakby Gina była żołnierzem. – Do Mimó pojedę z tobą, a poza tym nie będzie żadnych pożegnań ani z przyjaciółkami, ani ze znajomymi, ani nawet ze służbą. Nikomu nie możesz powiedzieć, że cię zabieram z Pesztu. Przyrzeknij mi”. Przyrzekła, ale nie mogła wprost patrzeć na ojca, tak bardzo ją bolało, że nawet tego ją pozbawia, możliwości wyżalenia się, tych chwil pożegnań, kiedy mogłaby szepnąć Feriemu: „Zostań z Bogiem”.

I właśnie teraz, po raz pierwszy, ciotka Mimó naprawdę pokłóciła się z bratem, kiedy okazało się, że nie chce jej podać nowego adresu Giny („Co minutę będziesz pisała do niej listy, wysyłała paczki i co tydzień odwiedzała! Nie, nie mogę ci tego powiedzieć, Mimó!”). Wstała, powiedziała, że dziękuje za wizytę i przez jakiś czas nie ma ochoty widywać brata, później rozplakała się, ucałowała Ginę i na dobre już płacząc ze złości, wybiegła z pokoju. Wyszli z domu ciotki i Gina nawet nie zdążyła jej szepnąć kilku słów dla Feriego. To wprawiło ją w jeszcze większą rozpacz. W ubiegły czwartek nic bowiem nie wiedziała o postanowieniu ojca i żegnając się z porucznikiem, obiecała, że w tym tygodniu znowu się spotkają na herbatce u cioci Mimó. Na próżno teraz będzie czekał. Od ciotki pojechali na cmentarz. Stali w milczeniu nad grobem matki dziewczyny. I to pożegnanie wydało się Ginie inne niż wtedy, kiedy na dłuższy czas wyjeżdżali z Budapesztu. Być może ojciec teraz mówi do

matki: „Bóg z tobą” i ostatecznie żegna się z nią przed rozpoczęciem nowego życia.

Ten wieczór – dla obserwatora z zewnątrz – w zasadzie nie różnił się od innych wieczorów po wyjeździe Marchelle. Zjedli kolację, po czym generał usiadł przy kominku, aby poczytać. Gina także przysunęła taborecik w pobliże stojącej lampy i wzięła książkę. Patrzyła jednak na drukowane zdania i nic nie rozumiała, nawet nie przewracała kartek, tylko udawała, że czyta. Nagle zauważyła, że za jej plecami także panuje cisza, nie słysząc szelestu odwracanych stron. Siedzący w fotelu ojciec również nie czytał. Podchwyciła jego spojrzenie. „Odezwij się do mnie – błagała dziewczynka wzrokiem. – Powiedz, po co to wszystko. Przecież będę ją kochać, kogokolwiek tu sprowadzisz. Twój gust, wybór nie może być zły... Jakże mogłaby dla mnie być obcą lub nienawistną kobietą, którą ty kochasz? Ale powiedz, co planujesz, nie wykluczaj mnie z twego życia, nie zmuszaj, byśmy z czyjegokolwiek powodu musieli się rozstać. Ja nie będę ci przeszkodą, przecież tak bardzo cię kocham. Jeszcze nie jest za późno. Nie odsyłaj mnie! Pomów z tą kobietą, powiedz, że będę jej przyjacielem, nie wrogiem. Odezwij się do mnie!”

– Znajdziesz się w innym otoczeniu – przemówił nagle generał. – To wprost dziwne, tak często wyjeżdżałaś z Marchelle do Szwajcarii, Paryża, Włoch, tyle razy ja sam zabierałem cię do Wiednia, a tymczasem na prowincji nigdy jeszcze nie byłaś. Proszę cię,

wytrzymaj jakoś.

Nie odpowiedziała. Cóż mogła odpowiedzieć? Książka zsunęła jej się z kolan na dywan. Tutaj, na górze, nawet w lecie wieczory bywały chłodne i chociaż dopiero zaczął się wrzesień, już palili w piecu. Elektryczny kominek błyskał czerwonym światłem, jakby naprawdę płonęły w nim polana.

– Nie ma innego wyjścia – ciągnął generał. – Zrozum mnie, Gino, nie ma. Gdyby Marchelle mogła tu pozostać, byłoby inaczej, to była mądra dziewczyna i całkowicie godna zaufania. Rzadko bywam w domu, a Mimó jest niepoważna, nie można na nią liczyć. Musisz wyjechać, i to z takich przyczyn, o których nie mogę ci powiedzieć. Ja nie czuję się lepiej od ciebie, możesz mi wierzyć.

Dziewczyna wpatrywała się w czerwone światło kominka i nawet wyciągnęła rękę, żeby ogrzać sobie palce. Myślała o tym, że wie już, co to za przyczyny, o których generał nie może mówić, ale skoro on sam o tym nie wspomina, to i ona będzie milczeć. To coś, ta p r z y c z y n a pocieszy później ojca w czasie jej nieobecności i wszystko się pięknie samo ułoży. Jeśli człowiek w wieku czternastu lat jest wysyłany na pensję, przeważnie pozostaje tam aż do matury, tylko na wakacje przyjeżdża do domu. „Na prowincji nigdy jeszcze nie byłaś. Proszę cię, wytrzymaj jakoś”. Gdzież on ją wiezie, że tak z góry ją upomina?

– Jutro musimy wcześniej wstać, połów się – powiedział generał. – Sam cię zawiozę samochodem.

Podnieśli się. Ojciec przytulił ją do siebie i twarz pochylił ku jej twarzy. „Jaki on jest smutny – myślała Gina – boli go, że odejdę. Jakaż bezlitosna jest ta kobieta, a mój ojciec po raz pierwszy w życiu taki słaby”.

Wbiegła na piętro, gdzie znajdowały się sypialnie. Wszędzie były opuszczone żaluzje w oknach, zgodnie z zarządzeniem o ochronie przeciwlotniczej. Jej własny pokój, z którego nie mogła teraz patrzeć ani na miasto, ani na ogród, wydał jej się dziwnie obcy, jakby nie był jej pokojem, jakby nie mieszkała w nim od chwili narodzin.

Niby gość przysiadła na brzegu łóżka i zapatrzyła się na wzór kołdry: czerwone kielichy maków na zielonym tle jedwabiu wyglądały niczym na trawniku. Słowa Feriego: „Zsini, mała Zsini, boginka”, powracały do niej w ciszy jak motyle nad kołdrą w maki. Myśl, aby zakraść się do telefonu w holu i zadzwonić do porucznika, prześladowała ją, była nie do przewyciężenia. Generał siedzi w salonie przy kominku, służba je kolację w suterenie, nikt by więc nie słyszał, jak telefonuje. Podeszła do drzwi, po czym bezradnie zawróciła. Było coś rozpaczliwego w tym, że nie jest w stanie złamać danego słowa, nawet jeśli to, co przyrzekła, jest niezrozumiałe, niehumanitarne, nie do przyjęcia. Wróciła do łóżka, próbowała zgadywać, gdzie jutro będzie spać i jakie będzie jej łóżko. Nie potrafiła jednak sobie tego wyobrazić.

Pensja biskupa Matuli

Wyruszyli wcześniej rano, nie mówiąc nikomu, dokąd, na jak długo i dlaczego jadą.

János, ordynans generała, który przygotowywał samochód, myślał niewątpliwie to samo co Róza, gospodyni prowadząca dom Vitaych, czy pokojówka Ili, a mianowicie, że przed rozpoczęciem roku szkolnego jadą sobie jeszcze gdzieś na wycieczkę. Byli już w holu, kiedy zadzwonił telefon. Nim jednak ktoś zdążył podnieść słuchawkę, generał zawołał, że ktokolwiek by to był, nie ma ich już w Peszcie, i Gina słyszała, jak Ili kogoś pozdrawia i mówi: „Niestety, już wyjechali”. Z pewnością ciocia Mimó – pomyślała dziewczynka. – Jeszcze raz chciała spróbować, biedna...

W nocy pożegnała się już w myślach z domem i z tymi wszystkimi, których kochała. Nie obejrzała się teraz ani na dom, ani na gosposię Różę, która z oddaniem kiwała jej ręką, gdy samochód ruszył. Po cóż patrzeć, jak wszystko i wszyscy stają się coraz mniejsi i coraz bardziej odlegli? Gapiła się przed siebie, próbując zgadnąć, dokąd ojciec ją wiezie. Spośród szos wylotowych z miasta najlepiej знаła drogę nad Balaton, ponieważ często jeździli nią nad Adriatyk, ale teraz samochód nie trzymał

się strony budańskiej, lecz przejechał most. „Widać nie jedziemy w stronę jeziora – myślała Gina. – Na zachód pociągi wyruszają z dworca Keleti. Może więc jedziemy na zachód? Jakie większe miasta są na linii do Wiednia? Győr? A może to Sopron?”

Na placu Kalwina przyszły jej na myśl dwie najlepsze przyjaciółki: Edyta i Alicja. Edyta mieszkała tu, w pobliżu Astorii, Alicja zaś trochę dalej, na tyłach kościoła uniwersyteckiego. Zdumiewające było to, że tak je porzuca bez słowa pożegnania, bez żadnych wyjaśnień i dopiero później, w liście, powiadomi, że już razem nie będą chodziły do szkoły. Mimo wczesnej pory ruch na ulicach był duży, generał, czekając na zielone światło, zdjął ręce z kierownicy i długo patrzył w oczy córce. „Teraz pewnie i jemu przyszły na myśl Edyta i Alicja oraz to, że nie pozwolił mi się z nimi pożegnać – stwierdziła dziewczynka. – Teraz patrzy, jaką zrobię minę. Żadną. I tak już wszystko jedno”.

Opuścili miasto. Prawie nie rozmawiali. Gina uważała, że nie ma o czym, generał zaś obserwował drogę. W cywilu wydawał się jakiś inny, prawie obcy i jakby starszy niż w rzeczywistości. Gina odczytywała nazwy mijanych wsi i na tyle znała geografę, aby się zorientować, że jadą w kierunku wschodnim, a kiedy o ósmej dotarli do Cisy, stwierdziła, że jej przypuszczenie było słuszne. Zjedli śniadanie w jakimś mieście nad rzeką, zupełnie bez apetytu, świadcząc sobie wzajemnie grzeczności. Potem generał zaproponował mały spacer,

twierdząc, że dobrze im zrobi po długim siedzeniu w wozie. Wziął córkę pod rękę. Gina była wysoka, wyższa od dziewcząt w jej wieku, ojciec przewyższał ją zaledwie o głowę. Spacerowali, oglądali wystawy, generał zatrzymywał się to tu, to tam, wskazywał na jakiś szalik, chustkę, rękawiczki, pytając, czy nie chciałaby, żeby jej kupił. Gina zaś sama się zdziwiła, jak ostro, gwałtownie zaprzecza. Nie, to jednak nie jest takie proste, nie można tej sprawy ot tak sobie odfajkować. Kiedy jeszcze była mała i nie chciała przyjąć jakiegoś lekarstwa, ojciec zwykle stawał z tyłu, za Marchelle, i niespodziewanie pokazywał jej prezent, a ona wprawdzie z obrzydzeniem, lecz za to szybko połykała, co jej podawano, byle tylko dostać upominek. Ale to wszystko już minęło, te dziecięce choroby, teraz potrafi już przełknąć lekarstwo i nie trzeba przekupywać jej prezentami.

W jednej z bocznych uliczek znaleźli sklep jubilerski. Złota oczywiście na wystawie nie było, zniknęło, jak tylko wybuchła wojna, ale na aksamitnych poduszkach błyszczało kilka srebrnych łańcuszków i medalionów.

– Mimo wszystko coś ci jednak kupię – odezwał się generał. – Mówię poważnie i przestań stroić fochy. Dotychczas nie byłaś taka dziwna, cieszyłaś się, gdy mogłaś chodzić po sklepach. No, wejdźmy!

W sklepie nie było zbyt jasno, tylko stolik, przy którym właściciel naprawiał zegarki, oświetlała bardzo mocna lampa. Zegarmistrz, niski, uprzejmy mężczyzna, starał się jak mógł, aby Gina znalazła coś, co by się jej

spodobało. Dziewczyna była jednak trudną klientką, nie dlatego że nie mogła się zdecydować, co wybrać – bo prezentowana biżuteria mimo skromnego wyboru składała się z misternych i gustownych drobiazgów – ale dlatego że w ogóle nie pragnęła teraz dostać żadnego upominku, nie chciała, by najmniejszym choćby drobiazgiem próbowano ją pocieszyć, zmniejszyć jej smutek. W końcu generał sam wybrał wisior w kształcie księżycy na delikatnym cienkim łańcuszku, który Gina mimo wewnętrznego sprzeciwu natychmiast ogromnie polubiła, gdy tylko zawieszono go jej na szyi. Był to mały, surowy księżyc o zaciśniętych ustach, tajemniczy i zadumany. Więc mimo wszystko dostała prezent i już wisi on na jej szyi, nie można go zwrócić. Ojciec jednak powinien zrozumieć, że to nie zmieniło sytuacji, że potraktowała prezent tak, jakby go wcale nie otrzymała.

Rozejrzała się po sklepie. W jednej z gablotek znajdowały się różne wyroby z metalu: pieczęcie, małe figurki, popielniczki. Gina wskazała podłużną, nierzeźbioną popielniczkę i wyciągnęła portmonetkę. Zawsze miała o wiele więcej pieniędzy, niż wynosiło otrzymywane od ojca kieszonkowe. Ciocia Mimó systematycznie uzupełniała jej oszczędności.

– Ja też coś ci kupię – powiedziała Gina. – Na pamiątkę. Abyś myślał o mnie także wtedy, kiedy mnie nie widzisz.

Jubiler obserwował ich, jak spojrzeli na siebie, a

potem nagle obydwójce odwrócili wzrok, jakby i bez słów zbyt dużo sobie powiedzieli. Nie potrafił rozszyfrować ich spojrzeń. Skąd mógłby wiedzieć, że oczy Giny mówią: „Natychmiast się rewanżuję, zaraz, nie chcę czekać na jakąś uroczystą okazję. Żebyś, ojczy, wiedział, że ta popielniczka to tylko uprzejmy gest z mojej strony, któż bowiem wie lepiej ode mnie, że nie palisz. Nie, teraz, w czasie tej całej podróży, kiedy nie wiem, dlaczego i dokąd mnie wiesz, nie możesz mi już dawać upominków tak jak dawniej”. „Proszę bardzo, rewanżuj się jak obcej osobie, jeśli masz taką ochotę – odpowiedziało spojrzenie generała. – Razem z Marchelle nauczyliśmy cię, że jeśli od obcych przyjmujemy podarek, wypada się zrewanżować. Kiedyś jeszcze mnie przeprosisz z powodu tej chwili. Bóg da, że doczekamy jej obydwójce”.

Ruszyli dalej. Za rzeką krajobraz gwałtownie się odmienił. Gina nie знаła Wielkiej Niziny Węgierskiej, nie widziała nigdy puszczy, tylko duże miasta europejskie, góry lub morza. O tym, że w ogóle taka nizina istnieje i tak wygląda, wiedziała dzięki Petőfiemu, nigdy jednak wiersze poety opiewające pusztę nie znalazły większego oddźwięku w jej sercu. Im dalej na wschód unosił ją pędzący samochód, tym mniej widziała osad, tylko same zaorane pola, a czasami mignął w oddali jakiś samotny folwark, kilka białych brzoź, anemiczny las i rdzawe gruntowe wody. Kiedy zerwał się nagle puszczański wiatr, a wokół nich były tylko woda, ziemia i powietrze, Gina

poczuła coś, czego jeszcze nigdy w życiu nie doświadczyła, czego nie potrafiła i nie chciała nazwać... Później, kiedy już wszystko przestało być tajemnicą i smutek nie przesłaniał jej pełnych zachwyty doznań, często przypominała sobie to pierwsze spotkanie z krajobrazem puszczańskim w surowym blasku jesiennego słońca.

„Árkod – pomyślała Gina. – Jedziemy do Árkodu”.

Miała doskonałą pamięć, prawie dosłownie pamiętała to, czego się kiedyś uczyły na lekcji geografii: „Árkod, miasto we wschodnich Węgrzech liczące siedemdziesiąt dwa tysiące mieszkańców, najstarszy w tym regionie ośrodek naukowy. Dziewięćdziesiąt siedem i pół procent mieszkańców stanowią protestanci, przemysł znajduje się dopiero w rozbudowie. W średniowieczu rzemieślnicy z Árkodu znani byli na całym świecie, miejscowy uniwersytet był pokrewną instytucją uczelni holenderskich, skandynawskich i niemieckich. W mieście znajdowała się słynna wyższa szkoła handlowa, kalwińskie gimnazjum męskie i pensja dla dziewcząt nazwana imieniem biskupa Matuli, która była pierwszym tego typu instytutem na Węgrzech, gdzie zawodowi wykładowcy prowadzili systematyczne kształcenie dziewcząt”. Wiedziała już, że odgadła prawidłowo, i o mało co nie krzyknęła głośno. Nie ma pojęcia, jaki w rzeczywistości jest Árkod i ta słynna pensja, ale gdyby nawet była rajem na ziemi, to przecież jest niesamowicie daleko od Pesztu. Wydawało jej się, że ojciec nie

wywiezie jej tak daleko od stolicy. Sądziła, że jeśli nawet nie będzie mogła spędzać niedziel w domu, to przynajmniej generał będzie ją odwiedzał. Árkod zaś leży prawie na samej granicy i tutaj nie da się już ot tak, na krótko wyskoczyć. Wszystko wyglądało gorzej, niż sobie mogła wyobrazić w momentach najczarniejszej rozpacz. Dlaczego tak z nią postępuje? W czym zawiniła? Przecież to, co się z nią dzieje, wydaje się absurdalne.

– Nic nie mów – odezwał się generał, ale nie patrzył na nią, obserwował drogę. – Proszę cię, nie utrudniaj sytuacji. I tak już jest wystarczająco ciężka.

A przecież zawsze byli sobie tak bliscy, że często jednocześnie wypowiadali te same myśli albo śmiali się porozumiewawczo i każde z nich wiedziało, co akurat myśli drugie. Dobrze, nie powie ani słowa, wszystko już i tak jest beznadziejne. Przymknęła oczy, poczuła nagle ciężar powstrzymywanych siłą łez. Starła się myśleć o tym, jak daleko mogą być od celu podróży, jak ją przyjmą na pensji, jakie będą nowe koleżanki... Za wszelką cenę chciała zapanować nad smutkiem. Potem myśli jej się poplątały, rozpierzchnęły i nawet nie zauważyła, że zasnęła i spała dość długo. Ojciec obudził ją i coś powiedział. Samochód stał.

Przeciągnęła się i rozejrzała dokoła. Okolica była taka sama, jaką widziała przed zaśnięciem, w tym samym chłodnym blasku kołysały się gałęzie drzew, ale na horyzoncie, już nie tak bardzo daleko, wznosiły się wieże. Mnóstwo wież na stosunkowo małym obszarze, wieże

pojedyncze, wieże parami jak kamienne bliźnięta. Wydawało się, że widoczne w oddali miasto nadziało rozciągające się nad nim niebo na wierzchołki wież.

– Bardzo wcześnie wstałaś – powiedział generał – dobrze, że z godzinkę udało ci się pospać. Nie gniewaj się, że cię zbudziłem, ale wkrótce będziemy już w mieście, a tam, na pensji, nie będę mógł się z tobą swobodnie pożegnać, jedynie tutaj, gdzie nie ma nikogo, tylko ty i ja.

Popatrzyła na niego w milczeniu, liczyła, że coś wreszcie jej wyjaśni. Ale powiedział nie to, na co czekała.

– Obiecuj, że będziesz na siebie uważać, tak uważać, jakbyś już była dorosła. Jakbyś to nie ty była, lecz twoja matka, która nas tu zostawiła. Słyszysz, Gino?

Słyszała, ale nie mogła zrozumieć tego nagłego niepokoju. Tutaj, niestety, całe grono pedagogiczne będzie na nią uważało i naprawdę nie ma potrzeby, aby ona sama była zbyt ostrożna. Ojciec nigdy się o nią specjalnie nie bał, ani wtedy, kiedy jeździła konno, ani na lekcjach szermierki, również w morzu wolno jej było pływać tak daleko, jak tylko chciała.

– Pocałuj mnie i bardzo cię proszę, później, jak się rozstaniemy, nie płacz, a przynajmniej nie w mojej obecności. Trudno byłoby mi to znieść.

Tego nie powinien był mówić, to było zbyteczne. Nigdy nie stworzyłaby takiej sytuacji przed obcymi ludźmi, w której musiałby czuć się nieswojo, i nigdy nie zwróciłaby uwagi innych na to, co dotyczy tylko ich

obojga. Pocałowali się jakoś niezręcznie, oboje nieszczęśliwi, jakby to coś, co nie zostało wypowiedziane, nieodwracalnie zmieniło ich stosunek do siebie.

Ruszyli i wkrótce znaleźli się w mieście. Gina nie potrafiła określić, co czuje, ponieważ jeszcze nigdy nie widziała takiego miasta. Árkod nie był podobny ani do stolicy, ani do innych zagranicznych miast, w których kiedykolwiek była. Później, o wiele później, wiedziała już, że w istocie Árkod nie jest podobny do niczego, był to zupełnie odrębny, biało-czarny świat. Generał prowadził wóz pewnie, jak ktoś, kto dobrze zna drogę. Przejechali koło przysadzistego kościoła, który był biały jak kreda, a na hełmie jego wieży błyszczały świeżo pozłacane, ogromne gwiazdy. Otwierająca się wprost na kościół boczna ulica nosiła imię biskupa Matuli, a na jej końcu bielił się potężny budynek – była to pensja.

„I ten jest przysadzisty – pomyślała Gina. – Przysadzisty, surowy, biały. Ma małe okratowane okienka i obitą żelazem bramę. Musi to być strasznie stare miejsce, przypomina nie szkołę, ale raczej twierdzę”.

Do twierdzy nie tak łatwo było się dostać. Obita żelazem brama była zamknięta. Zadzwonili i sporo czasu upłynęło, nim ktoś wreszcie zauważył ich przybycie. Ten ktoś, kto uchylił nieco bramę i wyjrzał, też był przysadzisty i poważny. W dawnej szkole Giny woźny miał wesołe oczy, zawsze trzymał stronę dziewcząt, choć rugał je za to, że zaśmiecają klasy i korytarz łupinami

orzeszków ziemnych albo za głośno krzyczą w czasie pauzy. Na tej twarzy, która teraz się do nich zwróciła, wypytując szczegółowo, do kogo i po co przychodzą, nie było widać ani pogody, ani wesołości, była to twarz jakby wyrzeźbiona z kamienia, nieruchoma maska. Na prośbę generała odźwierny zadzwonił do kogoś z wewnętrznego aparatu i dotąd trzymał ich przed kratą oddzielającą bramę od ogromnego podwórza, aż ten ktoś, przypuszczalnie dyrektor, nie zapewnił go, że przyjezdni mówią prawdę, nazwisko Georginy Vitay jest odnotowane i razem z ojcem można ją wpuścić. Kiedy wreszcie mogli wejść, odźwierny uchylił nieco wewnętrzną kratę; na piętro szli po schodach, których stopnie przez wiele lat tak wydeptano, że stały się pochyłe. Gina znów ogarnęło uczucie, że biel jest tu bielsza niż gdzie indziej i że w porównaniu do smukłej sylwetki ruchliwego, zatłoczonego Pesztu w tym mieście wszystko jest przysadziste, obszerne, puste. Na korytarzach nie było żadnych ozdób, tylko trochę kwiatów doniczkowych, a na ścianach wersety z Biblii wypisane złotymi literami na czarnym kartonie. Na pierwszym piętrze, nad wejściem do pokoju dyrektora, wisiał ogromny herb, ale i on był potężny, przysadzisty, i chyba tylko dlatego nie czarny i biały, że herb nie może być jedynie w tych dwóch kolorach. Na złotym tle tarczy dwie ręce złożone do modlitwy nad jakimś psalterzem czy Biblią, a wyżej półkolisty napis: *Non est currentis*¹.

Gina dość dobrze znała łacinę, uczyła się jej od

trzeciej klasy, ale nie potrafiła tego przetłumaczyć, te trzy słowa razem jakoś nie miały sensu. „*Non* znaczy: nie, *est*: jest, obydwie słowa razem: nie ma, *currentis* zaś to *genetivus participium imperfectum*² od czasownika *currere*, biegać, czyli: biegnącego. Coś jakby: Biegnącego nie ma. Ale dlaczego biegnącego?”

Korytarz był pusty, jakby to nie jutro miał się rozpocząć rok szkolny. A może nauczycielom nie wolno było pokazywać się nigdzie poza klasami i pokojem nauczycielskim? Generał położył już rękę na klamce drzwi do gabinetu dyrektora, kiedy poczuł dotknięcie Giny. Obejrzała się prawie rozgniewany. Dlaczego chce przeciągać tę chwilę – pomyślał rozgoryczony. – Czy nie czuje, że i jemu jest ciężko? Teraz znów zacznie prosić, aby ją stąd zabrał, nie usuwał z domu. Jakby on mógł coś na to poradzić!

– Kiedy się żenisz? – spytała.

Spojrzał na nią tak zaskoczony, że mogło to wystarczyć za odpowiedź. To przez Mimó, przez jej idiotyczną fantazję wszędzie dopatrującą się miłości i idylli, to tylko Mimó mogła coś takiego wymyślić. Biedna mała, biedny mój nieszczęśliwy robaczek. Chyba nie wierzyła, że to, co się dzieje, dzieje się z takiego powodu?

– Nigdy – odpowiedział. – Co za głupi pomysł? Jak ci to mogło przyjść do głowy?

Generał nie zwykł kłamać. Mglista postać nieznannej kobiety, której istnienie podejrzewała, rozviała się, zniknęła. Ojciec nie ma zamiaru zmienić trybu życia. Ale

wobec tego dlaczego ona nie może przy nim zostać? Ojciec nie dał jej czasu na nowe pytanie i otworzył drzwi gabinetu. Weszli, musieli wejść, ponieważ z wnętrza pokoju już ich dostrzeżono. Kiedy przekroczyli próg, Gina znalazła się w tym drugim świecie, który odtąd miał być jej domem.

Ściany gabinetu dyrektorskiego były jeszcze bielsze od tych na zewnątrz, zaś sam dyrektor stanowił ekstrakt czerni. Tutaj też nie wisiał ani jeden obraz, tylko kilka wykresów i mapa Europy, na której widniały tu i ówdzie przyklejone małe niebieskie chorągiewki. Później Gina dowiedziała się, że oznaczają one rozmieszczenie bratnich instytutów tego typu za granicą. W pokoju znajdował się komplet mebli obitych czarną skórą, kasa pancerna, biurko, jakaś szafa na akta z żaluzjowym zamknięciem i ogromne akwarium. Wszystko to Gina odbierała tak, jakby była pod narkozą, podobnie czuła się kiedyś, gdy dostała zastrzyk oszałamiający przed jakimś drobnym zabiegiem. Ogarnęło ją uczucie niepewności, oderwania od świata, zawieszenia. Zauważyła, że ojciec i dyrektor mówią do siebie na „ty” i rozmawiają, jakby byli starymi znajomymi. Dyrektor nie podał jej ręki, tylko skinął głową i również tylko ojca poprosił, żeby zajął miejsce. Wziął jej dokumenty i jakieś pieniądze, Gina zauważyła, że wystawił ojcu mnóstwo kwitów za chesne i nowy szkolny ekwipunek, po czym poprosił, aby generał był uprzejmy jeszcze raz przeczytać regulamin oraz przepisy obowiązujące na pensji i potwierdzić podpisem

przyjęcie ich do wiadomości. Generał długo czytał jakiś druk, po jego twarzy nie było widać, czy podoba mu się to, co czyta, czy nie, podpisał jednak.

– Wychowawczynią córki w internacie będzie siostra Zuzanna – usłyszała Gina, ale tak, jakby rozmawiano gdzieś w oddaleniu, nie obok niej, w pokoju. – Listy pisane do uczennicy muszą być adresowane na siostrę z zaznaczeniem nazwiska córki.

– Raczej będę telefonował – powiedział generał. – Nie lubię pisać, nie mam czasu. Jak często mogę dzwonić?

– W każdą sobotę. W sobotę po południu jest dzień poczty.

Ucieszyło ją to. Jeśli co tydzień mogą rozmawiać, to nie jest jeszcze tak źle.

– Poza tym wszystko będzie tak, jak poprzednio ustaliliśmy – dodał dyrektor.

Generał przytaknął, nie patrząc na córkę, zupełnie jak ktoś, kto ma wyrzuty sumienia. Gina zwróciła głowę w kierunku okna. Z miejsca, w którym się znajdowała, widać było, że fronton szkoły od strony ulicy Matuli jest tylko fragmentem rozciągającego się z tyłu ogromnego budynku w kształcie podkowy. Kiedy dyrektor podniósł słuchawkę i poprosił portiera, aby polecił komuś zanieść do internatu walizkę Georginy Vitay oraz przysłał do jego gabinetu siostrę Zuzannę, Gina zastanawiała się, czy żegnając się z ojcem, potrafi być dość zdyscyplinowana i dorosła, tak jak życzył sobie generał, którego

postępowanie w tej chwili jeszcze mniej rozumiała niż przedtem, kiedy sądziła, że się ożeni. Ze słów dyrektora, iż jej wychowawczynią w internacie będzie siostra, domyśliła się, że jest to diakonisa. I nie pomyliła się.

Do gabinetu weszła młoda, poważna kobieta, która jednak uśmiechnęła się do niej. Gina pragnęła odwdziaczyć się za miły uśmiech, ale nie mogła, wbrew jej woli usta pozostały sztywne i nieruchome. Chciała jak najszybciej stąd wyjść, aby wreszcie położyć kres temu nieznośnemu napięciu, była bowiem śmiertelnie wyczerpana.

– Georgina Vitay – przedstawił ją dyrektor, a potem, jakby się zwracał do małego dziecka, powiedział: – Georgina Vitay pożegna się z ojcem, pożegna z dyrektorem i pójdzie do siebie.

– Serwus – szepnęła dziewczynka. Nie patrzyła na ojca, nie śmiała na niego spojrzeć.

– W ten sposób nie żegnamy się z rodzicami – skarcił ją dyrektor.

– Całuję rączki – poprawiła się Gina.

Generał wstał, ścisnął jej ramię i w milczeniu, z ogromną czułością popchnął ku drzwiom. Gina już wychodziła, kiedy Zuzanna zatrzymała ją ruchem ręki. Znów uśmiechnęła się do niej i nagle zdjęła z szyi dziewczynki nowy srebrny łańcuszek z księżycem.

– Naszym wychowankom zabrania się noszenia wszelkiego rodzaju biżuterii i ozdób – wyjaśniła diakonisa. – Pan generał będzie tak uprzejmy i zabierze to

ze sobą.

Mały księżyc znalazł się na stole przed generałem. Ojciec i córka znów nie patrzyli na siebie, obydwójce z uwagą wpatrywali się w dywan. Zapanowała taka cisza, że słychać było nieustające brzęczenie osy, która zabłądziła tu przez otwarte okno.

– Pożegnaj się z panem dyrektorem – upomniała ją diakonisa.

Gina zaś stała, zastanawiając się, co należy powiedzieć w tym czarno-białym świecie. Czy wystarczy tylko „do widzenia”?

– Do widzenia, panie dyrektorze – odpowiedziała jej śpiewnym tonem Zuzanna, niczym jakiejś pierwszoklasistce.

– Do widzenia, panie dyrektorze – wyszeptała dziewczynka i zaczerwieniła się mocno. Nigdy w życiu nie czuła się tak bezradnie i niezręcznie. Marchelle, ciotka Mimó, dawna szkoła nauczyły ją wszystkiego, co powinno się wiedzieć w Peszcie. Tutaj zupełnie się nie orientowała i niczego nie potrafiła przewidzieć.

– Szczęść Boże – odpowiedział dyrektor i odwrócił się do niej plecami.

Zuzanna miała półbuty na wojłokowej podeszwie i bezszelestnie przemykała korytarzem, prowadząc Ginę. Dziewczyna najchętniej ściągnęłaby pantofle, których skórzane spody głośno stukały w korytarzu. Diakonisa otworzyła przed nią małe drzwi w ścianie, które prowadziły do drugiego skrzydła budynku,

przypuszczalnie do internatu. Na progu Gina zatrzymała się i obejrzała za siebie. Jeśli kilka minut tu zaczeka, jeszcze raz zobaczy ojca, podbiegnie do niego, przytuli się, poczuje znane ciepło jego ciała, które przypomni jej dom i cały dawny świat, dziś już bardziej odległy niż sen. Ale Zuzanna ujęła ją za rękę i łagodnie pociągnęła za sobą.

3

Pierwsze znajomości

Gina po raz pierwszy w życiu znalazła się w tak dziwnym budynku o poplątanych, łączących się korytarzach.

Później dowiedziała się, że słynna szkoła imienia biskupa Matuli mieści się w średniowiecznym klasztorze i dlatego ściany są bardzo grube, sale mają łukowe sklepienia, a niektóre klasy taki niezwykle kształt. Aby z dawnych cel zakonników zrobić sale o odpowiedniej wielkości, rozbierano lub przestawiano ściany. Z kolei wyposażenie pensji było o wiele bardziej nowoczesne niż w dawnej szkole Giny i wszystko aż lśniło od czystości. Ktoś zapomniał zamknąć drzwi od łazienki i z korytarza widać było białe kafle oraz ogromną, obudowaną wannę. Zuzanna natychmiast zamknęła drzwi, jakby nie wypadało oglądać miejsca, w którym wychowanki zwykły rozbierać się do naga.

Szły dalej, coraz bardziej oddalały się od tego drugiego skrzydła, gdzie z pewnością generał ciągle jeszcze rozmawiał z dyrektorem. Okna korytarza były szczelnie zamknięte, a porowate, grube szyby nie pozwalały dojrzeć ogrodu. Przypuszczalnie dotarły właśnie do tej części, gdzie toczyło się codzienne życie internatu, ponieważ dopiero teraz zobaczyła po raz

pierwszy uczennice. Mniejsze i większe dziewczęta stały przy ścianie i porządkowały swoje szafki. Kiedy diakonisa i Gina przechodziły koło nich, odwracały się, stawały na baczność i pozdrawiały je. Wszystkie nosiły fartuchy klotowe z długimi rękawami, czarne z czerwoną lamówką, sięgające do połowy łydek. Ginie nagle przyszło do głowy, że chyba nigdy nie nauczy się rozróżniać dziewcząt, tak były do siebie podobne, nawet włosy miały tak samo uczesane, z przedziałkiem na środku i splecione w krótsze lub dłuższe warkocze, związane na końcu czarną tasiemką przypominającą sznurowadło.

Zuzanna zaprowadziła Ginę do magazynu, gdzie siostra magazynierka wydała jej obowiązujący ekwipunek. Potem musiała wejść do oddzielnej kabiny i zmienić nie tylko sukienkę, lecz także bieliznę. Magazynierka ze spojrzeniem pełnym dezaprobaty składała wzorzystą haleczkę Giny z żółtego jedwabiu, na której były małe jeziorka i szybujące nad nimi niebieskie ptaszki. Nowa bielizna, szkolne sukienki, kapelusze, rękawiczki, płaszcze, fartuch (dopiero z bliska zauważyła, że od spodu rękawa przyszyty jest specjalny nałokietnik), wszystko, co otrzymała, było w odpowiednim dla niej rozmiarze i z materiału dobrego gatunku, tylko okropnie niezgrabne. Wydawać by się mogło, że ten, kto projektował stroje, dołożył wszelkich starań, aby wychowanki pensji Matuli nie zwracały swoim ubraniem niczyjej uwagi. Ale właśnie ów fatalny krój rzucał się w

oczy. Zastanawiające, jak można aż tak zepsuć przyjemną dziewczęcą sukienkę, czy też odświętny mundurek, który niby przypominał strój marynarski, nie miał jednak spiczastego dekoltu i wykładanego kołnierza, lecz zapinał się wysoko pod szyją i był ozdobiony małym kołnierzykiem z wyhaftowanym na nim tulipanem.

Walizkę Giny opróżniono, szczegółowo przebadano, co ze sobą przywiozła, i nic z tych rzeczy nie pozwolono jej zatrzymać. Ani rannych pantofli, ani ręczników, ani szlafroka, ani nawet chusteczki do nosa.

Gina jak zahipnotyzowana wpatrywała się w swoją walizkę, w starannie układane na powrót miękkie różowe i jasnoniebieskie ręczniki kąpielowe, w pachnący obłok koszulek nocnych i płaszcz kąpielowy, na którym z bajkowego sitowia wyglądały małe hipopotamy i krokodyle. Siostra magazynierka aż zwróciła jej uwagę, żeby nie patrzyła z taką rozpaczą, bo chyba nie chce jej wmówić, że owe fatałaszki mają aż takie znaczenie dla młodej chrześcijanki. Między Zuzanną a siostrą magazynierką wywiązała się dyskusja o tym, czy pozwolić dziewczynce – ze względu na oszczędności podyktowane sytuacją wojenną – aby korzystała z własnej szczoteczki do zębów i mydła, czy też nie. W rezultacie zdecydowano, że jednak nie. Szczoteczkę i mydło zdobyła dla niej z jakichś ukrytych, tajemnych źródeł ciotka Mimó, mydło było w kolorze bananowym, o silnym kameliowym zapachu, a rączka szczoteczki wiśniowa, ale niezależnie od barwy – jak zauważyła

magazynierka – miała wyzywający i nieprzepisowy kształt. Gina otrzymała więc białą szczoteczkę, na której trzonku siostra natychmiast wypisała numer, pod jakim dziewczynka była zarejestrowana w szkole, dostała też duży kawałek mydła domowej roboty, koloru masła.

– Mydło wyrabiane jest w szkole, wszyscy go używają, nawet sam pan dyrektor – powiedziała Zuzanna.

Kiedy wreszcie na stopy w czarnych pończochach włożyła czarne buciki o wysokich cholewkach i szerokich noskach, sądziła, że jest już gotowa, ale okazało się, że nie. To, co teraz nastąpiło, jeszcze bardziej ją zdenerwowało niż przedziwny ekwipunek. Zuzanna zaczęła bowiem szczotkować jej anglezy nową szczotką w drewnianej oprawie, którą Gina otrzymała zamiast własnej szczotki oprawnej w srebro. Diakonisa zrobiła jej przedziałek na środku, zaplotła warkocze i związała czarną tasiemką. W tym momencie Ginę ogarnęło drżenie. „Całą mnie pochłonęli, to już nie jestem ja – myślała z rozpaczą. – Nawet loków mnie pozbawili. Teraz już nic nie pozostało z tego, czym byłam kiedyś”.

– Tylko nie płacz! – ostrzegła ją Zuzanna. – A jeśli już chcesz płakać, to nie z takiego błahego powodu jak uczesanie. To niepoważna sprawa.

Nie płakała, ale tylko dlatego, że chciała im pokazać, jak dalece uważa je za obce i nawet na tyle nie obdarza ich zaufaniem, aby uczynić świadkami swojego bólu.

– No, popatrz tylko – powiedziała diakonisa. – Wszystkie dziewczęta tutaj są tak ubrane i noszą takie

fryzury. I ty musisz się dostosować, bo taki jest regulamin. Zresztą nie bez przyczyny, możesz mi wierzyć.

– Jaka to przyczyna? – zapytała Gina. Dopiero teraz odezwała się po raz pierwszy.

– Później, jak się już tutaj zadomowisz, dowiesz się – odparła Zuzanna. – Musisz się też nauczyć, że uczennice nie zadają pytań, tylko się podporządkowują. Powiedz siostrze „do widzenia” i idziemy.

Nowe pantofle były nieco za duże, wydawały jej się też ciężkie i niewygodne. Szła za Zuzanną i patrzyła pod nogi, aby się nie pośliznąć na wypolerowanej kamiennej posadzce. Jej domowe rzeczy siostra magazynierka zamknęła u siebie, a w opróżnionej walizce Gina dźwigała swój nowy ekwipunek. Zuzanna natomiast niosła jej pościel.

W pewnej chwili diakonisa otworzyła drzwi, na których była tabliczka z napisem: „Świetlica A, klasy V-VI”. Wewnątrz, wokół długiego stołu, siedziały dziewczęta i rozmawiały. Kiedy zobaczyły, że drzwi się otwierają, zerwały się jednocześnie z miejsc i pozdrowiły Zuzannę.

– Tutaj masz spędzać wolny czas, jeśli nie będziesz w sypialni, jadalni czy na lekcjach – wyjaśniła diakonisa. – To zaś są twoje koleżanki, później je poznasz. A to jest Georgina Vitay – przedstawiła ją dziewczętom – dzisiaj przyjechała. Pomagajcie jej we wszystkim.

Dziewczęta pozdrowiły ją tak samo, jak poprzednio

diakonisę, mówiąc „dzień dobry”.

– Szczęść Boże – wyszeptała w odpowiedzi Gina, jak to poprzednio słyszała od dyrektora, i chyba właściwie, bo Zuzanna jej nie poprawiła.

Natychmiast poszły dalej, diakonisa zaprowadziła ją do sypialni, położyła pościel na niezasłanym łóżku, mówiąc, że tutaj będzie spać, a zaraz za drzwiami, na korytarzu, znajdzie szafkę, w której musi później poukładać swoje rzeczy, na drzwiczkach jest jej nazwisko. Kluczyk znajduje się w zamku – kiedy będzie już gotowa, niech zamknie szafkę i zawiesi kluczyk na szyi. Gdyby go zgubiła, zostanie ukarana.

Sypialnia nie była pusta, znajdowały się w niej dwie dziewczynki. One również słały łóżka, a w momencie gdy weszła Zuzanna, przerwały pracę i stanęły na baczność, tak jak dziewczęta w świetlicy. W opuszczonych rękach trzymały akurat rozłożone prześcieradła. Zuzanna przedstawiła im Ginę, po czym szykowała się do odejścia. Gina przeraziła się. Za chwilę zostanie tu sama, z tymi dwiema obcymi dziewczynkami, będzie musiała z nimi rozmawiać, odpowiadać na ich pytania. „Czy ty masz serce? – pytała w myślach diakonisę. – Kim jesteś, że nie zauważasz, jak bardzo się boję? Powiedz coś takiego, żebym wiedziała, że mnie żałujesz, a przynajmniej rozumiesz. Abyś przekonała się, iż mimo waszych dziwacznych zwyczajów jesteście ludźmi. Przemów, żeby mi nie było tak strasznie ciężko!”

– Zostań z Bogiem! – powiedziała Zuzanna od progu

i uśmiechnęła się do niej swoim pięknym uśmiechem, po czym wyszła.

„Powinna była powiedzieć coś bardziej od serca, coś prostszego – pomyślała Gina – coś, po czym lżej by mi było tutaj oddychać”.

Później, wiele miesięcy później, kiedy już dobrze poznała Zuzannę, pojęła, że dla diakonisy to było jedyne i najprostsze zdanie, jakie potrafiła wypowiedzieć. Żyła bowiem tak blisko Boga, że wydawało jej się, iż Gina też nie zrozumie jej lakonicznego życzenia inaczej jak: „Bardzo mi cię żal, moje dziecko, gdyż musi ci być tutaj naprawdę ciężko, ja ze swojej strony będę się starała ci pomóc, abyś jak najszybciej przywykła, ale przecież ja niewiele tu mogę, jest ktoś ode mnie potężniejszy, kto ci w tym dopomoże. Na pewno pomoże, nie martw się!”.

Gina rozejrzała się. Policzyła łóżka, było ich dziesięć po jednej i dziesięć po drugiej stronie. Obydwie dziewczynki dalej słały łóżka, więc i ona się do tego zabrała. Z ogromną wdzięcznością myślała teraz o Marchelle, która poza odrabianiem lekcji wdrażała ją również do wykonywania prac domowych. Wstyd by jej było teraz, gdyby szło jej to bardziej niezręcznie niż pozostałym, ale zakończyły słać prawie jednocześnie. Przez chwilę patrzyły na siebie, po czym jedna z nich, niższa, o czarnych jak smoła włosach ściśle splecionych w warkocze, jakby był w nich umieszczony drut, ruszyła w stronę Giny. Wówczas i wyższa, blondynka, której oczy były zaczerwienione, jakby niedawno płakała,

poszła za nią. Przedstawiły się Ginie. Czarnowłosa nazywała się Mari Kis, a ta o zaczerwienionych oczach Piroska Torma. Mari Kis zapytała, z jakiej szkoły jest Gina, i obydwie ogromnie się zdziwiły, że z tak daleka, aż z Pesztu. Gina wyjaśniła, że jej ojciec jest wojskowym, nie potrafi zapewnić jej teraz odpowiedniej opieki, rzadko bywa w domu. Miała wprawdzie francuską guwernantkę, ale ona musiała opuścić kraj, matka zaś nie żyje i dlatego się tutaj znalazła. Sama Gina zdziwiła się, jak to wszystko brzmi logicznie i naturalnie. Zapragnęła nagle uwierzyć, że postępowaniem generała nie kieruje żadna szczególna przyczyna i że tylko dla powodów, o których wspomniała dziewczętom, znalazła się w tej twierdzy.

– Ja natomiast nie mam nikogo, nawet ojca – powiedziała ta o zapłakanych oczach. – Ani ojca, ani matki, nie pamiętam ich wcale. Tutaj się wychowywałam od dziecka.

– Niewdzięcznica – zauważyła Mari Kis. – Jak to nie masz nikogo? A pan dyrektor? Toż to prawdziwe szczęście mieć za wuja dyrektora szkoły. Widzisz, jak bardzo się troszczy o twoje wychowanie, już ci zdążył łyzy z oczu wycisnąć. Moi rodzice są nauczycielami, ale na wsi, więc muszę się tutaj uczyć, bo u nas nie ma gimnazjum, tylko podstawówka.

– Ojej, torebka! – wykrzyknęła zdumiona blondynka.

Torebka ze srebrnym monogramem leżała na nocnej szafce Giny. Wcale się nie zdziwiła, że tak im się spodobała, przecież ciocia Mimó zamówiła ją dla niej na

gwiazdkę w sklepie przy ulicy Lajosa Kossutha. Smętnie dotknęła palcem delikatnej skórki, której piękna niebieska barwa zupełnie nie pasowała do tego niewydarzonego stroju.

– Zapomnieli ci dać regulaminową torbę – powiedziała Piroska. – Przyjrzyj się dobrze temu dziełu sztuki, bo zaraz ci ją zabiorą ze wszystkim, co się w niej znajduje.

– U nas nosi się tylko torby – wyjaśniła Mari Kis. – Torebki są zabronione. W torbie trzymamy wszystko, co potrzebne. Powinnaś przeczesać sobie włosy, bo wyglądasz okropnie. W łazience jest lustro. Pokazać ci, gdzie jest łazienka?

O czym one mówią? Że zabiorą jej torebkę? Z całą zawartością? Zabiorą albumik, w którym między zdjęciami ojca, cioci Mimó i Marchelle ukryta jest również fotografia Feriego? Feri akurat skacze przez przeszkodę na koniu Selyembogár. Zabiorą sto pengó i drobne, jakie zostały po kupnie popielniczki, puderniczkę, kalendarzyk, grzebień i klucz od peszteńskiego mieszkania? Nim zauważą, trzeba to wszystko szybko wyjąć i gdzieś ukryć. Ale gdzie? W łóżku? Niemożliwe. Na pewno zajrzą pod materac. Gdzie tu może być takie miejsce, w którym mogłaby schować swoje ostatnie skarby przypominające jej dawne, minione już życie?

– No, chcesz się przeczesać? Jeśli tak, to chodźmy do łazienki.

Przewiesiła torebkę przez ramię i poszła za Mari Kis.

W sypialni nie widziała kosza na śmieci, pomyślała, że pewnie będzie w umywalni. Może uda jej się ukryć za nim, pod nim lub w nim zawartość torebki, dopóki nie znajdzie jakiejś lepszej kryjówki. Mari Kis odprowadziła ją do zakrętu korytarza, otworzyła drzwi umywalni i powiedziała, żeby Gina się pospieszyła, bo Zuzanna wyliczyła, ile każda czynność zajmuje minut, a poza tym dodatkowe czesanie włosów przed południem jest zabronione. Człowiek dlatego nosi fryzurę zgodną z regulaminem, żeby wystarczyło mu tylko poranne i wieczorne posługiwanie się grzebieniem.

W łazience unosił się wilgotny zapach wyszorowanych wanien. Przez odchylone u góry okno, wychodzące na skąpany w słońcu obszerny dziedziniec, wpadało pachnące winobranie, świeże jesienne powietrze. W rogu znajdowała się nieznana Ginie duża pokojowa roślina. Dziewczynka zauważyła, że jakaś choroba zaatakowała jej liście i widocznie wstawiono ją tutaj na rekonwalescencję, aby wilgotne, parne powietrze ją uleczyło. Na parapecie okiennym stały skrzynki z pelargoniami, które w promieniach słońca miały wesołą czerwoną barwę. Aby przypadkiem przy podlewaniu nie zalano polakierowanego na biało parapetu, skrzynki z kwiatami wstawiono w większą skrzynię obitą od wewnątrz blachą. Pod umywalką znajdowało się wiadro na śmieci, zupełnie się jednak nie nadawało do ukrycia czegokolwiek, papier toaletowy nie był umieszczony w specjalnym pudełku, jak u nich w domu, tylko zaczepiony

na obracającej się ośce. Nie widać też było nigdzie pieca kąpielowego ani bojlera, z pewnością ciepła woda dochodziła do kranów z jakiegoś centralnego kotła, ściany też nie miały żadnych schowków. Gina wdrapała się nawet na muszlę klozetową, aby dosięgnąć wierzchu rezerwuaru: był zakryty przyśrubowaną żelazną pokrywą.

A więc nie udało się, zabiorą jej te ostatnie pamiątki. Była już zbyt zmęczona, żeby płakać. Czesać się nie chciała, nie dlatego tu przyszła. Zupełnie jej to nie interesowało, że zrobili z niej stracha na wróble. Podeszła do okna, próbowała wyjrzeć, ale porowata, matowa szyba przesłaniała wszystko, a przez szczelinę odchyłonego u góry okna było widać tylko niebo. Wspięła się, chwytając skrzynki z pelargoniami, zapragnęła, aby jej ciało nagle się wydłużyło i dosięgło tej szczeliny i żeby poczuła na twarzy powietrze, świeży i wolny powiew wiatru ze świata, którego Bóg wie jak długo będzie pozbawiona. Jej palce obsunęły się w szczelinę między skrzynkami pelargonii a skrzynią ochronną. O mało co nie zwała jej na siebie. Z emocji aż odkaszlnęła, tak sucho zrobiło jej się w gardle. Znalazła kryjówkę!

Ogromnie ciężko było wyciągać wewnętrzną skrzynkę z pelargoniami, prawie przekraczało to jej siły. Gdyby nie uprawiała szermierki, nie jeździła konno, nie wzmacniała swoich mięśni systematyczną gimnastyką, chyba by się jej to nie udało. Zacisnęła zęby z tego niecodziennego wysiłku i niemal bezszelestnie wyjęła kwiaty i postawiła na podłodze. Wysypała całą zawartość

torebki. Gdyby teraz ktoś wszedł, wszystko by przepadło, zaczynałaby swoje życie na pensji z ogromnym czarnym minusem i nigdy nie potrafiłaby go zmazać. Ale jeśli nikt jej nie przeszkodzi, to może się uda. Ponadto musi działać dokładnie, uważnie, bo jeśli się będzie spieszyć, to wszystko na nic. Układała obok siebie albumik ze zdjęciami wielkości notesu, ozdobny kalendarzyk z ołówkiem, małą portmonetkę, klucz w futerale, puderniczkę i srebrny grzebień, starając się, aby mniej więcej tworzyły równy poziom. Czoło zrosił jej pot, nim z powrotem wstawiła skrzynkę z pelargoniami. Teraz wszystkie przedmioty były tak dokładnie przykryte, jakby wcale ich tam nie włożyła. Serce biło jej szybko, prawie czuła ból.

Cofnęła się do progu i najpierw stamtąd, a później z coraz bliższej odległości obejrzała dokładnie skrzynkę: nie było żadnej dostrzegalnej zmiany. Tylko Gina wiedziała, z jakiego powodu jedna skrzynka z pelargoniami wystaje centymetr ponad skrzynię obitą blachą, ktoś inny jednak tego nie zauważy. A zatem udało się ukryć coś przed Zuzanną i magazynierką. Stała chwilę, czekając, aż serce jej się uspokoi, ale Mari Kis zawołała, że tyle czasu zwykle przeznaczają się im na kąpiel, niech natychmiast wyjdzie, bo będzie awantura.

Kiedy Gina znalazła się na korytarzu, Mari dokładnie jej się przyjrzała i z dezaprobatą pokręciła głową. Obiecała, że jutro spróbuje ją sama uczesać, bo żadnej różnicy nie widać, warkocze są tak samo paskudnie

splecione jak przedtem. Gina kołysała na ręku pustą niebieską torebkę, a gdy wróciły do sypialni, rzuciła ją na świeżo zasłane łóżko.

Torma wykladała papierem szufladki w nocnej szafce i stała odwrócona do nich plecami. Nie patrząc na przybyłe, zaczęła wypytywać nową koleżankę, jaką aktorkę widziała lub знаła osobiście. Pytanie to podziało niczym balsam na piekącą ranę, na chwilę złagodziło świeży smutek Giny. Przez dom cioci Mimó przewinęli się niejedna słynna aktorka i niejeden słynny aktor. Wymieniła takie nazwiska, że Torma zaprzestała swojej czynności, odwróciła się i z nabożeństwem patrzyła na Ginę.

Obecność Zuzanny zauważyły, dopiero kiedy przemówiła.

Niemożliwością było ustalenie momentu, w którym tu weszła, rozmawiały bowiem dość głośno, diakonisa zaś w swych pantoflach na wojłokowej podeszwie poruszała się bezszelestnie. Przez ramię miała przewieszoną regulaminową, dość dużą czarną torbę, na której wyhaftowane były biały tulipan i dwa białe liście. Torba zapinała się na dwa perłowe guziki.

– Zapomniałam wymienić ci torebkę – powiedziała Zuzanna. – Proszę, oddaj mi swoją.

Po raz pierwszy, od kiedy znalazła się w murach tej twierdzy, Gina miała ochotę się uśmiechnąć. Podała diakonisie niebieską torebkę, którą ta zaraz otworzyła i zlustrowała, ale nie znalazła w niej nic poza umyślnie

zostawioną cienką batystową chusteczką w kropki. Nim odeszła, oznajmiła jeszcze Ginie, że jeśli potrzebne byłyby jej pieniądze – na tacę w kościele lub na cele misyjne – niech zwróci się do niej, ponieważ ojciec zdeponował dozwolone regulaminem roczne kieszonkowe.

Mari Kis chwyciła torbę i nisko się skłoniwszy, podała ją nowej koleżance.

– Oto wspaniała, najmodniejsza torebka na świecie! – zawołała. – Oto dzieło sztuki, ostatni krzyk mody, twór niedościgniony! – Przewiesiła ją Ginie przez ramię i wybuchnęła śmiechem.

Tutaj, w sypialni, okna zewnętrzne także miały matowe porowate szyby, ale w wewnętrznych szyby były normalne i jeśli włożyło się za nie coś ciemnego, to można było się przejrzeć jak w lustrze. Torma nie żałowała trudu, zdjęła fartuch i zaczepiła go od tyłu na szybie, niech Gina zobaczy, jaką zrobiono z niej piękność. W ramę okienną były wbite dwa gwoździe, dziewczęta widać postarały się, aby chociaż do pasa można się było tutaj przejrzeć, lustra w łazience bowiem ukazywały im tylko twarz. Gina, ujrawszy siebie w całym pensjonarskim rynsztunku, przez chwilę niedowierzająco patrzyła na swoje odbicie, po czym ku swojemu największemu zdziwieniu roześmiała się głośno. Z okropnego czarnego opakowania wyłaniała się tyka o ciemnoblond, źle splecionych warkoczach, z torbą na ramieniu, taką jakie noszą włóczędzy, na szyi smętnie się

kołysały zawieszony na tasiemce kluczyki.

– Nie bój się – pocieszała ją Mari Kis – nie jest tutaj tak źle. A właściwie jest bardzo źle, ale jednak można wytrzymać. Ogromnie dużo się śmiejemy.

– A teraz ze mną rozmawiaj – poprosiła blondynka – kiedy jeszcze nie jestem ukarana. Ja prawie bez przerwy jestem karana i wówczas nie wolno się do mnie odzywać, najwyżej w nocy, ale i wtedy nie jest to wskazane, ponieważ Zuzanna zawsze zjawia się nie wiadomo skąd, ma słuch jak zając.

– Dlaczego jesteś stale karana? – zapytała Gina. Torma miała bowiem tak miłą, spokojną twarzyczkę, że trudno było sobie wyobrazić, aby mogła się zachowywać niewłaściwie.

– To z miłości – wyjaśniła Mari Kis. – Nie bądźże taką gapą, przecież już powiedziałam, że jest bratanicą dyrektora, on jest jej opiekunem i podobnie jak Bóg tego karze, kogo kocha. No, chodźmy, bo w ciągu dnia nie wolno przebywać w sypialni, przeważnie siedzimy w świetlicy. Ale skoro nie ma jeszcze lekcji, może uda się namówić Zuzannę, aby pozwoliła nam wyjść do ogrodu.

Ruszyły w stronę świetlicy. Przez okna wpadały na korytarz promienie słońca. „Może – myślała Gina – może się przyzwyczaję. Przecież są tu nie tylko dorośli, lecz także dziewczęta. Koleżanki. A może i dorośli nie są wszyscy tacy sami. Może znajdzie się ktoś, kto choć troszeczkę będzie podobny do Marchelle”.

Zawieszony na jej szyi kluczyki od szafki na

korytarzu i szuflady w stoliku uderzały o siebie, pobrzękując w rytm kroków. Był to słaby, zniekształcony dźwięk, podobnym dźwiękiem odpowiadały kluczyki Mari Kis i Tormy. Gina nie mogła się pogodzić z tym, że ma na szyi zawieszoną tasiemkę z kluczami. Przecież dostały torby. Dlaczego w nich nie mogą nosić kluczyków? Do czego więc te torby są im potrzebne?

– Klucz nie należy do zawartości torby – wyjaśniła Mari Kis. – W torbie należy nosić chusteczkę, dzienniczek i podwieczorek w ceratowym woreczku, który otrzymujemy przy śniadaniu. W czasie wycieczki możesz nosić w torbie wałówkę, a przez cały rok Biblię, psalterz i piórnik. Koniec, kropka. Kluczyk ma wisieć na szyi, tam jest jego miejsce. Zastępuje biżuterię.

Bizuteria. To słowo przypomniało jej mały księżyc, który Zuzanna jej odebrała, i to wspomnienie, jeszcze tak świeże, dotarło do jej świadomości jednocześnie z dźwiękiem, który zwrócił również uwagę dwóch pozostałych dziewcząt. Przez otwarte okno od strony ulicy Matuli dała się słyszeć jakaś melodia, potrójny głos klaksonu dolatujący z odległego szczęśliwego miasta, położonego dalej niż za siedmioma górami i lasami, i niosący jakby słowa ojca przeznaczone dla niej – Mała Gina. Mała Gina. Przez chwilę zdawało się jej, że ten głos przekomarza się z nią wesoło, ale potem, kiedy stał się głośniejszy, brzmiał coraz smutniej i Gina przycisnęła czoło do ściany, aby dziewczynki nie zobaczyły jej

twarży. Nie znała bowiem jeszcze na tyle ani czarnowłosej, ani blondynki, żeby odsłonić przed nimi swoje uczucia. Mała Gina... dolatywał z oddali dźwięk klaksonu, coraz cichszy i cichszy, aż w końcu zamilkł. Samochód generała wyjechał z ulicy Matuli. Teraz pewnie jest gdzieś w okolicy przysadzistego kościoła, a ona pozostała sama w tej twierdzy.

– No – odezwała się Mari Kis i łagodnie obróciła ją ku sobie, by jej spojrzeć w oczy. – Nie płacz, mówiłam już, że można tu wytrzymać. Zobaczysz, że będzie całkiem przyjemnie. Jeśli chcesz, to Piroska później coś wymyśli, żebyśmy się dobrze bawiły. Jej i tak jest wszystko jedno, i tak stale jest za coś karana.

Dziewczęta rzeczywiście były ogromnie miłe i kochane, ale mimo wszystko nie potrafiły jej rozweselić. Dawno już umilkł klakson samochodu, a mimo to ciągle jeszcze brzmiało w jej uszach: Mała Gina.

– Jutro będzie nabożeństwo z okazji inauguracji roku szkolnego, całe miasto będzie się na nas gapiło na ulicy i może uda się przedostać na chór kilku chłopcom – mówiła dalej czarnulka. – A później zacznie się rok szkolny i my wszystkie wyjdziemy za mąż. Ty również. A jeśli urodziłaś się w czepku, to być może wyjdiesz za samego świętej pamięci biskupa Matulę.

Było to coś tak dziwaczego, że Gina musiała się roześmiać.

4

Legenda o Abigél

Ogród był olbrzymi i Gina się ucieszyła, że pozwolono im tam spacerować do obiadu. Mari powiedziała, że one same pielęgnują kwiaty. Na pensji jest wprawdzie ogrodnik, ale dziewczęta muszą poznać i tę pracę, podobnie jak szycie, którego lekcje odbywają się w szwalni, i wszelkie inne możliwe na świecie zajęcia. Zdaniem dyrektora nie ma bowiem nic gorszego jak bezczynność – wszak droga do piekła wybrukowana jest godzinami gnuśności. A więc tutaj nie ma czasu na lenistwo, niech się Gina nie obawia. Kiedy odrobnią lekcje, diakonisy przepytują je z zadanego materiału. Na pensji nie ma złej uczennicy, bo jeśli któraś jest tępa albo leniwa, wylatuje stąd na końcu roku jak z procy. Matula jest najbardziej surową szkołą na całej kuli ziemskiej. Kto przygotował zadanie pisemne i nauczył się ustnego, może ruszać do pracy w ogrodzie, kuchni albo szwalni, zależnie od tego, jaki otrzymał przydział. Może ewentualnie brać dodatkowe lekcje muzyki albo uczyć się jeszcze jednego obcego języka, skoro tego sobie życzą jacyś rodzice bez serca. Nawet nie trzeba za to płacić. Jeśli zaś komus zostaje jeszcze trochę wolnego czasu, to może czytać, bo szkoła ma dużą bibliotekę, ale wolno również zajmować się robótkami ręcznymi lub zgłosić się na ochotnika do

jakiejś potrzebnej w danej chwili pracy. Każdego dnia odbywają dwugodzinny spacer i jedną godzinę spędzają w sali gimnastycznej, obowiązkowo. Niech się więc Gina nie denerwuje, nudzić się na pewno nie będzie.

Wszystko to, co dotychczas usłyszała o nowej szkole, wywołało w niej dwoiste uczucia. Wydawało jej się, że taki nadzwyczaj rygorystyczny tryb życia, co do minuty wyliczony czas, może tylko przygnębić kogoś, kogo przywiódł tutaj zły los, a równocześnie zauważyła, że te dwie matulanki właściwie wcale nie wyglądają na niezadowolone, wprost przeciwnie. Nie mówią o tym, ale widać po nich, że są nadzwyczaj dumne z tego, że u nich jest taki inny, szczególny świat, jak również z tego, że tutaj każda musi się dobrze uczyć i w rezultacie będą miały więcej wiadomości po opuszczeniu murów szkolnych niż te dziewczęta, które nie kończyły ich pensji. Najbardziej Ginę zdziwiło, gdy się dowiedziała, że na ich pensji nie ma uczennic dochodzących z miasta, jest tylko internat, a więc twierdza nie jest zwykłą szkołą, lecz prawdziwym zakładem naukowym, takim jakie bywają za granicą. Mieszkańcy Árkodu posyłają córki do szkół w sąsiednim mieście albo do gimnazjum państwowego. Między uczennicami państwowego gimnazjum a matulankami toczy się nieustająca walka, która raz przycicha, a raz wybucha ze zdwojoną siłą. Uczennice z gimnazjum przezywają matulanki „pobożniami”, matulanki zaś nadały im przezwisko od ich patrona, biologa Pawła Koguta, i nazywają je „kukuryku”. Stało

się już nawet tradycją szkolną, że po zdaniu matury i bankiecie pożegnalnym – który u nich, matulanek, odbywa się nie w jakimś obrzydliwym świeckim hotelu, lecz w sali paradnej, a szczytem rozpusty jest kakao i ciasto, którymi częstuje się maturzystki – że po takim bankiecie żegnające się ze szkołą ośmioklasistki udają się pod państwowe gimnazjum, po raz pierwszy w życiu same, bez nadzoru diakonis, i rozpoczynają straszliwe pianie. Żona komisarza policji sama kiedyś była matulanką i od czasu gdy zdała maturę, nigdy w tym dniu nie ma żadnego policjanta w okolicy, aby matulanki mogły do woli się wykrzyczeć.

Kiedy natomiast uczennice z państwowego gimnazjum rewanżują się im i pod murami pensji zaczynają śpiewać złośliwą piosenkę: *Każda matulanka to wielka świętoszka...*, wówczas zawsze kręci się w pobliżu posterunkowy. A szczególnie paskudnie wpadły w ubiegłym roku. Kiedy bowiem przerzuciły przez ogrodzenie pensji wielką wypchaną kukłę z płótna, która miała na czubku głowy aureolę, nie tylko doszło do tego, że dyrektor Matuli wystosował pismo do państwowego gimnazjum, lecz także ich dyrektor straszliwie się rozgniewał i nie chciał słuchać żadnych wyjaśnień, że uczennice pragnęły tylko ośmieszyć matulanki tą piosenką, a przystrajając kukłę aureolą, nie miały żadnych bezbożnych zamiarów. Istnieją tu, na pensji, jeszcze inne tradycje – wyjaśniały dziewczęta – do takich należy na przykład „wyjście za mąż”. Tę tradycję zawdzięczają

byłej wychowance Mici Horn. Kiedyś ta dziewczyna z klasy maturalnej zaręczyła się w czasie wakacji i pierwszego września zjawiła się na pensji z pierścionkiem na palcu, musiała jednak zaraz pójść do dyrektora i zostawić u niego pierścionek aż do matury. No bo co też sobie taka dziewczyna wyobraża, ośmielając się nosić w szkole świeckie błyskotki, a poza tym to oburzające, żeby jeszcze w pensjonarskim wieku wchodzić w kontakt z tym drugim światem, światem dorosłych, co może wzbudzić w jej wychowawcach podejrzenie, iż ów ofiarodawca pierścionka, osobnik płci odmiernej, może nawet tę dziewczynę pocałował! Ale sprawa nie skończyła się na tym, że Mici Horn nie mogła nosić zaręczynowego pierścionka, bo oto w murach Matuli zaczęła się szerzyć prawdziwa zaraza moralna i każda pensjonarka marzyła, żeby zostać narzeczoną jak ta zuchwała dziewczyna. I wtedy któraś genialna matulanka z trzeciej klasy, która już chyba z tysiąc lat temu opuściła mury szkolne i - co zabawniejsze - została w Peszcie aktorką, wymyśliła sposób, aby i one mogły wychodzić za mąż. Jeśli dziewczyna nie ma chłopca, prawdziwego narzeczonego, wówczas poślubia jakiś przedmiot, obraz lub pojęcie. I tak powstała tradycja, że z początkiem nowego roku szkolnego odbywają się zaślubiny każdej z nich. Cała klasa w kolejności alfabetycznej wychodzi za mąż za przedmioty ze spisu inwentaryzacyjnego. Spis inwentaryzacyjny wisi w każdej sali przy drzwiach i zawiera wykaz przedmiotów znajdujących się w

pomieszczeniu, jak na przykład obrazu, pomoce naukowe. Przy każdym przedmiocie widnieje numer. Która w dzienniku klasowym jest na pierwszym miejscu, do tej będzie należał przedmiot oznaczony w wykazie numerem jeden, która na drugim, to przedmiot numer dwa i tak dalej. Wspaniale można się ubawić, gdy człowiek w taki sposób wychodzi za mąż. Wyjątkowo dyrektor też ma przydział, ale dopiero w ósmej klasie. Nauczyciele oczywiście nic o tym nie wiedzą. Jest to wprost pyszna zabawa, gdy dyrektor za coś skarci swoją „żonę”, można pęknąć ze śmiechu, tylko że niestety nie można się śmiać głośno, bo nie potrafiłyby się wytłumaczyć, dlaczego mają taki dobry humor. A co ciekawsze, nie zdarzyło się jeszcze, żeby uczennica, która dla zabawy została małżonką jakiegoś przedmiotu, nie polubiła go. Czasami wprost zdumiewają swoich wykładowców wiadomościami o jakimś słynnym człowieku. Na przykład jeśli czyimś mężem została rzeźba z brązu przedstawiająca Marka Aureliusza, to owa „żona” na pewno przeczyta całą dostępną literaturę na ten temat, aby znać każdy szczegół o swoim „małżonku”. Nawet Torma, której z powodu nieszczęsnego nazwiska, zaczynającego się, jak wiadomo, na literę t, jako mąż przypadł obraz przedstawiający pierwszą maszynę drukarską, wprawiła swojego wuja w całkowite zdumienie. Właśnie zauważył niestarty kurz i dopadł dyżurną – akurat była nią Torma – pytając, dlaczego w czasie przerwy nie pilnuje, aby w klasie był porządek. Przecież z obrazu maszyny

drukarskiej kurz aż się sypie. I wówczas Torma zaczęła mówić wszystko, czego się dowiedziała z encyklopedii i książek popularnonaukowych na temat maszyny, a dyrektor tylko słuchał i po raz pierwszy w życiu słowa nie potrafił wypowiedzieć, bo Torma ciągle mówiła i mówiła monotonnym głosem: „Wynalezienie maszyny drukarskiej przypada na drugie trzydziestolecie piętnastego wieku. Kto był jej wynalazcą? Zdania są tutaj podzielone, większość uważa za wynalazcę Johanna Gutenberga, ale może być także mowa o Mentelinie czy Mentlinie z Sélestatu, a nawet wspomina się dość często o Albercie Pfisterze z Bambergu, jakkolwiek i on był tylko uczniem Gutenberga”. Po Pfisterze dyrektor odwrócił się na pięcie i jak czarny okręt wypłynął z klasy. Niektóre zauważyły, że czoło miał mokre od potu, taki był zaskoczony. Oczywiście Torma i tak została ukarana – nie z powodu historii drukarstwa, ale za nieścieranie kurzu.

Gina słuchała ich i nawet śmiała się razem z nimi, ale równocześnie miała wrażenie, że te dziewczęta w porównaniu z nią to małe dzieci, uczennice szkoły podstawowej. Myślała o swoich peszteńskich przyjaciółkach, o ich przeżyciach i o Ferim, przede wszystkim o nim. Przypomniła sobie, jak przyciskał ją do siebie w czasie tańca na ostatniej herbatce u cioci Mimó. Tak, Feri był żywym, młodym chłopcem, nie żadnym obrazem. Nie wolno nosić biżuterii, więc oczywiście pierścionka zaręczynowego też, to jasne, ale

dlaczego te dziewczyny wpadły na tak dziwaczny pomysł? Bardzo zabawne, jeśli komuś przypadnie jako mąż maszyna drukarska, ale o wiele zabawniej jest myśleć o prawdziwych chłopcach.

– Prawdziwi chłopcy? – powiedziała Mari Kis i jej oczy zrobiły się okrągłe ze zdumienia. – Skąd wziąć prawdziwych chłopców? Prawdziwi chłopcy są tylko w czasie wakacji, jeśli w ogóle są. A zresztą, kto by chciał zaczynać z matulanką, której nie wolno z nikim korespondować i która nawet w domu, z daleka od Árkodu, drży ze strachu, że ktoś może ją zobaczyć rozmawiającą z osobnikiem płci odmiernej. Tutaj tylko wtedy może być mowa o miłości, jeśli człowiek decyduje się zaryzykować wszystko lub jeśli jest przed samą maturą i wie, że wkrótce się wyzwoli.

Gina wahała się, czy wspomnieć im o Ferim, w końcu jednak nic nie powiedziała. Doszła do wniosku, że jeszcze za mało zna dziewczęta.

Mari Kis spostrzegła jednak, że Gina jest zaskoczona ich pomysłem i że nawet ją on śmieszy.

– Tutaj nie mamy innego wyjścia. Nie możemy się narażać – powiedziała, a Torma jej przytaknęła. – Ja mam zniżkę i płacę tylko jedną czwartą chesnego, jesteście biedni. Jeśli będę zachowywać się nieodpowiednio, stracę zniżkę. Torma zaś nie ma nikogo na świecie poza dyrektorem. Jeśli więc nas stąd wyrzucą, to kto będzie nas uczył i zajmie się naszym wychowaniem?

Gina nigdy przedtem nie zastanawiała się, co znaczy

lub co może zmienić w jej życiu fakt, że ojciec jest w stanie zapłacić nawet najwyższe czesne za jej naukę, i nigdy nie przyszło jej do głowy, że są dziewczęta, które muszą być zawsze dobrymi, posłusznymi uczennicami i muszą przestrzegać szkolnego regulaminu, bo w przeciwnym razie nie będą w stanie ukończyć pensji, która je darmo albo prawie darmo wychowuje. Teraz już tylko jednym uchem słuchała, o czym mówią koleżanki. Zastanawiała się, w jaki sposób będzie mogła uśpić czujność Zuzanny i pisząc list do cioci Mimó, przemycić w nim wiadomość dla Feriego. I czy Feri odpowie? Czy oddadzą jej jego list? Mari i Torma zgadywały właśnie, kto jakiego przedmiotu będzie w tym roku uczyć, nazwiska nauczycieli nic jej nie mówiły.

Szła z dziewczętami, nie rozglądając się, pogrążona w myślach o tym, czy uda jej się nawiązać kontakt z tym porzuconym drugim światem. Nagle potknęła się o coś i niewiele brakowało, żeby upadła. Mari chwyciła ją za ramię. Gina uniosła głowę i zauważyła, że dotarły do końca ogrodu. W wysokim, grubym kamiennym murze okalającym teren pensji była nisza, a w niej stał posąg młodej dziewczyny. Postać obiema rękami podtrzymywała na głowie starożytną kamienną amforę, a jej czoło zdobiły wymykające się spod przepaski loki. Torma wspięła się po dwóch kamiennych stopniach, które półkolem otaczały cokół posągu, i z obu stron ucałowała twarz kamiennej dziewczyny. To samo uczyniła Mari Kis i obydwie zawołały: „Serwus, Abigél!”.

Rzeźba uśmiechała się dostojnie, tak jak uśmiechają się bardzo szczęśliwe i bardzo młode dziewczęta.

– To jest Vitay – powiedziała Mari Kis. – Georgina Vitay. Będzie chodzić do naszej klasy. Poznaj ją, Abigél!

Och, znów jakaś zabawa, znów jakieś głupstwa!

– Przywitaj ją – zachęcała Ginę Torma. – Przywitaj! To jest Abigél. Czyniąca cuda Abigél.

No nie, tego już za wiele. Czy one nie przesadzają? Poczła się jednak w twierdzy pewniej, bo co prawda jest to zamknięty świat, gdzie panują surowe rygory i pełno w nim zasadzek, ale przecież jest w nim też i coś dziecinnego, coś w rodzaju straszenia diabłem, a przecież ona już od dawien dawna wiedziała, że w wieczór świętego Mikołaja przebrany diabeł był ordynans jej ojca.

– No dobrze – powiedziała Mari Kis. – I ty się do niej zwrócisz, kiedy będziesz miała jakieś kłopoty. Tutaj nie ma się żadnego patrona, maskotek, tutaj nie ma nic, a Bogu nie możemy przecież zawracać głowy byle czym. Ale jeśli potrafisz samotnie wszystko znieść, to spróbuj.

– Abigél nam pomaga – wyjaśniła Torma. Jej głos był całkiem poważny. – Jeśli człowiek znajdzie się w jakichś straszliwych kłopotach, zawsze pomoże.

Nie szkodzi. Niech sobie mówią. Gina czuła się teraz jakby wyzwolona, była prawie w dobrym humorze. Przecież to są zupełne dzieciaki – Torma, która w ubiegłym roku miała maszynę drukarską za męża, i Mari, przedstawiająca ją jakiemuś kamiennemu posagowi. W

tej chwili przyszła jej na myśl opera *Don Juan*, którą ostatnio obejrzały wspólnie z Marchelle, i znów ból przeszył jej serce. Jeden z artystów był znajomym cioci Mimó i kiedy w antrakcie odwiedziły go w garderobie, powiedział do niej: „Całuję rączki”.

– Tutaj nic nie jest takie proste – wyjaśniała dalej Torma. – Sama zobaczysz. Człowiek ma tyle pragnień, które nie mogą się spełnić. Poza tym czasami się boimy, czasami zdarza się coś strasznego. Abigél stoi tutaj od kilkuset lat, nie wiem, dlaczego tak się nazywa. Ale ta rzeźba zawsze się tak nazywała, odkąd istnieje pensja Matuli. Ktoś ją kiedyś tak nazwał.

„W porządku, mają tu starą rzeźbę, piękne neoklasyczne dzieło z końca osiemnastego wieku, postać ma suknię jak *madame Récamier*, a dzban to grecka amfora. Abigél jest dziewczyną w stylu empire”.

– To że Abigél nie tylko istnieje, lecz także czyni cuda, odkryła Mici Horn. Bardzo bowiem rozpaczała, że dyrektor zabrał jej pierścionek zaręczynowy, chłopiec zaś poszedł na front (był to okres pierwszej wojny światowej) i ona nie może nosić nawet takiej pamiątki. Wypłakiwała się więc i skarżyła przed posągiem Abigél, jaka to jest nieszczęśliwa, a kiedy po paru dniach znów tutaj się przechadzała, zauważyła, że z dzbana coś wystaje, wyciągnęła to coś i okazało się, że był to list od narzeczonego. Mici Horn o mało nie oszalała ze szczęścia, ale akurat zadzwoniono na lekcję matematyki i nie miała już czasu, aby go przeczytać, udało jej się to

dopiero na następnej przerwie. Jeszcze tego samego dnia napisała odpowiedź i włożyła do dzbana. W krótkim czasie list zniknął. Wyobraź sobie, że przez cały czas, kiedy była tu na pensji, otrzymywała listy od swojego chłopca i mogła mu również odpowiadać.

– Ojej, a to dopiero! – powiedziała Gina. Wiedziała, że ton jej głosu pełen jest ironii i zdradza, że dziewczyna nie wierzy w to wszystko, ale już ją to znudziło. Miała dość posagu, który nie był przecież żadnym cudem świata, i znudziły ją też dziewczęta. Ogarnęła ją nagle obawa, czy potrafi znieść obok surowego regulaminu jeszcze infantylność swoich koleżanek.

– Było to bardzo dawno, bo w tysiąc dziewięćset czternastym roku – wyjaśniła Mari Kis. – Od tej pory zawsze pomaga dziewczętom, ale pod jednym warunkiem: nie wolno o tym wspominać obcym. Kiedyś Abigél napisała o tym Dóce, która oblała atramentem szkolną Biblię, wyjaśniając, że tylko wówczas może nam pomagać i my możemy się do niej zwracać o pomoc, kiedy mamy naprawdę poważne kłopoty i kiedy zachowamy to w tajemnicy. Nie wiem, jak to robi, ale zawsze potrafi wszystko załatwić.

Zadziwiającą fantazję mają te dziewczęta. Niosąca pomoc Abigél!

I to wszystko w tej twierdzy, gdzie żyją jak żołnierze w koszarach, a na ścianie są same wersety z Biblii. Są tak przesądne, że naprawdę mogłyby być czcicielkami bożków.

– Oczywiście, kto w nią nie wierzy, temu nie pomaga – powiedziała Torma i później zaczęły rozmawiać o czym innym, a Gina, kiedy zawróciły w stronę domu, nawet się nie obejrzała.

Empirowa Abigél zaś patrzyła za nimi pogodnym wzrokiem, jakby chciała zwrócić im uwagę, aby nie zapominały, że ona istnieje, bo życie w twierdzy jest surowe, a Boga nie wypada wszystkim zanudzać.

Ogród roztaczał wonne zapachy i był ożywczo pstry po bieli i czerni panujących w budynku. Skądś rozległ się dzwonek.

– Wzywa do mycia rąk – wyjaśniła Mari Kis – zaraz będzie obiad.

Torma jeszcze upomniała Ginę, żeby nie przyszło jej do głowy zaraz usiąść, kiedy już wyznaczą jej miejsce w jadalni, lub sięgnąć po łyżkę, ponieważ najpierw czytają Biblię, później śpiewają, jeszcze później modlą się i dopiero potem mogą przystąpić do obiadu, i tak samo będzie po zakończeniu posiłku, niech więc nie pobiegnie szybciej niż trzeba do wyjścia. Poza tym podczas jedzenia nie wolno rozmawiać, a dokładkę może wziąć dopiero wtedy, kiedy ją zapytają, czy sobie życzy. Jedzenie jest bardzo smaczne i obfite, ale z repetą zawsze trzeba czekać na pozwolenie, a ponadto niech nawet nie piśnie, gdy dyżurna w czasie każdego posiłku będzie czytać różne historyjki z książki jakiegoś okropnego szwajcarskiego księdza, z których to opowieści wynika, jak należy żyć, aby być prawdziwą chrześcijanką. Trzeba na to bardzo

uważać, bo już zdarzyło się, że po wieczornej modlitwie przepytywano je z treści. Dzisiaj po obiedzie są jeszcze wolne, ale już od jutra będzie mogła zapoznać się z regulaminem, a właściwie od pojutrze, bo jutro jest nabożeństwo z okazji rozpoczęcia nowego roku szkolnego i to jest szczególnie wydarzenie. Jutro pozna profesorów, otrzyma plan lekcji, podręczniki i pierwsze informacje. Wychowawcy również tutaj mieszkają, w tym znajdującym się z drugiej strony skrzydła. Będzie ich zresztą częściej widziała, niżby sobie tego życzyła, bo wprawdzie przepytują i udzielają im korepetycji diakonisy, ale często zdarza się, że niektórzy profesorowie pod pretekstem udzielania pomocy sterczą w świetlicy.

Wróciły do budynku innymi drzwiami, niż wyszły. Były to niskie, ozdobione żelaznymi gwiazdami boczne drzwi. Jadalnia, szeroko otwarta, czekała na uczennice. Gina jeszcze nigdy w życiu nie widziała tak czystego pomieszczenia. Zuzanna stała przy umywalce, czekając, aż wszystkie umyją ręce i podzielą się czystymi ręcznikami.

5

Terrarium i zdrada

Druga część dnia aż do kolacji również należała do nich.

Wprawdzie diakonisa bibliotekarka była już na swoim miejscu, a również w szwalni i w kuchni kręciły się siostry, ale jeszcze żadna z uczennic nie miała przydziału zajęć, zresztą nie mogła mieć. Tak jak z różnych stron kraju nadjeżdżały pociągi, tak kolejno przybywały w różnych porach dnia wychowanki pensji, nie można więc było zorganizować regularnych zajęć. Wieczorem natomiast nikogo już nie brakowało, przy kolacji nie było ani jednego pustego miejsca. Podczas wieczornej modlitwy Gina wreszcie poznała jednego spośród profesorów, pastora, który będzie im wykładał religię, a jednocześnie odprawiał domowe nabożeństwa.

Gina obserwowała, co robią jej koleżanki, z którymi Mari Kis i Torma już ją poznały, i próbowała je naśladować. Zasmuciło ją, że nawet podczas modlitwy nie może się odprężyć. W domu generała praktyki religijne nie były zbyt przestrzegane. Jej ojciec i ciotka Mimó byli katolikami, Gina odziedziczyła wyznanie po matce. W gimnazjum Atali Sokoray, gdzie dotąd się uczyła, zwracano uwagę uczennicom, aby uczęszczały na nabożeństwa zgodnie ze swoim wyznaniem, ale nigdy nie

kontrolowano, czy rzeczywiście to robią. W ich szkole nauka religii była traktowana dość powierzchownie, Gina zresztą rzadko chodziła do kościoła, od czasu do czasu ciotka Mimó zabierała ją ze sobą na mszę, co było o tyle atrakcyjne, że wówczas i Feri odprowadzał je do kościoła, po czym szli na spacer do śródmieścia i najczęściej odpoczywali w jakiejś modnej cukierni. Teraz z przestraczem stwierdziła, że pieśni, które tu wszyscy śpiewają z pamięci, są jej nieznane, nigdy się ich nie uczyła. Po modlitwie Zuzanna zaprowadziła ją do pastora. Stała przed nim zmieszana, nie dlatego że była taka lękliwa, tylko z góry już wiedziała, o co ją zapyta.

– W Peszcie nie uczyłyście się śpiewać? – zainteresował się pastor.

– Mało – szepnęła Gina.

– To źle – rzekła Zuzanna. – Tutaj każda uczennica zna wszystkie psalmy i pieśni nabożne. No, będziemy to musiały uzupełnić. Praca w ogrodzie potrzebna jest dla zdrowia, ale szycie możemy na pewien czas odłożyć. W czasie gdy twoja klasa będzie pracowała w szwalni, możesz nadrobić braki. Ucz się śpiewać w sali muzycznej, gdzie jest fortepian, równocześnie sobie akompaniując. Uczyłaś się gry na fortepianie?

Oczywiście, że się uczyła. W szkole Atali Sokoray nie było robótek ręcznych i teraz nie czuła się zmartwiona tym, że na razie nie musi chwytać za igłę. Ale czy w zamian za to lepiej będzie wkuwać psalmy?... Zuzanna odeszła, a Gina wróciła do dziewcząt. Znow rozległ się

dzwonek. Później przyzwyczała się już do tego, że zawsze dzwoni, kiedy coś się zaczyna lub kończy.

Obawiała się, że również przy kładzeniu się spać obowiązuje tutaj jakiś tajemniczy regulamin, że może nie wolno się myć, tak jak przywykła w domu, czy kąpać się codziennie, ale tego na szczęście nikt nie zabraniał. Nie mogła natomiast zamknąć się w łazience. Wolno było tylko wywiesić na kłamce tabliczkę, na której wymalowane były wanna i prysznic – oznaczało to, że łazienka jest zajęta i nie należy otwierać drzwi, przeszkadzać. Widocznie zbyt długo się kąpała, bo nagle zapukano i głos Zuzanny oznajmił, że czas przeznaczony na kąpiel minął. Ze złością wytarła się szorstkim lnianym ręcznikiem, włożyła workowatą białą koszulę nocną i bezkształtne kapcie. Kiedy weszła do sypialni, wszystkie jej koleżanki leżały już w łóżkach, nawet światło było zgaszone, paliło się tylko jakieś maleńkie nocne światełko nad drzwiami, akurat obok jej łóżka.

A więc tutaj nawet czytać nie można ani słuchać radia, w ogóle nic nie można. Dziewczęta szeptały i ona na swoim łóżku tuż przy drzwiach, oddalona od nich, czuła się szczególnie osamotniona w panujących ciemnościach. Teraz przydałoby się, żeby chociaż Zuzanna zajrzała i zapytała: „Jak się czujesz, Gino? Czy łóżko wygodne? Śpij spokojnie!”. Ale nikt nie zajrzał i chyba dlatego nie odpowiedziała na zadane szeptem pytanie Tormy, czy już śpi, a przecież nie spała jeszcze, nie spała i wtedy, kiedy ostatnia z dziewcząt głęboko

zasnęła. Nasłuchiwała, jakie szmery posłyszysz z zewnątrz, jak wygląda nocą ten obcy świat. Nic nie było słychać. Jeśli nawet ktoś chodził po korytarzu, to nie dolatywał tu odgłos jego kroków. W końcu sama nie wiedziała, kiedy usnęła.

Oczywiście następnego dnia trzeba było nią potrząsać, by zechciała się rozbudzić. Nie skarżyła się, wzięła się w garść i tak się spieszyła jak nigdy dotąd. Mały dzwoneczek prawie wcale nie cichł, stale obwieszczał jakieś nowe zadania: teraz trzeba iść się myć, teraz trzeba się ubierać. Potem dzwonek wzywał na modlitwę, śniadanie, jeszcze później kazał im przejść do świetlicy, wreszcie ogłosił zbiórkę. Tego dnia musiały włożyć odświętne stroje i owe niesamowite kapelusze, które przypominały nakrycia głowy pasterzy koni, brakowało przy nich tylko ostnicy. Za to ozdobił je herb, taki sam jak ten, który wisiał w gabinecie dyrektora, tylko pomniejszony. Nie miała już nawet czasu ani możliwości sprawdzić w lustrze, jak wygląda. Zresztą było jej wszystko jedno, lepiej nie patrzeć, jak się prezentuje w tym przebraniu.

Ustawily się na korytarzu internatu i na nowy dzwonek ruszyły do wyjścia. Obita żelazem brama twierdzy otworzyła się na oścież.

Szły trójkami, dzięki temu mogła iść z Tormą i Mari Kis. Dopiero na ulicy zauważyła, jak dużo ich jest. Chodnik był aż granatowy od ich mundurków. Ustawily się według wzrostu, z przodu najniższe z pierwszej klasy,

na ich czele jak dowódcy kroczyli ubrani w togi pastor i dyrektor, a dalej nauczyciele i nauczycielki. Przed nimi zaś płynął sztandar, niesiony przez wysoką dziewczynę z najstarszej klasy. Wychowawcy i diakonisy szli obok swoich klas. Gina po raz pierwszy zobaczyła wychowawcę swojej klasy, który z Zuzanną szedł tuż obok nich, i tak się zdumiała, że aż zmyliła krok.

– No co? – szepnęła Torma.

Gina nie mogła odpowiedzieć, boby ją usłyszeli, nie było to zresztą konieczne. Torma bez trudu wyczytała z jej twarzy, że jest tak samo zachwycona jak i one, kiedy po raz pierwszy zobaczyły Pétera Kalmára. A więc przekonała się sama, że w ich wczorajszym opowiadaniu nie było krztyny przesady czy zbytecznego entuzjazmu, kiedy mówiły, że ich wychowawca jest najprzystojniejszym mężczyzną na świecie i wszystkie dziewczęta się w nim kochają, kradną złamaną przez niego kredę z katedry, przechowują nitki, które przyczepiły się do jego ubrania. A kiedyś Varga, która w tym roku odpadła z ich klasy i na jej miejsce przyszła Gina, odczepiła nawet monogram z kapelusza nauczyciela łaciny Königa i ową literę „k” przymocowała sobie do fartucha. Oczywiście zauważono to, bo tu wszystko się zauważa, chociaż nosiła ją ukrytą pod pachą. Kiedy zaczęto wypytywać, co oznacza ta litera, odpowiedziała, że nosi ją na cześć Kalwina. Wówczas dyrektor wygłosił kazanie, że Kalwin z jego purytańskimi zasadami nie zniósłby, aby w taki głupi i rzucający się w oczy sposób

składano hołd jego pamięci. Niech więc uczennica natychmiast zdejmie tę literę. Wszystko to odbywało się któregoś dnia po obiedzie w jadalni i cała pensja wiedziała, że „k” wcale nie znaczy Kalwin, lecz Kalmár. Dziewczęta o mało nie udusiły się od powstrzymanego śmiechu, podczas gdy Edyta Varga wpatrywała się w wychowawcę nieruchomym wzrokiem, na co Kalmár odrobinę się nawet uśmiechnął, bo oczywiście zdawał sobie sprawę ze wszystkiego. Czegoś takiego to tylko König nie zauważa, chociaż w zasadzie i tak byłoby wszystko jedno, gdyby nawet zauważył, bo on nigdy nikomu nie zwraca uwagi.

Gina nie była w zbyt dobrym humorze, spać jej się chciało, zmęczyła ją ta częściowo nieprzespana noc, kiedy to bezsennie przewracała się z boku na bok, ale zelektryzowało ją odkrycie, że nauczyciel, z którym będzie się tutaj stykać, jest jakby postacią z dawnego świata cioci Mimó, wygląda jak prawdziwy mężczyzna. Sztandar ruszył, a za nim grono pedagogów i cała pensja imienia Matuli. Ciągnęli jak ogromny granatowy wąż w stronę przysadzistego białego kościoła. Gina nie spuszczała oczu z Kalmára, aż Mari Kis uszczypnęła ją w ramię, bo znów zmyliła krok. Zuzanna zauważyła to, ale tylko pokręciła głową, nie odezwała się – ona oczywiście nie na Kalmára patrzyła, tylko na klasę.

Później nabożeństwo zwróciło uwagę Giny w innym kierunku, napełniło wzruszeniem i jakby złagodziło wewnętrzne napięcie. Pastor mówił o tym, że wszystkie

powinny uczciwie przykładać się do pracy, ponieważ jest wojna i wrogiem uczennic jest niewiedza, ale ucząc się, powinny także modlić się za żołnierzy na froncie. Oczy zaszyły jej łzami, myślała o ojcu i o Ferim. Obydwaj w każdej chwili mogą przecież wyruszyć na front. Patrzyła przez okno, za którym poruszały się korony drzew, i zastanawiała się, jakie dziwne jest to, co pastor mówi: że dopóki nie wywalczymy ostatecznego zwycięstwa, musimy zmagać się z naszymi grzechami, powierzchownym traktowaniem spraw, lekkomyślnością i lenistwem, tak jak żołnierze walczą z wrogiem. Ciekawe, że właśnie od osoby duchownej słyszy takie sformułowanie jak „ostateczne zwycięstwo”. Ojciec, który jest zawodowym żołnierzem, nigdy o tym nie mówił i nigdy nie obiecywał Ginie czy ciotce Mimó, że zwyciężymy w tej wojnie. Przypuszczalnie było to dla niego tak oczywiste, że nie uważał, aby warto było o tym wspominać.

Wszystkie dziewczęta śpiewały bez śpiewnika, tylko ona i pierwszoklasistki musiały wertować nieustannie psalterz. Wstydziła się tego. Niestety, nie знаła nawet melodii, bezgłośnie powtarzała więc tekst: „Alleluja, alleluja, otwarta brama naszej szkoły czeka na młodzież narodu!...”. Wkrótce jednak poddała się, nie usiłowała już śpiewać, przyglądała się twarzom innych. Zuzanna i Kalmár siedzieli obok siebie, spośród chóru głosów wybijał się subtelny sopran diakonisy. Kalmár także śpiewał z całego serca i, co Ginę najbardziej uderzyło,

miał przymknięte oczy i nie patrzył na nikogo i na nic. „Na próżno go podziwiają – myślała. – Z pewnością jest mu obojętne, że te dzieciaki przypinają sobie jego monogram. A jeśli coś go interesuje, to na pewno nie miłość jakiejś matulanki”.

Podczas kazania próbowała wyobrazić sobie, jak rozmawiałaby z Péterem Kalmárem i co by sobie powiedzieli, gdyby spotkała się z nim w towarzystwie, miała na sobie normalne ubranie, mogła się normalnie uczesać i gdyby mieszkała nie tutaj, w twierdzy, lecz w domu lub u cioci Mimó. Na herbatkach u swojej ciotki tańczyła już i ze starszymi od Kalmára oficerami. Jakie ma lśniące jasnoblond włosy i jak pięknie wyrzeźbiony profil. Jest w tej twarzy coś wojskowego, tyle w niej odwagi, zdecydowania. Gina lubiła obrazy, często chodziła z Marchelle na wystawy, do muzeum, również za granicą zawsze oglądała słynne galerie. Twarz Kalmára przypominała jej oblicze świętego Jerzego.

O mało co nie roześmiała się z tego swojego skojarzenia. Co za szczęście, że myśli nie są widoczne na twarzy człowieka. Cóż bowiem powiedzieliby Zuzanna czy ktokolwiek inny w tym czarno-białym świecie, gdyby się dowiedzieli, że myśli tutaj o pogromcy smoka, rycerzu nad rycerzami, o świętym Jerzym? Ich wyznanie nie uznaje świętych.

Pogromca smoka ma oczy niebieskie, ale nie takie zwykłe, blade, tylko prawdziwie niebieskie, a rzęsy czarne, jakby je umalował. I jakie długie! Wprost nie

wypada, żeby mężczyzna miał tak piękne oczy. Teraz miała ogromną ochotę spojrzeć w lusterko, by przekonać się i uspokoić, że jej rzęsy są o wiele dłuższe niż Kalmára. Niestety, nawet gdyby nie siedziała akurat w świątyni, to i tak nie mogłaby tego uczynić. Puderniczka, lusterko, wszystko zostało ukryte na dnie skrzyni z pelargoniami, na jej ramieniu zaś wisi torba, w której nie ma nic poza chusteczką.

Spojrzenie Giny prześliznęło się dalej po rzędach ławek. Próbowwała zgadnąć, który z nauczycieli jest Königiem, owym fajtlapą, który nic nie mówi, gdy mu skradną monogram z kapelusza. Zawsze uważała, że odwaga i piękno są ze sobą nierozłącznie związane, tak samo jak bezbarwna osobowość z niepozornym wyglądem zewnętrznym. Wyszukała wśród grona pedagogów mężczyznę o najbardziej nijakiej powierzchowności i powiedziała sobie: to musi być König. Później okazało się, że rzeczywiście trafiła. König siedział tuż przed stołem Pańskim z brzegu ławki. Ten mocno posiwiały mężczyzna nosił okulary i miał źle skrojoną marynarkę. Był wysoki, górował nad wszystkimi wzrostem, bary również miał szerokie, ale trzymał się pochyło, jakby był garbaty.

O, nasz słodki pocieszycielu... Któraż to znowu pieśń? Sześćdziesiąta trzecia, trzeba cofnąć się o kilka stron... bądź naszym łaskawym obrońcą, abyśmy szli twoimi drogami i nie załamywali się w naszej walce.....Znowu walka!” – myślała Gina, ale już wszyscy

powstali do końcowej modlitwy i przy *Ojcze nasz* oraz błogosławieństwie nie śmiała nigdzie patrzeć i jak inni spuściła głowę. Po „amen” zrobiła krok, chcąc wyjść z ławki, ale natychmiast cofnęła nogę, jakby się pośliznęła, jeszcze w porę zdążyła zauważyć, że wszyscy nadal stoją nieruchomo ze złożonymi dłońmi. Nawet pierwszoklasistki. Widać i one wiedziały to, czego ona nie wiedziała – że po nabożeństwie wypada jeszcze trochę pomodlić się samemu.

Kiedy wreszcie ruszyły do domu, Zuzanna zbliżyła się do Giny. Powiedziała, że zauważyła, jak Gina z całego serca brała udział w nabożeństwie, jak uważnie słuchała kazania i wzdychała z głębi duszy. „Dziękuję ci!” – dodała z całą powagą Zuzanna. Gina patrzyła na nią w osłupieniu, po czym zaczerwieniła się. Upokorzyła ją świadomość, że – wprawdzie nieświadomie – ale oszukała diakonisę. Ginę od dziecka przyzwyczajono do mówienia prawdy, a przy tym nie była tchórzem. Już otwierała usta, aby wyznać, że nie zasługuje na pochwałę, ale Zuzanna w tym momencie zostawiła ją i szybko poszła do przodu. Mari Kis, która oczywiście wszystko słyszała, syknęła do niej: „Czyś ty zwariowała, chyba nie masz zamiaru zaprzeczyć? Zuzanna rozchoruje się ze zmartwienia, jeśli dowie się, żeś Bóg wie o czym myślała”.

Rozmowy były zakazane, ale zarówno diakonisa, jak i Kalmár szli nieco w tyle za nimi, więc Torma poinformowała ją szeptem, co teraz będzie. Wrócą na

pensję, po czym pójdą do swoich klas. Po kwadransie, jak już zajmą swoje miejsca – na razie według starego porządku, więc Gina może siedzieć na dawnym miejscu Edyty, to znaczy między Mari Kis i Tormą, dopóki później wychowawca nie zarządzi inaczej – zjawi się Kalmár, poda im rozkład lekcji i rozdzieli pomoce naukowe. Ów kwadrans potrzebny jest po to, by dziewczęta wprawiały się w cichym zachowaniu i tym samym udowodniły, że jako wyznawczynie kalwinizmu potrafią się godnie zachować i milczeć nawet pod nieobecność wychowawcy. W tym czasie na całej pensji panuje grobowa cisza, a dyrektor i wykładowcy nawet nie przeczuwają, że w owym kwadransie, kiedy to uczennice powinny doskonalić swą postawę moralną, odbywa się obrzęd zamążpójścia, począwszy od trzeciej klasy wzwyż. Pierwszo – i drugoklasistki nie biorą w tym udziału. Uczennice dwóch najniższych klas są jeszcze zbyt gapiowate, z założonymi do tyłu rękami oczekują grzecznie na przyjscie wychowawcy. To jeszcze smarkule.

Kiedy dotarły do pensji, również Ginie udzielił się dobry humor koleżanek. Nie traktowała tej zabawy poważnie jak Torma czy Mari Kis, ponieważ – mając tak inne doświadczenia i wspomnienia – o miłości i małżeństwie myślała zupełnie inaczej, niemniej było to całkiem zabawne należeć do kogoś lub czegoś ot tak, dla rozrywki, ale przez cały rok. Po schodach wchodziły powoli, bo na podestach stali dyżurni nauczyciele i

obserwowali uczennice. Właściwie w dawnej szkole Giny było podobnie, ale jednak jakoś inaczej, ich wychowawcy rozmawiali lub czytali w czasie dyżuru i nie robili wielkiej tragedii, jeśli powrót do szkoły odbywał się nieco szybciej lub hałaśliwiej. Tutaj nikt nie mógł głośniej odetchnąć, nawet stopy musiały stawiać tak ostrożnie, jakby były na lekcji tańca, dyżurujący nauczyciel zaraz bowiem zwracał uwagę, żeby nie szurały, żeby nie stapały głośno. Ich klasa znajdowała się blisko pokoju nauczycielskiego. Gina znów niepomierne się zdumiała: klasa miała tak wszechstronne i bogate wyposażenie, że wielokrotnie przewyższała pod tym względem sale w jej dawnej szkole. Właściwie to nie była taka zwykła klasa, lecz raczej jakieś audytorium. Począwszy od katedry, aż do przeciwległej ściany podłoga wznosiła się amfiteatralnie, co dwa stopnie znajdowały się półkolem ustawione ławki, do których dojście ułatwiały dwa węższe wejścia schodami po bokach i jedno szersze pośrodku. Na ścianach wisiały tuż obok siebie oprawione w ramy reprodukcje obrazów i portrety, w najwyższym punkcie sali, za ostatnim rzędem ławek, stał aparat projekcyjny. „Tutaj niestety nie można ściągać – pomyślała Gina – za to z każdego miejsca świetnie widać tablicę. Zabawne, że lekcje prowadzi się tu za pomocą filmów oświatowych”.

Torma posadziła ją między sobą a Mari Kis w czwartym rzędzie z brzegu. Nikt nic nie wyjaśniał. Kiedy się usadowiły, jakaś tęga dziewczyna zdjęła zawieszony z

boku drzwi spis inwentaryzacyjny (to Szabó – poinformowała Torma – Anikó Szabó), a szczupła czarnulka (Murai – wyjaśniła Mari Kis) zaczęła czytać nazwiska z listy. Każde nazwisko wymawiała powoli, wyraźnie i robiła przerwę, Szabó zaś odczytywała wówczas jakąś nazwę ze spisu.

- Ari.
- Pasteur.
- Bánki.
- Zeus.
- Bartoa.
- Homer.
- Cziller.
- István Bocskai³.
- Dudás.
- Cesarz Józef II.
- Gáti.
- Rodin.
- Jackó.
- Jan Sebastian Bach.
- Kis.
- *Grupa Laokoona.*
- Kovács.
- Mendelejew.
- Lengyel.
- Galileusz.
- Murai.
- Szekspir.

- Nacák.
- Goethe.
- Oláh.
- Anonimowy pisarz króla Béli.
- Rideg.
- *Dawid Michała Anioła.*
- Salm.
- Biskup Matula.
- Szabó.
- Friedrich August Quenstedt.
- Tatar.
- Płaszcz króla Stefana i...
- Torma.
- Via Appia.
- Vajda.
- Wielki graduał.
- No, gotowe.
- Nie, nie gotowe – sprzeciwiła się Mari Kis. – Skądże, przecież doszła jeszcze Vitay!
- Rzeczywiście. – Szabó zajrzała znów do wykazu. – Numer dwudziesty: puste terrarium.

No nie, tego jednak za wiele. Początkowo wszystko było zabawne, nawet zabawniejsze, niż myślała: Torma ma za męża Via Appia, po której to ulicy Gina spacerowała z Marchelle, kiedy były w Rzymie. I nagle pojawiło się wspomnienie o tym, jak minąwszy Porta Sebastiana, szła ze swoją francuską wychowawczynią w stronę odległego grobowca Cecylii Metelli. Równie

śmieszne było, że małżonkiem Mari Kis jest nie jedna osoba, lecz trzy, ponieważ *Grupa Laokoona* składa się z trzech postaci, a nawet czterech, bo przecież jest tam i wąż. Rozśmieszyło je to prawie do łez. Pokładały się na ławkach, wprost dusząc się od tłumionego śmiechu. Głośno oczywiście nie miały odwagi się śmiać, ale ta siłą hamowana wesołość sprawiała, że atmosfera w klasie była jeszcze bardziej napięta, wyglądało to tak, jakby dziewczęta się upiły. Mężem Rideg została głowa, bo wisząca na ścianie reprodukcja ukazywała jedynie głowę *Dawida* Michała Anioła i można było umrzeć ze śmiechu z powodu tego wyjątkowego pecha, że czyjś mąż ma tylko głowę i szyję. Ale kiedy Szabó odczytała męża Giny, natychmiast prysnął jej dobry humor. Tak jak świetnie by się bawiła, gdyby puste terrarium przypadło za małżonka którejś koleżance, tak teraz poczuła się dotknięta i natychmiast się sprzeciwiła. Wstała z miejsca i zażądała, aby jej przydzielono innego męża, ona nie chce pustego terrarium, ona nie będzie brała udziału w takich idiotycznych zabawach.

– To niemożliwe – szepnęła Szabó spokojnie, tonem wyjaśniającym – nie można mężów wybierać ani zamieniać, takie są reguły gry. Ty jesteś na liście dwudziesta i to ci przypadło w udziale. Nic na to nie poradzę.

– To już takie prawo – szepnęła Murai.

– Prawo, też coś! – Gina wzruszyła ramionami. Odpowiedziała, że to nie prawo, ale idiotyzm. Jeśli nie

dostanie innego męża, nie będzie brała udziału w zabawie, wycofa się.

– Nie możesz się wycofać – tłumaczyła szeptem Szabó. – To niemożliwe. Każda w klasie musi wyjść za mąż, to tutaj taki zwyczaj. Może uważasz, że mnie przypadło coś lepszego? Jakiś Friedrich August Quenstedt? Nawet nie wiem, kto to jest.

– Nie chcę terrarium – upierała się Gina. – Nie bawię się. Czy tego nie rozumiecie?

– No, no – Mari Kis pokręciła głową. – Dlaczego wydziwiasz? To jest jedna z najważniejszych tradycji od czasu, kiedy Mici Horn wyszła za mąż i, wierz mi, bardzo zabawna. Skoro terrarium, to terrarium. Takiej upartej dziewczyny jeszcze nie widziałam.

Mari Kis mogła tylko szeptać, więc choćby dlatego ton jej głosu nie mógł być ani ostry, ani pouczający. A jednak rozzłościła Ginę. Jeśli więc dotąd nie widziały takiej dziewczyny jak ona, to zobaczą, wszystkie razem. Gina była z natury porywcza, Marchelle często ją za to karciała. I teraz więc sprzeciw tak na nią podziałał, że nie zastanawiała się zupełnie, co mówi.

– Niczego się nie podejmuję i w niczym nie wezmę udziału! Wcale mnie nie interesują wasze idiotyczne zwyczaje. Ja mam prawdziwego mężczyznę za adoratora!

– Jakże on cię adoruje – zauważyła cicho Torma – jakże może cię adorować, skoro jesteś tutaj zamknięta razem z nami?! Nie złość się tak! Dlaczego się nie śmiejesz?

Teraz Gina zapomniała już o tym że muszą być cicho, i na cały głos krzyknęła, że ona może się śmiać tylko z czegoś sensownego, a tutaj wszystkie przypominają idiotki. Ona do czegoś takiego nie przywykła, jej koleżanki w Peszcie to normalne dziewczyny. Adoratorzy również. (Adoratora dotychczas miała co prawda tylko jednego, ale dla lepszego wrażenia użyła liczby mnogiej).

W tym momencie klasa nagle przycichła i Gina powinna się była zreflektować, że taka cisza, nawet na tutejszej pensji, nie jest normalna. Ale już na nic nie zwracała uwagi, tak była zaperzona, tak przejęta gniewem. Najchętniej zerwałaby z warkoczy tasiemki i rzuciła się na obitą żelazem bramę, tłukąc w nią pięścią, aby ją natychmiast stąd wypuszczono.

– No dobrze – szepnęła Szabó. – Dobrze, jeśli tego sama chce. Nie ma takiego zwyczaju, ale niech tak będzie. Vitay nie będzie brać udziału w naszej zabawie. Vitay nie ma męża. Jest starą panną.

Gina myślała, że wściekłość ją rozsadzi. Tysiąc razy przeżywała w myślach swój przyszły ślub. Zmierzyła wzrokiem Szabó, jej krótkie grube nogi, niezgrabną figurę, która prawie wylewała się z brzydkiego fartucha.

– Ty będziesz starą panną! – krzyknęła i nie zauważyła, że spojrzenia dziewcząt odwróciły się od niej, że klasa patrzy już gdzie indziej, że coś zauważono. – Któż by cię wziął za żonę, takie grube monstrum? Kto by cię chciał pocałować?

Szabó nie zaczerwieniła się, zbladła. Gina poczuła, że tego nie powinna była powiedzieć. Szabó rzeczywiście była chorobliwie tęga. Nic nie odpowiedziała Ginie, bo klasa nagle powstała z miejsc. Gina się odwróciła. W progu stał Kalmár i patrzył na nie.

– Co to za ton? – zapytał. – Kto ośmiela się tutaj krzyczeć? Kim pani jest?

Klasa stanęła na baczność. Teraz przydałoby się, żeby ktoś jej pomógł, obronił ją, czy chociażby udzielił wyjaśnień. Ale klasa milczała, dziewczęta niemo gapiły się na Kalmára i tak jak Gina je odepchnęła, nie chcąc uczestniczyć w ich zabawie, tak teraz one nie spieszyły się jej bronić.

– Kim pani jest? – powtórzył pytanie Kalmár. – Pierwszy raz panią tu widzę.

– Georgina Vitay – wyszeptała.

– Wrzeszczy pani podczas kwadransa ciszy, i to w dodatku takie słowa?

– To nowa uczennica – wyjaśniła cicho Torma.

Serce Giny przepełniła wdzięczność.

– Pięknie nam się pani zaprezentowała, nie można powiedzieć. A Szabó i Murai czego szukają na katedrze i do czego im potrzebny spis inwentaryzacyjny?

Po Szabó i Murai nie było już śladu, wchłonęła je i broniła społeczność klasy. Kalmár usiadł przy stole profesorskim i bez najmniejszych oznak zdenerwowania, jak ktoś, kto nie uważa za stosowne, aby na samym początku roku szkolnego przywiązywać zbyt wielką wagę

do tego nieprzyjemnego incydentu, cicho i prawie obojętnie powiedział:

– Ta, która krzyczała, niech wyjdzie z klasy.

Nie musiał tego dwa razy powtarzać. Gina wyskoczyła jak z procy. Drżała, jakby miała gorączkę. Teraz żywiła nienawiść do wszystkiego, co było w tej nowej szkole, i to tak gwałtowną, o jaką nigdy by siebie nie podejrzewała. Rozpłakała się i oparła o ścianę. Łkała brzydko, z wściekłością i rękami rozmazywała łzy, a nie mogła otrzeć twarzy chusteczką, bo torba została w klasie.

Początkowo nie zauważyła, że ktoś coś do niej mówi. Dopóki ten ktoś jej nie dotknął, nie miała pojęcia, że stoi obok niej. Uniosła wzrok. Był to König.

– Co się stało, moje dziecko? – zapytał. – Co się z panią dzieje?

Może ma to wyjaśnić temu, który pozwala, żeby mu z kapelusza bezkarnie skradziono monogram? Nie odezwała się, tylko odsunęła dalej i jeszcze głośniejsze zaczęła płakać, jak ktoś, kto nie potrafi się już opanować.

– Co tu się dzieje? – zainteresował się jakiś drugi głos. To był godniejszy przeciwnik, czarna przysadzista postać, kamienna twarz: dyrektor.

– Dlaczego Georgina Vitay jest na korytarzu? – chciał się dowiedzieć Gedeon Torma.

– Sądzę, że zrobiło jej się niedobrze – natychmiast odpowiedział König. – Biedaczka źle się czuje.

No, tego już za wiele, niech on nie próbuje jej bronić.

Gina wyprostowała się i powiedziała, że ją wyrzucono.

– Wyrzucono? Na pierwszej lekcji? I za cóż to, jeśli można wiedzieć?

Tylko przez chwilę się wahała, a potem wykrzyknęła dyrektorowi w twarz, że dlatego iż nie chciała, aby jej mężem było jakieś tam terrarium. Wiedziała, że miny, jaką dyrektor w tym momencie zrobił, nie zapomni do końca życia.

– Bawią się – wyjaśnił nieproszony König. – Są jeszcze młode. Dzieci. Takie dziewczęta często się bawią w zamążpójście.

– To nadzwyczaj ciekawe – odezwał się dyrektor – tylko jakoś nie widzę związku w tym wszystkim. Jak można było się bawić podczas kwadransa ciszy? I co za brednie tu opowiada? Co j est z tym terrarium? Niech pani tak na mnie nie patrzy! Proszę odpowiadać!

– W czasie kwadransa ciszy cała klasa wychodzi za mąż – wyszeptała Gina.

Oczy Königa drgnęły za grubymi okularami i dopiero wtedy Gina uprzytomniła sobie, że to była jedna jedyna rzecz, której nie powinna była powiedzieć. Zdradziła tajemnicę matulanek, tradycję wprowadzoną przez Mici Horn, o której nauczyciele nic nie wiedzieli. Pożałowała tego tylko przez ułamek sekundy. Zresztą i tak było już wszystko jedno, te dziewczęta, które chciały zmusić ją do poślubienia terrarium, naprawdę nie zasługiwały na to, aby je kryć.

– Coś takiego! – Dyrektor pokręcił głową i otworzył

drzwi do gabinetu. – Niechże usłyszę wszystko od początku. Jednym słowem piąta klasa zawarła małżeństwo w pół godziny po nabożeństwie inauguracyjnym rok szkolny. No, chodźmy, Vitay.

Pchnął szeroko drzwi i wszedł pierwszy. Gina za nim. König też chciał iść za nimi, ale dyrektor powiedział, że sam chciałby porozmawiać z Vitay, więc tylko grzecznie zamknął drzwi.

6

Wyklęta

Kiedy szczegółowo opowiedziała, co ją tak wzburzyło, nie czuła już gniewu, tylko rozpacz. Nie rozumiała, jak to wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatniej pół godziny, mogło się w ogóle stać. Że też taki drobiazg, taki błahy żart wyprowadził ją z równowagi. Biedna Szabó, biedna mała grubaska. Jak miała sumienie ją obrazić? Obraziła zresztą wszystkie dziewczęta. A przecież od razu przyjęły ją do swego grona i podzieliły się z nią tym wszystkim, co może uczynić życie w tych surowych murach łżejszym: swoimi gramami i żartami, swoim naiwnym humorem. Co za idiotyczna дума podszeptała jej, żeby odrzuciła terrarium? Postanowiła, że gdy tylko jakoś wybrnie z tej sprawy, z całego serca przeprosi Szabó i wszystkie dziewczęta.

Kiedy skończyła mówić, dyrektor milczał chwilę, a potem powiedział, że z powodu jej haniebnego zachowania w klasie – za co trzeba było ją wyprosić z sali – przez dwa tygodnie zabrania się jej opuszczać pensję, może tylko spacerować po ogrodzie, nie wolno jej z innymi wyjść na miasto. A jak ukarać piątą klasę, nie ma na razie pojęcia, ponieważ to, o czym teraz usłyszał, jest tak dalece oburzające, nikczemne i podłe, i tak niegodne wychowanek pensji, ich chrześcijańskiej moralności, że

chyba trzeba będzie zebrać w tej sprawie całe grono pedagogiczne, ewentualnie nawet władze nadzorcze. Tymczasem niech natychmiast wraca do klasy, aby on mógł zaraz wszcząć śledztwo.

König ciągle jeszcze czekał na korytarzu, dyrektor nawet go nie zauważył. Ginie aż słabo się zrobiło od samooskarżeń. Żeby się była opamiętała, żeby choć klasy nie wmieszała w to wszystko, żeby w porę zamilkła! Ale było za późno! Jak to jej się już wiele razy zdarzało, teraz także działała zbyt szybko, bez zastanowienia.

Klasa znieruchomiała na baczność, kiedy weszli do sali. Gina nie śmiała wrócić na miejsce, bo przecież dopiero co ją wyproszone z lekcji, została więc przy drzwiach niczym smętny gość. Kalmár pospieszył na spotkanie dyrektora i skłonił się głęboko przy podawaniu ręki. Na Ginę ledwo spojrzał. Zabolalo ją to.

– Słyszę, że się wydajemy za mąż – powiedział dyrektor. – Jedne za to, inne za owo. Chciałbym zobaczyć spis inwentaryzacyjny, aby się dowiedzieć, jakie są te szczęśliwe przedmioty, które pojęły za żony uczennice piątej klasy.

Spis ciągle jeszcze leżał na katedrze, gdzie go zostawiła Szabó. Kalmár, nic nie rozumiejąc, podniósł go. Kiedy zaś dyrektor powtórzył wszystko, co usłyszał od Giny, Kalmár spuścił oczy jak ktoś, kto nie chce lub nie śmie patrzeć na klasę. Spojrzenie dyrektora przebiegło po spisie i teraz Gina miała okazję przekonać się – o czym tyle razy wspominała Torma – jak się zmienia, kiedy

zaczyna krzyczeć. Ze wzburzenia wołał wprost nieludzkim głosem, że pogańscy bogowie i pobożni biskupi, dawno zmarli niemieccy uczeni i poeci oraz włoskie zabytki zawarły związki małżeńskie z jego starannie wychowywanymi uczennicami. Dziewczęta spuściły wzrok na ławki, Gina dopiero później się dowiedziała, że tak je przyzwyczajono, ponieważ ten, kogo się ruga, nie może podnieść wzroku z powodu poczucia winy i pokory. Potem jednak spośród spuszczonej głów niby z głębokiej wody wyłoniła się jedna – szczupła, mądra twarzączka Mari Kis. Dziewczynka podniosła głowę, spojrzała na dyrektora i wyciągnęła rękę, prosząc o głos. Była to tak niesłychana zuchwałość, że dyrektor zamilkł. Mari wstała i oznajmiła, że proszą dyrekcję szkoły o wybaczenie i pana wychowawcę również, lecz to, co opowiedziała Georgina Vitay, zostało mylnie zinterpretowane. Ani im w głowie w tak niegodny sposób bawić się wymienionymi w spisie wybitnymi postaciami, a tym bardziej przedmiotami, chciały tylko trochę rozśmieszyć Georginę Vitay i takimi różnymi głupstwami rozproszyć smutek nowej koleżanki. Ona, Mari Kis, teraz już wie, że nawet mając na uwadze dobry cel, nie trzeba było wprowadzać w błąd Georginy Vitay, gdyż tym samym naraziły na szwank dobre imię szkoły. Ona naprawdę chciała dobrze i z całego serca żałuje, że tak się to skończyło. Również Murai i Anikó Szabó wtajemniczyła w ten żart i prosiła, aby jej pomogły. Reszta natomiast nic o tym nie wiedziała. Nie

ma tu mowy o żadnej tradycji, jakżeby zresztą mogło tak być. Niestety, Vitay nie poznała się na ich żarcie, nie śmiała się, lecz rozzłościła, za co ona, Mari Kis, prosi o wybaczenie.

Na twarzy dyrektora odmalowało się uczucie ulgi. Głupi dziecinny żart łatwiejszy był do zniesienia niż to, co usłyszał od nowej uczennicy – że na jego pensji panuje jakiś bezbożny zwyczaj, i to od pierwszej wojny światowej. Oznajmił Mari Kis, że z powodu ich niesmacznego żartu, naruszającego dobre imię pensji, zabrania jej na dwa tygodnie uczestniczenia we wspólnych spacerach po mieście, a ponieważ Szabó i Murai tak chętnie jej pomagały w realizacji tego niedorzecznego pomysłu, to niech jej towarzyszą w odbywaniu kary i nie rozstają się ze swą wierną przyjaciółką. A poza tym dobrze byłoby, aby Mari Kis uważała, bo wiele jest chętnych do zajęcia jej prawie bezpłatnego miejsca na pensji. Jeszcze jeden taki nieodpowiedzialny żart i straci zniżkę w opłatach za naukę. Klasa, znów stojąc na baczność, patrzyła za nim, dopóki nie zniknął za drzwiami.

Kalmár skinął Ginie, aby wróciła na miejsce. Kiedy usiadła między Tormą a Mari Kis, serce jej łomotało. Natychmiast chciała im coś powiedzieć, ale nie miała możliwości, bo Kalmár zaczął rozdzielać podręczniki, zeszyty i przybory do pisania. Dopóki ich nie otrzymały i nie poukładały, nie było mowy o rozmawianiu. Odezwać się mogła dopiero wtedy, kiedy był koniec lekcji i kiedy

po ustawieniu się trój – kami przeszły do świetlicy. Najpierw szepnęła Mari Kis, żeby się na nią nie gniewała, na co ta odpowiedziała, że się nie gniewa, i odeszła. Przeprosiła również Murai i Szabó. Każda z nich zapewniała ją, że nie ma zamiaru się gniewać. Ginę ogarnęło uczucie wdzięczności. „Jakie porządne są te dziewczęta” – stwierdziła w duchu. I dopiero po pewnym czasie pojęła, że „nie gniewam się” oznacza: „Nie znam cię. Nie należysz do nas, nie liczysz się. Przestałaś dla nas istnieć. Jesteś nikim”.

Do niedawna Gina była oczkiem w głowie zarówno ojca, jak i ciotki Mimó. W dawnej klasie, jeśli nawet nie była pierwsza, to jednak uważano ją za dobrą uczennicę, chwalono, liczono się z nią i była lubiana. A teraz znalazła się zupełnie samotna w tym surowym świecie. Nie było nikogo, kto by jej robił wyrzuty, ale nie było też nikogo, kto by jej pomógł. Nie należała do nich. Obcym oczom postawa klasy nic nie zdradzała. Podczas obiadu grzecznie podawano jej sól lub koszyk z chlebem, kiedy zauważono, że tego akurat potrzebuje, ale gdy piąta klasa zostawała sama, Gina czuła, że szklana przegroda oddziela ją od reszty dziewcząt. Jeszcze przez pewien czas starała się udobruchać koleżanki, po czym zamilkła, oglądała podręczniki i pocieszała się, że może później się opamiętają. Sytuacja, w jakiej się znalazła, jest tak absurdalna, że nie może trwać długo. Gniewała się już przecież i z innymi koleżankami i jak długo to trwało? Chwilę. Trochę się na siebie boczyły, nie odzywały, po

czym w jakimś momencie któraś się roześmiała i wszystko było w porządku. Ale w miarę jak mijały godziny, zaczęła ogarniać ją panika. O jednym bowiem zapomniała:

o przerażającym zdyscyplinowaniu matulanek. Od kilku lat uczono je milczeć i nie są one takie jak inne dziewczęta. „Pensja Matuli jest jedną z najpierwszych w kraju!” – przypomniała sobie słowa Mari Kis i na myśl, że będzie musiała żyć wśród nich tak straszliwie samotna, napłynęły jej do oczu łzy bezradności.

O piątej po południu była zbiórka i dziewczęta szykowały się do spaceru. Zuzanna wiedziała już, że one cztery zostają. Odbyła z Mari Kis długą rozmowę. Dziewczyna słuchała jej ze spuszczoną głową, nie broniła się, tylko czasami drgały jej usta. Po czym klasa ruszyła, znów w tych strasznych kapeluszach, z torbami na ramieniu, jak jakiś rój granatowych owadów, a Mari Kis, Szabó i Murai zostały w ogrodzie. Rozmawiały i nawet się śmiały. Początkowo Gina wlokła się za nimi, później próbowała do nich dołączyć. Nie powiedziały, żeby sobie poszła, tylko przestały rozmawiać, natychmiast narysowały klasy na szerokiej alejce w ogrodzie i rozpoczęły jakąś skomplikowaną grę, której Gina nie знаła. Nikt jej nie zaprosił do zabawy, więc przez pewien czas tylko przyglądała się, jak pozostała trójka skacze z zapamiętaniem, po czym odwróciła się i zaczęła samotnie spacerować.

Teraz, kiedy w pokoju siedział tylko dyżurujący

nauczyciel i przez otwarte okno rzucał od czasu do czasu kontrolujące spojrzenie w ich kierunku, twierdza wydawała się nieprawdopodobnie wymarła. A Gina szła alejkami, czasami dotykała jakiegoś kwiatka i próbowała sobie wmówić, że właściwie wcale jej nie boli to, co się stało. Wałęsała się bez celu to tu, to tam, zaglądała przez otwarte okna i przez oddzielającą wewnętrzną korytarz kratę, o której wczoraj (wczoraj? dziesięć, sto lat temu, a może nigdy) Torma mówiła, że zawsze jest zamknięta, ponieważ za nią znajdują się mieszkania nauczycieli. Mieszkają tam samotni nauczyciele i dyrektor, diakonisy natomiast mają pokoje obok dziewcząt. Przycisnęła twarz do dwóch prętów żelaznych i patrzyła, lecz nie dostrzegła nikogo. Co w takim czasie mogą robić nauczyciele? Ci, którzy nie mają dyżuru, z pewnością wyszli do miasta, tam jest wszystko: kino, teatr, znajomi. Nauczyciele nie muszą stale siedzieć w twierdzy. Odwróciła się plecami do kraty i zobaczyła naprzeciwko siebie Abigél. Wszystko w niej zawrzało, nie mogła wprost patrzeć na ten uśmiechnięty posąg, na tę czyniącą cuda dziewczynę z dzbanem. Tradycje Mici Horn! Oby nigdy nie istniała ta Mici Horn!

Kiedy usłyszała ruch przy bramie, oznaczający, że już wracają te wszystkie szczęśliwe dziewczęta, które były w mieście, co tchu pobiegła na ich spotkanie. Mari Kis, Murai milczą, Szabó również, ale może pozostałym już przeszła złość, może znajdzie się jakaś życzliwa dusza, która pożałuje jej, że stoi tak przed nimi z nadzieją

w sercu, może któraś odezwie się w końcu do niej, może jej wybaczy. Ale nawet spojrzenie Tormy prześliznęło się nad nią i tylko Zuzanna poprawiła tasiemkę w jej warkoczu i zapytała, jak minęło popołudnie.

– Dobrze – odpowiedziała Gina i poczuła ogromną gorycz.

Podczas kolacji starała się słuchać uważnie tekstu odczytywanego w staroświeckim języku. Opisywał on kształtowanie się charakteru pewnej dziewczyny, sieroty o szlachetnym sercu, która w 1827 roku żyła w Genewie. Nie potrafiła się jednak skupić. Patrzyła na nieme twarze swoich koleżanek i przyszło jej do głowy, że gdyby przyjęła wyznaczonego sobie małżonka, miałyby przynajmniej terrarium, o którym by mogła myśleć, i nie byłaby tak straszliwie samotna.

Kiedy położyły się spać, nasłuchiwała, o czym szepczą w ciemności pozostałe dziewczęta. Rozmawiały o dyrektorze, o Kalmárze, czy kiedyś się ożeni, i o tym, że udało im się zdobyć całkiem pewne dane o wieku diakonisy: Zuzanna pomimo dziewczęcej sylwetki skończyła już trzydzieści lat. Była również mowa o nowych podręcznikach i o jakiejś wycieczce, która co roku odbywała się jesienią, ale teraz nie wiadomo, czy będzie. Podczas spaceru Zuzanna wbrew zwyczajowi odezwała się i powiedziała, żeby raczej na to nie liczyły, bo biskup jeszcze nie zdecydował, czy zezwoli na wycieczkę w taki niespokojny, wojenny czas. A byłoby tak cudownie znaleźć się wśród winnic, gdzie mogą się

zachowywać nieco swobodniej niż zawsze. Rozmawiały o wszystkim, tylko nie o spisie inwentaryzacyjnym i o niej. Gina dla nich nie istniała, nigdy jej nie było, nigdy jej nie widziały. Noc była ponura i ciężka jak sama kara.

Ale i w dzień nie było jej lżej. Pierwsza lekcja była lekcją wychowawczą, a właściwie lekcją historii, lecz wypełniły ją różne inne sprawy. Mari Kis poprosiła o pozwolenie, by przesiąść się bliżej, ma wrażenie, że psuje jej się wzrok, również Torma wstała, mówiąc, że widać przez wakacje została dalekowidzem, ponieważ z ostatnich rzędów lepiej widzi tablicę. Kalmár zrobił dla Zuzanny notatkę w dzienniku klasowym, że należy obydwie dziewczynki skierować na badanie lekarskie, a tymczasem przesadził jedną do bliższego rzędu, a drugą do dalszego. „Nie zauważyła – myślała Gina, cała czerwona ze wstydu – że one po prostu nie chcą siedzieć obok mnie”.

Następna lekcja z profesorką Gigus była już normalna i minęła szybciej, ponieważ nauczycielka zajmowała się głównie Giną. Chciała wy badać, w jakim stopniu nowa uczennica zna niemiecki. Z tym nie było kłopotu, Marchelle była bowiem Alzatką i jednakowo dobrze mówiła po francusku i po niemiecku. Klasa reagowała na ich dialog tak, jakby była głucha, a przecież Gina starała się, żeby mówić nie tylko bezbłędnie, ale i wyszukanie. Nie było jednak komu imponować, piątoklasistki ze znudzonymi minami patrzyły na tablicę. Nauczycielka pochwaliła ją, po czym wezwała do

odpowiedzi Szabó. Gina natychmiast zauważyła, że Szabó nie ma talentu do języków. Przepytywano ją z ubiegłorocznego materiału, lecz mówiła z węgierskim akcentem i stale się myliła w odmianie rodzajnika. W swojej dawnej szkole Gina chętnie wszystkim pomagała i teraz też łamała sobie głowę, czy zaproponować Szabó pomoc w opanowaniu języków. Nie śmiała jednak tego uczynić, wiedząc już z góry, że Szabó się nie zgodzi. Później, jak może trochę ochłoną ze swego gniewu, wspomni o tym.

Ale na razie klasa nie chciała ochłonąć. Ginie przyszło na myśl, że nareszcie mają zabawę, która nie pochodzi od Mici Horn: cała piąta klasa zabawia się wynajdywaniem sposobów, jak wykluczyć ją ze swego grona, aby otoczenie tego nie zauważyło. Najtrudniej było z tym na lekcji gimnastyki, ponieważ często musiały wykonywać ćwiczenia parami. Ale i z tym dały sobie radę. Bánki, stała partnerka Giny na lekcji gimnastyki, wolała udawać przed nauczycielką, Gertrudą Truth, że źle stanęła lub uderzyła się w nogę, byle tylko nie ćwiczyć z Giną. Jeśli zaś nie było żadnego pretekstu, po prostu w czasie ćwiczenia zrzucała ją z pleców lub puszczała jej rękę. Gdyby Gina nie była tak zręczna i wysportowana, mogłaby się przy takich upadkach solidnie potłuc.

W miarę jak mijały dni, walka stawała się coraz bardziej zacięta. Gina poznała już wszystkich profesorów i nawet ich polubiła z wyjątkiem Königa. Dużo się uczyła, więcej niż kiedykolwiek w życiu, aby

przynajmniej od nauczycieli usłyszeć dobre słowo. Nigdy jeszcze pochwały nie cieszyły jej tak jak w tym okresie życia. Dlaczego właściwie stroniła od Königa, nie potrafiłaby wyjaśnić. Z pewnością wpłynęło na nią to, co na początku – kiedy jeszcze ze sobą rozmawiały – usłyszała od dziewcząt. Pensja Matuli przywykła do żelaznej ręki. König był łagodny i nie stawiał nigdy złych stopni. Jeśli któraś rozplakała się na lekcji z powodu oceny niedostatecznej, gotów był nazajutrz wezwać ją do odpowiedzi poprawkowej. I jakkolwiek dziewczęta narzekały, że są krótko trzymane, to jednak surowa dyscyplina tak bardzo weszła im w krew, że jeśli ktoś trochę popuścił im cugli i nie był w stosunku do nich tak wymagający jak pozostali, to go wyśmiewały. Z Königa czasem nawet stroiły sobie żarty, potrafiły schować mu okulary, a potem udawały, że ich pilnie szukają. König stał na katedrze, chwalił dziewczęta, że są takie uważne, dobre i grzeczne, a tymczasem piątoklasistki, tłumiąc śmiech, pod ławką podawały sobie z ręki do ręki jego grube szkła. Nigdy jednak nie trafiły one do Giny. „Boją się, że mu je zwrócę” – myślała z goryczą.

Rok szkolny zaczął się w poniedziałek i do soboty, dnia, w którym otrzymywano pocztę, sytuacja się nie zmieniła. Jednakże ostatnie dni tygodnia były nieco lżejsze, ponieważ Gina wiedziała, że w sobotę po południu usłyszy głos ojca i kiedy zgłosi się Budapeszt, będzie mogła się w końcu wyzalić. Ojciec da jej chyba jakąś radę, powie, co ma robić, aby jej sytuacja uległa

poprawie. Ojciec zawsze potrafił znaleźć jakieś dobre rozwiązanie, niemożliwe, aby teraz nic nie wymyślił. Z pewnością się zmartwi, kiedy zaraz na początku powie mu, jak bardzo jest samotna tu, na pensji. Ale nie może tego przed nim zataić, bo kto wie, jak długo potrwa jeszcze ten bojkot, którego w końcu nie będzie już mogła wytrzymać.

W sobotę, kiedy klasa wróciła z popołudniowego spaceru, wszystkie uczennice musiały pójść do świetlicy, gdzie Zuzanna rozdzieliła papier listowy. Każda oprócz Giny dostała po jednym arkusiku. Diakonisa wysłała ją do sali muzycznej, aby do chwili, kiedy zadzwoni jej ojciec, ćwiczyła psalmy, niech nie siedzi beczynn timer.

Kiedy już w wieku dojrzałym przypominały jej się owe pieśni religijne śpiewane w dzieciństwie, nigdy nie jawiły się same, ich melodiom towarzyszyły zapachy i szmery, a szczególnie wiecznie unoszący się w korytarzu pensji zapach domowego mydła oraz odgłosy cichego otwierania i zamykania drzwi. Widziała nerwowy ruch swoich palców po klawiszach i siebie w owym czasie, pozornie wpatrzoną w tekst, którego musi się nauczyć, a właściwie zajęta czym innym. Cała jej istota, cała świadomość stanowi teraz jedno ogromne ucho, które w napięciu nasłuchuje, kiedy wreszcie w pobliżu odezwie się przerywany sygnał międzymiastowej. Długo musiała czekać, już nawet zadźwięczał dzwonek wzywający dyżurne, aby zaczęły nakrywać do kolacji, aż w końcu przyszła Zuzanna, mówiąc, żeby Gina szła szybko, bo

dzwoni ojciec. Opuściła klawisz fortepianu i już biegła. Widząc, że diakonisa kieruje się w stronę klas i gabinetu, ucieszyła się jeszcze bardziej. Ojciec z pewnością zadzwonił na numer telefonu dyrektora i dzięki temu przynajmniej podczas całej rozmowy będzie z daleka od dziewcząt.

Zuzanna zatrzymała ją przy drzwiach gabinetu. Gina przystanęła, ale ledwo mogła ukryć zniecierpliwienie. Niech ją Zuzanna zostawi w spokoju, przecież od samego poniedziałku nie miała okazji z nikim normalnie rozmawiać na tej okropnej pensji, niech jej tu teraz nic nie wyjaśnia, kiedy na drugim końcu linii czeka nareszcie jej ojciec.

– Georgina – odezwała się diakonisa – niewątpliwie koleżanki poinformowały cię, że stąd, z pensji, nie wysyłamy listów, w których są skargi.

Gina patrzyła na nią, nie rozumiejąc, do czego zmierza. Tak niewiele rozmawiała z Mari Kis i innymi, że nic o tym nie słyszała.

– Rodzice są daleko, mają dużo własnych trosk i kłopotów i jeśli córki zaczną im zawracać głowę swoimi codziennymi drobnymi problemami i nieprzyjemnościami, to tylko niepotrzebnie ich zdenerwują, zakłócając im spokój. W każdej szkole dzieje się zawsze coś, co na godzinę– dwie może uczennicę zasmucić, ale doświadczenia pokazują, że nim list, który napisały, dotarł do rodziców, nie było już śladu po ich zmartwieniach i tylko niepotrzebnie denerwowały

domowników. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć?

Nie. Ciągłe jeszcze nie rozumiała.

– Tylko o pozytywnych sprawach można pisać do domu – powiedziała Zuzanna – tylko o tym, co rodziców może ucieszyć. O sprawach złych, naprawdę złych, my i tak powiadamy ich oficjalnie co kwartał. Zresztą z pewnością nie masz powodu do narzekań, poza tym że zawsze początek roku w nowej szkole jest trudny. Ale gdybyś nawet miała jakieś powody, to ponieważ twoim koleżankom nie wolno skarżyć się w listach, ty również nie możesz przez telefon. Pan generał ma kłopoty na szczeblu państwowym i powinien słyszeć od ciebie tylko same radosne nowiny.

Gina czuła, że to, co się z nią tutaj dzieje, przekracza granice wyobraźni i wytrzymałości. Czasami zdarzają się takie sny, mordercze, beznadziejne i tak przerażające, że człowiek jęczy i krzyczy, dopóki się go nie obudzi. Zuzanna otworzyła drzwi gabinetu. Gina szła za nią bezradnie w stanie całkowitego odrętwienia. Już nawet nie zdziwiła się, że pokój nie był pusty, że za biurkiem siedział Gedeon Torma i kiedy ją zobaczył, powiedział do telefonu: „Oddaję słuchawkę uczennicy”.

Musiała stanąć tuż przy nim, aby ją wziąć. Znajdowała się między dyrektorem i Zuzanną, którzy obserwowali jej twarz. Palce miała tak zgrabiałe, że ledwo mogła utrzymać słuchawkę. Głos ojca był odległy, jakby dochodził z końca świata.

– Serwus – powiedział generał. – Dobrze się

miewasz, serduszko?

– Dobrze – odpowiedziała.

– Prawda że wcale nie jest tam tak strasznie?

– Nie.

– Jakie masz koleżanki? Czy masz już jakąś przyjaciółkę?

Gina nic nie rzekła.

– Halo – zabrzmiał w oddali głos. – Jesteś tam? Ledwo cię słyszę. Pytałem, jakie są dziewczęta.

– Miłe – odparła. O mało się przy tym nie udusiła.

– Dyrektor mówił mi już, że jesteś zdrowa i że bardzo są zadowoleni z twoich wyników w nauce. Przeczytał mi stopnie, masz same piątki.

– Dużo się uczę – powiedziała Gina.

– Halo, Szeged – odezwał się w słuchawce kobiecy głos. – Mówi się?

– Jeszcze minutę – rzekł generał. – Uważaj na siebie, moja maleńka. Pani Róża upiekła dla ciebie ciastka, w przyszłym tygodniu je otrzymasz. Cieszysz się?

– Ojczy! – wykrzyknęła dopiero teraz. Dyrektor na dźwięk jej głosu poderwał głowę, jakby Gina uderzyła pięścią w stół. – Ojczy, bardzo cię proszę, błagam, przyjedź mnie odwiedzić! Przyjedź!

– Jak tylko będę mógł – usłyszała z oddali. – Na razie to niemożliwe. Ale dzwonić będę co tydzień. Serwus, moja maleńka.

Na linii słyhać było szum, potem jakieś trzaski i ktoś zapytał: „Skończona?”. Łączność została przerwana.

„Skończona – pomyślała Gina i tak się wpatrywała w słuchawkę, jakby jeszcze nigdy w ręce nie trzymała czegoś podobnego. – Nawet nie wie, jak dalece to wszystko skończone. Papieru listowego nie dają, ale gdyby nawet dali, i tak nie mogłabym napisać prawdy i próżno ojciec dzwoni, gdyż mogę tylko tak rozmawiać jak więzień stojący między dwoma strażnikami. Klasie jestem niepotrzebna. Skarżyć się nie wolno. Co ze mną będzie?”

Wzdrygnęła się, coś do niej mówiono. Może dyrektor już dłuższy czas tak mówi?

– .żeby uczniocy samej przyszło do głowy podziękować dyrektorowi i diakonisie, że nie poinformowali jej dobrego, troskliwego ojca, iż za niegodne zachowanie już zdążyła otrzymać karę, ale.

– Dziękuję – wyszeptała. – Bardzo dziękuję.

– Georgina Vitay może odejść – powiedział dyrektor.

Gina pożegnała się i poszła z powrotem za Zuzanną. Kiedy doszły do części mieszkalnej pensji, diakonisa zatrzymała się w drzwiach świetlicy. Z wewnątrz słychać było muzykę, pierwszą świecką muzykę w tej twierdzy od chwili jej przybycia: *Eine kleine Nachtmusik* Mozarta. Widocznie teraz odbywa się w świetlicy koncert. Diakonisa zajrzała, czy wszystko w porządku. Piątoklasistki siedziały koło gramofonu, a Salm wybierała płyty. Na ich widok dziewczęta wstały, Zuzanna skinęła, aby nie przerywały słuchania, i zamknęła drzwi. Poważnym, mądrym spojrzeniem długo badała twarz

dziewczyny, po czym spytała:

– Masz jakieś kłopoty, Georgino?

Pokręciła głową.

– Nie, żadnych.

– Nie wydajesz się zbytnio szczęśliwa. Czy ktoś ci sprawił przykrość?

– Nie.

– Mogę ci w czymś pomóc?

Nie, nie może pomóc. A w tym, w czym by mogła, to i tak nie pomoże. Nie pozwoli jej bez świadków rozmawiać przez telefon. Diakonisa powiedziała, że zdaje sobie sprawę, iż niefortunny początek roku, kiedy zaraz na wstępie trzeba było pozbawić ją spacerów miejskich, zepsuł jej nastrój, ale niech się uczy od Mari Kis, Szabó i Murai, które dzielnie znoszą karę i nie zwieszają tak bardzo nosa na kwintę z tego powodu. Niedługo kara się skończy i więcej nie będzie musiała się wstydzić, że nie może wychodzić razem z innymi.

Och, co też ona mówi, chyba nie wyobraża sobie, że z tego powodu tak jej smutno? Teraz Gina mogłaby zemścić się na całej klasie, która od poniedziałku jej nie dostrzega, i Zuzanna nigdy by nie darowała tym świętym chrześcijankom, że są takie nieprzejednane, że nie chcą, że nie potrafią przebaczyć. Zabłysnął przed nią anemiczny promyk nadziei i lżej jej się zrobiło: tym razem nie dała się ponieść złości jak w poniedziałek, teraz ich nie zdradziła. A Zuzanna na pewno by uczyniła zadość sprawiedliwości. Gina to czuła i była pewna, że

diakonisa uwierzyłaby jej. Gdyby zaś się dowiedziała, że Mari Kis skłamała i że klasa rzeczywiście wyszła za mąż, że jedna poślubiła biskupa Matulę, inna zaś wielki graduał, to kara, którą diakonisa by wymierzyła, byłaby bardzo surowa, tak jak surowa jest sama Zuzanna. Może to jednak docenią, jeśli im później powie?

– Niech cię Bóg ma w swojej opiece! – pożegnała ją Zuzanna.

Gina weszła do świetlicy, gdzie muzyka właśnie zamilkła i Salm szukała nowej płyty. Gina usiadła koło Cziller, która natychmiast wstała i odsunęła się od niej z krzesłem. Ginie wydało się to tak niesprawiedliwe, że wybuchnęła:

– Zostań tutaj! Niczego złego teraz nie zrobiłam. Pytano, co mi jest, milczałam. Nie powiedziałam, jakie jesteście dla mnie, a przecież i ojciec, i Zuzanna chcieli się dowiedzieć.

Znów zapanowała cisza, straszliwa cisza, jaką piąta klasa zdolna była utrzymać, gdy chciała. Już, już sądziła, że jej nawet nie odpowiedzą, ale odezwała się Mari Kis.

– Ojcu nie mogłaś powiedzieć, ponieważ matulankom nie wolno się skarżyć. Na pewno cię poinformowano, wiedzą już o tym nawet pierwszoklasistki. A to, że nie raczyłaś donieść Zuzannie, to może tylko w twoich oczach jest zasługą, bo w naszych nie. Jesteś tchórzem, Vitay, nie śmiałaś powiedzieć, bo wiesz, że gdybyś jeszcze raz zdradziła, pożałowałybyś tego tak bardzo, że w końcu musiałabyś uciekać z pensji.

Salm nastawiła V symfonię Beethovena. Mari Kis oparła się łokciami na stole, warkocze spłynęły jej do przodu, wyglądała, jakby cała rzuciła się w nurty nieskończonej, szczęśliwej rzeki, tak pochłonęła ją muzyka. Ani ona, ani inne dziewczęta nie zwracały więcej uwagi na Ginę. Jej zaś gwałtownie biło serce. „Mari Kis, jesteś moim największym wrogiem, ale to właśnie ty mi pomogłaś, ty rozwiązałaś to, czego ja sama nie potrafiłabym rozwiązać. Jeśli nie mogę prosić ojca o pomoc, a wy w żaden sposób nie przyjmiecie mnie do swego grona, to ja nie potrafię tak dalej żyć, to jest niemożliwe. W Peszcie później wszystko wyjaśnię. Ojciec mnie zrozumie, przebaczy i poszuka – jeśli mimo wszystko nie mogę pozostać w domu – jakiejś innej, normalnej pensji. Dziękuję, że mnie naprowadziłaś na to, co mam robić. Ja stąd ucieknę”.

7

Gina szykuje się do ucieczki

Uciec, ale jak?

Tylko sam zamiar był jasny. Twierdzy nie może opuścić bez eskorty, zresztą na razie nawet w towarzystwie innych nie może wyjść. Miasta nie zna, bo ledwo tu przybyła, a już zabroniono jej przekroczyć bramę. Następnego dnia obiegła dziedziniec, zbadła bramy, ogrodzenie i okna, szukając sposobu, jak by się stąd wydostać. Kiedy już znajdzie się na zewnątrz, jakiś przechodzień z pewnością powie jej, gdzie jest stacja. Należałoby odzyskać własne ubranie, gdyż dowiedziała się od dziewcząt – jeszcze w tym szczęśliwym okresie, kiedy z nią rozmawiały – jak wielką potęgą w mieście jest ta szkoła. Tutaj każdy dorosły może ją zatrzymać na ulicy i odprowadzić na pensję, jeśli zobaczy ją samą w szkolnym ubraniu. Powszechnie bowiem wiadomo, że wychowanki pensji nie mogą same wychodzić do miasta. Oczywiście to niemożliwe, aby magazynierka wydała jej rzeczy, musi więc uciekać tak, jak stoi. Nie założy kapelusza i ewentualnie zdejmie pończochy, obrzydliwe, grube czarne pończochy noszone wyłącznie przez matulanki. Jej niegustowna codzienna sukienka może jakoś nie zwróci niczyjej uwagi.

Oczywiście nim się zdecyduje, powinna chociaż

trochę poznać miasto, na razie zna tylko drogę do białego kościoła. Chociaż najważniejsza sprawa to się stąd wydostać! W jaki sposób można by wyjść? Przez ścianę nie może przeniknąć. Znała już rozkład budynku, w ogrodzeniu znajdowała się boczna brama, ale cała z żelaza, bez klamki i zamknięta na klucz. Wszystkie okna wychodzące na ulicę są osłonięte kratą. Stąd tylko wtedy można wyjść, gdy przed człowiekiem otworzą dolną bramę, jeśli portier zezwoli.

A prawda, portier.

Przypomniała sobie ponurego krępego mężczyznę, który wpuścił ich w dniu przyjazdu. Przebiegła przez ogród między skrzydłami budynku o kształcie podkowy i dopadła krytej bramy, gdzie znajdowała się portiernia, odgrodzona teraz od niej żelazną kratą. Jeśli zaprzyjaźni się z tym człowiekiem, jeśli często go będzie odwiedzać i przyzwyczai do swojej obecności, to może kiedyś uda jej się pochwycić klucz i wymknąć przez bramę? Wszystko jedno, jaka będzie pogoda, nawet jeśli będzie padać, to ucieknie bez palta, aby tylko mogła znaleźć się wreszcie na zewnątrz.

Stała z boku przy drzwiach portierni i zajrzała przez szybę. Portier odwrócony był do niej plecami i czytał gazetę. Naprzeciwko Giny znajdowała się tablica z kluczami, na samym środku wśród innych tkwił jeden wielki i staromodny. To ten otwiera bramę. W swojej dawnej szkole Gina była zaprzyjaźniona z portierem, który sprzedawał im różne rzeczy: cukierki, precle,

mleko, a także zeszyty i ołówki. Dlaczego by nie spróbować pozyskać sympatii i tego człowieka? Może się uda. Trzeba się będzie o to postarać.

Portier odłożył właśnie gazetę, jakby poczuł na sobie jej wzrok. Odwrócił się i zobaczywszy Ginę, wyszedł z portierni. Zapytał ją, czego chce. Gina nie potrafiła odpowiedzieć, uśmiechnęła się tylko do niego. Żadna mądra odpowiedź nie przychodziła jej do głowy. Nie może przecież ni z tego, ni z owego powiedzieć mu, że jest taki sympatyczny i chciałaby z nim porozmawiać. To jeszcze nie teraz. To niemożliwe.

– Proszę stąd odejść – rzekł portier bez cienia gniewu w głosie, powiedział to spokojnie i tak kategorycznie, że nie było po co wszczynać z nim dyskusji. – Przebywanie w okolicy portierni jest zabronione. Czy nie czytała panienska regulaminu?

Nie, nie czytała, a przecież był wszędzie porozwieszany, zarówno na korytarzach, jak i w sypialniach. W chwili gdy po raz pierwszy zaczęła czytać, co wolno, a co jest zabronione, taki ogarnął ją wstęt, że potem ilekroć mimo woli nań spojrzała, to natychmiast odwracała głowę. Teraz pobiegła szybko do internatu i zaczęła studiować umieszczony w ramkach, napisany na maszynie tekst.

„Pobudka w dni powszednie o wpół do siódmej, w niedziele i święta o wpół do ósmej. Śniadanie...” – Program dnia, ten już zna. „Nie wolno od nikogo nic pożyczać ani wymieniać. Nie wolno trzymać przy sobie

pieniędzy”. To nie to, nie o tym myślał portier. „Nie wolno nawiązywać kontaktów z personelem...” Tak, to właśnie to. A dlaczego nie wolno, to oczywiste. Jeśli bowiem człowiek styka się z personelem, może się w końcu zaprzyjaźnić ze sprzątaczką, portierem, ogrodnikiem, a któreś z nich bez trudu przemyci list albo uda, że nie widzi, kiedy człowiek wymknie się przez bramę. Beznadziejna sprawa, nie ma co liczyć na portiera, musi wymyślić coś innego. Na razie trzeba czekać. Postara się być tak dobra, pilna, łagodna, a nawet wesoła, że wszyscy uwierzą, że już się przyzwyczaiła i że jej się tu podoba. A kiedy tylko nadarzy się okazja, po prostu zniknie w czasie wspólnego spaceru po mieście. W tym celu jednak musi poznać program i trasę spacerów, musi wiedzieć, jakie są w okolicy bramy, sklepy, budynki użyteczności publicznej, gdzie może się nagle skryć i którędy przebiec na skróty. A zatem cierpliwości!

Nauczyciele i nauczycielki prowadzący zajęcia z piątą klasą w rozmowach w pokoju nauczycielskim często podkreślali, że wytworzyła się w niej sprzyjająca nauce sytuacja. Nowa uczennica Vitay jest niezwykle pilna i cała klasa jak gdyby chce z nią współzawodniczyć, udowodnić, że rdzenne matulanki nie mogą pozostać w tyle za koleżanką, która dotychczas chodziła do innej szkoły, i są równie pracowite.

Profesorka Gigus, która знаła już dziewczęta z ubiegłego roku i uczyła je nie tylko niemieckiego, lecz także francuskiego, specjalnie pogratulowała Kalmárowi,

że klasa tak lekko przeszła trudny okres dojrzewania. W ubiegłym roku z największym wysiłkiem udawało się utrzymać je w ryzach, obecnie zaś zachowują się grzecznie i są naprawdę pilne. Vitay posługuje się obydwoma językami jak rodzimym, siostra Zuzanna natomiast może być świadkiem, że piątoklasistki po południu udzielają sobie wzajemnie korepetycji, aby nie zostać za nią w tyle. Ich postępy w nauce są wręcz rewelacyjne. Kalmár uśmiechał się skromnie, święcie bowiem wierzył, że sytuacja zmieniła się dlatego, że to on został ich wychowawcą i dziewczęta chcą mu sprawić przyjemność i zaskoczyć przykładowym zachowaniem. Vitay zaś niewątpliwie pragnie się w ten sposób zrehabilitować i zatrzeć wspomnienie nieprzyjemnych okoliczności, w jakich ją poznał. Ponieważ wszystkie dziewczęta zawsze kochały się w Kalmárze, nie potrafił sobie nawet wyobrazić, że to ciche współzawodnictwo, które klasa prowadziła z Georginą Vitay, tak dalece zaabsorbowało uczennice, że nawet nie miały czasu, aby się w nim naprawdę kochać.

Drugi tydzień, w czasie którego Mari Kis, Murai, Szabó i Gina były pozbawione spacerów do miasta, dobiegał końca. Na pensji panował zwyczaj, że w każdą sobotę po ostatniej lekcji nauczyciele odbywali krótką naradę, której przewodniczył dyrektor, a wykładowcy i diakonisy kolejno informowali o swoich spostrzeżeniach dotyczących ich klasy. W tę drugą sobotę tyle dobrego powiedziano o piątej klasie, iż dyrektor po krótkim

namyśle oświadczył, że jeśli dziewczęta nadal będą takie pilne, to ewentualnie może być mowa o tym, żeby owo wiadome zaproszenie na październik – wychowawcy uśmiechnęli się do siebie – przypadło w udziale piątej klasie. Kalmár potoczył dokoła dumnym wzrokiem, profesorka Gigus skinęła z aprobatą głową, pastor wtrącił, że również nie ma nic przeciwko temu, i nawet nauczycielka gimnastyki Gertruda Truth, która nigdy z niczego nie była zadowolona i zawsze żądała lepszych niż to możliwe wyników, tym razem bez żadnego sprzeciwu wyraziła zgodę kiwnięciem głowy. „Nie wolno im tylko o tym wcześniej powiedzieć!” – ostrzegł dyrektor wychowawców, z czym zresztą wszyscy się zgodzili, ponieważ zdarzyło się już nie raz, że wyróżnionej klasie woda sodowa uderzyła do głowy. Najgorliwiej przytakiwał König, że oczywiście lepiej będzie, jeśli wszystko zostanie utrzymane w tajemnicy, ale gdy tylko skończyła się narada, popędził prędko do internatu, gdzie uczennice siedziały już w jadalni i czekały na wychowawców z rozpoczęciem posiłku. Razem z uczennicami siedziały przy stołach tylko diakonisy, stół dla nauczycieli – ku utrapieniu wszystkich – stał na specjalnym podium, co zdecydowanie psuło dziewczętom apetyt, ponieważ z góry było widać, która z nich rozlała zupę na obrus lub upuściła widelec. König podszedł prosto do stołu piątoklasistek i powiedział im o decyzji dyrektora. Twarze dziewcząt rozpromieniły się. Gina nie miała pojęcia, o jakim to październikowym zaproszeniu

mowa, a ponieważ i tak na próżno by o to pytała, wiedziała, że musi czekać, aż samo się to jakoś wyjaśni. Któraś z uczennic wspomniała także nazwisko Mici Horn i Ginę natychmiast ogarnął gniew. Nigdy nie widziała owej Mici Horn, ale już sam dźwięk tego nazwiska budził w niej nienawiść. A o Königu – który przyznał się, że właściwie nie wolno mu było zdradzić tej tajemnicy, ale nie chciał, by dziewczęta przez jakieś głupie figle pozbawiły się oczekującej je radości – także miała wyrobioną opinię. Że też taki dorosły człowiek nie potrafi utrzymać języka za zębami! Nawet jeśli robi to w ich interesie.

Sobota była szara i smutna. Tego popołudnia ojciec znów dzwonił nie z Pesztu, lecz tym razem z Sümegu. Rozmowa przebiegła podobnie jak poprzednio, chociaż później Zuzanna i Gedeon Torma stwierdzili, że tym razem Vitay nie była tak nienaturalnie sztywna i smutna.

Na drugi dzień diakonisa z zatroskaną twarzą krzątała się przy stole. Ponieważ było święto, jadły śniadanie o ósmej. Zuzanna długo naradzała się z siostrą Elżbietą, potem dokądś pobiegła i wróciła rozpromieniona, kierując się do Giny. Wyjaśniło się, gdzie była i dlaczego. Otóż poszła do dyrektora. Ponieważ zakaz uczestniczenia Giny w spacerach do miasta obowiązywał do poniedziałkowego wieczoru, a dzisiejsza niedziela byłaby już drugą, kiedy winowajczynie musiałyby opuścić nabożeństwo w kościele, Zuzanna udała się do Gedeona Tormy, aby zapytać, czy mimo wszystko nie mogłaby ich

zabrać ze sobą. Dyrektor zgodził się, by poszły na nabożeństwo i zdecydował, że skoro i tak wyjdą przed południem, to mogą wziąć również udział w popołudniowym spacerze. Wziął bowiem pod uwagę ich wzorowe zachowanie w ciągu tych dwóch tygodni.

Wszystkie cztery bardzo się ucieszyły, ale chyba żadna aż tak bardzo jak ich diakonisa. Gina szła, tak jak za pierwszym razem, między Tormą a Mari Kis. Dziewczynki szeptały coś między sobą, ale teraz jakoś jej to nie przeszkadzało, nawet nie zwracała na to uwagi. Obserwowała ulicę zupełnie innymi oczami niż poprzednio. Patrzyła, jakie możliwości ucieczki kryje w sobie droga do kościoła, nawet wewnątrz kościoła badała jako miejsce, skąd ewentualnie można byłoby zniknąć. W końcu doszła do wniosku, że tutaj jest to najmniej możliwe. Każda klasa miała bowiem wyznaczone miejsce w ławkach, a przy wyjściu stali prezbiterzy. Z pewnością niewiele by dało, gdyby upozorowała, że zrobiło jej się słabo, Zuzanna przecież natychmiast porzuciłaby nabożeństwo, aby ją odprowadzić do domu.

Po kościele miały czas wolny, a po obiedzie rozdzielono pocztę. Paczka, którą ojciec obiecał w ubiegłą sobotę, dotarła dopiero teraz. Kiedy Gina szła po to duże pudło pełne drobnych ciasteczek, wydało się jej, że widzi kucharkę Różę, jej pachnące mąką, cukrem i konfiturami ręce, jak kolejno, warstwami układają te delicje. Ojciec musiał mieć więcej czasu niż normalnie, ponieważ sam zaadresował paczkę: „Siostra Zuzanna (dla

mojej córki Giny)”. To było pismo generała. Ale uważał chyba, że nie bardzo mu wypada na takiej paczce podpisywać się całym swoim nazwiskiem wraz ze stopniem wojskowym, ponieważ jako nadawcę podał nazwisko swojego ordynansa. Nadawca: „János Tóth, Monor”. Jak jej ojciec dużo podróżuje ostatnimi czasy!

Musi zaraz wszystkich poczęstować, gdyż w myśl regulaminu nikt nie może sam zjadać otrzymanych z domu przysmaków. Jako pierwszą poczęstowała Zuzannę, która wzięła posypaną cukrem gwiazdkę, ale jej nie zjadła, tylko położyła obok nakrycia.

– Przynieś duży talerz i małe talerzyki do ciastek – poleciła dyżurnej. – Możecie się poczęstować ciasteczkami Georginy.

Dyżurną była Bánki, przyniosła z kuchni duży okrągły talerz i dwadzieścia talerzyków deserowych. Zuzanna podeszła do okna i patrzyła w głąb ogrodu, gdzie pani Gigus, nauczycielka języków obcych, spacerowała pod rękę z Esterą Sáfár, wychowawczynią pierwszoklasistek. Pani Gigus nie miała na sobie czarnego fartucha, tylko barwną sukienkę. Zuzanna długo patrzyła na jasnoniebieską sukienkę nauczycielki i nie zwracała uwagi na to, co się dzieje za jej plecami. Gina, chociaż nie miała złudzeń, co będzie się działo, ruszyła z ciastkami. Najpierw poczęstowała Ari, która siedziała przy stole naprzeciw niej. Lecz Ari nie powiedziała nawet „dziękuję”, tylko odwróciła głowę. Salm, sąsiadka Ari, szepnęła: „Nie męcz się, nie trzeba. Połknij wszystkie

sama!”.

Gina stała bezradna i upokorzona z talerzem w ręku. Jeśli zwróci uwagę Zuzanny, że dziewczęta nie chcą przyjąć od niej ciastek, znów będzie zdrajczynią, a diakonisa sama nic nie zauważyła, bo gapi się przez okno.

Teraz Zuzanna się odwróciła. Ze zdumieniem spojrzała na pełny talerz.

– Wszystkie poczęstowałaś? – zapytała.

– Tak – odpowiedziały chórem piątoklasistki.

– I tak dużo jeszcze zostało? Chyba byliście bardzo skromne. Teraz podzielimy resztę.

Szła z talerzem i obliczywszy, ile jest ciastek, kładła każdej na talerzyk po dwa, a Ginie położyła trzy. Talerz się opróżnił.

– A teraz podziękujcie! – powiedziała diakonisa.

– Dziękujemy, Vitay – zaśpiewały chórem.

– Na zdrowie! – szepnęła Gina.

Zuzanna odeszła do okienka, przez które podaje się naczynia. W tym czasie Mari Kis, a za nią wszystkie dziewczęta bez wyjątku wsadziły ciastka do kieszeni. Gina, która wmusiła w siebie jednego pierniczka, czuła, jak gorzknieje jej w ustach, i ledwo zdołała go przełknąć. Pozostałe dwa ciastka ukradkiem wyniosła w garści z jadalni i wrzuciła do ubikacji.

Nazajutrz odbył się pogrzeb przesyłki generała. Po południu klasa zatrudniona była przy pracy w ogrodzie, dziewczęta kopały, grabiły, oczyszczały kawałek ogródka warzywnego. Szabó gromadziła na jedną kupkę

zeschnięte liście i suche gałązki. Jako pierwsza skończyła grabienie na przydzielonym sobie odcinku Mari Kis. Przyciągnęła zgrabione liście do Szabó, a na wierzch rzuciła dwa ciastka wydobyte z kieszeni fartucha.

– Gotowe? – zapytała triumfalnie Szabó.

– Gotowe! – odpowiedziała Mari Kis.

Gina patrzyła, jak wszystkie kolejno rzucają na stos liści ciastka, tak bardzo w innych okolicznościach pożądane. Na wierzch zgarnęły gałązki i suche liście i Bánki je podpaliła, a Szabó niczym kapłanka co pewien czas poruszała kijem dymiący, żarzący się stos, aby ogień nie wygasł. Widziały, że Gina patrzy, a nawet specjalnie obserwowały, jaką robi minę, wytrzymała jednak, w ogrodzie nawet okiem nie mrugnęła, trzymała się jakoś aż do wieczora, dopóki się nie położyły. I dopiero po zgaszeniu światła rozplakała się, że spalono biedne, niczemu winne ciasteczka. Płakała i płakała, a jednocześnie nienawidziła samej siebie za to, że jest taka słaba, przecież i tak je porzuci, jak tylko nadarzy się okazja, nie powinna więc się narażać na szydercze uwagi. Ale nie potrafiła powstrzymać łkania, płakała żałośnie, spazmatycznie i w tym potoku łez dziwiła się, jakie twarde serca mają te dziewczęta, że żadna z nich do niej nie podejdzie.

Drgnęła, kiedy zapaliło się światło i ktoś się nad nią pochylił. Spojrzała zapłakanymi, piekącymi od łez oczami i zobaczyła przed sobą Zuzannę, już w nocnym stroju. Diakonisa była bez czepka, chyba się właśnie czesała,

ponieważ jej gęste blond włosy, wijąc się, swobodnie spadały na ramiona. Miała na sobie przepisowy szary szlafrok. Było to tak piękne i tak niespodziewane zjawisko, że Ginie łzy przestały płynąć.

– Płaczesz? – spytała Zuzanna i przysiadła obok niej na łóżku. – To ty tak płaczesz, że aż słychać na korytarzu? Późno już jest, zaraz będzie północ. Co się stało, Georgino?

Nie potrafiła i nie chciała odpowiedzieć, tylko wyciągnęła rękę i uchwyciła się kurczowo Zuzanny. „Nie wolno dotykać wychowawców” – przypomniał jej się regulamin i po drgnięciu ramienia Zuzanny poczuła, że i diakonisa o tym samym pomyślała. Jednakże ramię pozostało w rozpaczliwym uścisku Giny i Zuzanna nadal siedziała na brzegu jej łóżka.

– Nie płacz – powiedziała diakonisa. – Nie płacz, nie masz ku temu żadnych powodów. W szkole jest wszystko w porządku, twój ojciec telefonował w sobotę, więc w domu też wszystko w porządku. To z powodu tej paczki, wiem. Paczka przypomina dom, budzi tęsknotę, dlatego nie lubię, gdy przysyłają wam z domu paczki. No, już nie płacz.

Przemawiała do niej cicho, prawie bezgłośnie, a Gina coraz bardziej ścisnęła jej ramię, które Zuzanna teraz już starała się wyzwolić z uścisku jej palców.

– Wszystkie pobudzisz. Bądźże już cicho, Georgino!

Diakonisa wstała i rozejrzała się dokoła. Dziewczęta niby spały, ale doświadczone oko Zuzanny wyczytało

ukrytą na ich twarzach myśl, jakby ją głośno wypowiedziały: „Wiemy, że płacze, ale nas to nie obchodzi”.

– Wasza koleżanka jest smutna, płacze, a wy nawet się tym nie zainteresujecie? Jak tak można? Niezbyt dobrze to o was świadczy. – Miły głos Zuzanny był teraz ostry jak brzytwa. – Taka obojętna klasa wcale nie zasługuje na to, by wziąć udział w podwieczorku u Mici Horn. Wiem, że dowiedziałyście się o tym. Profesor König powiedział mi, że zdradził wam tę tajemnicę.

Przez chwilę nikt się nie poruszył, piąta klasa nadal udawała, że śpi. Potem powoli dziewczęta zaczęły ziewać i przecierać oczy. Bánki powiedziała, że gdyby tylko do głowy jej przyszło, że ta biedna Vitay nie śpi i jest smutna, zaraz by się nią zajęła. Obsiadły ją wokoło wszystkie, ile ich się tylko zmieściło, a Gina znów się zanosła płaczem, jeszcze większym, ponieważ Zuzanna nie wiedziała, że to zainteresowanie jest tylko grą, zwykłym udawaniem.

– Pocieszcie jakoś Georginę – rzekła Zuzanna. – Jeśli za pół godziny jeszcze będzie płakać, pociągnę całą klasę do odpowiedzialności. Wszystko tu jest przecież dla niej obce, nie przyzwyczała się, ojciec jest daleko. Paczka z domu obudziła w niej tęsknotę. Pocieszcie ją jakoś, opowiedzcie jej o podwieczorku u Mici Horn.

Wyszła. Wszystkie, które się dotąd nad nią nachylały, jej bezpośrednie sąsiadki: Mari Kis, Torma, Murai, Szabó i Bánki, usiadły teraz na łóżku Tormy i

zaczęły się jej przyglądać.

– Idźcie stąd – powiedziała Gina. – Nikt mi nie jest potrzebny. Wy też nie jesteście mi potrzebne!

– A może my ciebie potrzebujemy? – spytała Mari Kis. – I na dodatek musimy cię teraz zabawiać, aby ci w nocy nie było smutno! Niczym cierpiącego na bezsenność króla.

– I mamy jej jeszcze opowiadać o podwieczorku u Mici Horn – odezwała się oburzona Szabó. – Na to długo poczekaasz!

– Ale jednak trzeba opowiedzieć – potrząsnęła głową Torma. – Zuzanna ją wypyta, sprawdzi.

– To prawda – rzekła Murai. – A więc słuchaj, ty ofiarno! Mici Horn co miesiąc zaprasza do siebie którąś z klas na podwieczorek. Całą klasę! I podaje takie przysmaki, że trudno sobie wyobrazić. Urządza prawdziwą ucztę, są poza tym organizowane różne zabawy towarzyskie, czasami nawet tańce, i wszystko jest takie wspaniałe, że aż człowieka zatyka. Mici Horn ma piękny dom niedaleko stacji, od którego nawet klucz jest inny niż w zwykłych domach: klucz od jej bramy ma uchwyty w postaci śmiejącej się ludzkiej główki. Począwszy od października, w ostatnim tygodniu każdego miesiąca organizuje podwieczorki, na które zawsze zaprasza najlepszą klasę. My jeszcze nigdy tam nie byliśmy, teraz idziemy po raz pierwszy. Więc uważaj, abyśmy przez ciebie nie zostały w domu, bo zobaczysz, co wówczas z tobą zrobimy.

Przez chwilę Gina gapiła się na nie, po czym nagle odwróciła się i naciągnęła kołdrę na głowę. Serce waliło jej jak młotem. Kiedy Zuzanna zajrzała do nich, cała klasa jeszcze nie spała, szeptały, wierciły się, rozmawiały, tylko Gina zasnęła niczym niemowlę, twarz miała suchą, chłodną. „Uspokoila się”, stwierdziła diakonisa i pogładziła czoło dziewczynki, czego w dzień nigdy by nie uczyniła. Nie wiedziała, że pod tym czołem kryje się nowa buntownicza myśl: oto ucieknie w ostatnim tygodniu października z herbatki u Mici Horn. W tym domu będzie się kręciło tyle dziewcząt, poza tym jest blisko stacja, tak że ktoś, kto tam wszedł, może i wyjść. Jeśli nie zwykłą drogą, to przez okno na parterze lub w piwnicy. W prywatnym domu chyba we wszystkich oknach nie będzie krat.

8

U Mici Horn. Ucieczka

Dni mijały szybko.

Teraz, kiedy miała wreszcie konkretny plan i nadzieja ucieczki stała się bardziej realna, niewiele obchodziło ją zachowanie dziewcząt. Natomiast wśród nauczycieli było paru, których po prostu żal jej będzie opuścić. Na przykład Kalmára, który tak potrafił wyklądać historię, że człowiekowi oczy błyszczały, gdy go słuchał, a na lekcjach nauki o obronie ojczyzny tak umiał mówić o miłości do kraju, że Gina najchętniej zaraz chwyciłaby za broń i, mimo że jest dziewczyną, poszłaby na front pomagać żołnierzom. Kalmár odgrywał w jej nowym życiu ważną rolę i chociaż postać Feriego tkwiła niezmiennie w jej pamięci jako przypomnienie owego szczęśliwego, porzuconego świata, to przecież była bardzo odległa i nieosiągalna, podczas gdy Kalmár był blisko, stale widoczny.

Wykładów Königa nie lubiła, a przecież był on wspaniałym profesorem, nie tylko wszechstronnie wykształconym, ale i dobrym mówcą. Czasami Gina ze zdumieniem stwierdzała, jakie piękne jest to wszystko, o czym mówi nauczyciel, ale ponieważ nie aprobowała Königa, nie mogła zaaprobować jego przedmiotów. Klasyczne cnoty obywatelskie, o których uczyła się na

lekcjach łaciny, były takie same jak te, o których słyszała od Kalmára, a jednak w ustach wychowawcy natychmiast nabierały jakiegoś blasku i stawały się prawdziwe, przekonywające, gdy tymczasem przedstawione przez Königa szarzały i traciły swą niezwykłość. W oczach Giny wszystkie te wspaniałe męskie cechy charakteru w żaden sposób nie pasowały do nauczyciela łaciny. König doprawdy był wszystkim, tylko nie tym, co można nazwać uosobieniem cnót starożytnych Rzymian; co zaś się tyczy miłości, to z pewnością nie dlatego został starym kawalerem aż do pięćdziesiątego drugiego roku życia, że potrafił budzić dzikie namiętności w sercach kobiet. König zawsze bardziej uczuciowo reagował na wykładany przez siebie materiał niż klasa, i ta jego skłonność do poezji, tęsknota za „idealnym pięknem” nie były w jej przekonaniu męską cechą charakteru. Najbardziej denerwowało ją, że na lekcjach Königa zdarzały się takie historie, jakie u innych w ogóle nie mogły mieć miejsca. Kalmár z całym spokojem stawiał do kąta uczennice, gdy tylko zauważył najmniejsze rozluźnienie dyscypliny. Jeśli zaś König próbował którąś w ten sposób ukarać, robił się z tego cały cyrk. Postawiona do kąta uczennica chichotała, a czasem nawet zabierała ze sobą powieść, aby ją czytać za plecami nauczyciela. Po pewnym czasie Königowi robiło się żal dziewczyny, mówił, że chyba wystarczy jej tej kary, i sam prawie pocieszał tę, którą przedtem postawił do kąta.

Gina lubiła natomiast Gertrudę Truth, mimo że na

lekcjach gimnastyki tak męczyła dziewczęta, iż zdawało się, że skóra zejdzie im z rąk po ćwiczeniach w czołganiu się. Nigdy przy tym nie przyjmowała do wiadomości, że któraś ma zawroty głowy podczas ćwiczeń na przyrządach. Zyskał sympatię Giny również Kerekes, którego lekcje matematyki stanowiły zawsze straszliwe przeżycie, ponieważ w najbardziej nieoczekiwanych momentach przychodziło mu do głowy pytać uczennice z materiału trzeciej lub czwartej klasy. Tym samym zmuszał je, aby co pewien czas zaglądały do świetlicy młodszych koleżanek i pytały dyżurnej diakonisy, jak oblicza się procenty, jeśli to zdążyły zapomnieć. W przeciwnym razie Kerekes zatrąby im życie. Éles, który wykładał przyrodę, pasował do swojego nazwiska jak ulał⁴, ale Gina też go lubiła. Jego postać w białym fartuchu zawsze przypominała jej lekarza. Całym jego światem była chemia i zapach chemikaliów tak do niego przylgnał jak do cioci Mimó zapach perfum. Podobało jej się nawet to, że miały z nim mnóstwo zajęć praktycznych, że puste terrarium wzbogaciło się już o mieszkańca, że oprócz sprawowania opieki nad wielkim akwariem zbierały owoce albo pracowały w ogrodzie. Najmniej lubiła Hajdu, nauczyciela śpiewu, ale i tak wołała go od Königa. Hajdu był nerwowy, czasami złośliwy, szczerze wierzył, że śpiew jest najważniejszym przedmiotem na świecie. Gina dużo musiała się uczyć, aby utrzymać to zawrotne tempo, ponieważ szybko się okazało, że w Peszcie nie tylko ze śpiewu kościelnego nie otrzymała

takiego wykształcenia jak matulanki, ale również dzieła Kodály'a i Bartóka znała bardzo pobieżnie. Matulanki zaś z łatwością śpiewały utwory chóralne Kodály'a i systematycznie uczyły się historii muzyki. Oprócz oceny ze znajomości pieśni kościelnych otrzymywały również stopnie z tego, czy potrafią rozpoznać utwory z płyt nastawionych przez Hajdu na wielkim szkolnym gramofonie. Ratowało to częściowo Ginę, która mimo że większości psalmów jeszcze nie znała, to jednak dość dobrze się orientowała w muzyce klasycznej, ponieważ z ciocią Mimó i Marchelle często bywała na koncertach.

Po całodziennych trudach zwykle wypoczywała na lekcjach pani Gigus, słówek nie musiała się uczyć, a zadania domowe i ćwiczenia przekładowe wykonywała w ciągu kilku minut. Zuzanna poprosiła ją, aby w świetlicy pomagała słabszym. Gina zgodziła się, ale i tak wiedziała, że nikt do niej o pomoc się nie zwróci. I rzeczywiście tak było. Dziewczęta przy pisaniu jakiegoś trudniejszego wypracowania obkładały się książkami, zeszytami, słownikami i lepiej czy gorzej, ale same sobie z nim radziły. Pewnego razu dyrektor był u nich na hospitacji, i to właśnie na lekcji Königa. Nauczyciel natychmiast wezwał do odpowiedzi Tormę. Wuj oczywiście nie spuszczał z niej ponurego wzroku i Torma tak się zmieszała, że zapomniała o najprostszych formach gramatycznych i dyrektor osobiście wpisał do dziennika, że się nie przygotowała do lekcji. Kiedy dyrektor wyszedł, Torma od początku do końca powtórzyła

bezbłędnie wszystko to, czego poprzednio nie wiedziała, a König natychmiast zanotował pod uwagę dyrektora: „Już się poprawiła, piątka”. Nawet sama Torma popatrzyła na niego z niechęcią, a przecież powinna była być wdzięczna. Gina zaś złapała się na tym, że w momencie gdy König z promienną twarzą wpisywał do dziennika poprawkowy stopień Tormy, pokręciła z dezaprobatą głową. Wstyd jej się zrobiło, ponieważ dziewczęta mogły zauważyć, że solidaryzuje się z nimi w swojej opinii o Königu. Teraz nie chciała mieć z nimi nic wspólnego, one zaś w interesie podwieczorku u Mici Horn już się nawet do niej odzywały. Ile razy tylko ukazała się Zuzanna – czy też w przerwie między lekcjami, w obecności nauczycieli – natychmiast któraś do niej podchodziła i uprzejmie pytała, jak się czuje, czy nie chce czegoś do czytania, a może jej w czym pomóc. Kiedy w świetlicy albo w jadalni otrzymywały pozwolenie na cichą rozmowę, jej dwie bezpośrednie sąsiadki, Mari Kis i Torma, uśmiechając się, zaczynały do niej szeptać przyimki łacińskie łączące się z accusativusem, co z daleka wyglądało, jakby z nią rozmawiały. Początkowo Gina uśmiechała się sztywno, czując, jak napinają się jej mięśnie twarzy. Później gniew jej ostygł, termin herbatki u Mici Horn coraz bardziej się przybliżał i czuła, że do tego czasu musi za wszelką cenę wytrzymać.

Generał dzwonił co tydzień, rozmawiali ze sobą, powtarzając banały, które się mówi przy świadkach. Gina

dowiadowała się, że w domu wszystko w porządku, również dobrze się miewa ciocia Mimó i jej towarzystwo. Teraz już Gina nie molestowała go, aby ją odwiedził, tylko dziwiła się, że ojcu, który ją tak dobrze znał, jakoś nie przyjdzie do głowy podejrzenie, że chyba coś nie jest z nią w porządku, ponieważ w jej słowach nie ma nic osobistego i ani jedno zdanie nie jest podobne do dawnego peszteńskiego sposobu wyrażania się Giny. A to, co mówi, w niczym nie przypomina relacji uczennicy o jej życiu w szkole. Żadnej paczki więcej nie otrzymała, z czego zresztą po tej historii z ciastkami mogła się tylko cieszyć.

Herbatkę u Mici Horn wyznaczono na ostatnią niedzielę października. W poprzedzającą sobotę po zakończeniu zajęć wszystkie klasy zebrały się w dużej auli, gdzie dyrektor dokonał ogólnej oceny wyników nauki. Od początku roku do dnia dzisiejszego najlepsze wyniki w pracy osiągnęła klasa piąta, a więc w nagrodę za widoczną skruchę z powodu nieszczęsnych wybryków w pierwszym dniu roku szkolnego i za późniejsze wzorowe zachowanie i niestrudzoną pilność wszystkie piątoklasistki wezmą udział w herbatce wydanej przez naszą dawną miłą absolwentkę. Wymarsz po południu o godzinie wpół do czwartej, powrót do domu o wpół do ósmej, wyznaczeni opiekunowie: diakonisa Zuzanna i wychowawca Kalmár.

Ta październikowa sobota była tak słoneczna, jakby ciągle jeszcze trwało lato. W ogrodzie pyszniły się pełną

gamą swych barw jesienne kwiaty. Tak jak zwykle zaraz po obiedzie odrobiły poniedziałkowe lekcje. Gina sumiennie robiła wszystkie zadania, nauczyła się nawet na pamięć tekstu łacińskiego, mimo że wiedziała, iż na nic jej się już nie przyda. Kiedy się uczyła, wezwano ją do telefonu. Tym razem jeszcze krócej niż zwykle rozmawiała z generałem. Ojciec nie miał jej nic specjalnie ważnego do zakomunikowania, a ona nie widziała sensu przeciągania tej rozmowy pod kontrolą, skoro i tak pojutrze rano będzie w domu.

Skończyła lekcje i poszła pożegnać się z ogrodem. Zuzanny nigdzie nie było widać, również w oddzielonej kratą części budynku zamieszkaney przez nauczycieli nikt się nie ruszał, było świąteczne popołudnie, błogosławiony wolny czas. Gina doszła aż do posągu, usiadła przed nim i patrzyła na ogród. Trzymała na kolanach książkę, ale jej nie czytała. Potrzebna jej była ona jedynie po to, by któryś z nauczycieli kierowany dobrymi chęciami nie przysłał jej towarzystwa, żeby nie czuła się taka samotna. Była to powieść Daudeta *Okruszek* w języku francuskim. Znała ją zresztą prawie na pamięć i gdyby ktoś ją zapytał, mogłaby opowiedzieć choćby po francusku. Udając, że czyta, rozmyślała. Nagle na zwirowej alejce usłyszała za sobą kroki, obejrzała się, by zobaczyć, kto nadchodzi. Ujrzała Aradi z ósmej klasy, przewodniczącą młodzieży, która na inauguracji roku niosła szkolny sztandar. Zbliżała się powoli, a na jej twarzy malował się dojmujący smutek.

Gina przesunęła się na ławce, ucieszona, że ósmioklasistka zabłądziła aż tutaj. Aradi zawsze z nią rozmawiała, gdy się spotkały, i Gina nie musiała się obawiać, że będzie ją traktować jak powietrze albo recytować łacińskie przyimki. O przerażającej dyscyplinie matulanek i ich umiejętności milczenia najlepiej świadczy to, że nikt spoza piątej klasy nie wiedział, jak ukarano zdrajczynię. Mniejsze więc było niebezpieczeństwo, że któraś z dziewcząt z innej klasy zapomni się i opowie swojemu wychowawcy o szczególnym przypadku Georginy Vitay.

Aradi tym razem niechętnie usiadła obok niej, zdawkowo odpowiadała na pytania Giny, po czym poprosiła, aby dziewczynka pobiegła do świetlicy ósmej klasy zobaczyć, czy dziewczęta skończyły już odrabianie lekcji. To, że ta bezsensowna prośba jest tylko pretekstem, by się jej pozbyć, było tak oczywiste, że Ginę ogarnął niepokój, czy już i do ósmej klasy nie dotarła wieść o tym, że ją wykleto, i czy one również postanowiły się do niej nie odzywać. Wstała urażona, jakkolwiek pośpiech, z jakim Aradi chciała ją odprawić, wskazywał, że chodzi tu o coś innego. Pobiegła, jak ją o to proszono, ale zaraz zatrzymała się za wielką kamienną urną, która zasłoniła ją całkowicie przed Aradi, i obejrzała się. O żadnym tajemniczym spotkaniu wśród tych murów nie może być mowy, więc jakąż tutaj kryje się przyczyna?

Raptem zobaczyła kartkę, którą Aradi wyciągnęła z kieszeni... W tej samej chwili przewodnicząca młodzieży

straciła w jej oczach cały swój autorytet. Aradi, która nosi sztandar na uroczystościach szkolnych, jak jej nie wstyd! Więc i ona przyszła do Abigél z jakimś idiotyzmem. Gina nie chciała już więcej patrzeć na tę hańbiącą scenę, jak owa dziewczyna wsuwa list do dzbana Abigél, i pobięła do świetlicy odszukać ósmoklasistki, skoro ją o to proszono. Dziewczęta oczywiście już dawno uporały się z lekcjami i teraz ćwiczyły w sali gimnastycznej. Naturalnie Aradi wiedziała o tym o wiele wcześniej niż ona. Kiedy Gina wróciła do ogrodu, przewodnicząca młodzieży szła już jej naprzeciw. Wydawała się pogodniejsza, jak ktoś, komu udało się podzielić z kimś innym swoimi kłopotami. Gina powiedziała jej to, czego się dowiedziała się od ich diakonisy – że klasa pod kierunkiem Gertrudy Truth ćwiczy w sali gimnastycznej, ponieważ uczennice ze świeckiego gimnazjum zaprosiły je na jakieś zawody i dziewczęta otrzymały zezwolenie na dodatkowe treningi. Niech się Aradi pospieszy, żeby nie zauważono jej nieobecności. Ósmoklasistka ruszyła biegiem do sali gimnastycznej, a Gina znów została sama w ogrodzie.

Jakąż tajemnicę może mieć ta przesadna dziewczyna? Gina pobięła do posągu i zanurzyła rękę w dzbanie. Natychmiast natknęła się na kartkę Aradi. „Wiem, że tylko z poważnymi kłopotami należy się do Ciebie zwracać, ale wierz mi, Abigél, że jestem rzeczywiście w wielkich opałach. W zeszycie do odrabiania zadań matematycznych zostawiłam zdjęcie Janiego, na którym stoimy razem objęci, a które nam zrobiono przed

pójściem Janiego na front. Co będzie ze mną, gdy je znajdą? Jak wówczas zdam maturę? Korzystam z fundacji stypendialnej i jeśli mnie stąd usuną, jeśli będę musiała przejść do innej szkoły, rodzice nie będą w stanie zapłacić czesnego i wówczas koniec ze mną. Pomóż mi, Abigél!”

Och, że też ta Aradi się nie wstydzi! Gina włożyła z powrotem kartkę do dzbana, chociaż miała ochotę ją zniszczyć. Z pewnością Abigél zaraz zstąpi z cokołu i ruszy naprzód kamiennymi krokami, wejdzie do pokoju nauczycielskiego, zajrzy do szafy z wypracowaniami, wyjmie z zeszytu Aradi zdjęcie i zwróci je dziewczynie, po czym poprawi fryzurę, a ponieważ tak się już rozruszała, wyjdzie przez bramę i pójdzie do kina. Gina była rozdrażniona i idąc po podwieczorek, a później jedząc rogalik z jabłkiem, myślała o ósmoklasistkach jak o niemowlakach.

Po spacerze dyżur pełniła siostra Elżbieta. Zuzanna miała dzień wolny. Wszystkie piątoklasistki siedziały w świetlicy. Później Gina dowiedziała się, że to również należało do tutejszych tradycji, aby w wigilię podwieczorku u Mici Horn klasa, która miała w nim uczestniczyć, przeznaczyła wolne sobotnie godziny na doskonalenie swojej znajomości Biblii i tym samym okazała wdzięczność i pokorę. Dziewczęta przepytywały się nawzajem z Pisma Świętego. Bánki stawiała pytania. Gina już od dawna podziwiała absolutną pewność, z jaką Bánki wskazywała, który cytat skąd pochodził, kto to napisał lub kto powiedział. Wiedziała jednak, że jej o nic

nie będą pytać. Nigdy nie pytały, dlaczego miałyby więc to uczynić właśnie teraz. Zauważyła również, że siostrę Elżbietę tak dalece pochłonęło i skłoniło do rozmyślań to piękne popołudniowe zajęcie, że nie zwracała zbyt wielkiej uwagi na dziewczęta, i Gina postanowiła teraz wymknąć się z sali i wydobyć swoje skarby. Wieczorem będzie już bowiem Zuzanna, która stale krąży po korytarzu, zagląda do łazienki i jest bardziej spostrzegawcza niż siostra Elżbieta. Kiedy więc padło jakieś szczególnie trudne pytanie i wszystkie uczennice łamały sobie głowę nad odpowiedzią, wymknęła się za plecami Elżbiety ze świetlicy. Miała ochotę biec, ale musiała uważać, żeby się zanadto nie spieszyć. Zakradła się do łazienki i nie mogąc złapać tchu, szybko, aby jak najprędzej się z tym uporać, podniosła skrzynkę z pelargoniami i wyjęła ukryte pod nią swoje rzeczy. Były trochę wilgotne, ale nic im się nie stało. Jak widać, dyżurne podlewały kwiaty niedbale. Umieściła skrzynkę z powrotem na swoim miejscu, później szybko zaniosiła rzeczy do sypialni, ukrywając wszystko z wyjątkiem stu pengö pod materacem. Ale bez pożegnania jednak nie odejdzie. Wyrwała kartkę z kalendarzyka i jak potrafiła najpiękniej, wykaligrafowała: „Nienawidzę Was wszystkich. Bawcie się nadal w tym więzieniu w te swoje idiotyczne zabawy, ja stąd uciekam. Vitay”. Tak. Później to znajdą, gdy ściagną pościel.

Banknot ukryła w pantoflu. Kiedy zasną, przełoży go do torby. Ojciec napisze później z domu, że córkę posłał

już do innej szkoły, i poprosi Zuzannę, aby odesłała wszystkie jej drobiazgi, które zostawiła pod materacem, i wszystkie rzeczy, które zabrała magazynierka.

Udało jej się niepostrzeżenie wrócić do świetlicy i miała wrażenie, że nikt nie zauważył jej kilkuminutowej nieobecności. Elżbieta nawet się nie odwróciła na odgłos otwieranych drzwi.

Wieczorem wyświetlono im film geograficzny, obejrzała go nawet z zainteresowaniem. Była spokojna i pogodna jak nigdy. Kalmár komentował wyświetlane obrazy, ponieważ film był niemy. Nie mieli niestety aparatury do wyświetlania filmów dźwiękowych. Gina położyła się najwcześniej ze wszystkich i natychmiast odwróciła się do ściany, ponieważ chciała wszystko spokojnie przemyśleć, zastanowić się nad tym, co musi jeszcze zrobić. Słyszała, że dziewczęta coś o niej mówią, z ich szeptu dolatywało tylko jej nazwisko. Jednak wcale jej to już nie interesowało. Od czasu do czasu również nazwisko Aradi podpływało do niej z cichych rozmów niczym błyszcząca ryba. Ale i to także jej nie zaciekało. Aradi straciła wszystko w jej oczach.

Tak jak pierwsza się położyła, tak również pierwsza wstała w niedzielę rano i natychmiast po umyciu i ubraniu się zjawiała na miejscu zbiórki. Banknot jeszcze wieczorem ukryła w torbie. W kościele złapała się na tym, że modliła się zupełnie innymi słowami niż wielebny pastor; ona prosiła tylko o jedno – żeby udało się to, co ma dziś zamiar zrobić. Po nabożeństwie nie wróciły tak

jak inne klasy na pensję, lecz wyjątkowo udały się przed południem na spacer, ponieważ wieczorem miały iść na herbatkę do Mici Horn. Z twarzy Giny tak bardzo promieniowały pogoda ducha i humor, że aż Zuzanna to zauważyła i powiedziała, iż widać, jak Gina cieszy się na ten podwieczorek, co zresztą zrozumiała, gdyż spotkanie z Mici Horn jest wielkim przeżyciem. „Gwiżdżę na nią – pomyślała Gina. – Wszystkie tradycje związane z Mici Horn są idiotyczne, ale teraz wyjątkowo nie gniewam się na nią tak jak zwykle, ponieważ bez swojej wiedzy dopomoże mi w ucieczce”.

Po południu do Mici Horn poprowadził je Kalmár. Zuzanna szła na końcu, za klasą. W uroczystym czarnym stroju, w maleńkim olśniewająco białym czepeczku na ogromnym koku była odświętnie piękna. Ginie, mimo że czym innym była teraz zaabsorbowana, przyszło nagle do głowy, jak bardzo pasowałoby do siebie Zuzanna i Kalmár. Bukiet, który klasa miała ofiarować Mici Horn, ułożyła Salm, ale kiedy pokazała go Kalmarowi, aby pochwalił kompozycję, ten przekazał go Ginie. „Ponieważ Gina – powiedział – dzisiaj po raz pierwszy zobaczy Mici Horn, niech więc ją spotka radość wręczenia kwiatów tej niezwykłej kobiecie”. Gina jeszcze wiele lat później, kiedy była już dorosła, doskonale pamiętała mordercze spojrzenie Salm, które ta jej rzuciła, kiedy usłyszała, że wyklęta Vitay będzie niosła bukiet z takim artyzmem i uwielbieniem przygotowany przez nią dla Mici Horn.

Wychodząc, zabrały ze sobą płaszcze, ponieważ niebo gwałtownie się zachmurzyło i zanosiło się na deszcz. Ginę szczególnie to uradowało, nawet ołowiane niebo było tego dnia jej sprzymierzeńcem. Płaszcz był jej bardzo potrzebny, gdyż planowała jechać nocą i nie miała ochoty w ciągu tej całej długiej drogi aż do samego Pesztu trząść się z zimna w czarnym swetrze zakładanym zwykle na spacer w okresie jesiennym. Wieczorem będzie zupełnie ciemno i jeśli zacznie padać, przechodnie będą się spieszyć do domów i nie zwrócą może uwagi na samotną matulanę, zdążającą w kierunku stacji. Árkod jest tak dużym miastem, że na pewno jest stąd więcej pociągów do Budapesztu, a może będzie miała szczęście i trafi na taki, który zaraz odjeżdża.

Szły ulicami, których jeszcze nie знаła ze spacerów. Im bardziej zbliżały się do domu Mici Horn i do stacji, tym bardziej Gina stawała się podniecona. Skręcając z jakiejś bocznej ulicy w prawo, przecięły plac. Stała tam rzeźba przedstawiająca postać kobiecą o cierpiącej twarzy, pozbawioną rąk i nóg. „Również w Árkodzie jest pomnik Cierpiącej Hungarii⁵” – pomyślała Gina. Kalmár polecił jej, aby wyciągnęła z bukietu parę róż i pobiegła złożyć pod statua.

Innym razem ucieszyłoby ją, że dzieje się coś choć odrobinę innego od tych zawsze jednakowych czynności. Teraz jednak jej to nie obchodziło, tak dalece zajęta była własną sprawą. Niemniej chciała wykonać polecenie ku zadowoleniu Kalmára i wystąpiwszy z szeregu, zbliżyła

się do pomnika, szukając miejsca, gdzie róże prezentowałyby się najlepiej. Jej spojrzenie zatrzymało się na cokole, na którym nisko bielila się jakaś mała tabliczka, z pewnością z nazwiskiem artysty, który pomnik wyrzeźbił. „Co za dziwny zwyczaj, aby w ten sposób zaznaczać nazwisko rzeźbiarza – myślała Gina – zwykle ryje się je w kamieniu”. Położyła róże przed smętnym tułowiem okaleczonej postaci kobiecej, lecz kiedy się pochyliła, jej oczy znalazły się w jednej linii z owym napisem i okazało się, że nie jest to żadna tabliczka, lecz kawałek papieru przypominający ogromną nalepkę, jaką zwykło się naklejać na dzienniku klasowym. Na kartce tej widniały namalowane tuszem krzyczące czarne litery:

**NIE PRZELEWAJCIE BEZSENSOWNIE KRWI
WĘGERSKIEJ!WOJNĘ PRZEGRALIŚMY,
ZACHOWAJCIE SWOICH SYNÓWDLA
ROZUMNIEJSZEJ PRZYSZŁOŚCI!** Stała wpatrzona w napis i nie wierzyła własnym oczom. Kalmár krzyknął, żeby wracała, i Gina się odwróciła, ale na jej osłupiałej twarzy wyraźnie było widać, że odkryła coś zaskakującego, więc zostawił klasę i podszedł do pomnika. Pochylił się nad napisem, po czym zawołał Zuzannę, a Ginie kazał wrócić do szeregu. Twarz Kalmára była czerwona, jakby go spoliczkowano.

Gina zaś rozkoszowała się sytuacją, jedynie ona z całej klasy wiedziała, co się stało. Dziewczęta nie mogły bowiem wyjść z szeregu, żeby zobaczyć, co takiego

interesującego jest na tym pomniku. Gina spojrzała z uśmiechem na Mari Kis i Tormę, milczała. Ale klasa też była twarda: żadna z dziewcząt nie zapytała jej o nic, tylko atmosfera wokół stała się znów bardziej lodowata, jakby nagle otworzono drzwi nieogrzewanego przez całą zimę pokoju. „Nie szkodzi – myślała – jeszcze najwyżej dwie godziny i więcej już was nie zobaczę”. Na lekcjach obrony kraju Kalmár mówił o tym, że w okresie wojennym wrogie elementy starają się wpłynąć na ogólny nastrój ludności, ale Gina jakoś nigdy nie potrafiła sobie wyobrazić, jak to wygląda w rzeczywistości. Teraz już wie. To chyba jest tak zwana prowokacja. Ciekawe, co na to powie ojciec, jak mu wspomni o tym wydarzeniu.

Zuzanna stała odwrócona plecami do klasy i nie można było zobaczyć, jaką zrobiła minę w reakcji na to, co Kalmár jej pokazał. Szeptali coś między sobą, po czym Zuzanna wróciła do klasy i powiedziała, że pan wychowawca musi teraz załatwić pewną sprawę i później je dogoni. One tymczasem pójda powoli w kierunku domu Mici Horn. Dziewczęta ruszyły ze smętnymi minami, diakonisa zaś narzuciła takie tempo, jakby szły w kondukcje żałobnym. Szabó odwróciła głowę, lecz Zuzanna zaraz ją skarciła.

– Patrzymy przed siebie!

Nie można więc było zobaczyć, co się działo teraz wokół pomnika.

„Kalmár pewnie zdrapuje albo zdziera nalepkę – myślała Gina – potem poszuka policjanta i zamelduje. Z

pewnością tak zrobi, bo przecież i nas tak uczył. Stoi tam teraz niczym święty Jerzy, rycerz Cierpiącej Hungarii”.

Zaczął padać deszcz. Kilku przechodniów, których widać było z daleka, skryło się pod jakimś dachem, zniknęło. „Idźcie sobie, idźcie – szeptała w duchu Gina – im mniej was będzie na ulicach, tym dla mnie lepiej”.

Dom Mici Horn był dalej, niż sądziła, ale może tylko dlatego tak jej się wydawało, że wlokły się niemiłosiernie. Kalmárowi rzeczywiście udało się je dogonić i jakby nigdy nic zajął dawne miejsce na czele klasy. Ginie nikt nie powiedział, który dom należy do Mici Horn, lecz sama zaraz to odgadła. Dawna matulanka, która miała takie rewelacyjne pomysły, mogła mieszkać tylko w tym jednopiętrowym smukłym domku z bajki z mansardą. Mansarda troszeczkę wystawała w stronę ulicy, tak jakby nawet strych był ciekawy, co też się dzieje tam na dole. Okna były wąskie, głębokie, brama zaś, a właściwie rudobrazowe, lśniące drzwi otwierały się bezpośrednio na ulicę i osłaniał je mały daszek. Nie miały nawet klamki, lecz wielką mosiężną gałkę. Ogródu nie było widać. Może znajduje się na tyłach budynku, jeśli w ogóle jest. Ale za to było coś, co w danym momencie zainteresowało Ginę o wiele bardziej niż ogród: suterena, której okna znajdowały się na tej samej prawie wysokości co chodnik i żadne nie miało kraty. Stacja też musiała być blisko, czuło się dym z pociągów. Nie musi nawet nikogo pytać, jak dojść do stacji, trafi tam za dymem. Och, co za szczęście, że Mici Horn mieszka akurat tutaj, blisko

torów! Mici! Zabawne, że i Gina nazywa ją tak zdrobniale, zresztą wszystkie dziewczęta tak mówią, sama zaś Mici ma pewnie z tysiąc lat! Jeśli w chwili wybuchu pierwszej wojny światowej była narzeczoną i chodziła do ósmej gimnazjalnej, to teraz musi mieć już chyba z czterdzieści siedem albo osiem lat. Staruszka. Zuzanna zadzwoniła. Prawie natychmiast im otworzono, jakby gospodyni wyglądała przez okno, czekając, kiedy nadejdą. Szczupła, drobna pani, która otworzyła im drzwi prowadzące do holu i uśmiechnęła się do nich, w niczym nie przypominała owej niezdarnej, tęgawej, stale chichoczącej starej kobiety, jaką sobie wyobrażała Gina. Mici Horn była smukła, zgrabna, miała na sobie nadzwyczaj elegancką wizytową suknię, w pięknych, zadbanych włosach nie było widać siwych nitek. Miała śliczne oczy, których spojrzenie przypominało zielony połysk drogiego kamienia. Kiedy Kalmár ucałował rękę gospodyni, Gina przez moment zapomniała, z jakim planem tu przyszła, i pomyślała, że oto po skończeniu szkoły każda z nich może się znaleźć w takiej sytuacji, że nauczyciel, który przez cały czas nauki nimi komenderował, każąc przynieść kredę lub poszukać dziennika klasowego, będzie całował je potem w rękę. I przyszło jej jeszcze do głowy, że może jednak ta Mici Horn jest lepsza, niż to sobie wyobrażała, bo przecież zaprosić co miesiąc tyle dziewcząt, ugościć je i zabawić to nie jest bagatelka, a poza tym naprawdę nie można nazwać jej brzydką, gdyż jest o wiele ładniejsza nawet od

ciotki Mimó.

Piąta klasa zachowywała się z niezwykłą skromnością i dyscypliną. W przedpokoju w zupełnej ciszy zdejmowały i wieszały palta i tak bezszelestnie przechodziły do pokoju, że Zuzanna skinieniem głowy dawała znak, jak bardzo jest zadowolona z ich zachowania. Kiedy Gina weszła do salonu i zobaczyła otoczenie Mici Horn, od razu zrozumiała, co oprócz tysiąca innych problemów gnębiło kiedyś była matulanke wśród murów owej twierdzy. Brakowało jej z pewnością piękna. Nużyła ją owa harmonia w tym surowym, ponurym świecie, gdzie były tylko przedmioty pierwszej potrzeby: łóżko, stół, krzesło. Salon Mici Horn trochę przypominał ich salon w Peszcie, a także salon cioci Mimó.

Teraz Gina wręczyła kwiaty. Kalmár przedstawił ją Mici Horn, a ta zapytała, czy Gina po raz pierwszy w życiu jest na pensji. Gina potwierdziła i była pewna, że zaraz usłyszy, jakie to ma szczęście, że właśnie tutaj się dostała, że jeśli już pensja, to tylko ta, Matula jest pępkiem świata, zastępuje człowiekowi matkę i ojca, i tak dalej. Ale Mici Horn nic nie powiedziała, tylko położyła swą delikatną dłoń na ramieniu Giny, jakby chciała rzec: „Biedne dziecko, jakże ci tu musi być ciężko!”. Dziewczynka przekonała się teraz, jaki szczególny urok roztacza ta kobieta, i poczuła, że podobnie jak wszyscy, którzy się zetknęli z Mici Horn, zaczyna mu się poddawać. Nie chciała jednak jej polubić i walczyła z

budzącą się sympatią.

Wkrótce pokój wypełnił się wesołymi głosami. Sześć małych stolików nakryto do podwieczorku wspaniałą zastawą porcelanową i srebrem, a Mici Horn zachęciła dziewczęta, by natychmiast przystąpiły do jedzenia, gdyż im wcześniej się z tym uporają, tym więcej czasu zostanie na zabawę. Zuzanna rozsadziła je przy stolikach, musiały zająć miejsca w tej samej kolejności co w jadalni na pensji, a więc Gina siedziała naprzeciw Ari, po prawej ręce miała Tormę, a po lewej Mari Kis. Miały wspaniałe miejsca tuż przy głównym stole, za którym siedziała gospodyni z Kalmárem i diakonisą. Po herbatę musiały podchodzić do ich stołu i sama Mici Horn nalewała ją do filiżanek z nieustannie szumiącego samowaru. Była to prawdziwa, mocna, aromatyczna herbata, a nie obrzydliwa namiastka, jaką pojono je na pensji. Gina z rozkoszą popijała herbatę i nieprzyzwoicie często sięgała do ułożonych na półmisku kanapek. Wiedziała bowiem, że nim dotrze do Pesztu, nie będzie miała więcej okazji, żeby coś zjeść. Reszta towarzystwa też chyba nie zje dziś kolacji, ponieważ wszyscy będą jej szukać, od chwili kiedy stwierdzą, że zniknęła, a szczególnie Zuzanna i Kalmár jako osoby za nią odpowiedzialne. Z rozmowy dziewcząt przy stoliku Gina dowiedziała się, że zdjęcie w srebrnych ramkach stojące na parapecie kominka przedstawia syna Mici Horn, który w zeszłym roku poległ nad Donem. Dziewczęta zastanawiały się także, dlaczego Mici Horn nie wyszła powtórnie za mąż po śmierci męża,

który zmarł z powodu jakiejś choroby nabytej na froncie w czasie pierwszej wojny światowej. Przypuszczalnie nie chciała, aby jej syn miał ojczyma. Jest zresztą tak ładna, że ciągle jeszcze mogłaby wyjść za mąż, tym bardziej teraz, kiedy ten biedny chłopiec zginął.

Gina tylko jednym uchem słuchała tego, co mówią, zastanawiała się bowiem, kiedy podejść do Zuzanny i zapytać, gdzie jest toaleta. Będzie udawać, że boli ją żołądek, i przeprowadzi oględziny terenu, a gdy znajdzie okno, przez które będzie mogła się wydostać, po prostu ucieknie z sutereny na ulicę. Będzie wychodziła trzykrotnie, za każdym razem zostanie nieco dłużej, a za czwartym już nie wróci. Na razie nie może się ruszyć, musi poczekać do końca podwieczorku. Ari, Torma i Mari Kis wymieniały teraz odrzuconych konkurentów Mici Horn, Gina zaś zaczęła nasłuchiwać, o czym też mówią przy głównym stole. Stał tak blisko, że wszystko słyszała.

– Znowu? – zapytała Mici Horn. – Tym razem gdzie?

– Przy pomniku Cierpiącej Hungarii – odpowiedział Kalmár.

– To zadziwiające, że nie mogą dojść, kto to robi – powiedziała Mici Horn.

– Dojdą – stwierdziła Zuzanna.

– Ostatnio w kościele znalazłam w ławce małą kartkę pisaną na maszynie – opowiadała Mici Horn – wzięłam ją, ponieważ myślałam, że jest to zaproszenie na herbatkę stowarzyszenia kobiet lub jakaś kościelna informacja. Tymczasem był to fragment tekstu nadanego przez radio

moskiewskie. Myślałam, że zemdleję. We wszystkich ławkach były takie kartki.

– Powinni schwytać tego drania jak najszybciej – powiedział Kalmár. – Z takim to nie ma co się patyczkować, tylko powiesić. Zameldowałem o tym policjantowi i teraz przy pomniku jest straż, obserwuje, czy ewentualnie nie wróci. Nasi synowie przelewają krew na froncie, a ten tutaj sieje zamęt w opinii publicznej, denerwuje matki.

Mici Horn w milczeniu mieszała łyżeczką herbatę. W pewnej chwili spojrzała na kominek. Chłopiec na zdjęciu w dużej srebrnej ramce, ubrany w koszulę z wyłożonym kołnierzykiem, stał uśmiechnięty obok konia, trzymając go za uzdę. Podobny był do matki. Gina umiała sobie doskonale wyobrazić, jaka była wówczas Mici Horn, osiemnastoletnia przyjaciółka Abigél, kiedy jeszcze potrafiła się tak śmiać, że aż słyszeć ją było w portierni.

– Chętnie byłbym obecny na jego egzekucji – dodał Kalmár.

– Panie profesorze! – skarciła go Zuzanna. Powiedziała to dokładnie takim samym tonem jak wtedy, kiedy zwykła im zwracać uwagę, jeśli któraś z dziewcząt wyraziła się niegrzecznie lub zachowała nieodpowiednio. Kalmár spuścił głowę, ale zaraz ją podniósł i spojrzał Zuzannie prosto w oczy. „Jego nie potrafisz zastraszyć – pomyślała Gina. – To jest mężczyzna i uczy obrony ojczyzny. Jemu nie można prawić kazań, on naprawdę rozprawiłby się z wrogami kraju”. Mici Horn uśmiechnęła

się nieznacznie i jakby chcąc rozładować napięcie, dotknęła dzwonka leżącego obok nakrycia. Na jego dźwięk weszła stara kobieta, niosąc na ogromnym talerzu różnego rodzaju ciastka. Jej ubiór świadczył, że należy do personelu, ale Gina tak się jej przestraszyła, jakby to weszła księżna. Zrugwała też siebie w duchu, jak mogła tak głupio myśleć, że Mici Horn, taka bogata pani, sama jedna mieszka w tym domu. To oczywiste, że ktoś tu jeszcze przebywa poza nią. Zresztą wszystko jedno, zejście do sutereny, która jest niezamieszкана, i tak znajdzie i przez okno wydostanie się z domu.

Gospoia chodziła od stolika do stolika, częstując gości ciastkami. Mici Horn wydawała jej tylko ustne polecenia. Dziewczętom natomiast oznajmiła, że po podwieczorku zaplanowała zabawę w loterię fantową. Jeśli już nie będą chciały więcej herbaty i ciastek, niech zbiorą ze stolików filiżanki i talerzyki i postawią je na kredensie, potem dyżurna może rozdać tabelki loterii, które są w pudełku z prawej strony kominka. Później ona sama będzie ciągnęła losy, ponieważ zależy jej, aby pan profesor i siostra także wzięli udział w zabawie. Jest dużo fantów, różne rzeczy można wygrać, niech no tylko zajrzą do tego pudła na kapelusze, które stoi na taborecie przy fortepianie – wypełnione jest prezentami. Dziewczęta błyskawicznie i cicho uprzątnęły nakrycia ze stolików i otrzymały tabelki. „Bawcie się, bawcie – myślała Gina – dla was to prawdziwa sensacja wygrać pięć stalówek lub cytat z Biblii wydrukowany na kartoniku złotymi literami.

Mnie czeka bardziej pasjonująca zabawa”.

Zuzanna spojrzała z naganą, gdy Gina podeszła i nachyliła się nad nią.

– Żołądek? – spytała cicho diakonisa. – Ejże, czy mam z tobą wyjść?

– Nie – szepnęła zawstydzona Gina, gdyż Kalmár i Mici Horn zaprzestali rozmowy i obserwowali ją. – Aż tak źle się nie czuję.

– Toaleta jest i na górze, i na dole – wyjaśniła Zuzanna. – Ale ty idź na dół, po co masz korzystać z toalety pani Mici.

O tak, tego może być pewna! Wychodząc, słyszała jeszcze, jak Zuzanna powiedziała do Mari Kis, aby ciągnęła losy także za Ginę, dopóki nie wróci. Mici Horn sprzeciwiła się jednak temu i poprosiła o tabelkę Giny, mówiąc, że zagra za nią, aby nie obciążać tym jej koleżanek. Gina wyszła do holu.

Rozejrzała się uważnie. Okna jak wszędzie, jak i na pensji, zasłonięte były czarnym papierem, ale doskonale było wszystko widać, ponieważ na schodach i w holu paliły się lampy. Zbiegła do sutereny. Stara kobieta nie widziała jej, ale było słychać, że krząta się gdzieś w pobliżu, chyba coś piekła, gdyż w powietrzu unosił się zapach wanilii. Gina otworzyła kolejno drzwi do dwóch pomieszczeń, ale dopiero w trzecim znalazła to, czego szukała. Wymacała kontakt i zapaliła światło, także tutaj czarny papier w oknie zasłaniał zewnętrzny świat. W łazience dla personelu wanna stała wzdłuż ściany od

ulicy. Jeśli więc stanie na brzegu wanny, otworzy trochę za wysoko znajdujące się okno i podciągnie się na parapet, w ciągu minuty znajdzie się na zewnątrz.

Spuściła wodę, jakby korzystała z ubikacji, i już z powrotem była w holu. Tutaj wystarczy ręką sięgnąć do wieszaka i schwycić płaszcz, to również nie będzie stanowiło problemu. Kapelusza nie weźmie, zbyt się rzuca w oczy, taki noszą bowiem wyłącznie matulanki. Płaszcz może nie zostanie zauważony w mroku. Kiedy wróciła do salonu, Mici Horn zdążyła już dla niej wygrać dwie paczuszki wafelków. Gina była jej za to szczególnie wdzięczna, zaraz też wsunęła je do torby, przydadzą się na drogę. Ktoś zwrócił uwagę, że na dworze grzmi, a stara kobieta, która weszła z nowym talerzem pełnym ciastek, powiedziała, że deszcz leje jak z cebra.

Po przeszło dwudziestu minutach Gina po raz drugi poprosiła o pozwolenie wyjścia. Teraz Zuzanna przyłożyła jej rękę do czoła, badając, czy nie ma przypadkiem gorączki. Mici Horn zapytała, czy nie dać jej jakiegoś lekarstwa. Kalmár zaś odwrócił głowę jak ktoś, komu jest niezręcznie słuchać o czymś takim. Gdy Zuzanna zabroniła Ginie jeść więcej ciastek i zabrała jej talerzyk, Mari Kis i jej towarzyszki wymieniły spojrzenia, w których kryła się radość z cudzego nieszczęścia. Jak widać, wszystkie ucieszyły się ogromnie, że Gina zachorowała właśnie wtedy, kiedy częstują je takimi przysmakami. Mici Horn znów za nią grała, ale tym razem los był pusty.

Kiedy wyszła po raz ostatni, nie prosiła już nawet o pozwolenie. Wstając, słyszała, jak diakonisa głośno się zastanawia, czy nie byłoby lepiej, gdyby wcześniej wróciła z Giną na pensję, a pan profesor Kalmár przyprowadziłby później resztę. Jednak Mici Horn się sprzeciwiła – ależ skąd, nie wypuści ich w taki deszcz, niech przynajmniej poczekają, aż trochę ustanie, dziewczynce to i tak nic nie pomoże, jeśli wyjdą wcześniej. Teraz Gina zdecydowała, że nadszedł czas działać, ponieważ skrupulatna Zuzanna może jej popsuć cały plan, jeszcze zejdzie za nią do toalety albo siłą zaciągnie ją na pensję.

Nadeszła więc ostatnia minuta, chwila pożegnania. Przyjrzała się dziewczętom po raz ostatni. To dziwne, ale obraz, który ze sobą zabierze, bardzo nie pasuje do otoczenia na pensji: wśród pięknych dzieł sztuki, na krzeselkach obitych jedwabiem siedzą pensjonarki, jedzą wspaniałe przysmaki i nie ma tu nic przysadzistego, czarnobiałego, tylko migocący płomień w kominku i błysk sreber. Zuzanna jest dziś tak niezwykle piękna, a Kalmár, od chwili gdy zażądał głowy nieznanego podżegacza, jeszcze bardziej męski. „Serwus, Mari Kis, ty nieprzejednana i wstrętna, serwus, Torma, Ari, Salm i wy wszystkie”. Teraz Feri wydawał się zupełnie realny, a Peszt tak bliski jak nigdy. Znów jej przyszło do głowy terrarium, ale już nie złościła się z tego powodu.

Stara kobieta przeszła koło niej przez hol, na porcelanowej tacy niosła pieczone jabłka. Gina zaczekała,

aż zniknie w salonie, po czym porwała płaszcz z wieszaka i zbiegła do łazienki. Tym razem nie zapaliła światła. Wierzyła tylko w dotyk swoich palców. O, tutaj jest wanna i na niej trzeba stanąć, tam zaś będzie parapet, którego musi się uchwycić. Udało się! Otworzenie okna nie sprawiło już trudności, gorzej było wdrapać się na parapet. Ale dzięki Gertrudzie Truth mięśnie miała doskonale wyćwiczone i udało jej się znaleźć na parapecie. Najpierw wystawiła przez okno głowę i rozejrzała się, ale nikogo nie było na ulicy, deszcz lał beznadziejnie. Wreszcie wydostała się na zewnątrz, okno przymknęła na tyle, na ile było to możliwe, i zaczęła biec nieznaną sobie, słabo oświetloną ulicą w kierunku, z którego przedtem dolatywał dym.

Była wolna! Miała ochotę krzyczeć z radości, ale oczywiście nie mogła tego zrobić. Doszedłszy do końca ulicy, ujrzała w niebieskim świetle lamp duży plac. Od razu się zorientowała, że stacja jest tuż-tuż, ponieważ w mizernym oświetleniu widać było nie tylko szyld gospody „Kolejowa”, lecz także niski, długi budynek dworcowy z odkrytymi peronami. Tutaj należało już iść wolniej, mimo że każda minuta była droga. Bała się, żeby jej nie zatrzymano i nie zaczęto wypytywać, po co biegnie na stację w taki deszcz bez parasola i bez kapelusza. Dopiero tuż przed stacją przyspieszyła kroku, przyszło jej bowiem do głowy, że gdyby ją teraz ktoś zagadnął, może odpowiedzieć, że spieszy się na pociąg, który zaraz odjeżdża. Weszła do hali dworcowej, w której oświetlone

było tylko jedno okienko kasy i panował podejrzany spokój. „Boże – myślała Gina – dlaczego nie ma tu nikogo? Chyba to niemożliwe, żeby teraz nie było żadnego pociągu?”

Wyciągnęła sto pengó i podała przez okienko.

– Chciałabym jechać do Pesztu – rzekła do drzemiącego kasjera. – Kiedy odjeżdża najbliższy pociąg?

– Za półtorej godziny – ziewnął kolejarz. – Jeśli nie będzie większego opóźnienia.

– Wcześniej nie ma?

– Skąd miałby być? I tak cud, że ten kursuje. Nie wie pani, że od początku wojny na wszystkich liniach kursują tylko po dwa składy?

Nie wiedziała. W Peszcie jeździła wyłącznie samochodem. Zaskoczona gapiła się na obojętną twarz urzędnika. W ciągu półtorej godziny odnajdą ją i zabiorą na pensję. Kasjer tarł oczy, jak widać, nic go nie interesowało poza tym, że jest śpiący. Z zewnątrz słychać było świst, sapanie, Gina spojrzała w bok: wewnętrzne drzwi hali otwierały się na perony, na pierwszym stał jakiś pociąg i dymił.

– A ten pociąg dokąd jedzie? – spytała. Ledwo mogła mówić ze zdenerwowania.

– Do Dömölke. W przeciwnym kierunku. Rusza za dwie minuty.

– Nie szkodzi. Proszę jeden bilet do Dömölke. Tylko szybko!

Kasjer wydał jej bilet, dziwiąc się w duchu, jak to

niektórym dobrze się powodzi, mogą sobie podróżować w dowolnym kierunku. To Peszt, to Dömölke. To tu, to tam. Nie ma to jak być młodym. Ależ niespokojna ta dziewczyna, prawie wyrywa mu z ręki dziesiątki, które dostała jako resztę. Jeśli ktoś tak się spieszy, to dlaczego płaci setką? No, pał sześć, pędzi już przez halę.

„Tylko się stąd wydostać, dokądkolwiek” – myślała, biegnąc. W Dömölke będzie bezpieczna, a może jeszcze uda się jej złapać nocny pociąg do Pesztu albo rano zadzwoni do domu. Wszędzie znajdzie się jakaś wojskowa jednostka, odszuka starszego stopniem wojskowego, przedstawi mu się i poprosi, żeby jej pozwolono zaczekać, dopóki nie przyjedzie po nią ojciec. Żeby się tylko wydostać z Árkodu, gdzie mogą ją schwytać i od nowa zamknąć w twierdzy. Biegnąc, pośliznęła się na mokrej kamiennej posadzce hali i prawie upadła na kolano. Tam przed nią jest wyjście na peron i pociąg – jeszcze zostało chyba coś z tych dwóch minut, kilka sekund przynajmniej, jeszcze zdąży wsiąść. Na progu z całym impetem zderzyła się z kimś, kto właśnie wchodził do hali. Gdyby ten ktoś jej nie podtrzymał, byłaby upadła. Chciała powiedzieć „przepraszam”, ale słowo uwięzło jej w gardle, bo ten ktoś, kto ją podtrzymywał, odezwał się pierwszy.

– Przepraszam – bąknął. – Uderzyłem panią? Jakże mi przykro. Dokąd to tak się spieszymy?

König zmieszany spoglądał na Ginę, jego kapelusz i płaszcz były przemoczone do suchej nitki. Dziewczyna

nie potrafiła już nawet płakać. Z pierwszego peronu odjeżdżał właśnie pociąg do Dömölke.

9

Porażka. Generał

Ojciec nie lubił polować. Nie znajdował w tym przyjemności. Feri natomiast tak. Na herbatkach u cioci Mimó Gina zawsze z nabożeństwem słuchała opowieści o myśliwskich sukcesach Feriego. Teraz zupełnie niespodziewanie przypomniała sobie, jaką dziwną historię opowiedział jej kiedyś Feri. „Idiotyczna sprawa – mówił porucznik – na wielkich polowaniach zdarza się, że wspaniała, dorodna sztuka zupełnie niespodziewanie staje się zdobyczą jakiegoś kiepskiego myśliwego. Często trafia ją ktoś, kto nawet dobrze nie umie strzelać, tylko ma po prostu szczęście”. Wówczas, podczas tańca, nie bardzo podzielała opinię Feriego, myślała sobie, że biednej sarnie lub jeleniowi i tak wszystko jedno, kto je zabija. Ale w tej okropnej chwili, gdy pociąg do Dömölke opuszczał stację, poczuła, że nie miała wtedy racji. Może rzeczywiście takiej zwierzynie nie jest obojętne, kto ją pozbawi życia? Być zdobyczą słynnego myśliwego nie jest tak upokarzające jak jakiegoś fajtlapy. Niechby ją złapał dyrektor, lub chociaż Hajdu czy Gertruda Truth, przed którą nawet nie warto uciekać, gdyż każdy wie, że jeszcze teraz mogłaby startować w biegach o tytuł mistrzowski, lub nawet sam Kalmár, Éles, ktoś, kto się liczy – ale König? Właśnie König?

Drżała w uchwycie jego dużych dłoni, które z niespodziewaną siłą trzymały jej przemoknięte ramię. König okazał się zadziwiająco silny. Teraz zaczął ją ciągnąć z powrotem. Nie opierała się, wszelki opór był beznadziejny. Kiedy znaleźli się w hali, König ujął ją za lewą rękę i prowadził jak małe dziecko, na które trzeba uważać, ponieważ dopiero niedawno nauczyło się chodzić. Mamrotał przy tym do niej uspokajająco, dziwiąc się, że spotkał tutaj Ginę. Mówił, że to wielkie szczęście, że akurat na niego wpadła. Zabłądziła biedaczka, prawda, że zabłądziła? Z pewnością odłączyła się od grupy. Piąta klasa jest dzisiaj w gościnie u Mici Horn, chyba wszystkiemu winne jest to zaciemnienie przeciwlotnicze, człowiek nie wie, gdzie stąpa. Całe szczęście, że właśnie przyszedł na stację dowiedzieć się, jak wygląda obecnie komunikacja i czy w związku z tym można będzie zorganizować tradycyjną całodzienną wycieczkę. No, nic nie szkodzi, on ją zaprowadzi na miejsce, już nie będzie się więcej błąkać.

Gina zerknęła na jego twarz, ale nie było na niej widać cienia podejrzliwości. Wiedziała, że jego naiwność i łatwowierność są wprost legendarne, może dzięki nim uda jej się jednak uciec, jeśli nawet nie w tej chwili, to kiedy indziej, przecież trafi się chyba jeszcze jakaś możliwość. Tylko musi milczeć, aby się z niczym nie zdradzić, gdy dotrą na pensję. Musi tylko coś wymyślić, żeby się usprawiedliwić przed Zuzanną, bo diakonisa to nie König. Już mieli opuścić halę, kiedy otworzyły się

drzwi kasy i wyszedł zaspany kasjer. Spojrzał na nich, po czym kwaśno się uśmiechnął jak ktoś, komu trudność sprawia już nawet poruszanie ustami.

– Cóż to, nie zdążyła panienka na pociąg do Dömölke? – zapytał Ginę. – Jak to możliwe? Przecież kiedy wydałem bilet, jeszcze stał na peronie.

Ginie serce zamarło. Ten nieszczęśnik niechcący ją zdradził.

König życzliwie i z pewnym zdumieniem spojrzął na człowieka w uniformie, przyglądał mu się jak ktoś, kto nigdy nie widział kolejarza.

– Pan raczy się mylić – powiedział przyjaźnie. – Z pewnością bierze pan tę małą Vitay za kogoś innego. Ona nigdzie nie chciała wyjeżdżać.

– Nie chciała wyjeżdżać? – odezwał się zirytowany kasjer. – Przecież ja sam sprzedałem jej bilet. Pędziła do pociągu jak na skrzydłach. W ręce trzyma jeszcze resztę, którą wydałem jej ze stu, i bilet także. Chyba nie sądzi pan, że jestem głupi?

To już koniec. Naprawdę koniec. Z przerażenia zapomniała schować pieniądze, trzymała je w prawej ręce razem z biletem.

– Skądże – zaprzeczył König. Pochwycił nieznacznie prawą rękę Giny, wyłuskał z jej zmarzniętych palców pieniądze oraz bilet i włożył je do swojej kieszeni – to musiała być jakaś inna dziewczynka, podobna do niej. Jakżeby ta nasza mała chciała stąd wyjechać? Zabłądziła biedaczka, nie zna jeszcze miasta. Dobrze chociaż, że się

spotkaliśmy.

Kolejarz przez chwilę patrzył w milczeniu to na jedno, to na drugie, potem obrócił się na pięcie i wszedł do swojego pomieszczenia, głośno zatrzaskując za sobą drzwi. Dłoń, która ściskała jej lewą rękę, z uporem ciągnęła Ginę za sobą. Dziewczyna z kamienną twarzą pozwoliła się prowadzić. I znów się pomyliła, nie taki głupi jest ten König, jak sądziła. Zabrał pieniądze i bilet, schował, aby nie trzeba było meldować na pensji o tym wydarzeniu, i udaje, że niby nic się nie stało. Nie ma serca ani odwagi na tyle, żeby jej pomóc uciec. Nie odważy się też jej zdradzić, na to jest za sentymentalny. Zatem grajmy komedię, że nic się nie stało, mała Vitay wcale nie miała zamiaru naruszyć regulaminu, mała Vitay jest dobrą dziewczynką, nie trzeba z jej powodu zwoływać całej konferencji, Boże broń! Nie ma powodu, żeby ją wyrzucić ze szkoły.

Wyrzucić?

Wyrzucić?!

Nagle zdumiała się, jak to możliwe, że dotąd była tak głupia, nieinteligentna i nie przyszło jej to do głowy. Jeśli pensjonarka przeszkobie coś poważnego, wówczas staje przed komisją dyscyplinarną, na której musi być również obecne jedno z rodziców, i wtedy gdy winowajczynie nie potrafi się odpowiednio usprawiedliwić, wyдалa się ją ze szkoły.

Jeżeli wina jest bardzo poważna, wówczas zamknięte są przed tą osobą wszystkie szkoły w kraju, jeśli

mniejsza, to kończy się na przeniesieniu do innej szkoły. Ponieważ Gina jest córką generała, to chyba do tego nie dojdzie, aby na całe życie zamknięto przed jego dzieckiem możliwość nauki. Z pewnością poproszą go, aby gdzie indziej umieścił swoją córkę. Jajko Kolumba. A więc nic nie straciła, wprost przeciwnie, teraz dopiero wszystko się zacznie.

Znajdowali się już na placu. König prawie biegł i niezmiennie ścisnął jej rękę, ale Gina teraz już starała się posłusznie dotrzymać mu kroku i nawet była w dobrym humorze. Zabłociła się wprawdzie po kolana, kiedy tak przeprawiali się przez kałuże, ale było jej wszystko jedno, a nawet cieszyła się z tego. To bardzo dobrze, niech będzie taka zabłocona, przemoknięta, niech wygląda jak prawdziwa uciekinierka. Na placu było nadal pusto, ale kiedy zbliżyli się do ulicy, gdzie mieszkała Mici Horn, na rogu w słabym świetle lampy spostrzegła Zuzannę. Po twarzy i ubraniu diakonisy również spływały strumienie wody, nie miała ani płaszcza, ani parasolki.

– Gino! – zawołała diakonisa (po raz pierwszy, od kiedy dziewczynka przybyła na pensję, nazwała ją zdrobniałym imieniem) – Gdzie byłaś? Myślałam, że zrobiło ci się niedobrze i zesłam za tobą na dół. Później, kiedy cię nigdzie w domu nie znalazłam, wybiegłam na ulicę, nikomu nic nie mówiąc. Nawet parasolki nie wzięłam, ale to nieważne, dobrze, że w końcu jesteś! Gdzie byłaś?

– Uciekłam – powiedziała Gina. Głos jej nie był tak

spokojny, jak by chciała. – Pan profesor König zatrzymał mnie na dworcu, właśnie chciałam jechać do domu.

– Skądże – zaprotestował König. – Ta mała jest chora. Kiedy wrócimy do domu, natychmiast trzeba wezwać do niej lekarkę. Mówi, że chciała uciec! Wprawdzie kręciła się tam, biedaczka, ale skąd mogła wiedzieć, jak tutaj trafić? Aż przykro pomyśleć, co by to było, gdybym jej nie spotkał.

Usta Zuzanny drgnęły, chciała coś powiedzieć, jednak rozmyśliła się i tylko chwyciła Ginę za drugą rękę, jakby się bała, że dziewczynka zaraz wyswobodzi się z uścisku ręki König i znów im zniknie.

– W kieszeni pana profesora König jest mój bilet i reszta pieniędzy, które mi wydano ze stu pengó – oznajmiła Gina. – Proszę sprawdzić w jego płaszczu. Zabrał mi.

König i Zuzanna odezwali się prawie jednocześnie, König próbował wyjaśnić:

– Biedactwo, musi mieć gorączkę. Ja jej coś zabrałem! Miała jakiś bilet i pieniądze! Śmieszne!

Głos Zuzanny był chłodny, prawie gniewny.

– Jak śmiesz coś takiego mówić o panu profesorze?!

Gina patrzyła bezradnie to na jedno, to na drugie.

– Musi być chora – rozmyślała głośno diakonisa. – Kilkakrotnie wychodziła z salonu, a później w ogóle zniknęła. Ale żeby coś takiego mówić!

– To z powodu gorączki – powiedział ze współczuciem König. – Jakie dzielne biedactwo! Z

pewnością nie chciała sprawić kłopotu pani Mici Horn i mówić, że się źle czuje. Sama więc wyruszyła do domu, tylko niestety w przeciwnym kierunku. Skąd zresztą mogła wiedzieć, w którą stronę trzeba iść?

– Żeby tylko nie była taka uparta, taka nieprzyzwoicie samodzielna – ciągnęła Zuzanna, jakby Giny w ogóle przy nich nie było, jakby nie słyszała tego, co mówią. – Właściwie powinnam ją ukarać, przecież wie, że bez opieki dorosłych nie wolno uczennicom samym wychodzić do miasta, ale ponieważ chęci miała dobre, nie chciała psuć innym przyjemności, to może uda jej się uniknąć kary.

Gina czuła, że nienawidzi tych dwojga tak bardzo jak nikogo w życiu. Tego oszukującego samego siebie Königa o miękkim sercu i tej głupiej, świętoszkowatej Zuzanny. Prowadzili ją, trzymając jedno za prawą, drugie za jej lewą rękę. Tym razem König zadzwonił. Stara kobieta otworzyła drzwi, a kiedy zobaczyła ich ociekających wodą, zaczęła tak lamentować, że aż Mici Horn zostawiła dziewczęta i wyszła do holu. Ogarnęła ich mądrym spojrzeniem, po czym kilkoma cichymi słowami uspokoiła gospozię i posłała ją do kuchni. König tysiącrotnie prosił o przebaczenie, że się tutaj znalazł, ale, jak wyjaśnił, przypadkowo spotkał małą Vitay, która źle się poczuła i sama chciała wrócić na pensję. Oczywiście w tym deszczu zabłądziła. Pomógł siostrze Zuzannie przyprowadzić tutaj małą. Gina zacisnęła usta, stała sztywno i patrzyła na Mici Horn. Nie próbowała już

protestować, że nie ma w tym ani słowa prawdy, że ją po prostu złapali. Czuła, że Mici Horn podobnie jak König odegra komedię, udając, że uważa ją za niewinną, i może da jej jeszcze jakąś nagrodę za to, że była taka pełna poświęcenia. Z tyłoma dorosłymi Gina nie potrafi już walczyć. Później porozmawia z Zuzanną, gdy wróca do domu. Jeśli nawet König schował bilet do Dömölke i pieniądze, to ona i tak będzie miała inny dowód swojej ucieczki. Jakie to szczęście, że z powodu tej wstrętnej Mari i innych dziewcząt nie odeszła bez pożegnania!

Herbatka właśnie się skończyła, minął już bowiem dozwolony czas. Piątoklasistki ustawiały się trójkami. Kalmár łagodnie skarcił Ginę, nie postąpiła ani mądrze, ani zgodnie z regulaminem. To przecież żaden wstyd, gdy komuś zrobi się niedobrze, raczej budzi to u wszystkich współczucie; uczyniła wielkie głupstwo, puszczając się sama w drogę w nieznanym sobie mieście, no, później w szpitaliku szkolnym ją wykurują. Gina teraz szczególnie uważała, żeby się dzielnie trzymać i nie zdradzić swojej rozpacz, ponieważ klasa ją obserwowała. W tej chwili już sama chciała, aby dziewczęta uwierzyły, że ona rzeczywiście była taka pełna poświęcenia. Niech się nie bawią jej kosztem, że chciała uciekać i właśnie König jej przeszkodził. Otworzono parasole, Torma i Mari Kis wzięły Ginę z obu stron pod ręce, aby ją ogrzać, jak nakazała Zuzanna. Gina zaś trzymała nad nimi trzema parasolkę. Stara gospośka znów się pojawiła i rozdzieliła między dziewczęta resztę ciastek. Kalmár kazał im głośno

podziękować i wyszły na dwór. Z daleka jakiś pociąg krótko zagwizdał, a potem znów było słychać tylko szum deszczu.

Zuzanna zakazała im rozmawiać, ale oczywiście szeptały między sobą. Idąca za Giną Szabó mówiła, że nigdy się jeszcze tak cudownie nie bawiła jak dzisiaj i jakim przyjemnym ciepłem napełnia człowieka gorąca herbata, nie czuje się wcale zimna i wilgoci. To było oczywiście skierowane do niej: Szabó, jeśli nawet nie mogła czuć tak jak Torma i Mari drzenia Giny, to przecież domyśliła się, że marznie ona w przemoczonym ubraniu. Ale i to już Giny nie bolało, miała o wiele poważniejsze problemy niż docinki koleżanek.

Wróciły na pensję tą samą drogą, którą przyszły. Przy pomniku pełnił teraz straż policjant i kiedy nadeszły, skierował w ich stronę niebieskie światło latarki. Poznawszy Kalmára, zasalutował im. Róże nadal leżały u stóp pomnika kalekiej Hungarii, ale napisu już nie było. Torma i Mari Kis szeptały między sobą, że teraz to już na pewno Kalmár pomówi z dyrektorem o jesiennej wycieczce. Dobrze byłoby wiedzieć, co o tym sądzi Zuzanna, ale ona zawsze ma taką kamienną twarz. Musiały iść noga w nogę, jak zwykle gdy szły trójkami, co nie było łatwe z powodu dużych kałuż. Od czasu do czasu Mari Kis umyślnie myliła krok, a później, chcąc go zmienić, nieznacznie kopła Ginę w kostkę.

Zaprowadzono je do świetlicy. Po herbatce u Mici Horn nie byłyby już w stanie zjeść kolacji. Do wieczornej

modlitwy mogły się bawić i czytać. Zuzanna natychmiast oddzieliła Ginę od innych, Mari Kis poleciła zabrać z sypialni rzeczy chorej koleżanki i zanieść do pokoiku szpitalnego, Tormie zaś kazała pójść po lekarkę.

König po powrocie do twierdzy od razu zniknął, z pewnością poszedł się przebrać albo wymoczyć nogi. Kalmár też zostawił klasę, a przecież on najmniej ucierpiał od deszczu. Dziewczęta weszły do części budynku przeznaczonej dla chorych. Pielęgniarka spojrzała przestraszona na Zuzannę i Ginę, widocznie nie potrafiła rozstrzygnąć, którą z nich powinna pierwszą położyć do łóżka, diakonisa bowiem była równie przemoczona i godna pożałowania jak jej podopieczna.

Gina się rozebrała. Kiedy przykryła się kołdrą, nadeszła lekarka. Zuzanna wyjaśniła, że z powodu poważnych dolegliwości żołądka kazała małej położyć się do łóżka. Lekarka ostukała pacjentkę, obejrzała także język i gardło. Gina nie protestowała, pozwoliła robić, co im się żywnie podoba. Na cóż przyda się wyjaśniać tutaj wszystkim, że jej żołądek jest w zupełnym porządku i że z całkowicie innych przyczyn wychodziła tak często do toalety. Powie to później Zuzannie, gdy zostaną same. A jednak mimo wszystko to zabawne, że lekarka trzykrotnie każe jej pokazywać język i dziwi się, że nie jest obłożony, a przy tym przepisuje jej surową dietę na następny dzień. Mówi, że to przemoknięcie bardziej ją niepokoi. Śmieszne. Będzie musiała pięć razy dziennie mierzyć temperaturę. Dobrze. Jeśli będzie gorączka, mają jej

podać herbatę i środki na obniżenie temperatury. Dlaczego miałyby mieć gorączkę? Pozwolono jej czytać do dziewiątej, jeśli ma na to ochotę. Odpowiedziała, że nie ma, ale chciałaby porozmawiać z siostrą Zuzanną.

– Później – zarządziła lekarka. – Na razie siostra pójdzie do siebie i się przebierze, jeśli sama nie chce się poważnie rozchorować.

Zuzanna obiecała, że wkrótce wróci, teraz zostawiono Ginę samą. Pielęgniarka na wszelki wypadek przygotowała dla niej książkę (inny egzemplarz tej samej śmiertelnie nudnej powieści szwajcarskiej, uszlachetniającej dusze, którą zabawiano je podczas posiłków), ale Gina wygodnie ułożyła się w łóżku i przymknęła oczy. Teraz, kiedy mogła się rozluźnić, poczuła się tak bardzo zmęczona jak jeszcze nigdy w życiu. Czekwała, nasłuchując, kiedy wróci diakonisa, i rozmyślała. Układała sobie to, co jej powie. Zuzanna jest taka surowa jak samo Pismo Święte. Jeśli dostanie do ręki dowód, z którego będzie jasno wynikać, co Gina planowała, to choć może nawet kiedyś lubiła Ginę, stłumi w sobie ewentualne współczucie i sympatię i natychmiast zamelduje dyrektorowi, że Vitay próbowała uciec. To jest tak samo pewne jak to, że tu leży. Zuzanna to nie König, Zuzanna jest twarda. Może za kilka dni wszystko jakoś zostanie rozwiązane. Teraz już nie będą mogli prowadzić z nią tej gry i nie pozwolili szczerze rozmówić się z ojcem. Jeśli generał się dowie, jakie ona miała życie tu, w klasie, jeśli choć z kwadrans będzie mogła z nim

swobodnie porozmawiać, wówczas z pewnością zabierze ją stąd, nawet gdyby oni łaskawie pozwolili jej zostać. Nie zgodzi się, aby męczono jego dziecko.

Długo musiała czekać, nim Zuzanna wreszcie wróciła.

Przebrała się i znów miała na sobie codzienne szare ubranie i podniszczone pantofle; zamiast czepka miała turban z ręcznika. Gina mimo stanu ducha, w jakim się znajdowała, nie mogła oderwać oczu od diakonisy w turbanie.

– Jak się czujesz? – spytała Zuzanna. Przysunęła krzesło do łóżka i usiadła. – Wyobraź sobie, jaka niezwykle miła jest pani Mici Horn. Przyszła tutaj mimo tak późnej pory, aby się dowiedzieć, jak się czujesz. Nie jest ci zimno, Georgino? Nie boli cię żołądek? Nie zbiera ci się na wymioty?

Ale skądże! Jest głodna. Ale to teraz nieważne, ważne natomiast jest, aby się w końcu zrozumiały. I niech już dadzą jej spokój z tą Mici Horn.

– Co mi chciałaś powiedzieć? – zainteresowała się Zuzanna. – Do jedzenia nic nie dostaniesz, to niemożliwe. Tylko tak ci się wydaje, że jesteś głodna. I tak nic byś nie przełknęła przy chorym żołądku.

– Mojemu żołądkowi nic nie jest – powiedziała Gina. – I nic mu nie było. Chciałam po prostu wiedzieć, gdzie jest toaleta u Mici Horn i przez które okno mogłabym się wydostać na ulicę i pójść na dworzec, aby stąd wreszcie wyjechać do domu.

Zuzanna uniosła się z krzesła i dotknęła jej czoła.

– Nie mam gorączki – ciągnęła dziewczyna. – I prawie by mi się udało uciec, gdyby pan profesor König mnie nie zatrzymał. Siostra wie, jaki on jest, nie zniósłby, gdyby się komu co złego stało. Zabrał mi i schował bilet i pieniądze, a przed siostrą skłamał, że zabłądziłam.

– Co to za historia? – spytała Zuzanna. – Jak śmiesz mówić, że pan profesor König kłamie? Co ty w ogóle opowiadasz? Chyba nie chcesz, abym uwierzyła, że wszystko to prawda i że nasza matulanka może być tak podstępna i niczym złodziej ucieka przez okienko w łazience, i trzeba ją siłą sprowadzać z dworca? Przecież gdyby tak było, ani tygodnia nie mogłabyś pozostać u nas, trzeba byłoby cię wyrzucić z pensji!

– Proszę pójść do sypialni i sięgnąć pod mój materac – powiedziała Gina. – Tam jest mój list pożegnalny, nie chciałam odejść stąd bez słowa. Może to siostrę Zuzannę przekona. List leży pod drugą warstwą materaca, obok innych drobiazgów. Są tam: moja puderniczka, zdjęcia, kalendarzyk. Proszę przeczytać, co napisałam do klasy, i później wezwać mojego ojca, aby mnie stąd zabrał.

Na twarzy Zuzanny odbiło się wewnętrzne zmaganie: pójść czy nie pójść, czy aż tak dalece dać wiarę tej niemożliwej wprost historii i pobiec do sypialni piątej klasy, by sprawdzić, czy to wszystko, co tu usłyszała, jest prawdą? Jej twarz stała się nagle tak smutna, że Gina nawet w tej pełnej nierealnego napięcia sytuacji zdumiała się: więc aż tak ją to zabolowało? Tak bardzo ją dotknęło, że

Gina okazała się złą dziewczynką, według jej pojęć – przestępczynią? Czy to możliwe, że Zuzanna ją jednak lubiła?

Diakonisa wyszła. „Teraz dochodzi do końca korytarza szpitalnego – obliczała Gina. – Teraz skręca w duży korytarz. Teraz dochodzi do sypialni. I już jest w sypialni piątej klasy. Co powiedzą Mari Kis i jej koleżanki, kiedy zobaczą, że szpera w moim łóżku i wyciąga list? Wszystko jedno, co powiedzą. Przecież i tak dowiedzą się, że próbowałam uciec. No i chyba uda mi się stąd wydostać, nawet jeśli to się stanie kilka dni później”. Podciągnęła kołdrę, bo poczuła dreszcze. Nie z powodu zdenerwowania – chyba jednak się przeziębiła.

Zuzanna wróciła szybko i to nie sama, lecz z pielęgniarką. Zdziwiło to Ginę. Do ich rozmowy we dwójkę trzecia osoba jest teraz zbyteczna. I diakonisa nic nie trzymała w ręce. Gdzie podziała list? Włożyła do kieszeni?

– Z małą jest źle – powiedziała Zuzanna do pielęgniarki. – Oskarża się o najróżniejsze rzeczy, bredzi. Oprócz aspiryny dajmy jej pół tabletki na sen, niech się wyśpi do rana.

Gina odtrąciła dłoń pielęgniarki, która podawała jej aspirynę. Zuzanna chwyciła mocno jej prawą rękę i przytrzymała.

– Uspokój się, Georgino, jak ty się zachowujesz, proszę połknąć lekarstwo. W twoim łóżku naturalnie nic nie znalazłam, nie ma mowy o żadnym liście ani o innych

rzeczach. Skąd zresztą mogłyby się tam wziąć? Chyba sama już nie pamiętasz, coś tu wygadywała.

Gina wyrwała rękę z uchwytu Zuzanny, zaczęła krzyczeć, wyskoczyła z łóżka, dwie dorosłe kobiety ledwo mogły ją przytrzymać. Wrzeszczała, że Mari Kis, która przynosiła tu jej rzeczy, ukradła list, a może nawet sama Zuzanna, która zmówiła się z Königiem... Chcą jej odebrać ostatnią możliwość wydostania się stąd, ona tak tutaj wszystkich nienawidzi, że bez skrupułów by ich wymordowała.

– Boże, co ona bredzi? – przeraziła się pielęgniarka.
– Że ją okradziono, i to na dodatek Mari Kis, którą wychowujemy od dziesiątego roku życia, i siostra Zuzanna! Och, biedactwo, w jakim ciężkim musi być stanie! Wymordować! Takie słowo! Zażyj, dziecko, lekarstwo, przecież ty jesteś poważnie chora.

Chwyciła ją mocno za obydwie ręce i Gina uspokoiła się, nawet otworzyła usta. Jeśli nie ma listu i zniknęły jej ukryte skarby, to nie ma na nic dowodu. A więc jest tylko skromną, poświęcającą się dziewczyną, która jest chora i wykrzykuje w gorączce różne brednie. Nie może już stąd uciec i w takim razie rzeczywiście rozsądniej będzie, jeśli zażyje proszek i cały ten świat zniknie jej sprzed oczu. Połknęła tabletkę i leżała z zamkniętymi oczami, nie odpowiadając na żadne pytania.

Czuła, że wkładają jej pod pachę termometr, później wyjmują, i słyszała, jak pielęgniarka mówi do Zuzanny: „Niestety, wysoka”. Drzwi się otwierały, zamykały i

znów otwierały, ale ona nie patrzyła, nie wiedziała, kto i kiedy był przy niej. Raz wydało się jej, że Zuzanna nachyla się nad nią całkiem nisko i wówczas, powodowana gniewem i rozczarowaniem, które czuła w stosunku do diakonisy, przewyciężyła oszołomienie wywołane proszkiem nasennym i próbowała usunąć się przed nią w drugi koniec łóżka, ale lekarstwo okazało się silniejsze i wkrótce zasnęła.

Nazajutrz obudziła się otępiała, z niesmakiem w ustach. Przy porannym mierzeniu temperatury pielęgniarka pokręciła głową – Gina miała wysoką gorączkę. Zuzanna nie przysłała jej odwiedzić, przybiegła tylko lekarka, zbadała ją jeszcze raz i oświadczyła, że dziewczyna ma paskudne zapalenie gardła, szczęście, że nie ropne, ale nikt nie może jej odwiedzać, ponieważ jest przeziębiona, kicha i kaszle. Rzeczywiście ledwo mogła przełykać i co chwila musiała wycierać nos. Źle się czuła, nie chciała ani jeść, ani czytać i dopóki trwała gorączka, właściwie nawet nie potrafiła logicznie formułować swoich myśli. Leżała jak kłoda, bez najmniejszej nadziei, niby skazaniec, który już wie, że na próżno rył tunel, bo skała zagraadza mu wyjście, nie ma już możliwości wydostania się z więzienia.

Po południu zajrzała do niej Zuzanna, przyniosła kwiaty, mówiąc, że to dziewczęta je przysyłają. „Wyobrażam sobie – myślała Gina – z jaką radością i sympatią je zrywały i ile dobrego mi w duszy życzyły”. Lekarka odwiedzała ją trzy razy dziennie, zresztą poza

pielęgniarką i Zuzanną nikogo więcej nie widziała przez te cztery dni, dopóki utrzymywała się gorączka. Piątego dnia miała już tylko stan podgorączkowy i pozwolono jej wstać, szóstego temperatura była normalna i Zuzanna oznajmiła, że na wieczór może wrócić do sypialni. Gina milczała, jakby to nie do niej mówiono, jakby to nie jej dotyczyło. Diakonisa uważnie przyjrzała się zmizerowanej twarzy dziewczyny i poprosiła pielęgniarkę, aby załatwiła w kuchni jeszcze przez kilka dni specjalne wyżywienie dla Vitay.

To ostatnie popołudnie, które do wieczora spędziła w szpitalnym pokoiku, było długie i nudne. Czekwała z nadzieją, że przyjdą po nią i zaprowadzą do gabinetu dyrektora: była bowiem sobota, kiedy to ojciec zwykle telefonował. Zastanawiała się, w jaki sposób i kiedy ukarze ją Zuzanna, bo to niemożliwe, aby wszystko, co się stało, przypisała jedynie chorobie i przeszła nad tym do porządku dziennego. Nawet nie próbowała zgadywać, jaka będzie teraz jej sytuacja w klasie. A jeśli Mari Kis, która przynosiła jej rzeczy, sięgnęła pod materac i wykradła list oraz pozostałe drobiazgi, to co ma zamiar z tym zrobić? Rozmyślała tak, stojąc przy oknie, i patrzyła na dwór, obojętnie przyjmując do wiadomości, że pogoda, która tak się zepsuła w dniu herbatki u Mici Horn, znów zrobiła się słoneczna, niezwykle ciepła i na drzewach jest jeszcze dużo liści. A przecież pod koniec października drzewa prawie jednocześnie pozbywają się liści, jakby słuchały jakiegoś tajemniczego rozkazu.

Minęła piąta. Gina dziwiła się, że jeszcze jej nie wołają do dyrektora, widocznie ojciec ma trudności z połączeniem. Zaczęła wkładać do worka na brudną bieliznę rzeczy używane w pokoju szpitalnym i ubrała się. Włożyła swoją szkolną sukienkę i właśnie zawiązywała wstążki fartucha, kiedy usłyszała, że ktoś idzie korytarzem. Kroki były twarde, inne niż te, które słyszało się zwykle na pensji. Zapukano do drzwi, co też było dziwne, tutaj nikt nigdy nie pukał, wchodząc do pomieszczeń zajmowanych przez uczennice. Może sprowadzono jakiegoś robotnika, może hydraulika, rano siostra mówiła, że kran przecieka. Powiedziała: „Proszę!” i odwróciła się do drzwi, które teraz otworzyły się szeroko. Na progu stała Zuzanna, a za nią generał. Ojciec był w cywilu, tak jak wtedy, kiedy ją tutaj przywiózł. Gina rzuciła mu się w ramiona i rozplakała.

W cukierni pana Hajdy

Nikt z dorosłych jej nie uciszał. Kiedy się trochę uspokoiła i otarła oczy, zauważyła, że diakonisa trzyma na ręku jej płaszcz i przyniosła też kapelusz i torbę. Spojrzała najpierw na ojca, a później na Zuzannę jak ktoś, kto nie wierzy własnym oczom.

– Jak widzisz, pan generał, zamiast dzwonić, przyjechał osobiście – odezwała się Zuzanna. – Ucieszyłam się z tego, ponieważ ten twój nieżyt żołądka, przeziębienie czy cokolwiek to było bardziej się na tobie odbiło, niż myśleliśmy. Straciłaś humor, stałaś się nerwowa.

– Czy możemy już iść? – zapytał generał. – Mam mało czasu, jeszcze dzisiaj muszę wrócić do Pesztu.

– Oczywiście. Ubierz się, Georgino. Pan dyrektor pozwolił ci wyjść do miasta. Tutaj masz przepustkę, punktualnie o szóstej musisz być z powrotem.

„A jakże – pomyślała Gina i tak drżały jej ręce, że diakonisa musiała pomóc jej zapiąć płaszcz przy szyi. – O szóstej to ja już będę spokojnie siedziała w samochodzie mojego ojca w drodze do Pesztu. Nie zobaczysz mnie więcej. Jeśli pozwolili mi wyjść, to widać jednak nie powiedziałaś nikomu o tym, co ci wyznałam, więc rzeczywiście potraktowałaś moje zwierzenie jako majaki

chorej i uwierzyłaś Königowi, nie mnie. Teraz wszystko opowiem ojcu i o ile go znam, to będzie koniec mojego pobytu na pensji Matuli. On nie zostawi swojego dziecka w takiej klasie, gdzie Mari Kis i jej przyjaciółki dokuczają mi od samego początku roku”.

Ojciec nie był w dobrym humorze, można by nawet powiedzieć, że w złym, ale kiedy zobaczył córkę w owym pensjonarskim płaszczu i z torbą, drgnęły mu usta i ledwo zdołał powstrzymać uśmiech. „A gdy się jeszcze wszystkiego dowiesz... – pomyślała Gina. – Ubiór to tylko sprawa uboczna, ale już wystarczy, żeby człowiek o dobrym guście złapał się za głowę. A gdy ci jeszcze opowiem, jak to wszystko tutaj wygląda! Przecież nawet nie można się poskarżyć rodzicom, tu każdy list, który uczennice piszą do domu, jest kontrolowany”.

Zuzanna pożegnała się z nimi w drzwiach prowadzących na podwórze, zaczekała, aż odejdą kilka kroków wysypaną żwirem alejką, i zawołała do siebie Ginę. Dziewczyna przybiegła z powrotem niechętnie, tak pragnęła się już znaleźć poza bramą z żelaznymi sztabami.

– Chciałabym ci tylko zwrócić uwagę, że ojciec ma dużo poważnych kłopotów na szczeblu państwowym i że życie dorosłych nie jest łatwe. Nie utrudniaj więc go ojcu jeszcze bardziej. Jeśli nawet nie wszystko jest tu tak, jak byś chciała, to nie skarż się. Pozwól, aby wyjechał stąd spokojny i w dobrym humorze. Ja mu nie powtórzyłam tych wszystkich głupstw, które wykrzykiwałaś podczas

choroby, pan dyrektor tylko cię chwalił i nie wspomniał, jak nieszczęśliwie się tu popisałaś na samym początku roku. Niech ten krótki czas, który ojciec z tobą spędzi, będzie dla niego radością. Rozumiesz?

„Och, Zuzanno, ty surowa, wymagająca Zuzanno! – Teraz Gina popatrzyła na diakonisę, jakby to ona była starsza, a nie odwrotnie. – Cóż ty sobie wyobrażasz? Sądzisz, że jeśli od wielu tygodni na próżno dobijam się do bramy i ta niespodziewanie się otwiera, to nie wybiegnę przez nią na swobodę, na świeże powietrze? Że z powodu pokory, poświęcenia, czy też Bóg wie jakich jeszcze innych cnót, które wtlaczacie tu dzieciakom do głowy, będę taktownie kłamać przed ojcem?”

Nie odpowiedziała diakonisie ani „tak”, ani „nie”, tylko grzecznie skłoniła głowę, był to prawie świecki odruch niepasujący do matulanki, przypominał raczej świat cici Mimó. Zuzanna odwróciła się, zamknęła drzwi od korytarza. Gina zaś pospieszyła do ojca.

Powietrze było łagodne, wbrew naturze wiosenne, zmierzchało się. Na podwórzu pracowała piąta klasa, którą dyrektor widać za coś wyróżnił, gdyż mimo wolnego sobotniego popołudnia znalazły się tu wszystkie jej koleżanki. Przypuszczalnie rano przywieziono na pensję opał, bo okienka piwnicy były otwarte i piątoklasistki pod nadzorem diakonisy Elżbiety wrzucały łopatami koks do piwnicy. Wszystkie ich zauważyły, jak szli do wyjścia. Gina, mijając siostrę Elżbietę, mimo woli zgodnie ze zwyczajem stanęła na baczność i

wypowiedziała słowa pozdrowienia: „Dzień dobry, siostrzo Elżbieto, dzień dobry, dziewczęta”. Generał się skłonił, a diakonisa, stwierdziwszy, że Vitay zachowała się tak, jak przystoi matulance, też zarządziła baczność i cała piąta klasa, dławiąc się z wściekłości, odkrzyknęła, przyciskając do boku łopaty, że podobnie dobrego dnia życzy Ginie i temu panu, który jej towarzyszy. Portier długo i uważnie badał przepustkę, upomniał też Ginę, aby wróciła punktualnie, po czym otworzył przed nimi bramę. Nareszcie byli na zewnątrz, na ulicy Matuli, we dwójkę, bez świadków. Wolni!

Gina tyle razy już przemyślała to, co powie ojcu, gdy uda im się wreszcie spotkać, że kiedy tylko zajęli miejsca w cukierni pana Hajdy, słowa popłynęły z niej jak wzburzona rzeka. Generał słuchał z kamienną twarzą, z jaką zwykł przyjmować wszelkie przykre wiadomości, patrzył przy tym na córkę, która nawet nie tknęła leżących na talerzyku ciastek. Mógł się zresztą spodziewać, że lada moment wybuchnie płaczem, ale Gina nie płakała, nawet się nie skarżyła, tylko kolejno wymieniała powody, dlaczego nie może zostać tutaj dłużej, dlaczego musi ją zaraz zabrać z pensji. Wszystko, co do niego mówi przez telefon, jest kontrolowane, o swoich problemach nie może go powiadomić ani słownie, ani na piśmie, ani telefonicznie, klasa ją wyklęła, nikt z nią nie rozmawia, ona tak dalej żyć nie może.

Boże, co to za historia z tymi pensjonarskimi tradycjami, z tą mściwą piątą klasą, której tajemnicę

zdradziła w porywie gniewu? Gina obrażona, Gina zdrajczyni, Gina, dumna dziewczyna, która nie chce zostać żoną terrarium! Generał odsunął od siebie talerzyk, nie mógł patrzeć na ciastka. Przed wyjazdem do córki był w Ministerstwie Obrony, widział rzeczywiste meldunki z frontu, które nigdy nie są ogłaszane publicznie. Śmierć i zniszczenie, przegrane bitwy, odwrót, bezmyślne, pospieszne zarządzenia kierownictwa państwa, a tu jeszcze na dodatek te średniowieczne dziwactwa szacownej pensji, drobne złośliwości grupki smarkul, które nie mają w tej chwili innych problemów poza tym, że Georgina Vitay w gniewie wypaplała coś, o czym powinna była milczeć. „Nie, dziecino, nie – myślał generał. – Nie mogę ci pomóc, chociaż bardzo mi cię żal. Nie mogę cię zabrać”.

Oczywiście, kiedy zaplanował umieszczenie Giny na pensji w Árkodzie, nie przewidział tego, że nie będzie tu miała przyjaciółki, że nie będzie miała nikogo, że nawet jej westchnienia będą kontrolowane, tego po prostu nie można było przewidzieć. Trudno, prędzej czy później pogodzi się z klasą, jakoś do tego wszystkiego przywyknie. Wiedział, że córka czeka na odpowiedź i jest przekonana, że odpowiedź może być tylko pozytywna. Przyciągnął Ginę do siebie, aby uniknąć jej spojrzenia, aby nie widzieć, jak blask jej oczu niknie pod wpływem rozczarowania. Przytulił ją i powiedział, żeby nie prosiła go o to, o co prosi, bo on nie zabierze jej stąd, na razie nie może jej zabrać do domu.

Gina wyrwała się z jego objęć, jakby to nie były słowa, lecz ciosy. W jej oczach nie było smutku, jak się tego spodziewał, lecz przekora i upór.

– A ja i tak znowu stąd ucieknę – oświadczyła. – Dopóty będę próbowała uciekać, dopóki sami mnie nie wyrzucą. Czy tak będzie lepiej?

„Ucieknie? Znowu? A więc próbowała?” – zdziwił się generał.

Gina opowiedziała mu teraz o swojej niedosłej ucieczce. Generał zrobił się biały jak kreda. Milczał, choć ogarnął go straszliwy lęk. Dąsy, terrarium, tradycje, cenzura – wszystko to zabawa, dziecinne wybryki, dziecinna samotność, dziecinna wina, wreszcie dziecinna kara. Ale to, co teraz usłyszał – wydostanie się przez okienko w łazience, bieg przez nieznanne miasto w kierunku dworca – to już zupełnie co innego, to już narażanie się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Więc jednak trzeba jej powiedzieć prawdę, w dziewczęce dłonie złożyć tajemnicę tak bardzo skrywaną, z nadzieją, że miłość, którą córka żywi do niego, pomoże jej zachować tę tajemnicę. Musi z nią porozmawiać, bo jeśli tego nie uczyni, Gina znów spróbuje stąd uciec. A gdyby udało się jej dostać do Pesztu i choć jeden człowiek dowiedziałby się, gdzie dotąd przebywała, wówczas już nie będzie jej mógł przywieźć do Árkodu. A przecież w całym kraju nie ma drugiej pensji, która potrafiłaby tak odizolować dziewczynę, uniemożliwić jej kontakty z kimś z zewnątrz.

Gina oparła się wygodnie i uczepiwszy się ręki ojca, wreszcie się uśmiechnęła. Wypowiedziała swoją największą groźbę i czuła, że nie przeszło to bez wrażenia. Z trudem, ale jednak ona zwycięży. Zaraz pójda na pensję, zabiorą jej rzeczy od siostry magazynierki i jeśli będzie to konieczne, grzecznie pożegna się z wszystkimi z wyjątkiem Königa, ponieważ jemu nigdy nie przebaczy!

Generał wstał. Badawczym spojrzeniem lustrował całą cukiernię pana Hajdy, patrzył, czy nie siedzi ktoś z prawej i z lewej strony. W pobliżu nie było nikogo. Dwie zakochane pary, które oprócz nich były w cukierni, z pewnością tak samo nie życzyły sobie świadków dla swych szeptów jak generał, zajmowały najodleglejsze boksy na lewo i prawo od nich. Jakieś towarzystwo spożywające podwieczorek siedziało przy zsuniętych obok wystawy stolikach i rozmawiało. Właściciel, zauważywszy, że ten pan, który przyprowadził małą pensjonarkę od Matuli, rozgląda się dokoła, poczuł się urażony. Wydawało mu się bowiem, że ojcu dziewczynki (bo kimże mógł być ten pan tak do niej podobny?) widać nie odpowiada to miejsce i szuka ładniejszego lub czystszej boks. Jakby poza jego zakładem były w tym mieście jakieś inne przyjemne i czyste lokale! Ten obcy pan z pewnością nie wie, że jego cukiernia jest najlepszą cukiernią w Árkodzie i dopóki nie było takich trudności zaopatrzeniowych, miał tu prawdziwe arcydzieła cukiernicze, i może uwierzyć albo i nie, ale tutaj

przychodzą również oficerowie, to jest jedyne miejsce w Árkodzie, dokąd wolno im chodzić. Teraz nie ma tu akurat żadnego oficera, oni zwykle zjawiają się później, nie tak zaraz po południu. Przykre, naprawdę przykre jest zachowanie tego pana. I aby więcej nie patrzeć, pan Hajda wszedł na zaplecze, wpuszczając na salę zapach świeżych ciastek. Rozkoszna woń tortów i kremów, tego całego dziecięcego raju, na wieki połączyła się w pamięci Giny z chwilą, kiedy generał z powrotem usiadł obok niej i cicho powiedział:

– Córeczko, nie mogę cię stąd zabrać ani teraz, ani później. Dopóki trwa wojna.

Mówił cicho, a jego głos był tak rozpaczliwie rzeczowy jak wtedy, kiedy wspominał matkę Giny. Dopiero teraz dziewczyna naprawdę zaczęła się bać. Ojciec kocha ją bardziej niż kogokolwiek i jeśli nawet po tym wszystkim, kiedy dowiedział się, jaka czuje się tu nieszczęśliwa i że uciekała, i na nowo chce uciec, jeśli po tym wszystkim nie chce zabrać jej do domu, to musi być coś, o czym ona nie wie, a co teraz ojciec jej powie. I to będzie coś takiego jak wyrok skazujący niewinnego człowieka na pobyt w więzieniu przez czas nieokreślony. Mimo że nie padło o tym ani jedno słowo, czuła, że ta decyzja jest ostateczna i żadne łzy tu nie pomogą.

– Od tego, o czym ci za chwilę powiem, zależy życie wielu ludzi. Nie chciałem, żebyś o tym wiedziała, nie dlatego bym ci nie ufał, ale nie chciałem, żebyś się przeraziła. Po co miałbym cię obarczać takimi sprawami,

jesteś zbyt młoda. Jeśli jednak zostawię cię tutaj bez żadnego wyjaśnienia i po prostu rozkażę, że musisz tu pozostać, nie tłumacząc dlaczego, to wówczas możesz rzeczywiście znowu uciec albo zaczniesz wątpić we mnie i w miłość, która nas łączy. Więc powiem ci, ale od tej chwili, Gino, koniec z twoim dzieciństwem. Staniesz się dorosła i już nigdy więcej nie będziesz mogła żyć tak jak inne twoje rówieśniczki. W twoje ręce składam życie swoje i innych. Na co przysięgniesz, że nas nie zdradzisz?

Dziewczynka cofnęła się, lecz nie odwróciła wzroku. Teraz już obydwójce byli bladzi, generał czuł, jak spoczywające w jego dłoni palce córki stają się coraz zimniejsze. „Nie wolno przysięgać – usłyszała Gina w uszach pełny wyrzutu głos Zuzanny – nie wywołuj imienia Pana Boga nadaremno”. Teraz pensja wraz z jej rygorami wydawała się ogromnie odległa.

„Co mi odpowie? – myślał generał. – Dopiero skończyła czternaście lat. Co mi odpowie? Czy w ogóle odpowie?”

– Na twoje życie – powiedziała Gina. – Ciebie kocham najbardziej na świecie. Nie mam matki, ty zawsze byłeś dla mnie także matką. Na ciebie przysięgam.

A więc zrozumiała. Jej twarz zaczęła nabierać normalnych barw jak twarz kogoś, kto przeżył pierwszy szok.

– Gino, wojnę przegraliśmy. A właściwie przegraliśmy ją już w samym momencie rozpoczęcia. Zły

cel wybraliśmy i złe środki. Straty, jakie ponieśliśmy, są takie, że Bóg jeden wie, kiedy nasz naród je odrobi, a przecież jeszcze nie ma końca tego wszystkiego. Teraz nie pozostało już nic innego jak spróbować uratować to, co jest do uratowania, nim Niemcy zaczną nas okupować: ludzi w miastach, żołnierzy na froncie. My, którzy to zrozumieliśmy i wiemy, co powinniśmy zrobić, chcemy zakończyć wojnę. Jeśli się uda, o wiele więcej ludzi pozostanie przy życiu, uratowane zostaną Budapeszt oraz inne miasta i resztki armii. Jeśli nie, to nadal będą ginąć ludzie, będzie niszczyć majątek narodowy i być może przyplącimy to życiem i ja, i moi towarzysze.

Teraz nie widział jej twarzy, bo odwróciła ją od niego, patrzyła na wystawę przysłoniętą koronkową firanką, przypominającą szczęśliwe pokojowe czasy i rodzinne biesiady przy lodach. Generał wiedział jednak, że Gina słucha go uważnie, tak jak jeszcze nigdy go nie słuchała.

– W kraju istnieje ruch oporu, jest w wojsku i jest wśród cywilów. Jednym z organizatorów ruchu oporu w wojsku jestem ja. Jeśli wpadniemy lub tylko ja sam wpadnę i ciebie dosięgną, to przecież i ja jestem jedynie człowiekiem, który drży o swoje dziecko. Gdyby mnie zaczęli szantażować tym, że cię schwytali, że cię męczą, być może nie starczyłoby mi sił na to, aby milczeć. Nie mogę ryzykować, że staniesz się narzędziem w rękach wrogów naszego przedsięwzięcia. Nie można dopuścić do sytuacji, w której wykorzystując ciebie, zmuszą mnie,

bym splamił swój honor. Nie chcę też, żebyś ty zginęła za to, że milczałem, że dotrzymałem przysięgi.

Usta dziewczynki rozchyliły się, jakby chciała coś powiedzieć, ale milczała i ścisnęła tylko dłoń ojca. I ten koleżeński, odważny uścisk dodający sił dobrze zrobił generałowi.

– Mimo jest niepoważna, u niej stale się kręci pełno ludzi i gdyby mnie rozszyfrowano, każdy łatwo by cię tam znalazł. W Peszcie mogą cię porwać na ulicy albo wywabić z domu jakimś kłamstwem, fałszywym telefonem czy po prostu uprowadzić siłą. Od wielu miesięcy szukałem takiego miejsca, które byłoby trudno dostępne niczym więzienie, aż wreszcie znalazłem tę pensję, gdzie nawet nie piszę do ciebie i skąd ty również nie możesz pisać, aby domownicy nie zwrócili uwagi na adres nadawcy. Dzwonię tylko do ciebie co sobota, za każdym razem z innego miasta, w cywilnym ubraniu idę na pocztę i zamawiam połączenie. Gdy zgłasza się pensja, nie podaję nazwiska, tylko mówię, że chciałbym rozmawiać z Giną. Ty sama również nie możesz wyjść na miasto i tutaj nie może nikt przyjść, jest to jedyne miejsce w kraju, gdzie bezpiecznie przeczekaasz, aż skończymy wojnę i będę mógł cię zabrać do domu. I oto stąd próbowałaś uciec. Gdyby ci się udało i gdybyś choć jednemu człowiekowi w Peszcie poskarżyła się na okropne zwyczaje w tutejszej pensji, nie mógłbym cię tu przywieźć z powrotem, ponieważ tajemnica by się wydała. Gdyby nastąpiło to najgorsze, gdyby

rzeczywiście zaczęto mnie podejrzewać, to za kilka miesięcy byłabyś już może zakładniczką, której życie mogłoby być zachowane tylko za cenę mojej hańby. Czy chciałabyś tego?

Pokręciła głową. Teraz po raz pierwszy podobna była do matki, chociaż rysy odziedziczyła po ojcu. Jej spojrzenie było takie, jakie miała jego dawno zmarła żona. „Stało się – pomyślał generał i patrzył na córkę – tak jak przewidywałem, stało się. Koniec z dzieciństwem, dorosłaś, moje biedactwo”.

– Tutaj poza mną tylko jeden człowiek może tobą rozporządzać. Powierzyłem cię jego opiece, kiedy tu przyjechaliśmy na początku roku. On w tym mieście kieruje cywilnym ruchem oporu.

„To znaczy gdzie? – pomyślała Gina. – Przy pomniku Hungarii?”

NIE PRZELEWAJCIE BEZSENSOWNIE KRWI WĘGIERSKIEJ! WOJNĘ PRZEGRALIŚMY, ZACHOWAJCIE SWOICH SYNÓW DLA ROZUMNIEJSZEJ PRZYSZŁOŚCI! – Jeśli on da ci znak, idź z nim, bo skoro on gdzieś cię zabierze z pensji, to będzie znaczyło, że w jakiś sposób natrafiono na twój ślad. I potem on będzie cię dalej ukrywał.

– Skąd będę wiedziała, że to właśnie on? – zapytała szeptem Gina.

– Od dawna go znasz, tylko nie wiesz o tym. Gdy się przed tobą ujawni, zdziwisz się. A więc czy nadal chcesz, żebym cię zabrał do domu?

– Nie chcę – odpowiedziała cicho.

– Gdybym ewentualnie nie mógł zadzwonić, nie próbuj pisać i nie szukaj mnie. Czekać! Zadzwonię do ciebie tydzień później lub odwiedzę cię, a jeśli nie, to widać będę miał jakiś ważny powód, aby trzymać się od ciebie z daleka. Musisz zachować spokój. Obiecujesz?

– Tak.

– A teraz się pożegnamy. Masz jeszcze wolny czas, ale ja muszę już wracać do Pesztu. Gdybyś mnie więcej nie zobaczyła – głos generała nawet nie drgnął, jakby już bardzo wiele razy przemyślał wszystko to, co mówi – to będziesz wiedziała, że cię kochałem i że zginąłem, ponieważ chciałem obronić kraj przed taką wojną, w której nie ma bohatersko poległych żołnierzy, są tylko ofiary. A teraz pocałuj mnie i chodźmy.

Pocałunek Giny był chłodny, usta zimne, zdrętwiałe. Ojciec uderzył widelczykiem w szklanę. Na ten znak zjawił się pan Hajda i z wyrzutem spojrzał na nietknięte ciastka. Generał podążył za jego wzrokiem.

– Ile jest was w klasie? – zapytał córkę.

– Ze mną dwadzieścia.

– Dwadzieścia i ta miła diakonisa. Niech mam przyjemność je ugościć.

– Tatusiu, one tego nie przyjmą. Już raz próbowałam.

– Spróbuj znowu. Nie ma takiego gniewu, który by trwał wiecznie.

Twarz pana Hajdy rozpromieniła się. Pozostałe na talerzykach ciastka zapakował wraz z trzydziestoma

innymi. Zrobiły się z tego dwie duże paczki, Gina ledwo je niosła. Na ulicy niewiele już rozmawiali, dziewczynka nawet nie patrzyła na ojca, tylko wprost przed siebie. Generał również obserwował ulicę, czarnobiałe przysadziste miasto, któremu powierzył swój największy skarb. Było surowe, zimne, ale godne zaufania.

– Nie odprowadzę cię – powiedział generał w bramie.
– Idź sama do domu, byłoby nam bowiem jeszcze ciężiej.

– Dobrze.

– Nie zapomnisz tego, co ci mówiłem?

– Nie.

– Wszystko już wiesz. Będiesz posłuszna nawet wtedy, kiedy ci się będzie zdawało, że dłużej już nie wytrzymasz?

– Wytrzymam – odpowiedziała Gina.

Teraz już się nie pocałowali. Dziewczynka nie płakała, ale i nie uśmiechała się.

– Przysięgłaś! – przypomniał jej jeszcze raz ojciec.

Gina przytaknęła.

Generał zadzwonił i okuta żelazna brama otworzyła się przed nimi. Gina natychmiast weszła, a portier, jakby pojmując coś z tego, co czuli żegnający się ojciec i córka, nie zamknął bramy od razu, lecz odczekał, dopóki postaci dziewczyny nie wchłonął boczny korytarz. Mógł więc generał jeszcze przez chwilę widzieć Ginę, jak idzie, trzymając w każdej ręce po dużej paczce, i nie ogląda się, jakby przez samo to chciała rozstanie uczynić lżejszym. Szła nieco zgarbiona, jak ktoś, kto na swych barkach

dźwiga ciężar całego świata.

Posąg przemówił

Gina od razu skierowała się w stronę sypialni, nie do pokoiku szpitalnego. Łamała sobie głowę, gdzie by tu ukryć pudełka z ciastkami, aby nie spotkało jej nowe upokorzenie, ale Zuzanna nie dała jej sposobności czegoś wymyślić. Zjawiała się bowiem na korytarzu, zmierzając w kierunku Giny. Zdziwiła się, że dziewczynka tak krótko korzystała z wolnego czasu, a nawet zapytała, czy przypadkiem nie dlatego wróciła wcześniej, że znów jest jej niedobrze. Gina uspokoiła ją, wyjaśniła, że wszystko, co było ważne, omówili, a ojciec musiał już wracać do Pesztu. Ciastka kazano jej oddać do kuchni. Zuzanna ucieszyła się z prezentu, powiedziała, że cała klasa miała dziś dodatkową pracę, obecnie wszystkie dziewczęta się kąpią, aby zmyć z siebie pył węglowy. Jak skończą, przyjdą na podwieczorek i wówczas wielka będzie radość ze słodkiego deseru po ciężkiej pracy. „I tak nie zjedzą – pomyślała Gina – i tak gdzieś wyrzucą”. Ale nawet to ją już mało obchodziło.

Nowa Gina, ta całkiem nowa osoba, która niedawno narodziła się w cukierni pana Hajdy, nie przejmowała się teraz drobnymi przykrościami, próbowała tylko przetrwać w sobie to wszystko, co usłyszała od ojca i czego jej świadomość nie potrafiła tak od razu wchłonąć i

zaszufladkować.

Była bardzo szczęśliwa, kiedy Zuzanna powiedziała, że po podwieczorku, ponieważ Ginie została jeszcze jedna wolna godzina, może sama pójść do sali muzycznej – jeśli zechce, niech weźmie psalterzyk i Biblię. Może czytać Pismo Święte, uczyć się pieśni kościelnych, a jeśli woli, może grać na fortepianie.

Gina zdjęła płaszcz w pustym korytarzu przed sypialnią. Wiedziała, gdzie jest reszta dziewcząt, słyszała ich głosy spoza zamkniętych drzwi łazienek, kiedy weszła do umywalni umyć ręce. Te, które już się umyły, poszły widocznie do świetlicy, ponieważ dolatywał stamtąd śpiew. Podczas tak zwanych godzin cichego odpoczynku piąta klasa ku radości diakonis zawsze chciała śpiewać nabożne pieśni. Wówczas zwykle wykonywały psalmy na zmianę, gdy jedna część śpiewała, druga mogła przez ten czas spokojnie rozmawiać i nikt ich nie karcił, że cenne minuty przeznaczone na rozmyślanie tracą na bezmyślną paplaninę. Obecnie wszystkie te ich zabawy, niewinne wybiegi, gniew i złośliwości wydały się Ginie straszliwie odległe. Powierniczka generała Vitayego, znająca tajemnicę, nad którą wisiało widmo śmierci, pragnęła teraz samotności i raczej – jeśli w ogóle czuła coś, co można określić słowem – zazdrościła piątej klasie ich żartów i przelotnych smutków, o których szeptano pod osłoną pobożnych pieśni, niż gniewała się na nią. Och, jakże szczęśliwe są te wszystkie dziewczęta, które łamią sobie głowę nad tym, jaki by jutro splatać figiel

Königowi, żeby był zabawny i jednocześnie, jeśli zostanie wykryty, nie pociągnął za sobą kary. Wojnę przegraliśmy, nasi żołnierze giną bezsensownie... Cel, dla którego walczymy, jest fałszywy, a nasza wojna bezprawna. Kalmár uczy czego innego i niewątpliwie w to wierzy, zresztą wszyscy, z którymi się tutaj dotychczas zetknęła, myślą inaczej. Z wyjątkiem tego kogoś jednego, kogo nie zna, a właściwie zna, tylko nie wie, że to on. Przywódca cywilnego ruchu oporu.

Nim się przebrała i wzięła psalterzyk oraz Biblię, klasa też już była gotowa i wszystkie dziewczęta pobiegly na podwieczorek. Siostra Elżbieta, która kierowała pracą przy noszeniu węgla, rozdzieliła ciastka, kładąc je obok tradycyjnych rogalików i jabłek.

– Ten, kto przyzwoicie pracuje – powiedziała Elżbieta do dziewcząt, zastygłych w bezruchu z zachwytem – zasługuje na przyjemną niespodziankę.

Klasa w mgnieniu oka wszystko połknęła i Gina słyszała, jak Nacák mówiła, że pensja staje się ofiarą starczego rozwodnienia mózgu, przypuszczalnie zbliża się Sąd Ostateczny, ponieważ to, co się stało, powinno się znaleźć w Apokalipsie. Kiedy nie tak dawno zagoniono siódmą klasę do podobnie wesołej „specjalnej” pracy, szkoła wysyłała akurat paczkę na front. Wyróżniając siódmą klasę, dyrektor zaproponował w jej imieniu, aby tygodniową porcję jabłek i cukru, przypadającą na każdą z uczennic, ofiarować żołnierzom. Tak wyglądało uznanie za dobrą pracę.

– Ciastka z cukierni... – szeptała Jackó. – Może Elżbieta jest zakochana i to nowe dla niej uczucie padło jej na mózg i teraz w ten sposób reaguje.

Gina modliła się w duchu, żeby w to uwierzyły i już, już wyglądało na to, że uda jej się uniknąć nowego upokorzenia, ale poczucie sprawiedliwości kazało diakonisse Elżbiecie powiedzieć prawdę i wszystko zepsuła. Kiedy bowiem piąta klasa, stojąc na baczność, podziękowała jak należy za podwieczorek, a dyżurna obok obowiązującej formułki dodała, że dziewczęta bardzo dziękują panu dyrektorowi i kierownictwu za specjalne wyróżnienie w postaci ciastek, Elżbieta pokręciła głową i oznajmiła, że ciastka są podarunkiem od ojca Georginy Vitay i podziękowanie jemu się należy. Cisza trwała tylko sekundę, po czym dyżurna ponownie zarządziła baczność, twarze dziewcząt zwróciły się w stronę Giny, a dyżurna z zimną krwią, jakiej nie powstydziliby się mąż stanu, wygłosiła wyuczone na takie okazje zdanie:

– Z całego serca dziękujemy za uprzejmość ojcu Georginy Vitay!

– Klasa opuści jadalnię i do kolacji może zajmować się w szwalni naprawą odzieży, z wyjątkiem Georginy Vitay, która ma jeszcze czterdzieści pięć minut wolnego czasu – oznajmiła siostra Elżbieta.

Dziewczęta wyszły, Gina zaś skierowała się do sali muzycznej, usiadła naprzeciw drzwi i czekała. Była pewna, że zaraz coś się stanie, jakby jej o tym ktoś

powiedział. Och, żeby już mieć za sobą tę nową obrazę, nie dlatego że ją zaboli, lecz dlatego że nie ma czasu na takie bzdury, musi wszystko przemyśleć, uporządkować to, co usłyszała.

A więc nie ma ucieczki. Musi tu zostać, niezależnie od tego, jak będą się do niej odnosiły dziewczęta i co się z nią tutaj stanie. Dotychczas uważała twierdzą za więzienie, ale okazało się, że teraz jest to dla niej kryjówka. Straszliwa kryjówka. Ale musi wytrwać, a pierwszym warunkiem jest w końcu pogodzenie się z całą klasą i wyproszenie od Mari Kis zwrotu drobiazgów, które znalazła w łóżku, a głównie listu. To, co do dzisiejszego dnia wydawało jej się takim wspaniałym rozwiązaniem – jeśli inaczej jej się nie uda, to spowoduje, że sami ją stąd wyrzucą – było teraz zupełnie niemożliwe. Ale jeśli list, ów głupi list pożegnalny, który jest u Mari, przez złośliwość lub zemstę klasy dostanie się do rąk któregoś nauczyciela, czy też Zuzanny, wówczas Gina nie uniknie wydalenia ze szkoły. Jak przekonać Mari Kis, nie zdradzając się z tym, co usłyszała od ojca, żeby jej nie niszczyła, żeby nie zrobiła użytku z tego, co znalazła, żeby jej wreszcie przebaczyła? Jeśli spróbuje Mari zagadnąć, ta odwróci się plecami i nie odpowie na pytanie. Właściwie to zupełnie niezrozumiałe, co ona z tym zamierza zrobić, dlaczego czeka, przecież jutro minie tydzień od podwieczorku u Mici Horn i od znalezienia listu, który już dawno mogła oddać Zuzannie. Trzeba by porozmawiać z Mari w cztery oczy, rozważnie, mądrze,

ale jak? Mari Kis nigdy nie da ku temu okazji, to niemożliwe.

A jednak nadarzyła się sposobność. Atak z powodu ciastek, którego się spodziewała, rzeczywiście nastąpił i w imieniu całej klasy zjawiała się Mari Kis. Weszła do sali muzycznej, zamknęła za sobą drzwi i skierowała się prosto do fortepianu, gdzie na pulpicie do nut Gina postawiła otwarty psalterz. Na ramieniu Mari Kis wisiała torba, którą zaraz zdjęła i na wierzchu fortepianu wysypała całą jej zawartość. Jak lawina potoczyły się z niej dziesięć – i dwudziestofillerowe monety.

– Dziewiętnaście razy po trzydzieści fillerów – rzekła Mari Kis. – Trzydzieści fillerów kosztuje jedno ciastko, a przynajmniej tyle kosztowało, kiedy ostatnio byliśmy w cukierni, jeśli jednak przez ten czas podrożały, to powiedz, a zbiorę resztę.

– Oddaj mi – powiedziała Gina. Nawet nie spojrzała na pieniądze. – Proszę cię na wszystko, co kochasz, co jest dla ciebie ważne, oddaj mi. Przez cały rok będę ci czyściła buty i zrobię, co zechcesz. Przyczep mi na plecach kartkę z napisem, że jestem idiotką, zdrajczynią, cokolwiek... Obiecuję, że będę z tym spacerować po ogrodzie. Ale na litość boską, Mari, zwróć mi to!

Mari Kis spojrzała na nią. Zobaczyła przed sobą zupełnie nową, nieznaną jej Vitay. Ona chyba zwariowała albo jest pijana!

– Oto nasze pieniądze, które nam przydzielono, abyśmy jutro dały je na ofiarę w kościele! Z twojego

powodu cała klasa wrzuci do puszek guziki od płaszczy. Jeszcze nie wiem, skąd weźmiemy tyle niklowanych guzików. Jeśli Zuzanna zauważy, że nie pieniądze wrzucamy, to koniec. Może lepiej donieść jej o tym wcześniej, żeby uważnie się nam przyglądała. Poza tym, co tu przyniosłam, nie mamy więcej ani grosza. Aż do Bożego Narodzenia Zuzanna wydziela nam pieniądze tylko na cele misyjne i kościelne.

– Możesz ze mną zrobić, co chcesz, za ten list – rzekła Gina. – Co chcesz, rozumiesz? Jeśli ci to odpowiada, zbij mnie, nie oddam ci, albo zepchnij mnie z góry, gdy będziemy ćwiczyć na drabinkach, lub jeśli wolisz, to sama spadnę, udając, że to wypadek. Jeśli będziesz miała szczęście, złamię nogę. Nie rozumiesz, co mówię? Zwróć mi list, który znalazłaś w moim łóżku. Resztę: grzebień, puderniczkę, kalendarzyk, portmonetkę, albumik i klucze – chociaż nie wiem, po co ci klucze od cudzego mieszkania – możesz sobie wziąć. Słyszysz? Powiedz, co mam za to zrobić! Nie musicie ze mną rozmawiać, nie musicie mnie przyjąć do swego grona. Niczego innego nie chcę, tylko zwróć mi list!

– Mówisz, że ja znalazłam coś w twoim łóżku?! – zawołała oburzona Mari Kis. – Tak bezczelnej dziewczyny jak ty jeszcze nigdy nie widziałam. Podstępnie karmisz nas swoimi ciastkami, my zjadamy je zupełnie tego nieświadome, a kiedy chcemy ci zapłacić, bo od ciebie nic a nic nie przyjmujemy, raczej całymi dniami nie będziemy jadły, to ci jeszcze tego mało. Więc

robisz ze mnie złodziejkę? Myślisz, że kiedy kazano mi przynieść twoje rzeczy, to szperałam w twoim łóżku i coś buchnęłam? Masz czelność mówić, że coś ukryłaś w swoim łóżku, kiedy niczego tam nie było?! No, poczekaj! Jeśli sobie wyobrażasz, że dzięki tym potwarzom uda ci się wybrnąć z kłopotów, to nie znasz piątej klasy!

I Mari Kis wybiegła wzburzona, zapominając, że tutaj trzeba chodzić na palcach i grzecznie się zachowywać i w dodatku że nie ma teraz prawa przebywać u Vitay, która powinna się zajmować czytaniem Biblii i graniem na fortepianie, aby uszlachetniać swą duszę. Ze złości tak trzasnęła drzwiami, że aż wiszący nad nimi obraz z widokiem katedry genewskiej poruszył się, jakby chciał spaść na podłogę. Gina popatrzyła za nią. Ani przez sekundę nie wątpiła, że Mari Kis powiedziała prawdę. Ona rzeczywiście nic nie wiedziała. A zatem jej rzeczy muszą być u Zuzanny. Znalazła je, kiedy poszła do sypialni, żeby sprawdzić, czy Gina mówiła prawdę. Może więc spokojnie odetchnąć, jeśli bowiem diakonisa dotąd milczała, to widać chce ją ratować, list z pewnością zniszczyła, resztę zaś rzeczy gdzieś schowała, aby jej nie zdradziły. Cudowna, piękna, surowa Zuzanna! Serce Giny nappełniło się wdzięcznością. Była uratowana! Klasa i tak jej nienawidziła, a teraz, gdy się dowie od Mari Kis o nowych zarzutach, znienawidzi ją jeszcze bardziej. „Wszystko jedno, wytrzymam” – pomyślała.

Zgarnęła pieniądze i wypchała nimi kieszenie. Gdy

będzie stąd wychodziła, musi się zasłonić Biblią, aby nie było widać odstających kieszeni fartucha. Jutro zanieś pieniądze w torbie do kościoła i postara się pierwsza podejść do puszek. Jeśli ktoś to zauważy, wyjaśni, że dziewczęta ją upoważniły, aby sama wrzuciła do puszek ofiarę od całej klasy. Może dzięki temu te głuptasy nie będą próbowały wrzucać guzików, bo jeśli nawet tego dnia nikt nie zauważy, to przy otwieraniu puszek i tak się okaże, co tam jest, a wieść dotrze do szkoły. Po co?

Gina, ta dawna Gina, jakżeby się cieszyła z tej całej sprawy, ostentacyjnie trzymałaby na widoku swoje trzydzieści fillerów, aby pokazać, że nie ma nic wspólnego z wrzucaniem guzików. Jakże byłaby zadowolona, że klasa znalazła się w tarapatkach. Teraz jednak gnębiła ją myśl, że znów ściągnęła na dziewczęta przykrości i że na nowo rozdrażniła i z pewnością obraziła niewinną Mari Kis.

Otworzyła fortepian i zaczęła bębnić melodię surowej pieśni kościelnej *W gniewie swoim nie karz mnie, Panie*. („Za tym, co pokazują kroniki filmowe, kryje się co innego. Bezsensowny rozlew krwi”). *W swoim pełnym rozgoryczeniu wzburzeniu* („Ciocia Mimó nie ma o tym pojęcia, Kalmár zaś uczył nas na lekcji obrony ojczyzny, że kto podburza opinię publiczną przeciwko wojnie.”) *miej wzgląd na mnie* („jest zdrajcą. Ten, kogo on uważa za zdrajcę, jest prawdziwym bohaterem. Jemu powierzono opiekę nade mną. Z pewnością to on włożył ulotkę do ławki Mici Horn i on napisał te słowa pod

pomnikiem Hungarii. Kalmár się myli. Oszukano go”).
...*nie karz mnie, Panie Boże.* („Nie można pozwolić, aby natrafili na mój ślad. Chcę być podobna do innych dziewcząt jak kropla wody”). *W gniewie swoim* („Niech mój ojciec spokojnie pracuje, nie wolno dopuścić, abym się stała zakładniczką, żeby moją osobą szantażowano ojca”)... *nie karz mnie, Panie.* („Trzeba uratować żołnierzy. Wojna toczy się o złe cele. Mój ojciec i inni chcą uratować kraj”). *W swoim pełnym rozgoryczenia wzburzeniu* („Będę silna, dobra. Będę cierpliwa. Tylko niech się uda to, czego pragnie mój ojciec. Żebyśmy wszyscy wyszli z tego żywi!”) *nie karz mnie, Panie Boże!*

– Nie śpiewasz? – usłyszała głos Zuzanny.

Diakonisa stała za nią. Gina zupełnie nie zauważyła, kiedy weszła. Wdzięczność, jaką obudziło w niej poprzednie odkrycie, o mało co nie kazała jej zerwać się od fortepianu i podbiec do tej drogiej Zuzanny, która ją uratowała, a przecież nie wiedziała nawet, o jak wielką sprawę chodzi. Opanowała się jednak, czuła bowiem, że diakonisa ją za to skarci. Nie wolno przecież dotknąć ani pocałować kogokolwiek z wychowawców. Pomyślała również, że jeśli Zuzanna ją uratowała i ani słowem o tym nie wspomniała, to z pewnością życzy sobie, aby i ona zachowała milczenie.

– Twoja wolna godzina już minęła – rzekła diakonisa. – Klasa skończyła szycie, możecie iść się bawić do świetlicy. Zanieś na miejsce swoje rzeczy.

Gina stąpała ostrożnie, przyciskając Biblię do

fartucha, i modliła się, aby ta ogromna liczba drobnych monet nie zabrzęczała w kieszeniach. Zuzanna nie towarzyszyła jej i Gina szła sama korytarzem aż do sypialni. Tam wsypała pieniądze do torby. Wśliznęła się również do świetlicy, chociaż z góry wiedziała, że przez półtorej godziny nic wesołego jej tu nie spotka. Piąta klasa wymyśliła bardzo perfidną grę, a ponieważ dyżurował przy nich König, który nigdy niczego nie zauważał, dziewczęta mogły pofolgować swoim uczuciom. Zabawa polegała na tym, że jedną z nich wysyłano z pokoju, a pozostałe umawiały się między sobą, kogo uosabia znajdująca się za drzwiami koleżanka, później wzywano ją z powrotem i musiała kolejno zadawać pytania dziewczętom siedzącym w pokoju, dopóki nie zgadła. Wyliczanką rozstrzygano, która wychodzi za drzwi. Tym razem padło na Oláh. König drzemał, tyle tylko że był obecny, ale nawet na nie nie spojrział. Bóg raczy wiedzieć, o czym tak dumał. Były pewne, że nie słyszy ani słowa, a jeśli nawet, to i tak nic nie rozumie z tego, co się wokół niego dzieje.

Mari Kis nieznacznym ruchem głowy wskazała Ginę. „Grajcie sobie – pomyślała dziewczynka – grajcie, że Oláh to teraz Vitay i z pytań oraz odpowiedzi ma się wyjaśnić, jaka jestem podła i nikczemna. Bawcie się, jeśli wam to sprawia przyjemność. Na froncie bezsensownie giną nasi żołnierze i kraj nie wie, jaka jest prawda. I wy tutaj też nie wiecie”. Zawołały Oláh, która pierwsze pytanie skierowała do Tormy.

- Jestem osobą czy przedmiotem?
- Osobą – uśmiechnęła się Torma.
- Prawdziwą czy wymyśloną? – zwróciła się Oláh do

Ari.

- Prawdziwą – stwierdziła Ari.
- Jestem dziewczyną czy chłopcem, Salm?
- Płeć żeńska. *Feminigeneris*⁶.
- Lengyel! Czy znam siebie?
- Jak zły szeląg.
- Rideg! Czy jestem matulanką?
- Tak ci się wydaje.
- Czy mnie lubią? Vajda?
- Jak koza nóż.
- O, a dlaczego? Mari Kis!
- Bo jesteś podła! – odpowiedziała Mari.

Oczy Oláh zabłyśły. „Już wie – pomyślała Gina. – Któż inny mógłby to być jak nie ja, którą tak lubią jak koza nóż, która jest fałszywą matulanką, nie należy do ich grona i jest podła?”

– Ejże, a co takiego zrobiłam? – zadała pytanie Oláh i roześmianym spojrzeniem przebiegła po twarzach dziewcząt, które w podobny sposób odpowiedziały jej uśmiechem. – Więc cóż, u licha, ja zrobiłam? Vitay!

– Zdradziłaś coś przez głupotę – odparła cicho Gina.

Spojrzenia zwróciły się teraz ku niej, zatrzymały na jej spokojnej twarzy. Vitay nie jęczała, Vitay nie wpadła w gniew, nie zmieszała się, Vitay nie zaprzeczyła, nie udawała, że nie wie, o kim mowa, i jakkolwiek było to

dziwne uczucie, to jednak nie można się było od niego uwolnić: uderzyło je, że wprawdzie Vitay bierze udział w ich zabawie, ale robi to tak, jak zwykli się zachowywać dorośli uczestnicy tego rodzaju zabaw. No, jeśli tak, to nie ma to wszystko sensu. Jeśli ona nie cierpi, jeśli się nie złości, to po co to wszystko? Oláh zmieszała się, ponieważ innej oczekiwała odpowiedzi, bardziej płaczliwej lub gniewnej, kiedy to jeszcze głębiej można byłoby wbić niewidzialny sztylet. A teraz o co ma pytać? Sądziła, że lepiej się przy tym będą bawić.

– Już zgadłam – powiedziała niechętnie. – Kto teraz wyjdzie?

Według reguł gry powinna wyjść Gina. I może one będą się z nią bawić? W co? I jak? Nie mogą ponownie wybrać jej osoby do odgadnięcia. Zresztą nie będą jej zabawiać. Sama Mari Kis nie potrafiła znaleźć rozwiązania.

Cisza i brak jakiegokolwiek szmeru podziałały widać na Königa tak jak głośny krzyk, uniósł głowę i się rozejrzał.

– Kogo przedstawiałyście? – zainteresował się. – I już zgadłyście kto to?

– Cesarza Augusta – skłamała Szabó. – Ale już się nie bawimy. Czy można zamiast tego rozmawiać?

– Oczywiście – odparł König i znów się pogрузzył w myślach.

Gina podeszła do okna i oparła się łokciami na parapecie. Nic nie mogła zobaczyć, ponieważ zasłona

przeciwlotnicza kryła przed nią ogród, ale przynajmniej znajdowała się w pewnym oddaleniu od innych i nie musiała słuchać, jak Mari Kis opowiadała dziewczętom o jej nowym przewinieniu, które przewyższało dotychczasowe. Próbowwała sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy wszystkie okna można otworzyć i na każdej ulicy świecą latarnie, nie ma wojny i nie ma śmierci, i nie ma poważnych tajemnic, nie ma niebezpieczeństwa i zniszczenia. Myślała o ojcu, który jest już gdzieś daleko, pędzi swym samochodem w stronę Pesztu i czasami trąbi, a wówczas klakson powtarza: „Biedna Gina!”. Myślała także o Ferim, który z pewnością wie to wszystko co jej ojciec.

Przecież Feri jest taki mądry, taki do nikogo niepodobny. Należy do towarzystwa bywającego u cioci Mimó i zawsze tak serdecznie wyrażał się o jej ojcu. Ile to już razy prosił, żeby pozwolono mu odwiedzić ją w domu. Kiedy jednak wspominała o tym generałowi, ojciec odpowiadał niezmiennie: „Żadni oficerowie nie mogą cię odwiedzać, porucznik Kuncz również”. Być może ojciec trzymał Feriego z daleka od ich domu, aby i jego nie wpędzić w tarapaty, chociaż porucznika zawsze mniej się podejrzewa niż generała.

Zadzwoniono na kolację. König stale bał się przeziębienia i nawet jeśli szedł do nich nie przez podwórze, lecz korytarzem prowadzącym z części zamieszkaanej przez nauczycieli, to gardło też miał owinięte szalikiem i wkładał płaszcz, co szczególnie

bawiło dziewczęta. Poza tym zamiast powiesić palto na wieszaku, zaczepiał je na klamce okiennej. Teraz jak zwykle sięgnął po płaszcz i zdziwił się: nie było przy nim ani jednego guzika. „Chryste Panie, to w związku z jutrzejszą ofiarą na kościół! Ukradły Königowi guziki, od niego zaczęły zbiórkę!” – pomyślała Gina i chociaż naprawdę serce jej przepełniało zmartwienie, o mało co nie roześmiała się na widok miny, jaką zrobił König, i obłudnej uniżoności Mari Kis, która kręciła się koło niego, wyrażając swoje współczucie, i pytała, czy przypadkiem nie jechał dzisiaj tramwajem, bo w wielkim tłoku może się zdarzyć, że człowiek zostawi wszystkie guziki w wozie. Ojej, jaka szkoda, i to takie piękne jasnoszare guziki jak pengó, trudno będzie takie same zdobyć. König wzdychał, ale później jak zwykle pogodził się z tym, co się stało, i zaprowadził klasę do jadalni. Gina nie zjadła całej kolacji, mimo że dostała danie dietetyczne. Tłumaczyła się swoją chorobą. Nie wypila nawet kompotu, nie miała apetytu. Zuzanna zapytała, kto chce wobec tego kompot Giny. Dziewczynka patrzyła przed siebie bezradnie, wiedziała, że żadna nie zechce. I wówczas od strony stołu profesorskiego odezwał się König, poprosił o kompot Vitay. Wszyscy profesorowie spuścili wzrok, dyrektor również, ale widać było po Gedeonie Tormie, że ledwo może się powstrzymać, by nie zwrócić ostro uwagi temu żarłokowi. Gina wprost biegła ze swoim kompotem, postawiła go przed Königiem, niech wypije, przynajmniej nie trzeba będzie

tłumaczyć, dlaczego klasa nie chciała przyjąć od niej kompotu. Pani Gigus zaczęła coś szeptać z Esterą Sáfár, Kalmár nieznacznie pokręcił głową. „Do czego zdolny jest ten König” – szepnęła Murai. Teraz jeszcze bardziej były na niego złe. Gdyby nie był taki żarłoczny, Vitay krążyłaby od jednej do drugiej z tym swoim nieszczęsnym kompotem z wiśni.

Podczas wieczornej modlitwy był spokój, pastor mówił o tym, co stanowi ozdobę prawdziwej chrześcijanki i jakie są to cechy charakteru. „Tak jak krzak róży zdobi wonny kwiat, tak chrześcijańską pannę opromienia piękna cnota cierpliwości, łagodność i miłość bliźniego”. „Zawsze byłam wybuchowa, niecierpliwa i nigdy nie potrafiłam kochać tego, kto wyrządził mi przykrość – rozmyślała Gina. – Teraz dopiero uczę się tych cnót, uczę się ich od żołnierza, wielebny pastorze, od mojego ojca, dla niego usiłuję być cierpliwa i łagodna”. Uniosła wzrok, czego nie wypadało, nie wolno było robić, i napotkała spojrzenie Tormy. Dziewczynka patrzyła na nią, po czym nagle spuściła oczy. Gina dopiero o wiele później dowiedziała się, że wówczas Piroska Torma w podobny sposób myślała o sobie, że nie posiada tych cnót, i chyba cała klasa również. Dziewczęta zastanawiały się, jak przystąpią przed Bożym Narodzeniem do komunii, jeśli nigdy nie przebaczą tej Vitay.

Tym razem nie było mycia przed spaniem, ponieważ klasa wykąpała się zaraz po pracy przy węglu. Zuzanna pozwoliła im w sypialni czytać przez godzinę albo cicho

rozmawiać, co która woli. Teraz, po pustce i ciszy szpitalnego pokoiku, nawet ta sypialnia wydała się Ginie przyjemna, mimo że nikt się do niej nie odzywał, a nawet nie próbowano jej obrażać czy mówić o niej, traktowano ją jak powietrze. Gina nie czytała, położyła się do łóżka, w którym cały tydzień nie spała, i myślała o ojcu, o ich rozmowie, i o tym wszystkim, czego uczyli Kalmár i nauczyciele w jej starej szkole, a także o rozmowach o wojnie u cioci Mimó. Dziewczęta chichotały. Salm stała przy drzwiach na straży, Szabó, mała grubaska, w koszuli nocnej wykonywała jakiś skomplikowany taniec, stojące dokoła dziewczęta pokładały się ze śmiechu. Pragnęła już zasnąć, ale nie mogła, zbyt dużo wydarzeń było tego dnia, zbyt dużo problemów do przemyślenia, i samo łóżko wydawało jej się jakieś inne, mimo że w ubiegłą niedzielę rano porządnie je zasała. No tak, ale potem Zuzanna zaglądała pod materace i widać nie ułożyła wszystkiego jak trzeba.

Późno już było, tylko maleńka lampka paliła się w sypialni. Dziewczęta, zmęczone zabawą i śmiechem, pozasypiały. Zaraz wstanie i poprawi łóżko, aby móc wreszcie zasnąć, ponieważ musi być silna i zdrowa, obiecała przecież, że będzie na siebie uważać. Wysunęła się spod kołdry, odwinęła prześcieradło i trochę uniosła środkowy materac, aby go równo ułożyć. Wsunąwszy rękę między materace, nagle cofnęła ją, jakby się sparzyła. Przez chwilę siedziała tak w kucki z mocno bijącym sercem, później nabrała odwagi i wyjęła

wszystko, co tam było. Ułożyła na zawiniętym prześcieradle puderniczkę, grzebyk, kalendarzyk, portmonetkę, albumik ze zdjęciami i klucz od mieszkania, wszystko, co kiedyś tu zostawiła, a także list, swój list pożegnalny, o którego zwrot tak bardzo błagała Mari Kis. Znajdował się wśród innych rzeczy, nietknięty, cały, ta sama kartka, tylko przybył na niej nowy tekst. Po słowach: „Nienawidzę Was wszystkich. Bawcie się nadal w tym więzieniu w te swoje idiotyczne zabawy, ja stąd uciekam. Vitay”, dodano:

Kiedy uciekłaś, wiedziałam, że nie odejdiesz bez pożegnania, więc gdy wróciłaś od Mici Horn, natychmiast zabrałam do siebie twoje rzeczy i ten nieszczęsny list. Zniszcz go i pogódź się z klasą, to takie dobre dziewczęta. Jeśli masz kłopoty, to dlaczego się do mnie nie zwrócisz? Strzegę przecież nie tylko twojej tajemnicy. Abigél

Alarm lotniczy

Gina uklęknęła i przycisnęła twarz do listu i przedmiotów przypominających dom, przymknęła oczy, jakby na jej powiekach zaciążyło nagłe doznanie, jakby prawda, która dotarła do świadomości, była tak oślepiająca, że nie mogła jej przyjąć z otwartymi oczami. „Abigél, ty cudowna, zawsze niosąca nam pomoc Abigél, która pomagasz w rozsypywaniu problemów naszego okropnego życia, jak to się stało, że zaraz nie odkryłam twojej tajemnicy, kiedy pierwszy raz usłyszałam o tobie? Dlaczego myślałam, odnosząc się z lekceważeniem do dziewcząt i nazywając je w duchu naiwnymi, głupimi dziećmi, że z twoją kamienną postacią wiąże się po prostu legenda, jeszcze jedna zwariowana historia, których nie brak tu na pensji? Dlaczego zaraz na to nie wpadłam, Abigél, że w tej dżungli surowych praw, regulaminów i zakazów kryje się ktoś, nie posąg, lecz żywy człowiek, kto ukrywając się za twoją empirową postacią, wkracza wszędzie tam, gdzie potrzebna jest komuś pomoc? Abigél, klasa mi nie przebaczy, a profesorowie, jeśli w ogóle mnie lubią, to uczucie to jest dalekie, bezosobowe, tak typowe dla tej szkoły, daje jedynie poczucie pewności, lecz nie ciepła. Już raz stąd uciekałam w świat,

tak byłam spragniona normalnych ludzkich kontaktów. Nie wiedziałam, że nie jestem sama, że ktoś się o mnie troszczy, że ratuje mnie, że uważa na mnie, mimo że o to nie proszę i mimo że wątpię w jego istnienie.

Kim jesteś, Abigél? Kim jest ten ktoś, kto tutaj z nami mieszka, kto codziennie koło nas przechodzi, krzyczy na nas lub się uśmiecha, bierze udział w naszym życiu i jest tak blisko, że bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi może wchodzić do naszych sypialń, zaglądać do naszych kieszeni lub zeszytów, kto słyszy, o czym się szepcze, kto wszystko wie, a kogo nikt nie podejrzewa? Tutaj, wśród tych białych ścian, żyje ktoś, kto nosi maskę, kto ukrywa swoje właściwe cechy, z pewnością srogo krzyczy, czepia się wszystkiego, jest nieprzejednany, lub też pełen dostojeństwa, aby swobodniej móc się poruszać i działać. Taki człowiek, który zdaje sobie sprawę, że wszystkie jesteśmy tu daleko od domu, od rodziców, a wymaga się od nas tak dużo, że czasem przekracza to nasze siły, i napotykamy tyle różnych przeszkód, że coraz to któraś się potyka. Kim jesteś, Abigél? Twojego prawdziwego oblicza nikt nie widział. Wiemy tylko, że działasz w tych murach od tysiąc dziewięćset cztertnastego roku. Czy w ogóle jesteś tą samą osobą, która niegdyś usłyszała płacz Mici Horn? A może przedtem był kto inny? Tak jak Sybilla nigdy nie była wieczna, tylko zawsze nowa, młoda kapłanka przejmowała funkcję starej. Jesteś stara czy młoda? Jesteś mężczyzną czy kobietą? Jak wygląda twoja prawdziwa

twarz? Lubię cię czy boję się ciebie, kiedy spotykam cię w twojej codziennej postaci? Skąd aż tak dobrze mnie znałaś, że wiedziałaś, iż chcę uciec i jeśli się na to zdecydowałam, to nie odejdę bez pożegnania, bez słowa? A jeśli nie wywnioskowałaś tego, to skąd mogłaś wiedzieć, co zrobiłam? Jak mogłaś usłyszeć, co powiedziałam siostrze Zuzannie w pokoiku szpitalnym? Och, gdybym cię mogła zobaczyć, gdybym mogła pochwycić twoją rękę, jakże dziękowałabym ci za to, coś dla mnie uczyniła. Kim ty jesteś, Abigél?”

Otworzyła znów oczy. List leżał przed nią, lecz jego zewnętrzna forma niczego nie chciała zdradzić. Takimi drukowanymi literami umiał tu pisać każdy, wszyscy nauczyciele i diakonisy, nawet uczennice. Pismo, jakim się tutaj posługiwano, było charakterystyczne dla pensji Matuli: jednakowe, równe, wyraźne litery przypominające druk. Tak więc charakter pisma nie naprowadzi na ślad Abigél, trzeba pójść inną drogą, jeśli chce się odkryć jej tajemnicę. Z czyjego zachowania i charakteru można by wywnioskować, że nie uważa za grzech tego, co na pensji ogólnie uważa się za grzech? Kto ma w sobie jeszcze tyle chęci do zabawy w tę grę, kto jest na tyle odważny, by ryzykować, że pewnego razu zostanie zdemaskowany, że ktoś z jego grona ma inne wyobrażenie o wychowywaniu dzieci niż on? Kto jest tak zręczny i wszechmocny, aby zawsze znaleźć potrzebne, a przecież tak różne środki do niesienia pomocy?

Kłęcząca przed tymi drogimi jej drobiazgami i łamała

sobie głowę, lecz nie potrafiła dojść do żadnego wniosku. Z pewnością Abigél nie byłaby Abigél, gdyby to był ktoś, kto swoją postawą mógłby się zdradzić. Może to być zatem każdy, kto w niczym nie przypomina Abigél: chociażby Gedeon Torma, mimo swojego straszliwego krzyku i zdumiewających wymagań, Zuzanna – choć czasami jest aż przerażająco purytańska – lub Kalmár, który jest taki wyniosły i surowy. Słowem, każdy, kto jest zręczny, obrotny, o błyskawicznym refleksie, kto jest tak dobrym aktorem, że jeszcze nigdy przed nikim się nie zdradził, że czuwa nad wszystkimi dziewczętami na pensji niczym anioł z rozpostartymi skrzydłami, aby gdy któraś się pośliźnie na tej drodze wiodącej wśród tysiąca obowiązujących zakazów, podtrzymać ją do czasu, aż znów się wyprostuje i zacznie pewnie stąpać.

Północ.

„Tak, Abigél. Tak, wiem, że chcesz, abym już zasnęła” – pomyślała Gina.

Wstała, chwyciła szlafrok, schowała do kieszeni odzyskane rzeczy oraz list i wymknęła się do łazienki. Najpierw zniszczyła list, drąc go na tak drobne kawałeczki, że w żaden sposób nie można by było tego skleić, następnie uratowane z torebki drobiazgi ponownie schowała w skrzyni na pelargonie. Wracając do sypialni, nie spotkała nikogo, żadna z dziewcząt również się nie poruszyła. Poprawiła materace, wygładziła prześcieradło i wreszcie się położyła. Teraz mogła już zasnąć. Po raz pierwszy, od czasu kiedy naraziła się klasie, czuła, że tu,

na miejscu, wśród tych białych grubych murów, jest ktoś, kto o niej myśli, kto uśmiecha się, wyobrażając sobie, jaką zrobiła minę, znalazłszy swoje rzeczy.

Nazajutrz, gdy obudził je dzwonek, zorientowała się z narzeką dziewcząt, że dzisiejsza pobudka była o pół godziny wcześniej niż zazwyczaj w niedzielę. Dziewczeta nie wiedziały, co się stało, i dopiero później, gdy Zuzanna ustawiła je trójkami na korytarzu, wyjaśniło się, dlaczego tego dnia musiały krócej spać. Diakonisa oznajmiła im, że dzisiaj kazanie wygłosi nie ich pastor, lecz duchowny z miasta, słynny kaznodzieja, duma teologów z Árkodu, oczekuje się więc, że w tym dniu dziewczeta będą się wyjątkowo przykładowo zachowywały, a wcześniejszą pobudkę zarządzono dlatego, że diakonisy muszą dopilnować, aby każda z dziewcząt dokładnie wykonała poranną toaletę i stosownie do tej wielkiej chwili wyruszyła na przyjęcie słowa Bożego czysto i schludnie ubrana, uczesana ze skromną elegancją wyrażającą szacunek dla dostojnego gościa. W wyobrażeniu Zuzanny owa skromna elegancja nie miała nic wspólnego z rozpaczliwymi wysiłkami dziewcząt, które przynajmniej w każdą niedzielę, kiedy w czasie świątecznego spaceru stykają się z mieszkańcami Árkodu, starały się nadać bardziej estetyczny wygląd swoim fryzutom, na pierwszy rzut oka jednak zgodny z regulaminem. Tym razem diakonisa prawie każdą z nich przeczesła. Salm stwierdziła, że wszystkie wyglądają tak, jakby im za uchem zwisała zdechła mysz, której ogon na znak żałoby

przewiązano czarną tasiemką. Innym razem bardziej by się oburzały, że wyjdą na miasto, wyglądając jeszcze brzydziej niż normalnie, teraz jednak piąta klasa miała poważniejszy problem. Mari Kis i jej koleżanki natychmiast się zorientowały, że to nadzwyczajne wydarzenie stanowi dodatkowe niebezpieczeństwo w związku ze skarbonką na ofiarę kościelną. Jeśli dzisiaj tak wybitny duchowny wygłasza kazanie, to wokół skarbonki nie będą stali prezbiterzy, którzy są na ogół ślepi i starzy, lecz całe grono pedagogiczne, i niech Bóg broni, żeby przy wyznaczonej dla nich skarbonce stał Torma lub, powiedzmy, Éles, który ma taki wzrok, że zachodzi obawa, iż przebija nim mur. Mari Kis poważnie zaczęła się bać, szepnęła coś Murai i wybiegła. Gina domyśliła się, dokąd i po co tak się spieszyła. Miały już prawie ruszać, a jej ciągle jeszcze nie było. Chociaż Gina rzeczywiście nie miała żadnego powodu, żeby jej dobrze życzyć i bać się o nią, to jednak niepokoiła się, co będzie, jeśli Zuzanna da rozkaz wymarszu, a Mari ciągle jeszcze nie będzie wśród nich. Ale Mari dosłownie w ostatniej minucie zjawiała się i zajęła swoje zwykłe miejsce z lewej strony Giny. Szepnęła do Tormy, że się nie udało. Obiegła wszystkie klasy, łudząc się, że może przypadkowo z okazji wczorajszych odwiedzin rodziców u niektórych dziewcząt znajdą się jakieś ukryte pieniądze i będzie można pożyczyć, ale niestety żadna z pensjonarek nie miała ani grosza poza przydzielonymi fillerami na ofiarę kościelną. W innym przypadku Gina

powiedziałyby, żeby się nie denerwowały, bo przecież ona ma w torbie ich pieniądze, całą sumę, którą wczoraj w gniewie wysypała przed nią Mari Kis, i że ona, Gina, nie dopuści, aby w obecności któregoś nauczyciela wrzuciły do skarbonki guziki skradzione Königowi i Bóg wie komu jeszcze, ale nie odezwała się. Nie dlatego że chciała im przedłużyć chwile niepokoju i zdenerwowania, ale ponieważ nie śmiała już się odezwać do Mari Kis. Od chwili kiedy Gina ją niewinnie oskarżyła, gniew obrażonej dziewczyny był bardziej nieprzejednany niż kiedykolwiek.

Później, w wieku dojrzałym, często przypominało jej się to niedzielne nabożeństwo, podczas którego właściwie nie uważała na ani jedno słowo wypowiedziane przez kaznodzieję i wiedziała, że dziewczęta również go nie słuchają. Siedziały i ukradkiem, aby Zuzanna nie zauważyła, spoglądały na zegar i zastanawiały się, który z nauczycieli będzie stał przy wyjściu z lewej strony, gdyż tamtędy zawsze ich klasa opuszczała kościół. Możliwe, że tego dnia gościnnie występujący kaznodzieja wygłosił szczególnie piękne kazanie mające na celu kształtowanie ich młodych dusz, ale do świadomości piątej klasy prawie nie dotarły nawet słowa *Ojciec nasz*. A kiedy ruszyły do wyjścia przy akompaniamencie huczących jeszcze organów, ani jedna piątoklasistka nie potrafiłaby powiedzieć, jaką pieśń śpiewała na zakończenie. Dziewczęta robiły to bowiem czysto mechanicznie na skutek wieloletniej praktyki, nie zwracając wcale uwagi

na słowa. Poprzednio zawsze trzeba było je strofować, że z pośpiechem niegodnym świętego miejsca rzucają się do wyjścia, teraz natomiast szły tak powoli, aż Zuzanna szepnęła im, żeby się trochę pospieszyły. Przy wyjściu z lewej strony, obok wielkiej skarbonki, stał ktoś o wiele bardziej przerażający nawet od samego Gedeona Tormy: pastor. Gina usłyszała syknięcie Mari Kis, kiedy ta go zauważyła. Pastor stał cierpliwie i patrzył na nie z ową poważną miłością, z jaką zwykle im się przypatrywał, przy tym z odrobiną dumy, ponieważ były takie czyste, łagodne, ciche, dobrze wychowane, stanowiły odpowiedni grunt dla rzuconych w nie szlachetnych nasion. Torma pisnęła cicho z przerażenia, usłyszała to tylko idąca obok niej Gina, ponieważ wszystko zagłuszał dźwięk organów. „Słodki Jezu – szepnęła Torma. – Co będzie, jeśli zauważy guziki?”

Kiedy szły składać ofiarę, ustawiały się zwykle gęsiego z powodu wąskiego przejścia między ławkami. Ale i przy wyjściu był ustalony porządek. Pierwsza powinna podejść do skarbonki Ari, ale kiedy śmiertelnie błada uczyniła krok w stronę pastora, Gina wystąpiła z rzędu i jakby miała takie polecenie, pospieszyła do przodu, wyprzedzając Ari. Nie było nikogo, kto by ją zatrzymał lub zapytał, czego chce, ponieważ Zuzanna w tym czasie zawsze szła na końcu, obserwując wyjście. Gina bez przeszkód dotarła więc do skarbonki, otworzyła torbę i zaczęła wysypywać drobne pieniądze. Cała klasa stała za nią w rzędzie, dziewczęta nie mogły ruszyć do

przodu, dopóki Gina nie zakończyła swojej czynności. Wszyscy widzieli, co robi, a najlepiej pastor, który potakująco skinął głową. Kiedy Gina wrzuciła do skarbonki ostatnie pieniądze, odsunęła się, aby przepuścić klasę. Torma i Mari Kis bez słowa wyszły na ulicę, klasa ustawiała się trójkami. Gina nie odezwała się i one też o nic nie pytały, jedynie Zuzanna podeszła do Giny i powiedziała, że następnym razem, jeśli zechce przyspieszyć wyjście i tym wyrazić jedność klasy, iż wcześniej zbierze od wszystkich pieniądze na ofiarę, powinna poprosić o pozwolenie, bo jakkolwiek był to dobry pomysł, to jednak sama nie może o niczym decydować, dopóki nie omówi tego z nią. Mari Kis milczała, Torma również. Co rzadko się zdarzało, piąta klasa prawie wcale się nie odzywała. Dopiero kiedy dziewczęta wróciły do sypialni, aby schować swoje płaszcze i torby, wszystkie naraz zaczęły mówić przyciszonym głosem. Gina wyszła na korytarz, nie chciała słuchać, nad czym dyskutują. Kiedy już dłużej nie mogła wystawać na korytarzu, z obawy, że zauważy ją któraś z diakonis i zapyta, dlaczego nie oczekuje pory obiadu w świetlicy, wróciła chyłkiem do sypialni. Klasa podjęła już wówczas decyzję, była ona jednomyślna i wroga. Nie zdziwiło to Giny i nawet jej nie zabolowało. Myślała przy tym, że przecież nie dlatego to uczyniła, żeby ją pochwalono, tylko nie chciała, aby znów znalazły się w tarapatach, i to z powodu idiotycznych guzików.

– Jeśli sądzisz, że teraz z wdzięczności padniemy

przed tobą na kolana, to się grubo mylisz – odezwała się Mari Kis. – Otóż nie padniemy i nie potrzebujemy twoich przysług. Niech ci się nie zdaje, że będziesz teraz odgrywać rolę naszej wybawicielki.

Gina w milczeniu patrzyła na Mari Kis.

– W przyszłym tygodniu przyjedzie matka Nacák i Nacák obiecała, że wyprosi od niej dodatkowe kieszonkowe, z którego zwrócimy ci te twoje brudne pieniądze. Zapamiętaj sobie dobrze, Vitay, że ani ciastkami, ani takimi pełnymi poświęcenia czynami nie potrafisz nas wzruszyć, nie jesteś nam potrzebna. Choćbyś na głowie stanęła, to my i tak na ciebie gwizdżemy.

– Dobrze – odpowiedziała Gina. – Nie dlatego to zrobiłam. Ale jeśli tak chcecie, to zwróćcie mi te pieniądze, wrzucę je później do skarbonki misyjnej lub do puszki, gdzie zbierane są ofiary na gwiazdkowe prezenty dla żołnierzy. Ja także nie potrzebuję od was jałmużny, niczego nie potrzebuję. Poza tym nie gniewaj się, że wczoraj posądziłam cię o zabranie mi tych rzeczy. Znów byłam głupia, omyliłam się.

Mari Kis odwróciła się do niej plecami, jakby chciała dać do zrozumienia, że nie potrzebuje jej przeprosin, że wcale jej nie wzruszyły i że i tak nic się przez to nie zmieni. Ale Torma teraz już po raz drugi popatrzyła na Ginę w zamyśleniu, również Salm spojrzała na nią przeciągle i z zadumą, a także Szabó i nawet Murai. Ale nic więcej się nie wydarzyło, w świetlicy dziewczęta

zaczęły rozmawiać, Gina zaś wzięła książkę i czytała aż do obiadu. Siostra Zuzanna, która przechodząc korytarzem, zajrzała do nich, powiedziała do Giny, że owszem, w niedzielę może jeszcze odpoczywać, ale podczas jutrzejszych wolnych zajęć musi się uczyć, aby odrobić całotygodniowe zaległości. Obiad był nieco bardziej uroczysty i zakończył się niespodziewanym wydarzeniem.

Po modlitwie poobiedniej Gedeon Torma zakomunikował dziewczętom:

– Georgina Vitay, wiedząc, że dzisiejsze nabożeństwo wymaga od uczennic szczególnie przykładowego zachowania, i chcąc przyspieszyć wyjście z kościoła po jego zakończeniu, zebrała wcześniej od koleżanek z klasy po trzydzieści fillerów na ofiarę i w ich imieniu, wyrażając tym bratnią wspólnotę całej dwudziestki, wrzuciła ową kwotę do skarbonki. Dzięki temu piąta klasa jako pierwsza opuściła kościół, i to w o wiele większym porządku niż kiedykolwiek. Chociaż było to posunięcie samowolne, to jednak rada pedagogiczna przyznaje, że takie rozwiązanie okazało się praktyczne, w związku z czym wzywa wszystkie klasy, aby co tydzień wyznaczały coraz to inne dyżurne spośród siebie w celu zebrania pieniędzy na ofiarę, którą te w imieniu swoich klas, podobnie jak Vitay, wsypią do kościelnej skarbonki.

„Bratnia wspólnota.” Teraz już nawet Torma nie patrzyła na nią i Gina znów poczuła, tak jak wiele razy

wcześniej, otaczający ją dotkliwy chłód i duszącą samotność. To jednak ją zabolowało, przecież naprawdę nie była winna, skąd mogła przewidzieć, że jej akcja ratunkowa odniesie taki sukces. Zuzanna i Elżbieta uśmiechały się do niej, Zuzanna wyglądała na zdecydowanie szczęśliwą, że Ginę spotkała taka publiczna pochwała.

Do popołudniowego spaceru Gina siedziała sama w świetlicy, piąta klasa zaś, nic jej nie mówiąc, poprosiła o pozwolenie na przebranie się w stroje sportowe i grała w piłkę w sali gimnastycznej. Kiedy spotkały się na zbiórce przed spacerem, Zuzanna zapytała ją ze współczuciem, czy nadal boli ją ręka, z którego to powodu nie mogła grać z dziewczętami, i skarciła ją łagodnie, że w przyszłości, jeśli upadnie na korytarzu i stłucze sobie rękę, powinna się zgłosić do niej lub do lekarki, ponieważ czasami trudno odróżnić ból przy stłuczeniu od bólu przy zwichnięciu. Czy już naprawdę bez przeszkód może poruszać ręką? To dobrze, ale powinna być jednak bardziej ostrożna. „Och, jakież one są podstępne! Jak potrafią kłamać!” – pomyślała Gina.

Teraz obojętna jej była trasa spaceru, nie miała już zamiaru uciekać, nie było więc dla niej ważne poznanie miasta. Wczorajszy dzień wydawał się tak odległy, jakby od chwili jej widzenia z ojcem minął cały rok. Cukiernia pana Hajdy, przed którą właśnie przechodziły, wydała jej się miejscem po zaginionym raj. Kiedy bowiem w sobotę wchodziła do niej pełna nadziei i szczęśliwa,

sądziła, że wydostanie się z miejsca, gdzie tak nieustająco gniewają się na nią, gdzie nawet jej dobre chęci przybierają zły obrót i z każdym krokiem jeszcze bardziej się pograża. Ciężko jej będzie tu żyć i doczekać momentu, kiedy wreszcie opuści te mury. Ale trudno, będzie czekała. Przecież obiecała ojcu.

Popołudnie to było podobne do innych. Szczęśliwe dziewczęta, które miały z kim rozmawiać, siedziały w świetlicy, część śpiewała psalmy, aby pozostałe mogły swobodnie gawędzić. Gina wymknęła się do ogrodu, chciała pójść do Abigél. Zerwała kilka żółtych astrów jako podarunek. W ten sposób da znak, że otrzymała swoje skarby i dziękuje za to, co Abigél dla niej zrobiła. Ale nie udało jej się, ponieważ w pobliżu spotkała Kalmára, który gniewnie zwrócił jej uwagę, że nie powinna być o tej porze w ogrodzie, nie mając pozwolenia na spacer, niech zaraz wraca do swojej klasy. Kiedy tak biegła z niepotrzebnymi już teraz kwiatami w ręce, przyszła jej do głowy zaskakująca myśl, że to może właśnie Kalmár jest tym, kogo szuka. Zawsze go zresztą uważała za świętego Jerzego, za rycerza. Jeśli prawdą jest to, co podejrzewa – że Abigél to kolejne osoby podejmujące się pełnić tę funkcję, to dlaczego nie mógłby tym kimś być Kalmár, który jest taki odważny, szybki, zręczny, młody? Weszła do świetlicy i próbowała przemyśleć to wszystko jeszcze raz, dojść, któredy bez zwracania na siebie uwagi może się Kalmár przedostawać z części nauczycielskiej do części szkolnej. I stwierdziła,

że właściwie ma on wszędzie dostęp, zarówno szkoła, jak i internat są przed nim otwarte.

Kolacja upłynęła w ciszy i nudzie, historia owej szwajcarskiej dziewczyny o szlachetnym sercu była jeszcze bardziej monotonna i przygnębiająca niż zwykle. Gina nie próbowała uczestniczyć w krzątaniu klasy po modlitwie wieczornej, pierwsza poszła się wykapać, aby jak najszybciej znaleźć się w łóżku i spać. Ubiegłej nocy późno zasnęła i rano też minął w nerwowym napięciu, może więc teraz sen ją odświeży. Wkrótce zapadła w drzemkę. Na całej pensji panowała cisza i spokój.

O pierwszej w nocy zawyły syreny.

Natychmiast wiedziały, co oznacza ten dźwięk. Kalmár, który był miejscowym komendantem obrony przeciwlotniczej, nawet najmłodsze pensjonarki nauczył, co należy robić, gdy jest alarm. Wystarczająco dużo ćwiczyły w ubiegłym miesiącu, aby pochwycić przygotowaną na wypadek alarmu paczkę i ustawić się w szeregu. Starsze dziewczęta wiedziały już, gdzie i do jakich sekcji mają się zgłosić na służbę. Wiedziały również, że główny komendant obrony przeciwlotniczej w mieście wielokrotnie może zarządzić próbny alarm, aby w przypadku prawdziwego nalotu miały jakąś praktykę i bez przerażenia słuchały wyjących syren. Znały już ten dźwięk, a przecież tak się przeraziły, gdy wyrwał je ze snu w środku nocy, że bezradnie kręciły się po sypialni i gdyby natychmiast nie zjawiała się Zuzanna i nie pomogła ubrać się tym, którym trzęsły się ze zdenerwowania ręce,

to chyba jeszcze większe byłyby zamieszanie i niepokój. Dzięki Zuzannie w przepisowym czasie ustawiły się na korytarzu i ruszyły do schronu w piwnicy. Piąta klasa nie miała jeszcze żadnych poleceń, tylko dwie najstarsze klasy były wyznaczone – w razie gdyby zaszła potrzeba – do noszenia rannych i opieki nad nimi oraz do zajęć związanych z ochroną przeciwpożarową, uczennice szóstej klasy zaś pełniły funkcję łączniczek. Reszta musiała zejść do piwnicy przebudowanej na schron, gdzie paliły się już niebieskie światełka. Na dole zgromadzili się w komplecie wszyscy nauczyciele. Niektóre z najmłodszych dziewcząt zaczęły płakać, ale i na twarzach starszych było widać przerażenie. Nie wierzyły, że jest to tylko próbny alarm, zwykłe ćwiczenie, odczuwały jedynie nienaturalność i grozę tej sytuacji, gdy wyrwane ze snu musiały biec prosto do piwnicy, pod ziemię, bo ewentualnie kiedyś może na nie spaść bomba. Zuzanna usadowiła się naprzeciwko drzwi, jakby na straży swoich podopiecznych. Piąta klasa siedziała na ławkach z sali gimnastycznej, opierając się plecami o wiekowe mury. Mari Kis wyciągnęła rękę, którą pochwyciła Murai, ona z kolei podała rękę Szabó, Szabó Bánki i tak dalej, cała dziewiętnastka trzymała się za rękę, zaciskając palce, jakby z ciepła dłoni sąsiadki próbowały czerpać siłę. Ten swoisty łańcuch tylko w jednym miejscu się przerywał, a mianowicie między Tormą i Mari Kis, gdzie siedziała Gina, której ani jedna, ani druga sąsiadka nie dotykała i która nie patrzyła ani w prawo, ani w lewo. Korytarzem

przebiegały starsze dziewczęta, wpadła do nich ósmoklasistka Aradi, oznajmiając, że z punktu obserwacyjnego wyraźnie widać, jak zapalają się obiekty miejskie, a straż pożarna wyruszyła do akcji. Raz także zajrzał do nich Kalmár w hełmie na głowie, z maską przeciwgazową na ramieniu. Wyglądał wspaniale, po prostu święty Jerzy do którejś tam potęgi. Nic nie było widać, ale dźwięki do nich dochodziły, w oddali rozległ się jakiś wybuch. Zuzanna wyjaśniła, że pewno wysadzono stary budynek, z góry do tego celu przeznaczony, i mieszkańcy miasta ćwiczą teraz gaszenie pożaru oraz ratowanie ludzi.

Wszystko to były tylko ćwiczenia, ale żadnej z nich ten fakt nie uspokoił. „Boże – myślała Gina – ratuj nas od śmierci”. Na zewnątrz, za drzwiami piwnicy, znów ktoś przebiegł, potem słychać było cięższe kroki, Zuzanna wyjrzała i poinformowała je cicho, że ósmoklasistki niosą na noszach „rannych” do lekarki. „Powinnam była – rozmyślała Gina – być im wdzięczna za to, że się mną zajmują, wciągają do swoich zabaw, że potrafią wynaleźć coś, z czego można się pośmiać, co nie ma nic wspólnego z wojną, bombami, śmiercią i niebezpieczeństwem, że dlatego ofiarowały mi terrarium. Ale ja byłam głupia i butna”. „Co będzie, jeśli jutro spadnie prawdziwa bomba? – zastanawiała się Mari Kis. – Mój ojciec i brat są na froncie, a my bojkotujemy ciastka Vitay”. „Nie mam rodziców – snuła rozważania Torma – zupełnie nie wiem, jak to jest, gdy ktoś ma rodziców. Wuj stale mnie gnębi,

ale jeśli rzeczywiście bomba trafiłaby w pensję i on by zginął, nie miałabym nikogo, a gdyby i budynek spłonął, nie miałabym nawet mieszkania”.

Zuzanna, nic nie rozumiejąc, poderwała głowę, gdy Vitay nagle zerwała się z miejsca i stanąwszy naprzeciw klasy, zawołała:

– Przebaczcie mi, jeśli potraficie, tak mi wstyd za wszystko! I proszę, dajcie mi terrarium!

Diakonisa patrzyła, jak Gina płacze i usłyszała, że również rozszlochały się Mari Kis i Torma, a Szabó wprost dławi się od łez.

– I ty nam przebacz, Gino – łkała Mari Kis – przebacz nam te ciastka i guziki. – I rzuciła się Ginie na szyję, gorąco ją całując.

Na zewnątrz słyhać było jakieś wołanie, dobiegł do nich głos Kalmára, który krzyczał, aby siódma klasa biegła gasić domniemany pożar we wschodnim skrzydle budynku. Zuzanna aż zacisnęła usta, by nie zwrócić uwagi piątej klasie, która wbrew zakazowi wstała i otoczyła Vitay. Dziewczęta kolejno podchodziły do Giny i całowały ją. Kiedy diakonisa kazała im jednak zająć miejsca, Gina wreszcie usiadła, o jedno miejsce dalej, składając głowę na ramię grubaski Szabó, a z drugiej strony chwytając kurczowo Mari Kis, i tak czekała, aż syreny odwołają alarm.

Wycieczka

Gdy minęło wiele lat i wszystko to, co zdarzyło się w twierdzy, należało już do przeszłości, było historią, wojennym wspomnieniem, a ci, których się bała, których uwielbiała lub którymi gardziła, stali się już tylko cieniami, zawsze przychodził jej na myśl ów najpiękniejszy w jej życiu okres, który nastąpił po owej nocy z próbnym alarmem.

I chociaż niepokój o ojca ani na chwilę jej nie opuścił, a tęsknota za nim w niczym nie osłabła, to jednak coraz rzadziej towarzyszyło jej wspomnienie stolicy, dawnego otoczenia, szkoły i przyjaciółek. W końcu pewnego razu złapała się na myśli, że gdyby tylko częściej mogła widywać ojca, gdyby mogła systematycznie spotykać się z Ferim i ciocią Mimó, chętnie pozostałaby w Árkodzie nie wiadomo jak długo, ponieważ surowość szkoły już jej nie przerażała, mogła spokojnie spać pod jej niskimi łukowatymi sklepieniami.

Dziewczęta, cała dziewiętnastka, były dla niej jak siostry. Po burzliwym początku roku, po wielu bolesnych spięciach zawarła z nimi bliską, serdeczną przyjaźń i taka solidarność panowała między nimi, z jaką nigdy się w swoim życiu nie zetknęła. Jedną z przyczyn było to, że klasy rzeczywiście tworzyły prawdziwą wspólnotę. Albo

wszystkie uczennice brały w czymś udział, albo żadna. Druga przyczyna kryła się w samym specyficznym mikroświecie pensji. Gina przekonała się, że teraz, gdy nie jest już taka o samotniona i znajduję się wśród przyjaciół, to życie w owej dżungli tysiąca zakazów jest nawet całkiem pasjonujące. Jak młode liski dziewczęta stale musiały szukać wybiegów, aby pomimo regulaminu i wiecznej kontroli wynaleźć dla siebie odrobinę radości. W tym nieustannym poszukiwaniu wspierało się nawzajem dwadzieścia młodych dziewcząt, zawsze gotowych do śmiechu i marzących o miłości. Gina dopiero teraz się przekonała, o ileż większą wartość ma dobro, gdy trzeba o nie walczyć, jak wiele siły dodaje czło – wiekowi świadomość bezpieczeństwa, świadomość niewidzialnych więzi, które łączą go z resztą tego mikrospołeczeństwa, jak dobrze jest razem się cieszyć, smucić, denerwować, marzyć, czekać i pomagać innym, gdy właśnie znajdują się w kłopotcie. Po owym próbnym alarmie zmienił się również jej stosunek do dorosłych i sama doszła do przekonania, że to nie są wrogowie, tylko przeciwnicy. Przecież na zajęciach wychowania fizycznego dzieje się podobnie: cała klasa dzieli się na dwie drużyny, po dziesięć dziewcząt każda, i muszą ze sobą walczyć. Owe stałe zmagania z dorosłymi – jak ich obejść, pokonać, wykołować i na końcu zręcznym skokiem zabrać im piłkę sprzed nosa – były niemal zabawne.

Gdyby częściej mogła rozmawiać z ojcem, lżej by

znosiła to, że nie może go widzieć, ale generał telefonował tylko w soboty, a następne spotkanie także nie nastąpiło szybko. Gina obawiała się, że teraz, kiedy zaprzyjaźniła się z dziewczętami, mogą ją zapytać, dlaczego w tak szczególny sposób kontaktuje się z ojcem, zamiast pisać listy. Ale klasa uważała inaczej, niż Gina sądziła. I tak nie można pisać w listach całej prawdy z powodu kontroli, mającej na celu zaoszczędzenie rodzicom kłopotów, dlatego dziewczęta wolały otrzymywać listy i wcale nie miały ochoty pisać tych, zawsze podobnie nudnych, sprawozdań. Z radością wyrzekłyby się całej korespondencji, gdyby choć raz w tygodniu mogły usłyszeć głos ojca lub matki.

Wtedy wiedziały już o Ginie wszystko: o Marchelle, o pensji Atali Sokoray, cotygodniowych herbatkach u cioci Mimó i, oczywiście, o Ferim. Ponieważ Gina zgodziła się na terrarium, klasa zaaprobowała również Feriego i każda z dziewcząt tak entuzjasmowała się porucznikiem, jakby to był jej własny adorator. Po zgaszeniu świateł, przed zaśnięciem, wiele rozmawiały o Ferim. Gina szczegółowo opowiadała, jakie ma oczy, włosy, mundur, jak przyjemnie z nim tańczyć i co myślała, gdy porucznik pochylił się nad jej włosami i powiedział, że nikt nie ma tak pachnących loków jak ona, i co czuła, kiedy Feri całował ją w rękę i błagał, aby Gina uzyskała zgodę ojca na odwiedzenie jej u nich w domu, bo cóż to za życie, gdy nie mogą rozmawiać ze sobą co dzień. Anna Bánki radziła jej gorąco, aby jak najszybciej,

nawet jeszcze przed maturą, wyszła za porucznika. W takim wojennym okresie bardzo dużo jest małżeństw zawartych w młodym wieku. Ślubu mógłby im tutaj udzielić pastor i powinna sprawić sobie taki strój, aby dyrektor zemdlął z wrażenia, i niech ma pełno ozdób, żeby błyszczały na każdym kwadratowym centymetrze sukni. Gedeon Torma i tak nic nie będzie mógł powiedzieć, ponieważ jest to szlachetna tradycja: wszystkie matulanki zwykle tutaj biorą ślub w sali modlitw, a nie w kościele w mieście. Mici Horn też tu wstąpiła w związek małżeński ze swoim chłopcem. Mici lubi swoją dawną szkołę – mówiła Bánki – ile razy przyjdzie, zawsze udaje się do ogrodu bez żadnej szczególnej przyczyny, ot tak, aby tylko go zobaczyć. Portier ją uwielbia, jak zresztą wszyscy, i nawet sam Gedeon. Mici Horn może wchodzić do budynku bez meldowania się, kiedy tylko ma ochotę. Gina nie widziała jej jeszcze tutaj?

Nie widziała, zresztą nie bardzo ją to interesowało. Wspomnienie Mici Horn nadal ją drażniło i jakkolwiek była ona wówczas dla niej miła, a wszystko musiało się stać tak, jak się stało, to jednak imię Mici Horn wiązało się w jej świadomości ze wspomnieniem porażki i naprawdę Gina nie tęskniła, żeby zobaczyć ją w budynku czy w ogrodzie. Ale myślą o ślubie dobrze się było pobawić, chociaż owo terrarium, które utrzymywała w takim porządku, aż ją Éles za to pochwalił, było bardziej realne niż Feri. Do Feriego nie mogłaby napisać nawet

wówczas, gdyby udało jej się zdobyć kopertę i przemyścić list za bramę, ponieważ wiązała ją obietnica dana ojcu. Ale nawet gdyby nie było zakazu ojca, to i tak nie potrafiłaby tego zrobić. Zuzanna prawie biegiem prowadziła je koło każdej skrzynki pocztowej i w dodatku samym brzegiem chodnika, tak że aby dosięgnąć skrzynki, trzeba by mieć czterometrowej długości ramię. Ale mimo to Feri istniał wśród nich, tak jak chłopak Murai czy Salm, który wprawdzie miał na imię Pál, ale trzeba go było nazywać Samuką, ponieważ zgodnie z tradycją panującą na pensji każdemu studentowi teologii nadawano przydomek Samuel, a zdrobnieniem tego imienia jest Samuka. W końcu okazało się, że w klasie każda dziewczyna z wyjątkiem Tormy ma jakąś cichą sympatię poza mężem, który przypadł jej w udziale ze spisu inwentaryzacyjnego. Każda ma kogoś tam, za murami, jakiegoś prawdziwego chłopca, którego może wspominać, porównywać z miłościami innych, wyobrażać sobie, że się spotkają na przykład w najbliższą przerwę świąteczną i uda im się zamienić ze sobą kilka słów z daleka od uważnych oczu Matuli. A poza tym piąta klasa miała jedną wspólną miłość – przecież wszystkie bez wyjątku podkochiwały się po trosze w Péterze Kalmárze. Nie była to miłość egoistyczna. I to nie dlatego że wiedziały, iż sprawa jest beznadziejna. Uwielbiały go bezinteresownie i stale łamały sobie głowę, kogo on może kochać i w jaki sposób mogłyby mu pomóc, żeby był szczęśliwy ze swoją wybranką. Piąta

klasa jasno zdawała sobie sprawę z tego, że uczucie Kalmára, jeśli on rzeczywiście kogoś kocha, nie może być mniejszą tajemnicą niż ich mężowie ze spisu inwentaryzacyjnego. Dyrektor obserwuje Kalmára podobnie jak Zuzanna dziewczęta, Kalmár mógłby mieć jakąś sympatię tylko wtedy, gdyby miał zamiar się żenić, co więcej nie mógłby sprawy zbyt przeciągać, bo to nie wypada. Nauczyciele z pensji albo w ogóle nie zalecają się do kobiet, albo jeśli już to robią, wówczas szybko się żenią i wyprowadzają z mieszkania na pensji do miasta. I chociaż za bramą dziewczęta nie mogły już śledzić kroków Kalmára, to jednak przypuszczały, że w mieście nie ma ukochanej, bo z pewnością nosiłby już obrączkę zaręczynową. A zatem gdzie indziej należy szukać tej, która zajmuje myśli ich wychowawcy? Może właśnie tutaj, na pensji?

Słuszność ich przypuszczeń potwierdziła się na szkolnej wycieczce.

W ów deszczowy wieczór, kiedy Gina, uciekając, zderzyła się na dworcu z Königiem, nie bardzo zwracała uwagę na to, co profesor wtedy mówił o jakiejś wycieczce. Dopiero później dowiedziała się od klasy, że organizuje im się dwukrotnie w ciągu roku wycieczki, jedną na jesieni, a drugą na wiosnę. Wywożą je wówczas w pobliże miasta, gdzie szkoła ma własne pola, winnicę i sad. W poprzednich latach wycieczki odbywały się zawsze w październiku, dziewczęta najczęściej pomagały przy winobraniu, obecnie już od początku roku ciągnie się

to wszystko i nie wiadomo, czy biskup zezwoli na wyjazd, czy nie. W końcu wysłano Königa, aby zbadał teren i zorientował się, czy w przypadku nalotu można by było w bezpiecznym miejscu ukryć uczennice i jakie są połączenia kolejowe. König powrócił z informacją, że budynek, w którym tłoczy się winogrona, nie nadaje się do ukrycia, dom mieszkalny również, bo jest za mały, piwnice, w których składowane jest wino, są za ciasne, ale w pobliżu jest niewielki las i tam można by się schronić w razie potrzeby, choć mało prawdopodobne jest, żeby w listopadzie 1943 roku bombardowano akurat winnicę i sad w pobliżu Árkodu. Tak więc uzyskano w końcu zgodę na wycieczkę, co prawda nie o zwykłej porze, lecz w miesiąc później, ale jednak uzyskano. Sam Kalmár podał im do wiadomości, że wycieczka się odbędzie, ale zaznaczył, żeby uważały i nie robiły czegoś, przez co musiałyby zostać za karę na pensji. Dziewczęta z piątej klasy wzdychały więc tylko ze szczęścia, krzycząc ośmieliły się dopiero na lekcji gimnastyki, która odbywała się w godzinę później. Gertruda Truth, rzuciwszy między nie piłkę, z zadowoleniem słuchała tych pełnych żaru walki krzyków, nie przypuszczając, że to wcale nie piłka i zapal bojowy są ich przyczyną. Dziewczęta co prawda podawały sobie piłkę, ale myślały o czymś zupełnie innym niż mecz. Wycieczka, która przełamie monotonię codziennego życia w twierdzy, niesie obietnicę cudownych możliwości. Wszystkie klasy przez tydzień zachowywały się wprost przykładnie, na

sobotniej konferencji u dyrektora nie wymierzono żadnych kar, niedzielę spędziły tak, jak zwykle, ponieważ, chwała Bogu, tego dnia nie wolno było przeznaczać na wyjazdy czy pracę fizyczną, a zatem wycieczka wypadła w poniedziałek, w którym to dniu Gedeon Torma zarządził przerwę w nauce. Z wyjątkiem portiera wszyscy z nimi pojechali, również personel kuchenny i sprzątaczkę, a ponieważ w szkolnym szpitaliku nie było chorych, pojechała też lekarka. Kiedy za całym tym pochodem zamknęła się brama, Gina pomyślała, że od kiedy ona tu jest, twierdzi jeszcze nigdy nie była tak wymarła, pozostali w niej tylko portier w swojej służbówce i Abigél w ogrodzie.

Abigél więcej się nie odezwała, jeśli zaś odezwała się do kogoś, to ten ktoś tak samo milczał o tym fakcie jak Gina. Ileż to razy przychodził jej na myśl posąg i ileż to razy próbowała wyobrazić sobie to prawdziwe oblicze, które się za nim kryje. Przypuszczalnie gdyby dniem i nocą mogła obserwować Abigél, w końcu zauważyłaby, kto z dorosłych wyjmuje kartki z amfory, ale było to nie do wykonania. Nie należało również zbytnio się kręcić w pobliżu Abigél, ponieważ z części zajmowanej przez nauczycieli widać było ten zakątek i prędzej czy później osoba taka zwróciłaby na siebie uwagę. Zresztą chyba próżno by czatowała, bo z pewnością ten, kto się ukrywa pod maską Abigél, wychodzi nocą, kiedy drzwi i okna są zamknięte, a wychowanek strzegą mury sypialń. O tym, że naprawdę wie o wszystkim, co się dzieje na pensji,

świadczy chociażby ucieczka Giny. König, który nie potrafi utrzymać języka za zębami, z pewnością po powrocie do internatu zaraz wszystko roztrąbił. Pochwalił się, że przyprowadził do domu przemokniętą do suchej nitki Vitay z podwieczorku u Mici Horn i w ten sposób Abigél dowiedziała się o tym wydarzeniu. Pewnie przyszło jej na myśl, że musiało się zdarzyć coś innego. List Abigél i związana z nim historia były jedyną sprawą, o której nie powiedziała dziewczętom nawet wówczas, kiedy wprost nie mogła już się bez nich obyć. Nie chciała się im przyznać, że to König ją pochwyił i w swojej tchórzliwej dobroci kłamał z jej powodu, wreszcie zaciągnął z powrotem na pensję. To było tak upokarzające być ofiarą Königa i jednocześnie widzieć w nim wybawiciela, że Gina dotąd nie mogła przejść nad tym do porządku dziennego.

Szli w kierunku stacji. Wszyscy byli ubrani w stroje do pracy, zarówno uczennice, jak i nauczyciele. Dziewczęta miały na głowie chusteczki i chociaż chłodny trochę o tej wczesnej godzinie listopadowy poranek zapowiadał ładny dzień, to jednak zabezpieczone były też na wypadek deszczu i większego zimna. Zamiast toreb wszystkie otrzymały plecaki. Niosły w nich suchy prowiant, płaszcz przeciwdeszczowy, zwykły płaszcz i rękawice do pracy. Przechodzili w pobliżu ulicy, na której mieszkała Mici Horn. Przy pomniku Hungarii Gina mimo woli zerknęła w bok, ale tym razem nie było na nim żadnej ulotki. Okna w domu Mici Horn były otwarte,

Gina zobaczyła tylko gosposię, która otrzepywała ściereczkę z kurzu i pozdrowiła dziewczęta. Na stacji musieli trochę czekać, w dużej poczekalni na ławkach drzemało kilkoro podróżnych, było bardzo wcześnie, niezupełnie jeszcze widno. Teraz Gina mogła lepiej się przyjrzeć wszystkim profesorom. König ubrany był w stary płaszcz lodenowy, bryczesy, szyję owinał szalikiem, a na głowie miał dziwnego kształtu czapkę. Kalmár, oczywiście z gołą głową, nosił rdzawy garnitur sportowy, starannie wyprasowane spodnie. Był tego ranka szalenie elegancki i w doskonałym humorze. König kolejno podchodził do każdej z klas, jakby nie mógł się zdecydować, do której ma dołączyć, ale nigdzie go nie zatrzymywano. Piątą klasę także zapytał, czy cieszą się z wycieczki, na co dziewczęta odpowiedziały z chłodną uprzejmością, że tak.

W chwilę później odszedł od nich i zaczął spacerować po poczekalni. Stwierdziwszy, że jest ciemno, poszukał kontaktu i zapalił światło. Kręcił się po całej sali, ziewał, rozglądał i nagle jakby wrósł w ziemię, wykrzykując przy tym: „Coś takiego!”.

Wszyscy spojrzeli w kierunku, w którym patrzył. Gina zasłoniła sobie usta ręką, by nie wykrzyknąć tego, co jej akurat przyszło na myśl. W poczekalni całą jedną ścianę pokrywały wojenne plakaty, na środku widniał obraz okrojonych Węgier, a wokół nich wszystkie oderwane części, pod spodem zaś gruby czarny napis:

NIE, NIE, NIGDY! Te trzy słowa zostały przez

kogoś uzupełnione słowami domalowanymi czarną farbą. Cały tekst wraz z trzema pierwszymi wyrazami tworzył wokół wizerunku Węgier napis:

NIE, NIE, NIGDY! NIE POZWÓLCIE UCZYNIĆ Z WASZYCH SYNÓW HITLEROWSKIEJ JATKI! Dyrektor zmierzył Königa morderczym wzrokiem. Gina słyszała, jak syknął do niego, dlaczego zaraz musi wywoływać sensację. Skoro coś takiego zauważył, powinien bez zwracania uwagi wszystkich pójść i zameldować o tym komendantowi dworca, a nie pokazywać dzieciom. Podróżni z zaciekawieniem zerkali na ścianę, większość wstała i zbliżyła się do plakatu. Dyrektor nakazał wówczas całej pensji w tył zwrot, dzięki czemu osiągnął jedynie to, że nawet najgłupsza pierwszoklasistka szczegółowo zapamiętała napis ze ściany. Później König zniknął i wkrótce dały się słyszeć żołnierskie kroki, ale w tej właśnie chwili nadjechał ich pociąg i musiały wsiadać. Już nie widziały, jak wojacy wdrapali się na ławkę, aby zerwać plakat, lecz, jak potem się okazało, nie był on przytwierdzony gwoździkami, tylko jakimś niezwykle trwałym klejem.

Ruch oporu w Árkodzie, człowiek, którego opiece ją powierzono!

Serce Giny tak biło, że sądziła, iż widać to nawet pod fartuchem. Teraz po raz drugi natknęła się na jego ślad. Och, jakież on dzielny, jaki odważny! Musiał się w nocy tutaj zakraść, wdrapać na ławkę i błyskawicznie domalować tekst, aby nikt go na tym nie przyłapał. Żeby

mogła go zobaczyć, żeby wiedziała, kim on jest! Ale jego oblicze jest tak samo tajemnicze jak Abigél.

Rozmawiać o tym, co widziały, oczywiście nie było można. Jedynie nauczyciele pozwolili sobie na uwagi, a ponieważ zwykle Kalmár był tym, kto najpiękniej i najbardziej po męsku potrafił mówić o wojnie, cała piąta klasa po zajęciu miejsc w wagonie spoglądała na niego z wyczekiwaniem. Ale w tej chwili nie plakat absorbował myśli ich wychowawcy, nie zauważył pytających spojrzeń pensjonarek, ponieważ on sam patrzył teraz na kogoś, a tym kimś była siostra Zuzanna. Diakonisa właśnie szukała sobie miejsca i Kalmár, wyciągnąwszy chusteczkę, wytarł niezbyt czystą ławkę, i to z takim spojrzeniem, że dziewczętom aż dech zaparło. Nie było tu już mowy o przypuszczeniach, domysłach, wszystko stało się jasne! A więc Kalmár kocha się w Zuzannie, ją sobie wybrał, tę surową świętą, która co rano starannie ukrywa pod czepkiem swoje złociste loczki, zresztą na próżno, gdyż w południe już się wymykają z powrotem, zdobiąc jej gładkie czoło. Ażeby jednak ta podróż stała się jeszcze bardziej niezapomniana i stanowiła jeszcze większe przeżycie, zauważyły coś, co natychmiast odwróciło uwagę Giny od tajemniczego przywódcy ruchu oporu. Dostrzegły mianowicie Königa, który kręcił się koło nich i ciągle nie mógł znaleźć dla siebie miejsca i półki, aby złożyć plecak. Widziały, że König także spostrzegł to, co i one, i na ułamek sekundy jego twarz spochmurniała. Siostra Zuzanna i Kalmár siedzieli pochyleni nad

rozkładem zajęć piątej klasy, Kalmár dyktował, a diakonisa nanosiła poprawki. Ich twarze były tak blisko siebie, że musieli czuć wzajemnie swój oddech. König odwrócił się, znalazł w końcu wolną półkę i położył plecak.

To było najpiękniejsze ze wszystkiego i ogromnie podniecające! Czy Königowi, tej ofierze, nie zadrżały przypadkiem usta, gdy zobaczył Kalmára i Zuzannę pochylonych ku sobie!? Czy to możliwe, że jest beznadziejnie zakochany? I może zazdrosny?

– Czy wolno śpiewać? – zapytała zachwycona Nacák, a Kalmár kazał pobiec Bánki do dyrektora i poprosić o pozwolenie na śpiew. Kiedy Bánki wróciła z pozytywną odpowiedzią, Mari Kis zapytała siostrę Zuzannę, jaka jest jej ulubiona piosenka. Diakonisa zawahała się jak ktoś, komu trudno jest tak natychmiast rozstrzygnąć, czy wypada, żeby ona miała swoją ulubioną piosenkę, po czym odpowiedziała, że właściwie bardzo lubi stare pieśni kwiatowe. I wówczas cała piąta klasa zaczęła śpiewać: *Hej, hej, konwalijko...*, aż nauczyciel śpiewu zajrzał do nich z drugiego przedziału i niemal się uśmiechnął, słuchając, jak pod wpływem miłości, młodości i radości dźwięcznie płynie ich pieśń, zupełnie jakby ktoś nimi dyrygował. Zuzanna słuchała ze spuszczonej oczami, Kalmár zaś nagle wstał i przesiadł się dalej od diakonisy, jak gdyby nie mógł znieść, że siedzą tak blisko siebie. König otworzył plecak, wyciągnął wałówkę i przyglądał się jej. Dyrektor, który

przyszedł posłuchać śpiewu piątej klasy, pokręcił na to głową. Wszystkie dziewczęta wiedziały, co chciał przez to wyrazić, przecież przed wyjazdem zapowiedział, aby nikt do pory obiadowej nie zabierał się do jedzenia.

– W kiełbasie grzebie swój smutek! – szepnęła Torma, a dziewczęta zaczęły dusić się ze śmiechu.

Zuzanna podniosła nagle głowę, dyrektor zaś, zauważywszy, że Torma jakąś swoją uwagą wywołała tę niezwykłą wesołość, postawił ją za karę do kąta w rogu wagonu aż do następnej stacji, po czym dostojnie się oddalił.

Pociąg włókł się, ale i to było wspaniałe, w ogóle wszystko było wspaniałe. Słońce przedarło się w końcu przez chmury i ozłociło jesienny pejzaż. Na następnej stacji wysiadły i po krótkim spacerze dotarły do majątku pensji, który zapisała szkole któraś z byłych wychowanek. Część plonów zebranych w majątku przeznaczano do kuchni w internacie, a część szła na sprzedaż i za uzyskane pieniądze bezpłatnie kształcono na pensji kilka dziewcząt. Gina wiedziała, że nie dla ich przyjemności je tu przywieźli i że co najmniej przez pierwszą połowę dnia będą ciężko pracowały. Poznała już zasady wychowawcze Gedeona Tormy, a mianowicie to, że od czasu do czasu poza nauką stara się je dokładnie zmęczyć inną działalnością, ponieważ pragnie, aby nauczyły się również cenić i szanować pracę fizyczną.

Po przybyciu na miejsce starsze dziewczęta, które nie po raz pierwszy brały udział w tych zajęciach w polu,

wiedziały, co mają robić i tylko pierwszoklasistkami trzeba było dyrygować. Nie widziało się żadnej bieganiny czy zamieszania, właściwie nie padło nawet głośniejsze słowo. W ciszy odbywał się podział na grupy i zapoznanie ich z planem pracy. Diakonisy i wychowawcy mieli nawet mały szkic sytuacyjny majątku z zaznaczeniem miejsc, gdzie która grupa ma działać. W budynku, w którym mieszkał teraz rządca całego majątku z rodziną, uczennice poskładały rzeczy na wyznaczonych miejscach i przebrały się do pracy. Gertruda Truth pobrała z magazynu worki, skrzynki, kosze, drabiny i kilka specjalnych koszy do noszenia na plecach, które przekazała kierownikom grup, a potem zapoznała ich z planem pracy. Z wyjątkiem dwóch najmłodszych klas grupy co godzina mają się zmieniać przy wykonywaniu poszczególnych robót; przez jedną godzinę zbierają jabłka, noszą ziemniaki i warzywa z piwnicy i kopców, przez następną napełniają worki i kosze posortowanym już towarem i zanoszą je do wozów. Najmłodsze mają pełnić funkcję łączniczek przy sztabie kierowniczym, który zajmie tłoczarnię winogron i stamtąd będzie dyrygował pracami. Pierwszy kopiec otworzył sam dyrektor niczym wielki kapłan jakiegoś tajemniczego obrządku i przez kwadrans podawał warzywa przydzielonej mu do pomocy Aradi. Następnie pomagał dziewczętom przy kopaniu ziemniaków, a grupie zajętej sortowaniem zbiorów pokazał, jak należy to robić. Jedna ze stert przeznaczona była na front, druga na potrzeby

własnej kuchni, a trzecia dla domu sierot.

Majątek nie był tak ogromny, żeby go nie można było objąć wzrokiem. Przecinał go na dwie części wysoki nasyp kolejowy i chociaż na tej linii nie było dużego ruchu, to jednak dziewczętom z piątej i szóstej klasy, które pracowały po drugiej stronie szyn, z daleka od miejsca, gdzie była waga, niewygodnie było przeprowiać się z pełnymi koszami przez tory. Najmłodszym nawet z meldunkiem nie wolno było przechodzić przez nasyp, zwykle jakiś nauczyciel lub diakonisa przenosili meldunek na drugą stronę. Piąta klasa pracowała szybko, z zapalem krzątała się wśród jabłoni, dziewczęta wyznaczone do noszenia drabin aż się spociły, dźwigając je przez nasyp; te, które zbierały jabłka za pomocą żerdzi opatrzonej siatką, dzielnie nią wywijają, zerkając z drabiny, czy przypadkiem Kalmár je obserwuje. Gina sortowała owoce, z prawdziwą przyjemnością wdychając zapach jabłek. Sama z siebie się śmiała, z jaką powagą ocenia, który owoc do której sterty ma być zaliczony. Nauczyciele strażujący na nasypie zmieniali się co pewien czas. Dyżurujący obserwował tory, aby w przypadku, gdy z którejś strony ukaże się pociąg, natychmiast zatrzymać dziewczęta przechodzące przez szyny.

Nie było zresztą dużego ruchu, raz przejechał pociąg towarowy, a raz wojskowy. Wtedy nawet przerwano pracę. Żołnierze, którzy śpiewali w czasie jazdy, nagle zamilkli, gdy spostrzegli pracujące pensjonarki.

Wszystkie twarze zwróciły się w stronę krzątających się na polach uczennic, jadący na front patrzyli na dziewczęta i na drzewa owocowe. Gina prawdziwy sens tego momentu zrozumiała dopiero o wiele później. Ci nagle oniemiaли żołnierze, udający się poza granice kraju, pomyśleli chyba wówczas o swoich dzieciach, rodzinach, o własnych polach, ogrodach, o prawach natury, jesienią dającej plony, którym to prawom człowiek się podporządkowuje od pradawnych czasów i zrobiłby to również teraz, gdyby pociąg nie wiózł go właśnie na front, gdzie trzeba zabijać lub samemu umierać. Na nasypie stał akurat Hajdu, zszedł na bok i natychmiast zaintonował piosenkę *Wyrusza wojsko na obronę naszej pięknej ojczyzny*, którą podjęły piątoklasistki i uczennice szóstej klasy. Machały przy tym żołnierzom, którzy im też machali, a potem sami zaczęli śpiewać. Gina nie śpiewała, tylko patrzyła za pociągiem, myślała o ojcu, o tym napisie na pomniku Hungarii, o plakacie na dworcu. Stała zamyślona, aż Zuzanna zapytała ją, na co właściwie czeka. „Czy ta Zuzanna się domyśla – zastanawiała się dziewczyna – że ten, kto codziennie naraża swoje życie w Árkodzie, aby powiedzieć ludziom prawdę, chce uratować tych jadących na front, że jest też taki ojciec, który wywiózł daleko swoje dziecko, aby móc spokojnie pracować dla tej sprawy?” Diakonisa znów zwróciła jej uwagę, czy nie słyszy, co się do niej mówi, upłynęła już godzina i teraz ma nosić kosze z owocami. Pod koniec następnej godziny, w czasie noszenia koszy, zdarzyło się

coś, czego nie tylko osoby, których to dotyczyło – Zuzanna, Kalmár, dyrektor i König – nigdy chyba nie zapomniały, lecz także wszyscy, którzy byli przy tym obecni. Piąta klasa była już dosyć zmęczona, dźwigała przez tory ogromne kosze wypełnione posortowanymi już jabłkami, na nasypie pełnił dyżur König. Zuzanna i Kalmár pracowali razem z dziewczętami. König przestępował z nogi na nogę, stojąc na jednej belce podkładowej, i obydwoma rękami przytrzymywał czapkę, gdyż zerwał się wiatr. Gina ledwie odnotowała jego obecność, bo przyglądała się Zuzannie i Kalmárowi. Kalmár coś mówił, co widać nie spodobało się diakonisie, gdyż zatrzymała się i zawołała Cziller, aby przyszła pomóc panu wychowawcy, a sama postawiła kosz na ziemi. Podeszła do sterty najdorodniejszych jabłek i posłała Oláh po specjalny koszyk przystosowany do noszenia na plecach, a do Kalmára krzyknęła, aby dalej nosił kosze wspólnie z Cziller, ponieważ przypomniała sobie, że musi wybrać jabłka dla wielebnego biskupa. „Nie chce więcej słuchać tego, co jej mówił – pomyślała Gina. – O czym też mogła być mowa?” Ogromnie przejęta Cziller zaczęła dźwigać kosz z profesorem, którego twarz jakoś podejrzenie nie miała żadnego wyrazu. Zuzanna pospiesznie napełniała swój koszyk. Diakonisa zawsze była piękna, ale chyba jeszcze nigdy tak, jak w tej chwili, gdy wykonywała prastare, zwykłe ludzkie czynności. Zapełniła koszyk, a Mari Kis i Torma pomogły jej zarzucić go na plecy.

Kalmár i Cziller już dawno przeprawili się przez nasyp, gdy Zuzanna dopiero wyruszyła ze swoim ciężarem. Kilka kroków za nią Gina wspólnie z Bánki dźwigały ogromny kosz. Diakonisa przyspieszyła kroku i teraz doszła do szyn w pobliże Königa, który senne spojrzenie zwrócił w jej stronę i nagle jednocześnie z dziewczętami zauważył, jak długa suknia Zuzanny zaczepia się o wystający między szynami kawałek żelaza, jak diakonisa chwieje się i pociągnięta przez ciężki kosz, pada. Ramię Königa drgnęło, jakby kierowała nim myśl, że jeśli wyciągnie rękę, to może zdąży ją jeszcze podtrzymać i siostra odzyska równowagę. Nie wyciągnął jej jednak, tylko gapił się nieporadnie i Zuzanna upadła na oczach przerażonej piątej klasy, zsuwając się przy tym z wysokiego nasypu, który zasłonił ją przed dziewczętami zatrudnionymi przy zbiorze jabłek.

Gina dopiero później zdała sobie sprawę, jak bardzo weszła jej w krew wszczepiana im na pensji dyscyplina – nawet nie krzyknęła. Zresztą nikt nie krzyknął. W ciągu sekundy jej oczy zarejestrowały upadek Zuzanny znikającej po drugiej stronie nasypu, chwilę potem dziewczęta porzucające kosze i biegnące w stronę torów, twarz Königa, która najpierw stała się czerwona, a następnie blada, jego ruch, jakby chciał skoczyć za diakonisą, ale tylko jakby, gdyż rozmyślił się i zbliżył do brzegu nasypu, skąd przerażony i zaniepokojony spoglądał za Zuzanną. Słysząc też było jakiś głos z tamtej strony – to Kalmár, który już wcześniej przeprawił się z Cziller

przez tory, wołał przestraszony: „Zuzanno!”, zapominając w podnieceniu dodać słowo „siostró”. König natomiast ciągle się gapił na to, czego nie mogły dostrzec dziewczęta stojące u stóp nasypu. I wówczas niespodziewanie za jego plecami pojawił się pociąg. Gdyby piąta klasa nie zaczęła krzyczeć, stałby tak na szynach, zapatrzony w miejsce, gdzie leżała Zuzanna, i pozwolił się przejechać. W końcu König się ocknął, obejrzał i krzyknawszy ze strachu, zszedł z nasypu. Wówczas już cała piąta klasa zebrała się wokół profesorki Gigus, która za sadem, w leszczynie, z częścią szóstoklasistek zbierała resztki orzechów. Pani Gigus głosem, któremu zgodnie z regulaminem obowiązującym na pensji nie wolno było wyrażać ani przerażenia, ani namiętności, a przeciwko której to zasadzie zgrzeszyli właśnie obydwaj profesorowie – Kalmár z miłości, König zaś z tchórzostwa – rozkazała, aby uczennice natychmiast wróciły do pracy, a gdy pociąg przejedzie, niech Vitay przejdzie przez nasyp i przyniesie klasie wiadomość, co się stało z siostrą. Na pewno nic groźnego, a jeśli tak, to z pewnością jest już przy niej lekarka z apteczką i dwóch panów profesorów, a poza tym siostra Zuzanna sama najbardziej by się zdenerwowała, gdyby wiedziała, jakiego narobiła zamieszania. Pociąg przetoczył się z sapaniem, a maszynista aż do pasa wychylił się z parowozu i pogroził pięścią: pewnie gest ten skierowany był do Königa, który przedtem kręcił mu się po torze. Kiedy już droga była wolna, Gina wbiegła na nasyp i

zatrzymała się w miejscu, gdzie uprzednio stał na straży König. Widziała stąd cały teren.

Po drugiej stronie toru czerwieniły się na ziemi wybrane dla biskupa jabłka. Diakonisie zdjęto koszyk z pleców, a ona sama leżała wsparta na kolanach Kalmára. Lekarka badała jej nogę w kostce, König stał nieco dalej, obok apteczki, i stamtąd ich obserwował. Oprócz dyrektora nie było tam więcej nikogo. W dole nadal pracowano, siódma i ósma klasa ważyły ziemniaki w ciszy, bez słowa, jakby nic nie widziały. Lekarka umoczyła watę w jakimś płynie i podetknęła Zuzannie pod nos: na czole diakonisy czerwieniła się mała strużka krwi. Zuzanna otworzyła oczy i po swojemu, sztywno i zdyscyplinowanie, powracała do przytomności, nie wzdychała i nie pytała o nic.

– Zuzanno – odezwał się Kalmár. – Nic się pani nie stało? Czy może pani wstać?

Słowa nie mogły być bardziej przyjacielskie i proste, ale ton głosu... Diakonisa dopiero teraz zauważyła, że leży na kolanach Kalmára i nieco z trudem, ale usiadła. Nie odpowiedziała mu, jakby pytania do niej nie dotarły, próbowała poruszać ręką, po czym starała się ostrożnie podnieść, lekarka jej pomogła. Zrobiła parę kroków i stwierdziła, że dobrze się już czuje i może kontynuować pracę. Widocznie coś ją zaniepokoiło, bo dotknęła ręką skaleczonego miejsca i kiedy obejrzała palce, ze zdumieniem zobaczyła, że są zakrwawione.

– Zaraz oczyszczę ranę – powiedziała lekarka. –

Widocznie rozcięła sobie siostra skórę o kamień. Na szczęście nie stało się nic poważnego, ale trzeba trochę odpocząć. Powinna siostra ubrać się do pracy w świecką, krótszą sukienkę. Panie profesorze König, pan jeden ma względnie czyste ręce, niech pan będzie uprzejmy pomóc mi trochę przy opatrunku.

König, zawstydzony, wymamrotał, że niestety nie znosi widoku krwi. Kalmár pochwycił apteczkę i do patrzącej z nasypu Giny doleciał jego zniekształcony nienawiścią głos, wypowiadający słowa, które nigdy nie powinny były paść na pensji Matuli.

– Gdybyś nie był taką ofiarą boską, tobym ci pokazał! Wynoś się stąd!

– Vitay niech wróci na swoje miejsce – powiedział dyrektor.

Gina się cofnęła, ale zdążyła jeszcze zauważyć, jak Zuzanna i König się zaczerwienili. König nigdy jeszcze nie wydał jej się tak stary i tak zgnębiony jak teraz, kiedy się odwrócił i poszedł dyżurować na swoim miejscu przy torach. Widziała również, jak dyrektor gniewnie coś szepcze do ucha Kalmára, a lekarka nieco dalej odprowadza diakonisę, włączając się natychmiast do tej przedziwnej gry, w której celowała ich pensja, a mianowicie, że nic się nie stało, a jeśli nawet, to właściwie nie padły z ust pedagogów żadne brzydkie słowa i wyrażenia, jak również nie miały miejsca żadne niepasujące do ich mikroświata namiętności. Gina wróciła do klasy i oznajmiła, że siostra Zuzanna dobrze się już

czuje i prosiła, by dziewczęta kontynuowały pracę. König wkrótce zupełnie zniknął z nasypu i na posterunku stanął sam dyrektor. Również Kalmár powrócił do pracy z kamiennym wyrazem twarzy i tylko Cziller, która nadal dźwigała z nim kosze w zastępstwie diakonisy, nie mogła wprost za nim nadażyć, gdyż całe jego zdenerwowanie znalazło upust w ruchu.

Siostrę Zuzannę ponownie ujrzały dopiero przy obiedzie, kiedy już zakończono pracę. Na czole miała plaster, ale poruszała się z taką gracją, jakby to nie jej zdarzył się wypadek. König odsunął się od wszystkich, siedział samotnie, gdyż nawet dyrektor nie poprosił go do siebie. Gina doszła do wniosku, że w stosunku do tego człowieka nie warto poddawać się wybuchom nienawiści. „Nienawidzić Königa? Też coś! W ogóle nie trzeba zwracać na niego uwagi” – myślała. Kalmár nie usiadł obok Zuzanny, lecz przysiadł się do swoich wychowanek, a Gina na tyle już poznała pensję Matuli, że wiedziała, iż po tym jak Kalmár ułożył Zuzannę na swoich kolanach i po tej pełnej gniewu napaści słownej na kolegę, musi uważać już na każdy swój ruch i na każdy krok.

Po obiedzie, kiedy odpoczęły i już tylko bawiły się i grały w piłkę, dołączyła do nich siostra Zuzanna. Co prawda nie biegała za piłką, bo – jak mówiła – trochę jednak czuje ból w nodze, ale wzięła udział w zabawach towarzyskich i była w doskonałym humorze. König nie bawił się z żadną klasą i na jakiś czas zupełnie zniknął. Dopiero gdy wracały, pojawił się przy pociągu, ale i tam

trzymał się z daleka od piątej klasy. Cała pensja śpiewała piosenki, dziewczęta były zmęczone, lecz szczęśliwe, czuły jeszcze w nozdrzach zapach jesiennego ziemi i jabłek. W pewnym momencie Zuzanna wstała, jakby miała zamiar pójść jeszcze czegoś dopilnować. Mari Kis i Gina natychmiast wymknęły się za nią, by zobaczyć, dokąd idzie, czy przypadkiem nie szuka Kalmára.

W drodze powrotnej dyrektor polecił Kalmárowi usiąść razem z nim, byli tylko we dwójkę w przedziale, i teraz pewnie wyjaśniał mu – jak się domyślała Szabó – to, co zwykł był wyjaśniać Tormie, a mianowicie czym są przyzwoitość, takt i dobre maniery.

Zuzanna szukała Königa.

Gina nie widziała ich. König stał na peronie i kiedy Zuzanna podeszła do niego, wystająca ściana budynku toalety zakryła obydwójce przed oczami dziewcząt. Usłyszała tylko rozmowę, ponieważ akurat skończono śpiew, a łączniczka jeszcze nie dotarła do piątoklasistek z oznajmieniem profesora Hajdu, jaka będzie następna piosenka.

– Panie profesorze – mówiła siostra Zuzanna – czy nie zechciałby pan przyjść do nas? Jest wolne miejsce.

– Dziękuję – odparł König. – Tutaj jest lepsze powietrze.

– Czy w ogóle jadł pan obiad? – zatroszczyła się diakonisa.

– Oczywiście – odpowiedział. – Lubię jeść!

– Bardzo bym się jednak ucieszyła, gdyby pan zajrzał

do nas.

– Bóg to siostrze policzy – rzekł König. – Dobroć siostry przekracza nawet granice przyjęte na pensji Matuli.

Zuzanna nie odezwała się więcej, tylko ruszyła w stronę przedziału. Gina i Mari wróciły na chwilę przed nią. Było wprost zdumiewające, że dzisiaj König na dodatek jest jeszcze bezczelny, chociaż może chciał w samotności przetrwać swoje niechlubne zachowanie. Kiedy Zuzanna znowu zajęła miejsce, poprosiły ją o pozwolenie na umycie rąk i chociaż było to szalenie niebezpieczne, obydwie wymknęły się do wagonu, w którym był dyrektor. Przez małą szczelinę obserwowały rozmawiających. Gedeon Torma z pochmurną twarzą coś objaśniał, a święty Jerzy słuchał go z nabożeństwem, nieruchomo jak męczennik.

– Cóż to będzie za ślub! – szepnęła z zachwytem Mari Kis. – Jakie szczęście, że diakonisy mogą wychodzić za mąż!

Groteskowy portret

Nowym głównym tematem rozmów dziewcząt stała się sprawa Kalmára i Zuzanny.

Piąta klasa zdecydowała już o ich ślubie, tylko nie wiedziała jeszcze, jak im pomóc, żeby szybciej osiągnęli cel. Wkrótce jednak dziewczęta doszły do wniosku, że niewiele mogą dla nich uczynić. Na próżno starały się wymyślić coś takiego, by diakonisa i wychowawca mogli jak najwięcej ze sobą przebywać. Życie obydwójga płynęło w tak sztywnych i surowych ramach, że poza posiłkami we wspólnej jadalni i sobotnimi konferencjami u dyrektora, na których Zuzanna też była obecna, nie bardzo mogli być razem, jeśli nie chcieli wzbudzić ogólnego zainteresowania. Poza tym dziewczęta stwierdziły, że Zuzanna prawie stale przebywa na pensji, a jeżeli nawet wychodzi do domu macierzystego diakonis, do biskupa albo, powiedzmy, do dentysty, zawsze dyżurnej siostrze zostawia numer telefonu, a nawet pełniącej tego dnia dyżur uczennicy mówi, gdzie mogą ją znaleźć, gdyby piąta klasa nagle jej potrzebowała. W przypadku Zuzanny było więc nie do pomyślenia, żeby jej krokami do miasta kierowało co innego niż jakieś polecenie czy obowiązek. O Kalmárze nie można było powiedzieć tego samego. Przede wszystkim mieszkał w

części nauczycielskiej, oddzielonej od reszty pomieszczeń pensyjnych żelazną kratą, z oddzielnym wyjściem na ulicę, a więc teoretycznie, jeśli nie miał dyżuru, mógł chodzić, gdzie mu się podoba. Tylko że tryb życia obydwójga był tak różny, że tym bardziej nie można im było pomóc i zaaranżować spotkania w jakimś miejscu bez świadków. Chyba że sami by tego chcieli, co jednak, znając Zuzannę, nie było zbyt prawdopodobne. Co do tego, że diakonisa nie może pozostać obojętna wobec uczucia, które w pociągu promieniowało z twarzy Kalmára, żadna z dziewcząt nie miała najmniejszych wątpliwości. Dziewczęta wprost nie mogły sobie wyobrazić, że jeśli im tak bardzo podoba się Péter Kalmár, to Zuzannie mógłby się nie podobać. Całe godziny mijały im na rozważaniach na temat tych dwojga. Zabawne i zaskakujące były momenty, gdy czasami Zuzanna po zgaszeniu świateł niespodziewanie zaglądała do sypialni i uciszała rozmawiające dziewczęta. Ich rozmowy były przecież pełne altruizmu, ale Zuzanna oczekiwała go od nich w zupełnie innych dziedzinach życia. Skąd mogłaby przypuszczać, że zajęte są właśnie omawianiem jej ewentualnego ślubu i zastanawiają się, jak należałoby ją uczesać na tę wielką uroczystość i w ogóle jaką fryzurę można by zrobić z jej długich włosów. Na temat ślubów na pensji najwięcej wiedziała Torma, która nie miała nawet sześciu lat, gdy trafiła pod opiekę wuja i znała będących już na emeryturze poprzednich woźnych. Owi woźni zaczęli tu pracować na początku

wieku i byli obecni na ślubie Mici Horn, pierwszym ślubie na pensji. Wtedy podobno jednym ze świadków był König. Nikt w to nie chciał uwierzyć, na co Torma powiedziała: „Jak Boga kocham!” i dziewczęta były ogromnie zaskoczone, gdyż tutaj przysięganie było uważane za wielki grzech. Torma twierdziła, że poprzedni portier, będący już od dwóch lat na emeryturze, mawiał o Königu, że chyba nawet sam Pan Bóg nie rozumie, dlaczego zrobiła się z niego taka ofiara, gdyż w młodości był zupełnie inny. Dziewczęta nie chciały uwierzyć Tormie, a właściwie jej samej wierzyły, tylko przypuszczały, że portier sobie z niej żartował. To wprost niemożliwe, żeby Mici Horn, właśnie ona, prosiła młodego Königa na świadka swojego ślubu. Murai zaproponowała Ginie, żeby jak będzie wychodziła za mąż za Feriego, również zatrudniła Königa jako świadka. Będzie stał przy ołtarzu, w jednej ręce trzymając paczkę z jedzeniem, a w drugiej czapkę z nausznikami. Roniąc łzy, wysłucha do końca, jak Gina przysięga dożgonną wierność Feriemu. W końcu, jeśli Mici Horn tak zrobiła, to i one powinny trzymać się tej tradycji.

O mało nie pospadały z łóżek, tak rozśmieszył je ten pomysł, a Gina jęczała, że brzuch ją boli od powstrzymanego śmiechu. Podziękowała pięknie za ich dobre serca, ale zamiast tutejszej tradycji „König moim świadkiem” ona chciałaby im zaproponować inną szkolną tradycję, bo gdzie jest powiedziane, że zawsze tylko Mici Horn i jej następczynie mają kształtować

zwyczaje na ich pensji. Dziewczęta słuchały z gorączkowym zainteresowaniem opowiadania Giny, że w jej dawnej szkole często udawało się uratować od odpowiedzi nieprzygotowane uczennice, gdy się kopnęło pomnik patronki szkoły – Atali Sokoray. Ale przeszczepieniu tego zwyczaju na grunt Matuli natychmiast ostro sprzeciwiła się Salm, której w wyniku losowania przypadł na męża założyciel szkoły biskup János Matula. Wołała, żeby nikt nie śmiał kopać jej męża, bo będzie miał z nią do czynienia. Murai poprosiła Ginę, żeby z uwagi na nadzwyczajną wrażliwość Gizelli Salm, czyli Jánosowej Matuli, zaproponowała jakiś inny ze zwyczajów jej dawnej szkoły. Jednak Ginie nic w tym momencie nie przychodziło do głowy i dopiero następnego dnia na pierwszej lekcji z Königiem, właśnie podczas pisania wypracowania, nagle coś sobie przypomniała, aż twarz jej się rozpromieniła. König natychmiast zapragnął dowiedzieć się, co ją tak zelektryzowało i czy to możliwe, aby taki mobilizujący wpływ miał na nią fakt, że piszą wypracowanie.

König zmienił się od czasu wycieczki, mniej się uśmiechał, rzadziej rozmawiał z uczennicami, jakby ciągle jeszcze wstydził się swojego żalosego zachowania. Gina nie odpowiedziała mu – coś takiego mogło się zdarzyć tylko na lekcji z Königiem, żeby uczennica nie odpowiedziała profesorowi – i kiedy się pochylała nad zeszytem, kuksnęła Mari Kis, której, podobnie jak Tormie, po pogodzeniu się Giny z klasą

natychmiast powrócił doskonały wzrok i znów siedziała koło niej. Mari zrozumiała, że Gina ma jakiś pomysł, a ponieważ w przerwie zgodnie z regulaminem spacerują parami po korytarzu, będą udawały, że powtarzają półgłosem lekcję, a ich przyjaciółka między zdaniem lekcji opowie im, jakaż to wspaniała myśl przyszła jej do głowy. Na razie daleko było do dzwonka, a Gina nie napisała ani jednego zdania, musi więc się starać, jeśli chce dostać piątkę. Na pensji Matuli na pracę klasową zawsze przeznaczano dwie godziny. W czasie pierwszej godziny musiały przygotować jedynie brudnopis. „List na front” – taki był temat wypisany na tablicy. Gina pisała, pisała tak jak wszystkie, dodawała odwagi bohaterom na placu boju, zachęcała, żeby wytrwali, i przyrzekała, że również one, na swoim odcinku pracy, będą się bardzo starały. Niech żołnierze nie szcędzą swej krwi, bo wojna toczy się o święty cel, i jeśli przypadkiem dla ostatecznego zwycięstwa musieliby poświęcić życie, to ci, którzy pozostaną, będą wiernie strzec ich pamięci. W końcu, kiedy na dobre wciągnęła się i napisała to, czego oczekiwał König, co w listopadzie 1943 roku napisano we wszystkich szkołach Węgier, jakoś straciła dobry humor. Popatrzyła na głowy koleżanek schylone nad zeszytami i pomyślała, że oto one co wieczór przed zaśnięciem rozmawiają o wszystkim, tylko nie o wojnie, a przecież ta wojna żyje gdzieś głęboko w ich świadomości i nie ma takiej dziewczynki, która nie miałaby kogoś bliskiego na froncie. A tymczasem one rozprawiają tylko o miłości,

nauczycielach i lekcjach i poza nią żadna z piątoklasistek nie łamie sobie głowy nad tym, dlaczego właściwie zaczęła się wojna i jaki będzie jej koniec. Wśród uczennic na pensji były i takie, które nosiły żałobę. To był jedyny strój, na jaki – poza przepisowym – zezwalał regulamin. W lecie zginęli na froncie ojciec dziewczynki z pierwszej klasy i ojciec siódmoklasistki. Sieroty popłakiwały po kątach, ale z pewnością nie przyszło im do głowy rozważać, że przecież mogło być inaczej. Gina miała świadomość tego, co się dzieje, i zawdzięczała to ojcu. Kalmár na lekcjach historii i obrony kraju malował tak przerażające obrazy kary, jaka spotka tych, którzy się zajmują szpiegostwem lub uczestniczą w ruchu oporu, rozbijają jedność narodową, i w tak krasomówczy sposób ukazywał potrzebę wojny, wprowadzie pochłaniającej ofiary, lecz w ostatecznym wyniku niosącej dobro, że gdyby nie jej ojciec i decydująca rozmowa w cukierni pana Hajdy, sama Gina do dziś nie myślałaby inaczej, gdyż także w Peszcie stale słyszała to samo i w szkole, i u cioci Mimó.

Dobrze byłoby, żeby i tu, na pensji, trafił się ktoś, od kogo mogłaby otrzymać prawdziwe wiadomości o sytuacji na froncie i z tego wywnioskować, jak długo może jeszcze trwać wojna i kiedy w końcu życie powróci na normalne tory. Ale tutaj, przynajmniej pozornie, wszyscy entuzjasmowali się walczącymi Węgrami, Kalmár zaś był tak sugestywnym mówcą, że ona sama czasami musiała się przywoływać do porządku, aby nie

zapomnieć o tym, co jej powiedział ojciec, tym bardziej że to, co mówił Kalmár, było o wiele przyjemniejsze od gorzkiej rzeczywistości generała. Kalmár był przeświadczony o słuszności swoich przekonań, jego entuzjazm nie był udawany. Chwilami żałowała go, myśląc, jak bardzo nauczyciel się rozczaruje, gdy z czasem odkryje prawdę i dowie się, że był apostołem niepotrzebnego przelewu krwi. Biedak, jaki będzie zaskoczony, że go tak oszukano. Ale przypuszczalnie wtedy już Zuzanna będzie jego żoną i postara się poprawić jego samopoczucie.

W przerwie szepnęła Bánki i Salm, jaką to szkolną tradycję mogą przejąć z jej dawnej pensji. Otóż była u nich taka dziewczyna, która wpadła na pomysł, aby wypracowania z węgierskiego pisać w dwóch wersjach: jedną taką, jakiej wymagano w szkole, a drugą inną, na własny użytek. Była to dziwna dziewczyna, mądra i zuchwała, którą mimo młodego wieku rodzice wszędzie ze sobą zabierali. Wieczorami chodziła na tańce, nawet do nocnych lokali, tylko oczywiście nikt o tym nie wiedział, a co jeszcze innego robiła, o tym nawet nie wolno pomyśleć. Dziewczyna owa była poza tym najlepszą stylistką w klasie. Ogromnie nudziły ją szkolne wypracowania i aby tę nudę jakoś zabić, pisała je w dwóch wersjach, ponieważ bardzo lubiła drwić ze wszystkiego. Na lekcji pisała jedno wypracowanie, w domu zaś drugie, na użytek swój i klasy, ot tak, dla rozrywki. Wypracowanie, to domowe, krążyło z rąk do

rąk, a dziewczęta podczas czytania omal nie podusiły się ze śmiechu. Gdy temat wypracowania brzmiał: „Mój wieczór w domu” i trzeba było opisać, jak u nich w domu taki wieczór wygląda, malowała wzruszający obraz całej rodziny – jak to siedzą razem w domu z ojcem i matką, ona gra na fortepianie i śpiewa babci stare piosenki, poczciwa staruszka zaś drzemie przy piecu, potem ona sama wcześniej kładzie się spać, odmawiając jeszcze w łóżku różaniec, a kiedy zasypia, na nowo widzi we śnie swoją drogą rodzinę. Natomiast z drugiej wersji wypracowania dowiadywały się, że z całej jej rodziny najbardziej babcia lubi chodzić po lokalach. Jest ogromnie młodzieńcza i bardziej ruchliwa niż jej mama, dniem i nocą kopci papierosy jak komin fabryczny. Ona z całej rodziny umie przyrządzać najlepszy koktajl, poza tym jest wrogiem szkoły, stale powtarza wnuczce, aby rzuciła to idiotyczne gimnazjum, po co jej matura, niech raczej się bawi, strasznie nudne muszą być te wszystkie lekcje. Na wieczorkach urządzanych w domu babcia tak tańczy z jej kolegami, że nawet najbardziej wytrzymali nie mogą dotrzymać jej kroku. Ojca rzadko widuje, tego, dokąd on chodzi, nikt nie wie. Jej matka zaś przebywa albo u krawcowej, albo w stowarzyszeniu kobiet, w teatrze czy właśnie u fryzjera, ona sama zaś nie pamięta, kiedy ostatni raz jedli razem kolację w domu. Całe szczęście, że wszyscy lubią chodzić na dansing, dzięki temu przynajmniej wtedy mogą się spotkać, ponieważ chodzą tam systematycznie – ojciec, matka, babcia i

wnuczka.

Salm i Bánki natychmiast zorientowały się, jakie ogromne możliwości kryje w sobie ten pomysł, a kiedy przy końcu drugiej lekcji König jako zadanie domowe kazał im napisać wypracowanie („Portret. Opis słowny”), Bánki aż pisnęła, po czym przeprosiła i usprawiedliwiła się głośno, że ma czkawkę. W ramach wypracowania można scharakteryzować kogokolwiek – wyjaśniał König – kogoś, kogo znają. Po południu, kiedy przygotowywały lekcje na następny dzień, cała piąta klasa wiedziała już, że będzie nowa zabawa. Zuzanna patrzyła ze zdumieniem, jak długo dziewczęta piszą owo wypracowanie, ale oczywiście nie wiedziała, że tym razem piszą dwa: to drugie, które odczytają wieczorem w sypialni, powstaje ukradkiem, pisane pod bibułą, aby diakonisa tego nie zauważyła.

Prawdziwe wypracowanie w zeszycie prawie każda poświęciła matce lub ojcu. Gina wahała się, kogo wybrać, w końcu zdecydowała się na trzeci wariant. O matce nie miała wspomnień, znała ją tylko z opowiadań ojca. Od kiedy zaś wiedziała, co w istocie wypełnia jego dni, nie potrafiłaby nawet w ramach wypracowania szkolnego przedstawić go jako pełnego zapału bojowego żołnierza. Jego prawdziwe oblicze, to tajemne, nie nadawało się do ujawnienia, a nie chciała tworzyć o nim zmyślnego obrazu, dlatego wybrała Marchelle. We wstępie uzasadniła swój wybór, następnie opisała powierzchowność Francuzki, przedstawiła jej osobowość,

wspomniała o przyjaźni, która je łączyła, a w zakończeniu wyznała, jak bardzo za nią tęskni i że po wojnie Marchelle znowu zajmie dawne miejsce w willi na Górze Gellérta. Mari Kis puściła pod stołem kartkę, na której każda miała podać, o kim pisze drugie wypracowanie. Kiedy owa kartka dotarła do Giny, zauważyła, że najwięcej dziewcząt wybrało jako temat Kalmára. Torma pisze o dyrektorze, dwie koleżanki o Mici Horn, cztery o Zuzannie, tylko jedna Szabó wybrała Gertrudę Truth. Szabó była z nią w złych stosunkach, ponieważ w żaden sposób nie potrafiła wspinać się po linie, w związku z czym nauczycielka gimnastyki stale robiła uwagi pod adresem jej otyłości, mówiąc, że właściwie to najbardziej odpowiadałoby jej życie w haremie, gdyż mogłaby siedzieć cały dzień na poduszkach, czekać na paszę i objadać się słodyczami. „No, przy następnej okazji dokonają lepszego wyboru – pomyślała Gina. – Cóż można napisać zabawnego o Kalmárze i Zuzannie, skoro ich kochamy? Dyrektor zaś to przerażająca figura, niezbyt dobry temat. Jak to się stało, że żadnej nie przyszedł do głowy ten, kto się najbardziej do takiego portretu nadawał: König?”

Biskup tak niepostrzeżenie wkroczył do świetlicy, gdzie wspólnie odrabiały lekcje piąta i szósta klasa, że początkowo nikt tego nie zauważył oprócz Zuzanny. Towarzyszył mu nie tylko dyrektor, lecz także pastor i kilku nauczycieli. Długi stół, przy którym siedziała piąta klasa, znajdował się najbliżej drzwi. Biskup przyjaźnie

skinął szóstą klasie i zauważywszy puste miejsce nieobecnej właśnie Gáti, usiał tam, prawie na wprost Giny. Nauczyciele stanęli za stołem. Na skinienie diakonisy pół klasy zerwało się, aby zrobić miejsce wychowawcom i Gedeonowi Tormie. Piątoklasistki z przerażeniem spoglądały na biskupa, który przecież zachowywał się przyjacielsko i bezpośrednio, jakby wcale nie był ważniejszy w tej szkole od dyrektora.

– Zamknijmy zeszyty – rozkazała Zuzanna. – Vitay, Kis, Torma niech pójda po krzesła do rozmównicy.

Wymknęły się i każda z nich chwyciła po dwa krzesła. Ponieważ biskup już siedział, krzesła potrzebne były jeszcze dla dyrektora, profesorki Gigus, nauczyciela śpiewu Hajdu, Kalmára, Königa i wychowawczyni drugiej klasy, pani Sáfár.

– Koniec z nami – rzekła Torma. – Jeśli otworzy mój zeszyt i podniesie bibułę, to koniec, wyrzucą mnie ze szkoły.

– Wszystkich wyrzucą – stwierdziła ponuro Mari Kis. – Jeśli dyrektor przeczyta o swojej ulubionej diakonisie, że właściwie wcale nie jest wyznawczynią kościoła reformowanego, lecz potajemnie wyznaje buddyzm, że tylko z pozoru jest diakonisą, bo właściwie to zamaskowana aktorka filmowa i tutaj w osamotnieniu przygotowuje się do nowej roli – to już dziś wieczorem wyjadę do domu.

– Wszystkich nie mogą wyrzucić – zauważyła Gina. Ręce jej były zimne i aż zeszytniały z napięcia. I znów

sprowadziła na klasę niebezpieczeństwo! – Tego nie zrobią!

– Nie zrobią? – powiedziała z rozpaczą w głosie Torma. – Bzdury pleciesz! To jest pensja Matuli, a nie Atali Sokoray, gdzie można było chodzić do lokali, a babcie uczennic przyrządzały koktajle. Czy ciągle jeszcze nie rozumiesz, jaki tu jest świat? Mój wuj nawet siebie by stąd wyrzucił, gdyby się przyłapał na jakimś wykroczeniu.

Zbliżając się z krzesłami do świetlicy, już z daleka słyszały śmiech. Torma zaczęła pospiesznie odmawiać *Ojcze nasz*, a oczy miała pełne łez, i nawet odważna i bezczelna Mari Kis szeptała nieustannie: „Jezu, słodki Jezu!”. Gina opanowała się najszybciej, pomyślała, że jeśli się śmieją, to może jeszcze nie jest tak źle. Ale kiedy weszła do sali, zaraz przy drzwiach wypuściła z rąk obydwie krzesła, gdyż palce odmówiły jej posłuszeństwa. Biskup coś czytał przyjemnym barytonem i chociaż po głosie można było poznać, że jego również bawi czytany tekst, to jednak był najbardziej opanowany ze wszystkich tu obecnych, którzy zanosili się śmiechem. Szósta klasa aż piszczała, uśmiechali się również nauczyciele, Kalmár zaś śmiał się na cały głos. Ponura, wręcz smutna była Zuzanna, nawet głowy nie podniosła, wpatrywała się nieruchomo w swoje kolana. König wycierał nos i nie było widać jego twarzy spoza chustki. Gina wprost ruszyć się nie mogła z wrażenia. Było to właśnie jej wypracowanie, nie to starannie wykaligrafowane w

zeszycie do zadań, lecz to drugie, pisane w tajemnicy. Biskup dobiegał właśnie do środka.

„...z żywym zainteresowaniem śledzi modę, widać to po jego wspaniałej czapce z nausznikami i świadczących o wybrednym guście krawatach. Jego błyskotliwość i bystrość są ogólnie podziwiane, a przewyższa je tylko prawdziwie bohaterski duch, groźny męski wygląd i prawie już legendarne bohaterstwo. Tak doskonale znosi widok krwi, że prawdopodobnie przekwalifikuje się na chirurga. Kiedy zdobędzie nowy dyplom, pospieszy prosić o rękę wybrankę swego serca, ona zaś na jedno jego słowo odpowie: tak. Któżaż bowiem potrafiłaby się oprzeć takiemu rycerzowi? Każdy ze spokojem może mu powierzyć swoje życie, chyba że akurat nadjeżdża pociąg i dojrzały jabłko”.

– To groteska – zauważyła nauczycielka drugiej klasy, Sáfár, która na wycieczce opiekowała się najmłodszymi i nie była bezpośrednim świadkiem wydarzeń. – Zdecydowana groteska.

– Czy aby nie ma w tym lekceważenia i kpiny? – niepokoił się pastor.

– Ależ tak – powiedział biskup – jakżeby miało nie być. Z pewnością pisano je z tym zamiarem. Kto jest autorem? I co to w ogóle jest? To chyba nie jest wypracowanie?

Gina wbiła wzrok w podłogę. Czowała, że wszyscy na nią patrzą, oczy Kalmára i Zuzanny skierowane są w jej stronę, ale obserwuje ją również König, a także dyrektor,

jej własna klasa i klasa szósta. „Boże – myślała Gina – spraw, bym się jakoś z tego wykaraskała, żeby mnie stąd nie wyrzucili. Jeśli nie będę tu mogła zostać, to co się stanie z moim ojcem?”

Dyrektor nerwowym ruchem sięgnął przez stół i pochwycił zeszyt Tormy. Biedna Piroska o mało nie zemdląca, wszyscy widzieli, jak cała krew odpływa jej z twarzy.

– „Czarny człowiek w czarnym garniturze czarno się śmieje, czarno kicha i ma czarne sny.” – czytał dyrektor.

– Co to za bzdury? Czy profesor König o tym wie?

– Boże – powtarzała w myślach Gina – jeśli rozpozna w tym siebie, to koniec. Na co ja naraziłam Tormę!

– Wiem – odpowiedział König zakatarzonym głosem.
– Trochę to ponure z tą ilością czerni. Tematem zadania domowego było odmalowanie słowami czyjś portretu. W formie normalnego opisu lub groteski.

– Aha – rzekł biskup i odłożył zeszyt Giny. – Ale czy one nie są na to za młode? Moim zdaniem stosowanie groteski nawet w siódmej i w ósmej klasie wystawia na próbę wyczucie stylu. Nie jestem przeciwny, aby wesołymi zadaniami urozmaicać szkolny materiał. I tak dość wokół nas troski i smutków, ale oczywiście należy uważać, aby groteska nie była obraźliwa. Kto był modelem – tu zerknął na okładkę zeszytu i przeczytał nazwisko: – Georginy Vitay?

– Kto był modelem Georginy Vitay? – po chwilowym wahaniu powtórzył pytanie niczym czarne

echo dyrektor.

Torma głęboko westchnęła i wszyscy, nauczyciele, diakonisy i obydwie klasy, wiedzieli już, że kryzys minął. Gedeon Torma zastanawiał się nad tym, czy uchwycić się cienkiej linki rzuconej przez Königa, stając się współnikiem tego wybaczonego wszystko człowieka, i uniknąć skandalu, czy też krzyknąć gromko, że dwie uczennice piątej klasy tak bardzo zawiniły, że są warte najsurowszej kary, i pozwolić odejść jego wielebności w przekonaniu, że tego rodzaju haniebne wydarzenia mogą mieć częściej miejsce na tutejszej pensji. Jeśli dyrektor w obawie przed biskupem dał się jednak wciągnąć do gry i zaakceptował wyjaśnienie Königa, to Vitay i Tormie się upiekło. Ewentualnie to, co je za karę spotka, będzie już sprawą wewnętrzną, rozegra się w czterech ścianach, bez wiedzy biskupa.

Co ma odpowiedzieć na to, kto był jej modelem? Nic jej nie przychodziło do głowy. Przerażone spojrzenie Giny wędrowało po twarzach, Kalmárowi z zadowolenia aż oczy błyszczały, jeszcze nigdy nie widziała go tak uradowanego. Zuzanna, całkowicie zgnębiona, siedziała na pierwszym miejscu za stołem, widać było tylko jej czepek, twarzy nie. „Oszukałyśmy ją – myślała Gina. – Nie zauważyła, że piszemy dwa wypracowania, zresztą nie mogła zauważyć, gdyż pisałyśmy pod bibułą”.

Cisza, jaka zapadła, była przygnębiająca, ciężka, nie do zniesienia. I wówczas ktoś się jednak odezwał i odpowiedział za nią: König. Z jego głosu wnioskowała,

że mówi, uśmiechając się, wyjaśnia, że jest to z pewnością wymyślona postać, ewentualnie jakieś wspomnienie z lektury, nieistniejący człowiek, wolno było bowiem opisać czyjś portret na podstawie przeczytanej książki. Dyrektor z trudem przełknął ślinę, jakby miał ropne zapalenie migdałów, lecz milczał, biskup nie forsował dalej tematu, wstał, aby przejść do stołu szóstej klasy. Później Nacák opowiadała, że słyszała, jak mówił do pastora, iż nie rozumie, dlaczego w wypracowaniu Vitay znalazło się jabłko. Czy miał to być jakiś biblijny symbol, czy też może starożytny, pogański motyw zaczerpnięty z greckiej mitologii? Nie, do pensji Matuli bardziej jednak pasuje jakiś fragment ze Starego Testamentu.

Aż do wieczornej modlitwy nic się nie działo, ponieważ biskup ciągle jeszcze był na terenie pensji, w związku z czym wszyscy wychowawcy byli zajęci. Podczas kolacji ciesząca się zawsze wilczym apetytem piąta klasa ledwo mogła coś przełknąć, a kieszenie każdej z uczennic pełne były podartych na kawałeczki wypracowań. Modlitwę wieczorną prowadził tym razem biskup, a podczas śpiewania psalmów najgłośniej ze wszystkich wychowawców grzmiał König.

Kiedy biskup zakończył wizytę i pożegnał się z uczennicami, Zuzanna zatrzymała piątą klasę w świetlicy. Stała przed nimi, nie odzywając się, i patrzyła poważnym, smutnym wzrokiem. Dziewczęta z bijącymi sercami czekały, co się będzie dziać. Wszystkie były w złym

humorze, czuły, że łatwiej byłoby znieść to napięcie, gdyby diakonisa je skrzyczała, ale ona nie odzywała się, milczała. Stały tak, dopóki nie wrócił dyrektor, który odprowadził biskupa do bramy. Gedeon Torma nie wszedł do sali, tylko zaglądając przez uchylone drzwi, powiedział, że Georgina Vitay dotąd nie położy się dzisiaj spać, aż nie przepisze do oddzielnego zeszytu pięćset razy zdania z Psalmu 1, że „na stolicy naśmiewców nie siedzi”, prostymi, czerwonymi literami. Torma, aby odeszła ją chęć do malowania czarnych portretów, pozostanie razem z nią i będzie rysowała ozdobne czarne inicjały do każdego z pięciuset rzędów. Zuzanna skinieniem głowy odprawiła piątą klasę, po czym bez słowa wyjęła z szafki tusz, czerwony atrament, zeszyt i nadal milcząc, wskazała im miejsca, sama też została z nimi, wyjęła Biblię i zagłębiła się w lekturze.

Świtało już, gdy uporały się z odrabianiem kary. Torma, która zawsze musiała czekać, aż gotowy będzie starannie wykaligrafowany rząd, od czasu do czasu drzemała. Gina natomiast nie była śpiąca, raczej zdenerwowana, zmęczona i pełna napięcia. Często bywały karane także na pensji w Peszcie, jeśli coś przeszkrobały. Wiedziała również, że klasa nie będzie czyniła jej wyrzutów, że naraziła ją na takie okropne chwile. Nawet nie przejmowała się, jaki będzie teraz stosunek Königa do niej, bo König co prawda jest głupi, ale nie idiota, a i dyrektor też dobrze wie, kto przysporzył twórczego natchnienia Georginie Vitay. To, co naprawdę

niepokoiło Ginę, to była postawa Zuzanny, która przez cały czas nie wyrzekła do nich ani słowa i nie uniosła wzroku znad Pisma Świętego. Nawet na ich pozdrowienie odpowiedziała tylko skinieniem głowy, odebrała od nich zeszyty, a potem patrzyła, czy idą prosto do sypialni. Nie dała im okazji, by mogły ją przeprosić. W końcu nie stało się przecież nic strasznego, obydwie z Tormą zostały ukarane i karę odbyły, i jeśli nawet z wyjątkiem biskupa i pastora każdy wiedział, o kim są te wypracowania, to jednak oficjalnie nie można było im nic udowodnić, gdyż przecież sam König przyznał, że portret mógł być przedstawiony w formie groteski. Jeśli nawet sam König pomógł zatuszować sprawę, to dlaczego nie może im przebaczyć Zuzanna? Kiedy znalazły się na zakręcie korytarza i diakonisa ich nie widziała, zapytała o to Tormę, ale przyjaciółka stęknęła coś w odpowiedzi, nie można już było z nią rozmawiać. Czekwała jak zmiłowania momentu, kiedy wreszcie znajdzie się w łóżku. Ginie też się wydawało, że natychmiast zaśnie, ale długo jeszcze przewracała się z boku na bok, nim udało jej się zdrzemnąć. Nawet tej reszty nocy nie potrafiła spokojnie przespać, coraz to budziła się z niespokojnego snu, drżąc na całym ciele.

U Königa. Abigél znów daje znak

Nazajutrz ledwo mogła wstać. Gdyby Bánki nie pomogła jej się uczesać, a nawet zasznurować butów, spóźniłaby się na poranną modlitwę. Również Torma z trudem trzymała się na nogach i miała tak żalosne spojrzenie, że pastor aż się zdumiał, jak bardzo to dzielne dziewczę wzięło sobie do serca owo upomnienie. No cóż, zbliża się Boże Narodzenie, okres, kiedy każdy człowiek zagląda do wnętrza własnej duszy. Ani Gina, ani Torma nie miały pojęcia, o czym była mowa w porannej modlitwie. Torma wprawdzie śpiewała, ponieważ od dziecka wychowywała się na pensji i nie było takiej pieśni kościelnej, której nawet śpiąc, nie potrafiłaby odśpiewać, ale Gina nie usiłowała maskować się, że śpiewa, spuściła tylko oczy, ponieważ piekły ją powieki. Zuzanna stała w pobliżu, ale nic nie widziała i nic nie słyszała, tak pogrążyła się w modlitwie. Jak zawsze wszyscy wychowawcy byli z nimi w sali, gdzie odbywały się modły, stali obok dyrektora. König nie wydawał się zbyt smutny z powodu tego szczególnego portretu, jaki skreśliła o nim Gina, z całej duszy śpiewał nabożne pieśni, a jego głos wybijał się z grona nauczycielskiego.

Pierwsza lekcja była z Kalmárem. Nauczyciel nie zaczął jeszcze przepytować z zadanej lekcji, gdy weszła

diakonisa. Zuzanna była tak rzadkim gościem w klasie, że innym razem dziewczęta byłyby zachwycone jej wizytą, ale teraz nie miały czystego sumienia i tylko patrzyły w jej stronę zmieszane. Kalmár się zdziwił na równi z piątoklasistkami i kiedy spiesznie schodził z katedry, by powitać diakonisę, w oczach błyszczała mu nietajona radość. Wszystkie wiedziały, że jeśli Zuzanna przyszła, aby posłuchać lekcji, to czeka je taki wykład, że ściany wprost będą się iskrzyć od pasji, z jaką Kalmár poprowadzi zajęcia. Wszystko to, co Kalmár czuł do Zuzanny i jakoś nie potrafił czy nie chciał jej dotąd powiedzieć, znajdzie odbicie w tym okresie historii, o którym dzisiaj ma mówić.

Ale Zuzanna nie przyszła na hospitację. Nawet nie uśmiechnęła się do klasy i nie usiadła, tylko zatrzymawszy się przy drzwiach, przeprosiła, że przeszkadza w zajęciach, ale sprawa nie może czekać do popołudnia, po wizycie biskupa coś bowiem jeszcze pozostało niewyjaśnione. W nocy dużo myślała nad tym, co ma zrobić, i w końcu postanowiła poprosić pana Kalmára, wychowawcę piątej klasy, o pomoc w wyjaśnieniu tła wczorajszych, godnych pożalowania wydarzeń. Jeśli nawet pan profesor König w swej nadzwyczajnej dobroci stanął po stronie winowajczyń – których los łatwo było przewidzieć, gdyby w obecności biskupa wyjaśniło się to, co pozostało tajemnicą – to czas chyba, by dziewczęta w końcu jasno zdały sobie sprawę z tego, co tu się w istocie zdarzyło, chociażby po to, żeby

klasa nabrała rozumu i nauczyła się miłości bliźniego, litości i wybaczenia. Żeby wreszcie dostała pokazową lekcję, co wypada robić, co wolno i co w ogóle jest możliwe w szkole.

Atmosfera stała się wprost mroźna. Odczuła to zarówno Zuzanna, która stała przy zielonych drzwiach niczym surowy anioł z raju, jak i Gina, i wszystkie dziewczęta. I to nie tylko z powodu przerażenia, jakie ogarnęło klasę, ale i z powodu Kalmára. Nastrój, napięcie chwili, jakieś niewypowiedziane uczucia zdawały się nie mieścić w murach szkoły, piątoklasistki czuły, że coś takiego może się dziać tylko w świecie dorosłych. Cała klasa i główne winowajczynie w tym momencie odkryły również coś innego, na co o wiele bardziej były wyczulone.

Dziewczęta musiały w końcu przyjąć do wiadomości, że Kalmár kocha Zuzannę, ale Zuzanna nie kocha Kalmára i jakkolwiek to jest dziwne i niezrozumiałe, diakonisa kocha Königa, tego niemożliwego Königa w czapce z nausznikami. I chociaż nigdy nie wystąpiłaby w obronie własnego autorytetu, to uczyniła to w obronie Königa. Klasa czuła, jak wielkie rozczarowanie spotkało Kalmára i wydawało jej się, jakby Zuzanna i ją tym faktem obraziła, bo jak to możliwe, żeby wybrać takiego człowieka jak König.

Kalmár, który jeszcze niedawno nie potrafił ukryć radości, tym razem jakby nie zauważył otrzymanego kosza. Tylko jego twarz przybrała surową, typowo

nauczycielską maskę. Poprosił diakonisę, by zajęła miejsce na katedrze. Zuzanna zbliżyła się i usiadła obok niego na podwyższeniu niczym sędzia. Kalmár zdołał się na tyle opanować, że udawał teraz przed diakonisą i klasą, iż jemu także przyszło do głowy to, co i jej leży na sercu.

Powiedział, że sam również chciał zająć się dzisiaj tym godnym pożałowania wypadkiem, zwrócić uwagę klasy na wielkoduszność pana profesora Königa, dać nauczkę tym uczennicom, które wykorzystują dobroć tego zacnego człowieka o gołębiu sercu, wyjaśnić wychowankom, jak godne szacunku i szlachetne jest takie postępowanie, gdy ktoś w obronie – wprawdzie niepozbawionych winy i właściwie niezasługujących na to – bliźnich daje wyjaśnienie zmieniające nieco fakty. Zuzanna spuściła głowę, widać było, jak twarz jej się zaczerwieniła. Tak jak cała klasa, również ona pojęła, że oto Kalmár w ich obecności nazwał swojego kolegę kłamcą. Tak – ciągnął Kalmár – on sam też chciał przeprowadzić śledztwo, a więc posłuchajmy, jak to właściwie było z tym wczorajszym wypracowaniem.

Jego zdania były okrągłe, odpowiadające zasadom obowiązującym na pensji, można było je wprost wydrukować na kartonie i wywiesić obok cytatów z Biblii jako wyznanie słusznej postawy wychowawczej, ale jednocześnie każde jego słowo miało inne tajemne znaczenie i wszystkie zrozumiały prawdziwy sens owej gładkiej wypowiedzi: Tego człowieka, który jest błaznem szkoły, zdolna jesteś nawet pomścić. Cóż z ciebie za

kobieta, Zuzanno, że odwracasz się ode mnie i stajesz przy tym, który wcale na to nie zasługuje?

Gina łamała sobie głowę, co powinna zrobić. Cały ten skandal klasa zawdzięcza jej, nie może więc mieszać w to dziewcząt. Oby to wszystko nie skończyło się źle. Ale jeśli dyrektor milczał przed biskupem, to chyba nie będzie znów wyciągał tej sprawy na światło dzienne, a kara, jeśliby jeszcze jedną dostała, nie może być chyba aż tak surowa jak wydalenie ze szkoły. Z pewnością Zuzanna pragnie je tylko przestrzec, aby zostawiły Königa w spokoju. Kalmára się nie bała, było niemożliwe, żeby mścił się na niej właśnie z powodu Königa. Gina zdecydowała się i poprosiła o głos, wstała i tak jak przedtem dziewczętom, tak teraz opowiedziała Kalmárowi i siostrze Zuzannie o zwyczaju pisania podwójnych wypracowań w jej poprzedniej szkole. To ona zaproponowała klasie, by ten zwyczaj wprowadzić również tutaj. Zuzanna nie spuszczała z niej wzroku, pilnie słuchając, Kalmár zaś bawił się kredą, łamiąc ją na drobne kawałki, których już do niczego nie można było użyć. Kiedy Gina umilkła, zapytał dziewczęta, które z nich pisały podwójne wypracowanie. Wstały wszystkie. Zuzanna patrzyła w milczeniu. Kalmár poprosił, aby oddały mu te wypracowania, ale dowiedział się, że jeszcze wczoraj wszystkie zostały zniszczone. Dziewczęta były szczęśliwe, że nie ociagały się z tym do dzisiaj. Tylko tego brakowało, aby pokazać Kalmárowi wypociny na jego temat, czy też Zuzannie wręczyć owe dzieła

zajmujące się porządkowaniem jej spraw sercowych. Kalmár powiedział, że wprawdzie Vitay i Torma odbyły już w nocy jedną karę, ale nie byłoby sprawiedliwości, gdyby tylko one zostały ukarane. Cała piąta klasa, wliczając oczywiście Vitay i Tormę, przez dwa tygodnie nie może wypożyczać z biblioteki szkolnej książek beletrystycznych ani brać udziału w pokazach filmowych. Siostra Zuzanna przydzieli im na ów okres jakąś pożyteczną, miłą Bogu pracę. A jeśli chodzi o głównego sprawcę, czyli Georginę Vitay, to będzie musiała ona jeszcze coś uczynić, a mianowicie po obiedzie pójdzie do części zamieszkaanej przez nauczycieli, odszuka profesora Königa i przed nim przyzna się, że w haniebny sposób wyszydziła go, w związku z czym w obecności siostry Zuzanny prosi pokornie o wybaczenie. Aby jednak pan profesor miał pełne zadośćuczynienie, również on, Kalmár, w imieniu piątej klasy pójdzie tam z Vitay i diakonisą.

Był to plan genialny, szatański! Oto König będzie musiał wysłuchać tego wszystkiego, czego w końcu nie był znów tak stuprocentowo pewny, powie mu się w twarz, że owszem, to właśnie on został wyszydzony, a w dodatku uczyni się to po południu, w jego mieszkaniu i w obecności Zuzanny! Dziewczęta obserwowały diakonisę, ciekawe jej odpowiedzi, ponieważ i ona powinna już była zrozumieć, co ściągnęła na głowę Königa tym swoim śledztwem. Gdyby nic nie mówiła, po kilku dniach zapomniano by o wczorajszym skandalu, pięknie można

by przejść nad nim do porządku dziennego, udać, że nic się nie stało, że nikogo nie obrażono i tylko z powodu nieudanej groteski trzeba było skarcić niezdyscyplinowane piątoklasistki, żeby na przyszłość zręczniejsz formułowały swoje wypracowania. Ale dobrze im tak, teraz i Zuzanna, i König podwójnie dostaną za swoje, i to jeszcze w obecności Kalmára.

Wychowawca zapytał diakonisę, czy jest zadowolona z wyznaczonej kary. Spojrzenie Zuzanny zatrzymało się na twarzy wychowawcy. Nie podziękowała, nie przytaknęła, skinęła tylko głową i opuściła klasę. Co było dalej na lekcji Kalmára, tego nikt nie wiedział, nawet chyba i on sam, ponieważ dwa dni potem, gdy próbowały przygotować się do zajęć na podstawie tego, co zapisały w zeszytach, znalazły groch z kapustą, jakby sam Kalmár nie wiedział, co mówi, nawet daty się nie zgadzały, ani jeden król nie panował w latach, które pojawiły się tego dnia na tablicy.

Do obiadu już wszystkie starsze klasy pocztą pantoflową dowiedziały się o tym, z jakim rezultatem Georgina Vitay przeszczepiła tradycję z pensji Atali Sokoray na grunt Matuli. Wysoka Aradi, którą Kerekes wysłał do drugiej klasy po kątomierz, omal nie zasłabła z wrażenia, gdy otwierając drzwi, zobaczyła, co jest napisane na tablicy. Młodsze koleżanki pisały wypracowanie z węgierskiego, którego pierwszy temat zauważony przez Aradi brzmiał: „Radości pieska (na podstawie przeczytanej lektury)”. Ledwo zdołała

wystękać, po co tu przyszła. Aradi nazywała „Pieskiem” swojego narzeczonego, doktora Jánosa Jablona, z powodu jego pięknych oczu o ciepłym, psim spojrzeniu. Natychmiast też zdecydowała, że jak będzie miała trochę wolnego czasu, opíše radości swojego Pieska, za którego w lecie wyjdzie za mąż, jeśli János otrzyma urlop i będzie mógł przyjechać z frontu.

Dziewczęta z piątej klasy nie przejęły się kolektywną karą, sama Gina zaś tak szykowała się do wizyty u Königa jak na jakąś towarzyską imprezę. Po lekcjach przebrała się, włożyła odświętną granatową sukienkę, a kiedy w drodze do jadalni profesorka Gigus zagadnęła ją, co to za święto, odpowiedziała donośnym głosem, tak aby każdy, kto znajdował się w pobliżu, dowiedział się o tym, że po obiedzie idzie do mieszkania pana profesora Königa, którego wczoraj obraziła swoim szyderczym wypracowaniem. Będzie prosić go o wybaczenie i sądzi, że wypadnie to bardziej uroczyście, gdy przyjdzie w odświętnym stroju. Profesorka Gigus obróciła się na pięcie i jakby wystrzelono ją z procy, pobiegła w stronę stołu profesorskiego. Piąta klasa była pewna, że tak jak wszystkie uczennice na pensji dowiedziały się od nich, co naprawdę wydarzyło się wczoraj i co będzie dziś po południu, tak za chwilę dowie się o tym całe grono pedagogiczne z wyjątkiem dyrektora i oczywiście Königa. Cała pensja z wytrzeszczonymi oczami będzie obserwować, jak Vitay, Kalmár i siostra Zuzanna wyruszą w żałobnym kondukcje i pod przykrywką

zadośćuczynienia za krzywdę tak obrażą profesora, jak nikt go jeszcze nie obraził w życiu, zabierając mu nadzieję, którą w chwili optymizmu mógł żywić, że to może jednak nie o jego osobie była mowa w tym nikczemnym tekście. König był w wyśmienitym humorze, trzykrotnie brał dokładkę drugiego dania. Profesorka Gigus nie śmiała nawet na niego spojrzeć.

Podczas obiadu zapanował tak swobodny nastrój, że dyrektor aż musiał zwrócić uwagę siedzącym przy stołach. Tym razem siódmej klasie przypadło w udziale czytanie i biedna Deák na swoją zgubę doszła w tym dniu do tego fragmentu uszlachetniającej dusze książki, gdzie jest mowa, iż owa przykładowie żyjąca dziewczyna postanawia z pokory i wdzięczności dla swej dobrej opiekunki nie oddać ręki junackiemu Teofilowi, lecz zainteresowaniem i sympatią wyróżnić chrzestnego syna swej przybranej matki, garbatego, ospowatego młodzieńca, aby pełną poświęcenia miłością opromienić smutne dni niewydarzonego chłopca. Dziewczęta aż się trzęsły z powstrzymywanego śmiechu. Nie było już wówczas nikogo, kto nie wiedziałby, jak zręczne posunięcie zastosował Kalmár wobec Königa, i jeśli nawet diakonisa z czystego współczucia gotowa jest się w kimś zakochać, to bardzo słusznie, jeżeli przywołała się ją do rozsądku. Atmosfera była tak niespokojna, że Gedeon Torma pytał kolejno wychowawców, co tak podnieciło uczennice. Jedyne König odpowiedział w najlepszej wierze, że jak widać, wojna nawet w tak pokojowej

instytucji jak ich pensja źle oddziałuje na nastroje albo może zmienia się ciśnienie i dlatego dziewczęta są tak nerwowe.

Dopóki nie nadeszła chwila, gdy miała się spotkać z Kalmárem przed drzwiami Zuzanny, Gina sama czuła się tak, jakby była nieco zamroczone. Kiedy jednak wyruszyła w stronę mieszkań profesorskich i szła między wychowawcą a diakoniasą, opuścił ją dobry humor. Ale nawet wówczas nie żałowała Königa – samą sytuację uważała za nieprzyjemną, jej poczucie dobrego smaku buntowało się przeciwko temu, że König i ona będą teraz statystami w sztuce, w której główne role należą w zasadzie do Zuzanny i Kalmára, oni chcą sobie dać do zrozumienia coś, o czym zresztą głośno nie może paść słowo. Zuzanna była blada i bez humoru, Kalmár zaś obrażony i triumfujący. Przeszli koło rzeźby Abigél, a Gina pomyślała, zerknąwszy na kamienną dziewczynę, czy Abigél mogłaby pomóc Königowi, gdyby ten wiedział przed południem, co go spotka, i napisał kartkę, że czekają go krytyczne chwile. I czy w ogóle jej pomoc obejmuje wszystkich, czy tylko uczennice?

Kalmár otworzył kluczem zawsze zamkniętą kratę w korytarzu. Gina po raz pierwszy w życiu znalazła się w części zamieszkaną przez profesorów. Fakt, że znów będzie musiała powtórzyć historię o pensji Atali Sokoray i powiedzieć w oczy Königowi, że go wykpiła, przestał być zabawny, chociaż wiedziała, że König nie będzie jej prześladował, że nic złego nie może się stać. Do drzwi

profesora zapukał Kalmár i usłyszawszy „proszę”, przepuścił przodem siostrę Zuzannę.

Kiedy i Gina weszła, König już stał. Przypuszczalnie poprawiał wypracowania, gdyż w ręku trzymał pióro, a na biurku leżał stos zeszytów. Teraz jednak Ginie gwałtownie zaczęło bić serce, byłaby szczęśliwa, gdyby mogła się już znaleźć wśród koleżanek. Pokój Königa był ładny, urządony ze smakiem, co nawet w tej trudnej chwili ją zaskoczyło. Przypuszczalnie były to prywatne meble profesora, ponieważ antyki nie należały do wyposażenia pensji i dwa obrazy na ścianach również były dziełem mistrzów. Gina wystarczająco dużo chodziła z Marchelle do muzeów i na wystawy, aby to zauważyć.

– Coś podobnego – powiedział König i promieniał uśmiechem. – A to ci niespodzianka! Witajcie! Proszę spocząć!

Gdyby Ginie pozwolił usiąść, to i tak nie miałyby na czym, ponieważ w pokoju były tylko trzy krzesła. Gina nie widziała, jaką minę zrobiła Zuzanna, ale czuła, że wyraz jej oczu uprzedza go: „Teraz coś cię bardzo zaboli, uważaj!”, ponieważ uśmiech Königa, który stał naprzeciwko niej, na chwilę zniknął z jego twarzy, ale wkrótce znów się pojawił, jeszcze bardziej szeroki i pogodny.

– Panie profesorze König – odezwał się Kalmár takim tonem, jaki przybierał, mówiąc na lekcji o wielkich nieszczęściach narodowych – przyszliśmy tutaj w imieniu piątej klasy. Siostra Zuzanna jako diakonisa tej klasy, ja

jako wychowawca i winowajczyni Vitay.

– Winowajczyni – zdziwił się König. – A co zawiniła?

Nie było odpowiedzi. Kalmár szykował się do wielkiego demaskującego wyznania, ale nim zaczął, König się roześmiał.

– Chyba nie przyszliście tutaj z powodu tego wypracowania? Została już przecież biedaczka ukarana, o ile dobrze wiem, to całą noc przepisywała psalterz. Właściwie to ja jestem winny, dałem klasie niezbyt odpowiedni temat. Portret – w takim temacie dużo może się zmieścić, nawet obraza, szyderstwo. Młode są, mają zielono w głowie. Vitay po prostu tak mnie opisała, jak mnie widzi.

Było to bardziej nieprzyjemne, niż sądziła. Patrzyła w dywan, ledwo potrafiła oddychać.

– Oczywiście, nawet jeśli takim mnie widzi, to jednak nie powinna była tego pisać, ale gdy będzie trochę starsza, to zrozumie. Prawda, Vitay?

Nie odpowiedziała. Cóż można w takim momencie powiedzieć?

– Pan profesor König wcale nie jest taki – wyszeptała Zuzanna, która zawsze mówiła głośno i wyraźnie. – Pan profesor ma szlachetne serce, jest wyrozumiały i wielkoduszny. Podziękuj, Georgino, i przeproś.

– Dziękuję – zaszemrała dziewczynka. – I przepraszam.

– Ależ nic się takiego znów nie stało, żadna tragedia.

Wczoraj tylko to miałem na względzie, żebyśmy w tak trudnych czasach nie zasmucali wielebnego biskupa i pana dyrektora. Zapomnijmy o tym wszyscy. Czy lubicie suszone śliwki?

Pytanie było tak zaskakujące, że wszyscy jednocześnie na niego spojrzeli. König grzebał już wówczas w pięknej drewnianej kasetce, w której w wojskowym szyku leżały dorodne, granatowe śliwki.

– Wczoraj rano przyniosła je Mici, Mici Horn, od niej dostałem. Własnego suszenia. Proszę, siostró.

Zuzanna tylko pokręciła głową. Kalmár też nie przyjął poczęstunku, Gina nawet się nie poruszyła, bardzo pragnęła już stąd wyjść. Znow czuła, że to wszystko przypomina jakąś sztukę, w której przypadła jej nic nieznacząca rola, a której akcja i tak nie ma sensu, gdyż oto jeden z wykonawców w tragicznej chwili traktuje pozostałych śliwkami, zamiast się smucić. König wziął jedną ze śliwek i zastanawiał się, czym mógłby jeszcze gościom służyć. Z pewnością dawno już w duchu wybaczył Ginie jej postępek, ta sprawa nie interesowała go więcej. Wszyscy czuli, że przyszli na próżno, a niesamowity apetyt Königa i jego absolutna obojętność są właściwie obraźliwe. Kalmár nie mógł się cieszyć jego zmieszaniem, bo König nie był zmieszany. Zuzanna myślała, że nie warto dla niego nic uczynić, bo to, o czym sądziła, że go boli, wcale go nie dotknęło i tak naprawdę interesuje go tylko własny brzuch i może Mici Horn. „Tego człowieka nawet obrazić nie warto – doszła do

wniosku Gina. – Przecież on niczego nie odczuwa, w ogóle na nic nie zwraca uwagi”.

Pożegnali się. Kalmár poszedł do swojego pokoju, Zuzanna do sali modlitw. Gina wiedziała, że diakonisa chyba po raz pierwszy w życiu się rozplacze. Z pewnością König znów nie zauważył, co uczynił, choć bardziej wyraźnie nie mógł już dać do zrozumienia, że doskonale czuje się sam ze sobą. Gina wróciła do świetlicy, gdzie nie tylko piąta klasa wypytywała ją o wszystko, lecz także starsze klasy przysłały swoje łączniczki. Opowiedziała im więc szeptem o słoniowatym spokoju Königa. Dziewczęta były rozczarowane, czego innego się spodziewały, czegoś smutniejszego lub zabawniejszego. Gina chyba z dziesięć razy musiała wszystko powtarzać, nawet jeszcze wtedy, kiedy zamiast oczekiwanego spaceru do miasta pozwolono im tylko przez kwadrans przechadzać się po ogrodzie. Otóż w momencie kiedy miały już wyruszyć, dyrektor powiadomił je przez woźnego, że dzisiaj wystarczy im krótki relaks, a jeśli komu brakuje spaceru po mieście, oglądania wystaw i przechodniów, to niech pomyśli sobie o wczorajszej wizycie biskupa, piątej klasie i groteskowych wypracowaniach. Przechadzały się więc tam i z powrotem w szykującym się do zimowego snu ogrodzie i ich dobry humor powoli się ulatniał. Posąg Abigél patrzył na nie i milczał.

Przemówił dopiero wieczorem. Gina znalazła kartkę w zeszytcie, w którym zwykła notować domowe zadania. Treść była dość nieprzyjemna i krótka:

Żeby mi nie było więcej skandali. Pozostali członkowie ciała pedagogicznego i dyrektor to nie König. To jest rozkaz. Abigél

Stłuczone akwarium. Pożegnanie z generałem

Kartka na nowo roznieciła ciekawość Giny i obudziła pragnienie, aby w jakiś sposób się dowiedzieć, kim jest ta osoba, która tak uważnie śledzi jej los, pomaga jej i z tak przerażającą dokładnością wie o wszystkim, co się dzieje w murach pensji. Dni upływały jej na tym, że w każdej wolnej chwili wałęsała się w pobliżu posągu i w najbardziej nieprawdopodobnych porach wymykała do ogrodu. Często ją za to strofowano, ponieważ nawet wtedy próbowała się wymknąć, kiedy w ogóle nie można było opuszczać korytarza. Nigdy niczego nie udało jej się zauważyć, z nikim się nie spotkała, nie mogła natrafić na ślad Abigél. Mari Kis zapytała ją pewnego razu, po co tak wiecznie biega do posągu. Gina odpowiedziała jej, że kona z ciekawości, że musi dojść, kto kryje się za Abigél.

– Nie wygłupiaj się – rzekła Mari, tracąc humor – prawie wszystkie już próbowałyśmy i nikomu się nie udało. Nawet Aradi, a ona jest naprawdę zręczna. Dostało jej się za to od Abigél, która zauważywszy, że ją chcą wyśledzić, napisała Aradi, aby nie była zbyt ciekawa, bo stanie się z nią to, co w tym micie o Psyche i Amorze. Jak będą się tak wiecznie kręcić koło posągu i w końcu odkryją, kto im pomaga, wówczas stracą Abigél na zawsze. Zostaw więc, u licha, to śledztwo. Cóż bowiem

zrobiłybyśmy bez Abigél?

Gina nie mogła się już teraz doczekać wizyty ojca.

W ostatniej rozmowie telefonicznej generał dał jej do zrozumienia, że wkrótce ją odwiedzi. Zjawił się w następnym tygodniu, w środę, bez żadnego uprzedzenia.

Tego listopadowego dnia tyle różnych rzeczy się zdarzyło, których sens i wzajemne powiązanie pojęła dopiero o wiele później. Gdy zaczynała przypominać sobie każdy epizod lub scenkę związaną z ową środą, jawiły się jej one w pamięci we wzajemnej zależności: rybki z otwartymi pyszczkami, otwarta szafka z aktami personalnymi, wąsaty szklarz i generał. Mnóstwo razy próbowała rozbić tę serię obrazów i w pamięci skupić się tylko na postaci ojca, ale się nie udawało. Sylwetka ojca zawsze pojawiała się nie sama, obok jego ponurej twarzy ukazywała się niczym dziwny, niepodobny bliźniak twarz pana Mráza, którego oblicze zdobił spiczasty, zmierzwiony wąs, na podłodze zaś leżały znieruchomiłe ciała ryb przypominające drogie kamienie.

Ten cykl wydarzeń zaczął się już bardzo wcześnie, zaraz po modlitwie, gdy uczennice zajmowały swoje miejsca w salach lekcyjnych, a wychowawcy zebrali się w pokoju nauczycielskim. Dyrektor każdego ranka zaczynał dzień razem z nauczycielami. Kiedy klasy opuszczały salę modlitw, wychodził z nimi i on, oglądając się do tyłu, czy wszystko odbywa się jak należy, wyciągał klucz i otwierał drzwi swojego gabinetu. Tego dnia dziewczęta z piątej jeszcze nie weszły do klasy, dopiero

dochodziły do szczytu schodów, kiedy zza drzwi dyrektorskiego pokoju rozległ się ryk przekraczający ludzką wyobraźnię. Uczennice, profesorowie i diakonisy pełni najgorszych przeczuć spoglądali w kierunku, skąd nadleciał głos, i ogarnęła ich taka panika jak podróżującego po Afryce, kiedy straszliwy dźwięk przypomni mu nagle, że lepiej uciekać, bo w pobliżu grasuje lew. Spośród woźnych jedynie Suba przebywał na korytarzu pierwszego piętra, rzucił się więc na łeb na szyję do pokoju dyrektora. Piątoklasistki, których sala znajdowała się obok gabinetu, nie zdążyły jeszcze wejść do klasy, gdy woźny znowu znalazł się na korytarzu i straciwszy głowę, wołał sprzątaczkę, zupełnie zapominając, że woła na próżno, ponieważ na pensji sprzątanie odbywało się po lekcjach, a w pokoju nauczycielskim i gabinecie dyrektora dopiero po wieczornej modlitwie. Sam Gedeon Torma przechodził wówczas do swojego mieszkania i przełączał telefon. Przed dziewiątą wieczorem wszystkie sale na pensji w absolutnej czystości oczekiwały na następny dzień nauki. A więc Suba naprawdę powinien był wiedzieć, że próżno woła, nie ma bowiem w pobliżu sprzątaczek, zwykle o tej porze pomagają w kuchni lub sprzątają w sypialniach i pomieszczeniach internatowych. Ale Suba mimo wszystko krzyczał i dziewczęta z piątej zrozumiały już dlaczego: stłukło się akwarium i zdechły wszystkie rybki.

Rybki dyrektora należały do stałych tematów rozmów. Zdaniem Mari Kis dyrektor tylko pozornie jest

wdowcem, a tymczasem ma nową żonę, jakąś rybkę czy syrenkę, którą trzyma w akwarium. Nocą przemienia się ona w kobietę, a w dzień ma postać ryby. Jeszcze nikt nigdy nie zauważył, żeby dyrektor mile na kogoś popatrzył poza rybami. Jeśli Suba nie jest pijany – co trudno sobie wyobrazić, bo w jaki sposób mógłby się upić w tej instytucji i czym – to w gabinecie stała się rzecz straszna, co w zupełności usprawiedliwia ów nieartykułowany ryk. A więc wspaniałe akwarium Gedeona Tormy z welonami, mieczykami i innymi, egzotycznymi żyjątkami leży rozbite na podłodze, rybki pozdychały, parkiet zniszczony, a dywan wygląda jak pobojuwisko. Wszystko to jest jednak bardzo dziwne i niezrozumiałe, ponieważ po godzinie dziewiątej, kiedy już wszędzie zakończono sprzątanie, dyrektor sam zamknął drzwi, tak jak co dzień, sam skontrolował, czy w gabinecie wszystko jest w porządku. A w ogóle któż był tym szaleńcem, który w nocy wtargnął na pensję i jak wandal zniszczył akwarium? A jak otworzył drzwi? Czym? Poza Gedeonem Tormą jeszcze tylko odźwierny ma klucz do gabinetu i na pół godziny oddaje go sprzątacze. Wczoraj stara Botárowa na oczach portiera o godzinie za piętnaście dziewiąta powiesiła klucz z powrotem na tablicy i całą noc tam się znajdował razem z innymi kluczami.

Dyżurujący tego dnia na korytarzu pierwszego piętra Kalmár próbował uciszyć Subę, prosił, aby się opanował, gdyż daje zły przykład uczennicom. Dyrektor wypadł z

gabinetu, kazał usunąć stłuczone szkło i nieszczęsne rybki. Tymczasem König stał już w drzwiach piątej klasy, czekał na dziewczęta, zapowiedział im na ten dzień jakąś trudną klasówkę z łaciny. Suba w końcu pojął, że próżno woła, sprzątaczek nie można teraz oderwać od pracy w kuchni. Kalmár obiecał znaleźć mu pomoc. Jego wzrok prześliznął się po piątej klasie, dziewczęta odpowiedziały mu spojrzeniem promiennym i pełnym nadziei. Były wprawdzie przygotowane do klasówki, ale wolałyby jej nie pisać. Ileż ciekawych rzeczy można odkryć, gdy człowiek będzie się kręcić po gabinecie dyrektora, ile może zobaczyć, usłyszeć, ile może się zdarzyć w jego obecności. Oláh wydeła z niezadowoleniem usta, gdy zauważyła, że Kalmár odwrócił od niej spojrzenie – z góry zresztą mogła przewidzieć, że do tej wspaniałej pracy wybierze Vitay, ponieważ od chwili, gdy Gina ośmieszyła Königa, Kalmár wprost skandalicznie ją wyróżnia.

Istotnie, sytuacja Giny zmieniła się od pamiętnej wizyty biskupa. Z Zuzanną nie potrafiła już nawiązać dawnego kontaktu, ale Kalmár rzeczywiście ją wyróżniał. Nie w ten sposób, że przymykał oczy, gdy się nie przygotowała i czegoś nie umiała, po prostu odnosił się do niej odrobinę mniej po szkolnemu, jakby mieli wspólną tajemnicę nie na płaszczyźnie profesor-uczennica, lecz jak dwoje dorosłych ludzi, którzy porozumieli się w pewnej sprawie, a mianowicie, że obydwójce otwarcie gardzą Königiem.

Kalmár przywołał do siebie Ginę, a Subie kazał odejść, mówiąc, że uczennica doprowadzi biuro do porządku. On zaś niech idzie zadzwonić po szklarza i poprosi, by przysłali tego zręcznego pomocnika – wąsatego Mráza, który zawsze wstawia szyby w szkole. A do czasu, gdy znajdą jakieś rozwiązanie, niech przyniesie od profesora przyrody, pana Élesa, ładne, nowe akwarium z ozdobnymi rybkami dla pana dyrektora.

König stał w drzwiach klasy i słuchał tego, co mówił Kalmár. Twarz jego była pełna uznania dla kolegi, który tak szybko wydaje polecenia, jest taki pomysłowy i energiczny. Kalmár od owego czasu, gdy odwiedził Königa z Zuzanną i Giną, zwracał się do niego zawsze uprzejmie, acz z ukrytą pogardą. Teraz zapytał Königa, czy potrafi obyć się bez Vitay na lekcji. Było to pytanie czysto formalne, a nawet obraźliwe, przecież już i tak zarządził, że Gina sprzątnie gabinet. König przytaknął, że tak, oczywiście, i dziewczęta zazdrosnym spojrzeniem towarzyszyły koleżance, gdy tymczasem König polecił Cziller rozdać zeszyty do klasówki. Ostatnią myślą Murai – nim się zajęła tym interesującym zagadnieniem, jak bezbłędnie przetłumaczyć na łacinę fragment, w którym Owidiusz Naso zegnał się z Rzymem i rodziną, w chwili gdy udawał się na wygnanie – było, że wprawdzie Zuzanna wzgardziła Kalmárem, ale gdyby ta Vitay trochę bardziej się zakreśliła, to ewentualnie mogłaby zająć miejsce Zuzanny w jego sercu. Kalmár jest młody, Vitay ładna, a ów Feri daleko.

Gina nie była taka głupia, żeby zaraz znaleźć wiadro, ścierkę i szczotkę. Wiedziała, gdzie trzeba szukać, na każdym korytarzu znajdował się schowek na przybory do sprzątania, ale obeszła najpierw wszystkie korytarze, aby trochę czasu minęło. Gdyby ktoś ją zaczepił, to powiedziałaaby, że szuka lepszej szczotki czy suchej ścierki, jeszcze nie oszalała, żeby wrócić do klasy i pisać wypracowanie z łaciny, kiedy tu otwierają się przed nią takie perspektywy! W gabinecie przez pewien czas była sama, Suba ciągle jeszcze sterczał przy telefonie i szukał szklarza.

Widok pokoju był żałosny. Giny specjalnie nie interesowały akwaria, ale małe połyskliwe ciała rybek leżące na przemoczonym dywanie z otwartymi pyszczkami, jakby niemo błagały o łyk powietrza, wzruszyły ją. Akwarium stało na specjalnej podstawce i było zupełnie niezrozumiałe, kto je zrzucił, kiedy i dlaczego. W końcu zjawił się znów Suba. Gina w ślimaczym tempie zbierała wodę i powoli, ostrożnie, aby się nie skaleczyć, zgarniała na szufelkę kawałki szkła, roślinki i kamyki. Suba nie pomagał jej, tylko chodził po pokoju i mówił sam do siebie. Mamrotał między innymi, że zaraz przyjdzie szklarz i że dobrze trzeba się wokół rozejrzeć – tak powiedział dyrektor – ponieważ on w nocy nie wchodził do gabinetu, a o dziewiątej wszystko było w porządku i jeśli akwarium spadło, to widać ktoś je zrzucił, jako że nie ma nóg, aby samo zeskoczyło. Musiał to być włamywacz, ponieważ tylko on mógł się dostać do

biura.

Gina, czyszcząc dywan, również się rozglądała. Na oko nic się w pokoju nie zmieniło. Suba w końcu pomógł jej i chwytając ryby za ogonki, powrzucał je do wiadra, równocześnie zaś popędzał Ginę, żeby się pospieszyła. Potem zadzwonił do dyrektora i powiedział, że nie widać nic podejrzanego, a pokój jest już uprzątnięty, pan dyrektor może zaraz przyjść, dobrze będzie, gdy wszystko osobiście skontroluje. Kto tutaj wchodził, nie wiadomo, może nikt. Drzwi były zamknięte, w oknach są kraty, na szafie, biurku, szufladach nie ma śladu włamania, chyba nikt się nie włamuje do pomieszczenia tylko po to, by strącić na podłogę akwarium. Może przyczyną było jakieś niezauważalne trzęsienie ziemi.

Dyrektor nadszedł mniej więcej w tym samym czasie co szklarz, obszedł dokoła pokój i wszystko uważnie zbadał. Pan Mráz wszedł akurat wtedy, kiedy dyrektor przeglądał zawartość kasy pancерnej: było w niej mnóstwo pieniędzy. Gina wycierała prawie już suchy dywan i obserwowała wszystko uważnie. O ileż ciekawiej było krzątać się tutaj, niż tłumaczyć na łacinę smutek Owidiusza.

– Niczego nie brakuje – powiedział Gedeon Torma i właśnie wtedy otworzył drzwi pan Mráz, niczym aktor wkraczający na scenę po skończonej kwestii innego aktora.

Wąsy zadrgały mu w uśmiechu i grzecznie powiedział „dzień dobry”. Przykucnął przy akwarium i

obmacywał metalowy szkielet, z którego jedna ściana rozbiła się na drobne kawałki. Dyrektor przeglądał zawartość biurka, mruzczał przy tym, że szuflad też nikt nie dotykał, następnie otworzył szafę z dokumentami, przeglądał metryki, teczki z papierami – tutaj również wszystko było w porządku. Pan Mráz odwrócił akwarium i znów się uśmiechnął, jakby go bawiły słowa Gedeona Tormy.

Na szczęście miał dobrą wiadomość, właśnie mają w warsztacie tej wielkości szybę, dzięki czemu uda się naprawić to stare, ulubione akwarium dyrektora. Chwycił je zaraz pod pachę i skierował się do wyjścia. Na korytarzu akurat rozległ się dzwonek i Gina z zadowoleniem stwierdziła, że udało jej się uniknąć klasówki. Niestety, dalej już nie mogła przeciągać sprzątanania, chwyciła więc wiadro i wszystkie przybory i poszła za szklarzem. W tym momencie König wychodził z klasy, niosąc łącińskie klasówki. Zobaczywszy Ginę, przywołał ją i zupełnie bez sensu spytał: „No, Georgino Vitay, czy sprzątananie już skończyłaś?”. Stała na baczność, tak jak ją uczono, i jak żołnierz broń, tak ona, przyciskając do boku szczotkę, odpowiedziała, że tak, skończyła. Zauważyła przy tym, że pan Mráz przystaje, odwraca się ze swoim ciężarem, patrzy na nią, uważnie jej się przygląda. Jej wzrok spotkał się ze wzrokiem szklarza i dziewczyna nagle odczuła chęć ujrzenia swojego odbicia w lustrze. Jak też ona dziś wygląda, bo co prawda pan Mráz nie był Apollem, ale jednak

mężczyzną i było w tym coś niepokojącego, że tak się na nią gapił. Szklarz oddalił się i został tylko König. Naraz usta mu drgnęły, gdy zobaczył w wiadrze małe rybki wraz ze śmieciami i szkłem.

– Biedaczki – powiedział.

Z Giny natychmiast uleciało współczucie, jakie żywiła dla kolorowych rybek. Tylko, na Boga, niech się nie rozpłacze nad tym wiadrem! Taka tragedia z powodu kilku rybek. Kiedy schowała rzeczy do komórki i wróciła do klasy, dowiedziała się od Mari Kis, że piekielnie trudny był ten przeklęty Owidiusz. Potem Gina nie mogła sobie wybaczyć, że nie zapytała, jaki dokładnie był tekst, ponieważ po podwieczorku, kiedy już odrobiły lekcje i reszta dziewcząt miała wolny czas, siostra Zuzanna zawołała ją do swojego pokoju, położyła przed nią zeszyt do klasówki i powiedziała, że o ile jej wiadomo, zmuszona była opuścić lekcję, ale jej byłoby przykro, gdyby miało zabraknąć wypracowania Giny, niech więc będzie tak uprzejma i odrobi stratę. Oto tekst, który wzięła dla niej od profesora Königa. Gina omal nie pękła z wściekłości. Diakonisa siedziała z nią przez cały czas i chociaż naprawiała bieliznę, to jednak nie było najmniejszej nadziei, żeby Gina mogła wymknąć się pod jakimś pretekstem i zajrzeć do przerobionej czytanki w podręczniku do łaciny. Napisała marne wypracowanie, najgorsze od początku swojego pobytu na pensji.

Generał zjawił się akurat wtedy, kiedy jadły kolację. Niepewnie rozglądał się po olbrzymiej jadalni, gdzie tym razem Aradi z ósmej klasy czytała o dalszych losach bogobojnej szwajcarskiej dziewczyny, i dopiero po chwili wśród pochylonych nad talerzami twarzy zauważył tę, dla której z tak daleka przyjechał. Dyrektor kazał podać dla niego nakrycie, a Gina w podnieceniu ledwie mogła usiedzieć. Ojciec nigdy nie zjawiał się o tak późnej porze, a ona nawet nie mogła do niego podbiec i się przywitać. Według obowiązującej tu dyscypliny musiała zaczekać do końca kolacji i dopiero potem za zgodą Zuzanny mogła podejść do ojca. Opuszczać pensji o tak późnej porze oczywiście nie było wolno, ale generał nawet o to nie prosił. Powiedział, że bardzo mało czasu może spędzić w Árkodzie i w zupełności wystarczy mu, gdy do wieczornej modlitwy będzie mógł z córką zamienić kilka słów. Zuzanna skierowała ich więc do pustej o tej porze świetlicy.

Generał przywiózł pudełko ciastek i elegancką paczuszkę od cioci Mimó, której zawartość Gina natychmiast ukryła pod bluzką. Ciotka przysłała jej mały flakonik perfum, szminkę, ołówek automatyczny i broszkę przedstawiającą wiewiórkę o markazytowych oczach. Gina oznajmiła ojcu, że już dobrze się tu czuje, szczególnie opowiedziała, w jakich okolicznościach zostały przełamane lody i jak w końcu udało jej się pogodzić z dziewczętami. Paplała tak od dłuższej chwili,

kiedy naraz zauważyła, że chociaż generał słucha jej z uśmiechem i sam również opowiada, co słychać u krewnych w Budapeszcie, oraz o tym, że na wiosnę stracą pokojówkę Ili, ponieważ na Boże Narodzenie odbędą się jej zaręczyny, to jednak to spotkanie jest jakieś inne niż zawsze. I to nie dlatego, że głos czy zachowanie generała były inne, po prostu Gina w pewnym momencie wyczuła niezwykle silne napięcie ojca. W połowie zdania urwała, jakby nagle jakiś wewnętrzny głos na nią krzyknął: „Nie opowiadaj o tym, co było na ostatniej lekcji gimnastyki. To nieistotne, że ty byłaś jedyną uczennicą, która ku zadowoleniu Gertrudy Truth potrafiła wykonać ćwiczenie, to nie ma teraz znaczenia dla nikogo”. Czekwała, przyglądając się ojcu, który odwzajemnił jej spojrzenie, zdziwiony milczeniem córki, i zachęcił, by dalej opowiadała o dziewczętach i pensji. „Nie ma odwagi zacząć – myślała Gina. – Jaką przywiózł wiadomość? Boję się jej!”

Rozmowa rwała się i gdyby nie odezwał się dzwonek wzywający na modlitwę, byłyby to po prostu przerażająco poprawna towarzyska rozmowa dwojga dobrych przyjaciół, z których jeden ma coś ważnego do powiedzenia, ale musi przeciągnąć czas, aby to odpowiednio sformułować. Dzwonek na razie odroczył tę chwilę, przyszła po nich siostra Zuzanna. I choć nic nie powiedziała, cała jej postawa dawała do zrozumienia, że miły gość powinien się już pożegnać, ponieważ jego córka musi wracać do koleżanek. Złagodniała dopiero

wtedy, kiedy usłyszała, że generał nie ma zamiaru naruszać ich gościnności, tylko prosi o pozwolenie, aby mógł wraz z córką wziąć udział w modlitwie wieczornej. Zaraz potem rusza do Pesztu. Zuzanna załatwiła nawet, żeby nie stał wśród wychowawców, lecz przy córce, a kiedy zauważyła, że generał w czasie modlitwy trzyma Ginę za rękę, spuściła oczy, by nie musiała zwrócić im uwagi. Treścią kazania był list apostoła Pawła do Rzymian. Pastor mówił o tym, z jakiego powodu dla szkoły odpowiednim mottem jest właśnie szesnasty werset z rozdziału dziewiątego, według którego nie ten zwycięża i zdobywa łaskę, kto chce, i nie ten, kto się o to stara, gdyż nic nie znaczą tu ludzkie zamiary: cokolwiek się dzieje, dzieje się wyłącznie z woli Boga. Gina tylko jednym uchem słuchała tego wszystkiego, tak dalece zajmowała jej myśli obecność ojca. Dopiero wiele lat później (gdy pan Mráz, rybki dyrektora, tekst apostoła Pawła i generał częściowo stali się już wspomnieniem i - niczym w jakiejś skomplikowanej łamigłówce – można było nareszcie odkryć wzajemne powiązania tych wydarzeń) była szczęśliwa, że ten, od którego nie kochała bardziej ani swojego męża, ani dzieci, gdy była już dorosła, jej ojciec, chciał i starał się, nie zastanawiając się, czy to, o co walczył i czego pragnął, zgadza się z wolą Boga. Pragnął i walczył aż do śmierci.

Ginie pozwolono odprowadzić ojca do bramy. Ogród oczekiwał już śniegu, który co prawda jeszcze nie spadł, ale czuło się go w powietrzu. Zatrzymali się z daleka od

izdebki portiera, tak aby nikt nie usłyszał, o czym mówią. Dopiero wtedy generał wypowiedział wreszcie to, do czego szykował się przez cały wieczór, a co niejasno przeczuwała Gina.

– Pożegnaj się teraz ze mną, pocałuj i nie płacz. Wkroczyliśmy w tak ważny etap tego, co robimy, że długo nie będę mógł do ciebie przyjechać, być może miną całe tygodnie, a nawet miesiące. Przez pewien czas nie odważę się również dzwonić. Nie wolno ci się bać i być smutną, czekaj cierpliwie do czasu, kiedy będę mógł się zgłosić.

Gina patrzyła na kamienną posadzkę w bramie, wiecznie szorowaną do czysta. Sobotnie telefony ojca były kłamrą spinającą długie dni i mimo że właściwie pozbawione treści przez stałą obecność Gedeona Tormy i Zuzanny, to jednak stanowiły przecież pewną z nim łączność. Więc nawet nie będzie mogła usłyszeć głosu ojca? I to przez długie miesiące? Przecież w grudniu jest przerwa świąteczna.

– Na Boże Narodzenie przyjadę tutaj, jeśli tylko będę mógł. Jeśli się nie zjawię, to znaczy, że nie mogłem. Wówczas odwiedzę cię później, kiedyś po świętach, albo usłyszysz o mnie od innych. To jest tak pewne jak to, że się kochamy. Zrozumiałaś? Obiecujesz, że nie zrobisz żadnego głupstwa? I że przeczekasz?

Od pierwszego września była matulanką, wychowanką Zuzanny. Objęła ojca, chciała ukryć twarz w jego ramieniu, aby nie zobaczył, jaka jest smutna. Ale

nie musiała aż tak bardzo trzymać się w karbach. Kiedy generał, ująwszy Ginę pod brodę, uniósł jej twarz, aby jeszcze raz jej się przyjrzeć, wyczytała na jego obliczu smutek podobny do tego, który sama czuła. Ojciec pocałował ją, po czym łagodnie od siebie odepchnął, dając do zrozumienia, aby nie odprowadzała go do zewnętrznej bramy. Przez kilka chwil widziała go tylko z tyłu i dopiero w bramie oświetlonej niebieskim światłem jeszcze raz się odwrócił. Twarz generała była poważna, pełna smutku i miłości, prawie nierealna w tym przyćmionym oświetleniu. Wówczas, gdy zniknął w czeluści ulicy Matuli, myślała, że go jeszcze zobaczy. Nie przeczuwała, że nie spotka się z nim już nigdy więcej.

Nabożeństwo w dniu świętego Mikołaja

Ponieważ w dniu dwudziestego dziewiątego listopada nie mogły ani gotować knedli, ani lać ołowiu, żeby poznać imię swojego przyszłego narzeczonego, postanowiły przynajmniej zrobić gwiazdę. Spośród zwyczajów związanych z andrzejkami Ginie znane było tylko lanie ołowiu, nie znała natomiast zwyczaju związanego z gotowaniem knedli – kiedy to imię wypisane na kartce umieszczonej w pierwszym knedlu, który wypłynie na powierzchnię, jest imieniem przyszłego męża – jak również papierowej gwiazdy, której trzeba zrobić tyle ramion, ilu się zna kandydatów na męża, i wypisać na nich imiona chłopców. Jedno ramię zaś trzeba zostawić puste, bo może los wyznaczyć kogoś takiego, kogo się jeszcze nie zna, którego imię jest dotąd tajemnicą. Gina niepokoiła się, w jaki sposób wypełni ramiona gwiazdy rzeczywistymi imionami, ale Oláh pocieszyła ją, że inne dziewczęta też znają najwyżej jednego rzeczywistego chłopca poza Kalmárem. Wypisuje się po prostu różne imiona męskie, te które się najbardziej podobają. Gwiazdę należy włożyć pod poduszkę, w nocy oberwać jedno jej ramię i dopiero rano przy wstawaniu wolno zobaczyć, jakie imię według wróżby andrzejkowej nosić będzie przyszły narzeczonny.

Dziewczęta z ogromnym przejęciem oczekiwały po-andrzejkowego ranka i aby wróżb nie zapeszyć, nawet sobie nawzajem nie zdradziły, jakie imiona wypisały na ramionach gwiazdy. Ale wieczorem, kiedy Zuzanna przyszła zgasić światło, kazała wszystkim dziewczętom wstać i podnieść poduszki, ponieważ chciałyby zobaczyć, co się pod nimi znajduje. Z nosami zwieszonymi na kwintę wykonały jej polecenie. Diakonisa nawet nie spojrzała na gwiazdy, tylko przechodząc od łóżka do łóżka, zabierała je i darła bez czytania, wrzucając do swojej ogromnej kieszeni. Nie odezwała się słowem, lecz z jej twarzy wyraźnie można było odgadnąć, co myśli o takich przesądach. Cała piąta klasa była rozgoryczona i łamała sobie głowę, gdy już Zuzanna wyszła, gasząc światło, jak ona na to wpadła i co tu teraz wymyślić w ten andrzejkowy wieczór. Mimo woli zdrajczynią stała się Dudás, porządna Dudás, która niczego nie chciała robić byle jak i lubiła ładne ołówki, farby, wszystko, co było rysunkiem, projektem. To był właśnie jej pomysł, że skoro już ma być gwiazda, to niech będzie prawdziwa i w związku z tym wyproszą z magazynu przyborów rysunkowych wybrakowane kartki brystolu. Nie robiły jej z tego powodu wyrzutów. Po pierwsze i tak już było wszystko jedno, po drugie zaś skąd Dudás mogła przypuszczać, że Zuzanna pamięta o dniu andrzejkowym i zwyczajach ludowych i domyśli się, widząc Dudás rozdzielając dziewczętom kartki, że szykują się do robienia gwiazd.

Na szczęście zaraz następnego dnia zdarzyło się coś, co natychmiast pozwoliło im zapomnieć o wczorajszym rozczarowaniu. Szabó, która w pokoju nauczycielskim pielęgnowała kwiaty, powróciła z „kontroli zielska” – jak to zwykła określać – z sensacyjną wieścią. W przyszłym tygodniu, w piątek, będzie święto narodowe, dzień wolny od lekcji, a mianowicie dzień imienin regenta⁷. Gedeon Torma, wprost dławiąc się z dwoistego uczucia zaszczytu i gniewu, powiadomił pastora, że ze względu na wspólną radość państwa i kościoła ich pensję spotkał zaszczyt, że w tym uroczystym dniu zarząd miasta zaszczyt swoją obecnością ich szkolne nabożeństwo. Piątoklasistki były nieprzytomne z zachwytu, powszechnie bowiem wiadomo, że Gedeon Torma jest wprost uczulony na imię regenta, ponieważ w związku z jego świętem w dniu szóstym grudnia trzeba robić przerwę w nauce. Niechby Horthy nazywał się Kajfasz czy Jebuzeusz, wszystko jedno jak, byle nie Miklós⁸, bo niektórym z tych nieznośnych dziewcząt może przyjść do głowy, że ich pensja uroczyście czci mikołajki przerwą w nauce i nadzwyczaj świątecznymi posiłkami, co byłoby zwykłym objawem pogaństwa, które nie powinno mieć miejsca w murach tej szkoły.

Będzie szalona pompa, szeptała Szabó, razem z nimi wysłuchają mszy burmistrz i, mogą wierzyć albo nie, nawet sam nadzupan⁹, który jest właściwie katolikiem, ale przy okazji święta narodowego takie rzeczy się nie liczą. Przybędą również komendant miasta i radcy miejscy,

panowie z komitatu i przedstawiciele miejscowego garnizonu. Dyrektor, któremu serce się krajało z żalości, że całe to wyróżnienie spotyka ich akurat z okazji znienawidzonego imienia Miklósa, był jednocześnie ogromnie dumny z tego zaszczytu i upominał wszystkich obecnych w pokoju nauczycielskim, aby zaraz poinformowali o tym wydarzeniu uczennice i dali im do zrozumienia, jakiego zachowania oczekuje się od nich w dniu, kiedy śmietanka Árkodu zaszczyca ich nabożeństwo i ich pastor w imieniu całego miasta zanosić będzie uroczyste modły. Zdaniem Szabó pastor był w takiej ekstazie jak dziewczyna idąca na pierwszy w życiu bal, zresztą wiadomość o tym wyróżnieniu zelektryzowała całe grono pedagogiczne. Piąta klasa natychmiast przekazała dalej wieść o wielkim wydarzeniu na pensji.

Ich szkolne nabożeństwa były dość monotonne. Jeśli nawet władze miejskie chodziły do kościoła, to nie na szkolne nabożeństwa, a zatem dzień Miklósa był wydarzeniem, radosną barwną plamą w szarzyźnie codzienności. Wieczorem miały tak doskonałe humory, że diakonisa ledwo potrafiła je uciszyć. Nawet świąteczny obiad i kolacja nie cieszyły ich tak bardzo jak możliwość spotkania z ludźmi z miasta, na pensji bowiem wyżywienie było dobre, gdyż ojcowie wielu uczennic byli rolnikami i chesne opłacali w naturze.

Nazajutrz zerwał się północny wiatr.

Gina sądziła, że nie może jej już spotkać żadna niespodzianka ze strony pogody, znała morze, przeżyła

nawet burzę na statku, szła brzegiem Atlantyku w strumieniach deszczu, poznała upały sycylijskie i stała na krawędzi lodowca. Dopiero tu przekonała się, że czegoś jednak jeszcze nie doświadczyła, a mianowicie nie wiedziała, co to jest puszysta wiatr. Później, o wiele później, jeśli śniły jej się twierdza i Árkod, to zawsze śnił jej się ów wiatr. Wraz z poruszającymi się w sennej mgłę postaciami jawił się wiatr.

Wył wściekle. Przybywał z północy i niósł z sobą zimno przenikające do szpiku kości. Gdy się szło korytarzem, mimo grzejących kaloryferów przenikał człowieka dreszcz od mroźnego tchnienia wiatru, który wciskał się nawet przez zamknięte okna, a w dzień i w nocy słyhać było jego ciągłe wycie. Nie ustawał ani na chwilę. W czwartek poprzedzający uroczyste nabożeństwo siedziały właśnie przy kolacji, kiedy w jadalni pojawił się dzwonnik i poprosił dyrektora o pozwolenie przekazania wiadomości od pastora: uczennice niech się jutro ciepło ubiorą, ponieważ przed godziną, w czasie sprzątania świątyni, wiatr wybił jedno okno, wyleciała szyba. Posłano wprawdzie po Mrąza, ale dopiero jutro rano zdoła wprawić szybę, można więc przypuszczać, że kościół bardzo się wyziębi przez noc i będzie niezwykle chłodno. A potem już prywatną uwagą przyozdobił przekazaną wiadomość: wiatr jest tak silny, że wszystek kurz, który zebrał na puszczie i pobliskich folwarkach, przyniósł do miasta i teraz wzbija tumany pyłu na ulicach. Jak kantor będzie jutro grał na organach,

to na razie zagadka, ponieważ wpadł mu jakiś paproch do oka, które jest całe czerwone i kantor ledwo na nie widzi, chyba dostał zapalenia.

Dziewcząt nie interesowało jednak oko kantora, myślały o czym innym i chociaż ich nikt nie uspokajał, to jednak w czasie wolnych zajęć rozmawiały ciszej. Wiatr podziałał na nie w jakiś dziwny sposób. Duża Aradi siedziała nad otwartą książką i patrzyła przed siebie, nie czytała, zastanawiała się, jaka też zima panuje tam, gdzie we frontowym szpitalu jej Piesek właśnie opatruje rannego, i jaki wiatr tam może wiać. Kładąc się do łóżka, słyszały jeszcze wycie puszczańskiego wiatru, ale mimo wszystko natychmiast usnęły i rano nie trzeba ich było poganiać. Wieść przyniesiona przez Szabó zrobiła swoje. Myśl o spotkaniu z tym zewnętrznym światem, w którym można było się pograć tylko w czasie spacerów, nadzieja, że mogą zobaczyć coś ciekawego, że zdarzy się coś innego, odbiegającego od przeciętności, zabarwiła ich twarze rumieńcami. I tak zresztą były radosne, bo oto zaczął się już adwent i niedługo będą święta.

W Peszcie, w dawnym gimnazjum Giny, fakt nadejścia grudnia nie miał żadnego znaczenia, nie było też mowy o tym u nich w domu czy u cioci Mimó. Natomiast tutaj, począwszy od ostatniej niedzieli listopada, z dnia na dzień zmieniała się atmosfera, tak jak jednym przekręceniem gałki nastawia się grzejnik na silniejsze wydzielanie ciepła. W tym nieskończonym czasie święta nagle zaczęły się przybliżać, Boże

Narodzenie było tuż-tuż. Gina była pewna, że ojciec mimo wszystko postara się z nią zobaczyć, niezależnie od tego, w jak trudnej sytuacji znajduje się teraz wraz ze swoimi towarzyszami. Z pewnością coś wymyśli, zabierze ją w jakieś neutralne miejsce lub do swoich przyjaciół albo sam przyjedzie tutaj i zostanie przez święta na pensji. Przecież zdarzało się już, że nocowali tu obcy ludzie.

Szczotkując przed wyjściem włosy, zastanawiała się nad tym, co usłyszała od Szabó – że w kościele będzie miejscowy garnizon. Dużo myślała o żołnierzach, którzy w tym mieście stacjonują i których mundury zawsze przypominają jej ojca i Feriego. Wśród nich tu, w Árkodzie, działa ten odważny ktoś, kogo twarzy nie zna, a kto służy tej samej sprawie co jej ojciec. Ani przez chwilę nie wątpiła, że ten ktoś, mimo że kieruje cywilnym ruchem oporu, też jest żołnierzem.

Granatowy wąż jeszcze nigdy nie sunął tak elegancko i zdyscyplinowanie jak tego dnia. Po drodze zdarzył się także moment napięcia, gdy z daleka ujrzano państwowe gimnazjum, które ciągnęło na swoje nabożeństwo, oczywiście nie do białego, lecz zbudowanego z czerwonej cegły kościoła, mniejszego i nie tak okazałego. Uczennice z tamtego gimnazjum również zauważyły matulanki. Nauczyciele zarówno jednej, jak i drugiej szkoły mogli być zachwyceni zachowaniem dziewcząt, które dostrzegłszy się wzajemnie, dumne ze swoich szkół, zaczęły iść we wzorowym porządku, czego nie

uczyniłyby kiedy indziej na żadne polecenie czy rozkaz. Aradi oraz przewodnicząca młodzieży z gimnazjum państwowego tak elegancko i pewnie niosły szkolne sztandary, że aż prosiło się, by je sfilmować.

Przed kościołem falował tłum. Gina nie widziała jeszcze w Árkodzie tylu ludzi ani takiej publiczności, z zadowoleniem też stwierdziła, że jest i garnizon. Mimo że nie wolno im było w tę stronę patrzeć, to przecież zerknęła na oficerów i przybyłe z nimi panie, myśląc ze zdumieniem, jak dawno już nie widziała naprawdę dobrze ubranych ludzi. Nauczyciele z ich pensji zawsze przychodzili na lekcje w fartuchach i jeśli nawet do posiłków je zdejmowali, to ich ubrania – z wyjątkiem pani Gigus – były przeważnie niemodne, jakby i przez to chcieli podkreślić, że liczą się tylko wartości duchowe człowieka, których nie można zastąpić żadnym strojem, żadnymi przemijającymi błyskotkami. Tutaj zaś widziała eleganckie, zadbane kobiety, których włosy były starannie ułożone przez fryzjera, i mężczyzn takich, do jakich przywykła w swoim dawnym świecie. Gina pierwszy raz brała udział w tak uroczystym nabożeństwie i dopiero teraz przekonała się o autorytecie i potędze swojej pensji. Uczennice tej starej szacownej szkoły wraz z całym gronem pedagogicznym, dyrektorem i sztandarem jako pierwsze wkroczyły przez główne wejście do świątyni i dopiero za nimi postępowały władze świeckie i osoby obce, niezwiązane z ich pensją.

Wewnątrz rzeczywiście było zimno, zimniej, niż

sobie wyobrażały, ale kto by się tym przejmował, kiedy zebrała się tu tak wspaniała publiczność. W Árkodzie w czasie nabożeństwa mężczyźni siedzieli w oddzielnych ławkach, wyjątek pod tym względem stanowili tylko wychowawcy, którzy bez względu na płeć mogli pozostać przy swoich klasach. Mimo że trzeba się było teraz modlić, wszystkie dziewczęta obserwowały, jak oficerowie i goście świeccy zostawiają swoje małżonki i zajmują miejsca wśród prezbiterów, a panie sadowią się w ławkach dla kobiet. Gina ze swego miejsca doskonale wszystko widziała, zarówno gości, jak i swoją pensję. Siedzący w oddzielnej ławce pastor jak zawsze ukrył twarz w dłoniach i pogrążył się w modłach. Obok siedział jego pomocnik, którego z widzenia dobrze znały, starszy brat Samuka, sympatia Salm. Dziewczęta często myślały o tym, że dyrektor mógłby pozwolić Samuce odprawiać nabożeństwo, tylko kto wówczas słuchałby uważnie Ewangelii? Gedeon Torma dobrze wiedział, dlaczego ustalił z pastorem, żeby duchowny sam prowadził lekcje religii, niedzielne kazania i poranne oraz wieczorne modlitwy, a jeśli będzie chory, wyjedzie na prowincję albo na urlop, to ma go zastąpić jakiś matuzalem miejscowej teologii. Starszy brat Samuka tak samo spuścił głowę i oparł ją na rękach jak ich pastor, identycznie.

Kantor zaczął już grać, odezwały się organy, niestety gra nie była bezbłędna, czasami melodia się zacinała, no tak, słyszały przecież wczoraj, że kantor ma kłopot z

okiem. Jeśli nawet wieloletnia wprawa kieruje jego palcami po klawiaturze, to jednak może go irytować piekące oko i nie potrafi bez reszty pograżyć się w muzyce. Ale oczywiście natychmiast można poznać, co zaintonował: *Witaj nam, drogi adwencie...* Gina nie pamiętała, która to pieśń pochwalna, i zerknęła na tablicę numerów pieśni.

W kościele były trzy tablice zawierające numery pieśni śpiewanych podczas nabożeństwa, jedna naprzeciw ambony, druga nad wejściem, a trzecia na chórze. W Peszcie nie było takiego zwyczaju jak tutaj, tam nie ogłaszano wykazu psalmów i pieśni śpiewanych kolejno w czasie nabożeństwa. Te trzyskrzydłowe tablice były zamknięte w chwili wejścia wiernych i dopiero jak się usadowili w ławkach, trzej wyznaczeni do tego celu prezbiterzy wstali i przy dźwięku organów ze złożonymi rękami i wielką dostojnością weszli po drewnianych schodkach prowadzących na chór do tablic i jednym energicznym ruchem otworzyli je, odkrywając zestawy psalmów. Do czasu kiedy wrócili na swoje miejsca, każdy mógł otworzyć śpiewnik i wyszukać psalm, którego słów nie znał. Gdy prezbiterzy dotarli do swoich ławek, kantor zaintonował pierwszą pieśń, a wszyscy wierni powstali z miejsc i zaczęli śpiewać. „Ja też cię witam, drogi adwencie – myślała Gina. – Jednak cię oczekuję. Może w Boże Narodzenie uda mi się zobaczyć ojca”.

Dźwięk organów nasilał się. Oczy wszystkich pozostałych również skierowane były ku tablicom. Gina

tylko pierwszą zwrotkę znała na pamięć, zaraz wyszukała pieśń, powinna być gdzieś na początku.

Zrobiło jej się wstyd, gdy zobaczyła, jak bardzo się pomyliła. Wydawało jej się, że już dostatecznie się orientuje w pieśniach kościelnych, przecież tyle czasu mordowano ją, by się nauczyła tego mnóstwa psalmów. I ciągle jeszcze się myli. Gdyby profesor Hajdu się o tym dowiedział, zaraz by ją postawił do kąta. Pomylić pieśni z psalmami to absurd, choć właściwie zupełnie logiczna omyłka, przecież w czasie uroczystych okazji zwykle śpiewano pieśni. A więc siedemdziesiąty drugi psalm. Dobrze. Ale melodia jest dokładnie taka sama jak przy *Witaj nam, drogi adwencie*. Gina gorączkowo przewracała strony, ale nie tylko ona, bo i wszyscy zebrani z wyjątkiem duchownych, którzy niezmiennie modlili się na swoich miejscach, oparli głowy na rękach. Siedemdziesiąty drugi psalm, w życiu się go nie uczyła, dobrze, że przynajmniej melodia jest znajoma, taka sama jak w *Na górze Syjon*. Ten kantor chyba zwariował, dlaczego uparcie gra *Witaj nam, drogi adwencie*? Dobrze chociaż, że uczennice nie zaczęły z przyzwyczajenia śpiewać.

Wszyscy otworzyli śpiewniki, gdyż również mieli poczucie, że nie znają tego psalmu. Dlatego zdarzyło się to, o czym później z przestachem rozmawiano przez długie tygodnie i miesiące zarówno w kołach świeckich, jak i duchownych. Otóż gdy kantor zaintonował pierwszą pieśń, tę samą, której melodię grał już od kilku minut,

czyli *Witaj nam, drogi adwencie*, to cała pensja Matuli i pozostali wierni zgodnie z tym, co nakazywała tablica, zaczęli śpiewać zupełnie co innego na melodię psalmu *Na górze Syjon*. Ponieważ jednak uczennice z Matuli zostały specjalnie wyszkolone w śpiewaniu pieśni kościelnych, to nawet gdy pozostali wierni zamilkli z konsternacją, zdyscyplinowane klasy, wyraźnie zaznaczając takt i, jak uczył je profesor Hajdu, donośnym głosem, nadal śpiewały psalm, który figurował na tablicy:

Boże! daj królowi sądy twoje, a sprawiedliwość twoją synowi królewskiemu, aby sądził lud twój w sprawiedliwości, a ubogich twoich w prawości. Początkowo nie zorientowali się jeszcze, co się stało, tylko pastor i starszy Samuka oderwali nagle ręce od twarzy, jakby ktoś ich uderzył po palcach. Zaś Lengyel, która nie śpiewała, ponieważ bolało ją gardło, i zamiast patrzeć do śpiewnika, rozglądała się nieznacznie, stwierdziła, że do określenia min obydwu duchownych nie wystarczyłby słownik normalnych ludzkich istot. Treść śpiewników zawsze była szczególna, ale na pensji Matuli specjalnie przyzwyczajono dziewczęta, żeby zanadto się nad nią nie zastanawiały, a więc jeśli nawet dziwiły je ten dysonans w śpiewie oraz to, że kantor gra co innego, niż jest na tablicy, i powstaje z tego swoista, ulatująca do nieba kakofonia, nie głowiły się nad tym, co śpiewają, nawet nie uniosły wzroku znad swoich śpiewników. Psalm ten był im zupełnie obcy, nigdy się go nie uczyły, w dodatku bały się gniewu profesora Hajdu,

który dopiero by się z nimi rozprawił, gdyby nie stanęły na wysokości zadania. Tak więc ów psalm we wzorowym wykonaniu, podany z doskonałą dykcją, zadziwiająco głośno rozbrzmiewał jeszcze wówczas, gdy w ławkach dostojników korpus oficerski z trzaskiem zamknął śpiewniki, a dyrektor, podobnie jak burmistrz, komendant miasta i nadzupan, zerwali się z miejsc. Starszy Samuka rzucił się do ławki prezbiterów i zaczął rozmawiać z trzema czerwonymi jak raki panami, diakonisy i wychowawcy, zrozpaczeni, cicho sykali, Hajdu zaś wprost nieprzytomnie wymachiwał rękami. Na próżno, sami wdrożyli w wychowanki żelazną dyscyplinę, zakazującą im rozglądać się w czasie śpiewu, dalej więc rozbrzmiewała druga zwrotka straszliwego psalmu, czysto i wyraźnie:

Przyniosą góry ludowi spokój, a pagórki sprawiedliwość. Będzie sądził ubogich z ludu, a wybawi synów ubogiego; ale gwałtownika pokruszy. Ostatnie trzy wiersze metulanki śpiewały już nieco ciszej, w końcu się zorientowały, że stało się coś niezrozumiałego i chyba należy przerwać śpiew. Obok nich w ławkach zajmowanych przez dorosłych nie tajono oburzenia, był to oczywisty skandal. Wreszcie organy przestały grać i dziewczęta również zamilkły. Ci z gości, którzy nie zerwali się z miejsc i nie skierowali do wyjścia z manifestacyjnie wrogim i wzburzonym wyrazem twarzy, siedzieli sztywno, jakby kij połknęli. Gina знаła się na stopniach wojskowych i od razu się zorientowała, kto jest

komendantem policji, ale nie wiedziała, że wśród tych wytwornie ubranych panów o gniewnych obliczach, którzy pierwsi opuścili zbor, jednym był burmistrz, a drugim nadżupan. Komendant policji posłał jedynie za nimi niższego rangą oficera, sam zaś został i coraz to unosząc wzrok, przepisywał do protokołu numery pieśni umieszczone na tablicy. Natomiast pastor stał już na ambonie, na którą tym razem nie wkroczył pełnym dostojeństwa krokiem, ze szlachetnym spokojem, lekko unosząc togę z mory, lecz wbiegł, niczym wystrzelony z procy. Zamiast powiedzieć jak należy: „Łaska boska i pokój z wami”, wyjąkał jedynie ochryłym ze zdenerwowania głosem, że na tablicy ktoś zmienił numery pieśni, w związku z tym prosi wiernych, aby pograżyli się w modlitwie, dopóki prezbiterzy nie uporządkują wykazów, które on sam przecież wczoraj kontrolował i które jeszcze w czasie sprząwania świątyni zawierały numery właściwych pieśni.

W świątyni panowała taka cisza, jaka zwykle bywa podczas odmawiania *Ojczy nasz*, cisza i jakieś szczególne napięcie. Gina ostrożnie otworzyła śpiewnik i w spisie treści zaznaczyła pieśni, które w kolejności miały nastąpić. Paznokciem robiła znak przy numerach pozostałych pieśni figurujących na tablicy: Psalm 52, 239 pieśń pochwalna, strofka 1-3, i hymn. Nie mogła ich jednak natychmiast wyszukać i dopiero później, po południu, kiedy miały wreszcie trochę wolnego czasu, przeczytały straszne słowa Psalmu 5 2: „Przecze się

chlubisz ze złości, o mocarzu!”, „Przetoż cię Bóg zniszczy. ”¹⁰ oraz pieśń 239, która miała ukoronować wszystko, gdyż była to pieśń śpiewana z okazji narodowych uroczystości żałobnych, niepasująca zupełnie do patriotycznych czy radosnych uroczystości, jaką był dzień imienin regenta.

Tablice wkrótce zostały uporządkowane, prezbiterzy drżącymi rękami poprawiali numery. No tak, oczywiście, że trzeba było zacząć 28 pieśnią pochwalną, czyli *Drogim adwentem*, najważniejszą pieśnią zaś śpiewaną na narodowej uroczystości była *Wieczny Boże, ojciec Twojego ludu, który strzeżesz naszej Ojczyzny*. Tylko że teraz mogły już śpiewać cokolwiek. Powoli wszyscy dostojni goście, śmietanka miasta, oficerowie opuścili kościół. Ci, którzy wyszli pierwsi, jak się później okazało, podążyli prosto do parafii i tam czekali na nieszczęsnego pastora, który zmienionym nie do poznania głosem wygłaszał kazanie, myląc konstrukcję zdań, i ku zdumieniu tych, którzy go jednak słuchali, łączył okres adwentu z radosnym stwierdzeniem, jakim mądrym człowiekiem jest regent kierujący naszym narodem i oby Bóg długo nam go zachował. Nauczyciele udawali, że nic się nie stało, tylko po Kalmárze widać było szczere oburzenie, a po Zuzannie – jak bardzo jest przerażona. König tym razem nie śpiewał, ponieważ rzeczywiście był przeziębiony, miał kaszel. Na twarzy dyrektora płonęły wielkie czerwone plamy. Starsze matulanki próbowały dojść, na czym polegał sens całego wydarzenia. Króla nie

ma, głową państwa jest regent, więc do niego zwraca się ów nieznajomy, co zmienił pieśni na tablicach. Wzywa do poszanowania prawa i mówi o błogosławieństwach pokoju, i to właśnie w dniu imienin głowy państwa, który to dzień, jeśli dobrze sobie tłumaczą słowa przekazane przez tajemniczego osobnika, nie jest świętem radości, lecz narodową żałobą. Co za skandal! Gina dopiero wówczas zrozumiała, co się właściwie stało, gdy doleciał ją szept Kalmára. Jego wzburzenie było tak silne, że zlekceważył obowiązującą dyscyplinę, zgodnie z którą podczas nabożeństwa nie ma miejsca na świeckie rozmowy. Nie mógł się jednak powstrzymać, by nie szepnąć do Zuzanny: „Znów ten łotr, i to akurat podczas uroczystego nabożeństwa!”. „A więc to ty byłeś? – zabiło serce Giny. – Więc znów dałeś o sobie znać? I to tutaj, w tak niebezpiecznych okolicznościach ryzykowałeś swoim życiem? Och, żebym cię mogła ujrzeć, ty cudowny bohaterze! Gdybyś tak mógł przemówić i powiedzieć, co teraz przygotowujecie i kiedy przyjedzie mój ojciec!” Gdy to nieszczęsne nabożeństwo wreszcie się skończyło, hymn odśpiewano już prawie w biegu, bo wszyscy chcieli jak najszybciej znaleźć się na zewnątrz. Pastor, schodząc z ambony, kurczowo trzymał się poręczy, jakby bał się upaść, i pospiesznie opuścił świątynię, zamiast pomodlić się jeszcze w ławce dla duchownych. Cała pensja Matuli natomiast nie udała się na przewidziany w takich okolicznościach spacer, tylko skierowała się do twierdzy, a wychowawcy nadali takie tempo, jakby nie wracali z

nabożeństwa, tylko stali się świadkami jakiegoś obrzydliwego widowiska.

Gina słyszała, jak idąca obok niej Mari Kis dusi się ze śmiechu i jak dziewczęta szepczą za jej plecami, dziwiąc się, co to za zgrywus ten człowiek, który zrobił taki kawał prezbiterom i miejskim dostojnikom. Ona jednak milczała, patrzyła przed siebie i nawet nie zerknęła na wystawę cukierni pana Hajdy, gdzie się czerwieniły czekoladowe Mikołaje i krasnoludki. Pragnienie, by choć raz mogła spojrzeć w oczy temu komuś, kto jest tak zdumiewająco odważny i kto tym skandalem zagrał wszystkim na nosie, mimo że z pewnością poluje się na niego w tym mieście, rozgrzało ją i wywołało na twarzy rumieńce, a przecież w kościele porządnie zmarzła. Że też to okno akurat wczoraj musiało się stłuc.

Okno.

Wczoraj się stłukła szyba i dopiero dzisiaj rano została wprawiona.

Teraz już wiedziała, nie przeczuwając, że do tego samego stwierdzenia doszli też oficerowie śledczy, którzy opanowali wszystkie pomieszczenia, mieszkania duchownych, kościoł, którzy zaglądali w każdy kąt, szperali w szafach, przesłuchiwali wszystkich. Kim był ten, kto zakradł się wczoraj w nocy do świątyni przez wybite okno na parterze? Musiał to być ktoś, kto zna panujące zwyczaje, kto wiedział, że prezbiterzy przy akompaniamencie uroczystej muzyki dopiero na początku nabożeństwa otwierają zamknięte tablice, i zmieniawszy

numery psalmów i pieśni, był pewny, że aż do otwarcia świątyni w dniu następnym nikt do nich nie zajrzy. Gina żadnej twarzy nie była tak ciekawa, jak tego nieokreślonego osobnika, który rzeczywiście istnieje, uśmiecha się lub smuci gdzieś w pobliżu, i nigdy do nikogo nie żywiła większego szacunku, poza ojcem oczywiście. Była to prawdziwa męka tak wracać do domu i słuchać, jak König wyciera nos, wyciągając z kieszeni coraz to nowe chusteczki, i zżyma się, że naprawdę nie rozumie, komu mogą przychodzić do głowy takie głupie kawały, i że o Mrázie i jego współpracownikach też ma wyrobione zdanie. Dlaczego natychmiast, jeszcze wczoraj, nie wstawili szyby w kościele? Że nie mogli tego zrobić z powodu ochrony przeciwlotniczej, bo potrzebne jest światło? Dobry szklarz z zamkniętymi oczami, po ciemku, potrafi wstawić szybę, jeśli nie może wyjąć okna z zawiasów i zanieść do warsztatu.

Dokumenty

Później, ilekroć myślała o wydarzeniach, które rozegrały się w grudniu i w pierwszych miesiącach roku czterdziestego czwartego, to jest do czasu, gdy twierdza była jej domem, zastanawiała się, czy miałyby to jakiś wpływ na przebieg wypadków, gdyby okazała się silniejsza, lepiej znosiła samotność i była bardziej zdyscyplinowana. Roniąc łzy rozpaczy, ciągle od nowa się oskarżała. Zresztą za każdym razem uspokajano ją, tłumacząc, że to, co nastąpiło, nie było zależne od niej, nie zależało też od wiernej przyjaźni Bánki, porażki na konkursie ze znajomości Biblii, burzliwych nastrojów podczas świąt Bożego Narodzenia czy od owej pamiętnej marcowej nocy. To nie ona zdradziła ojca słowami wyszeptanymi w tę zimną, przesyconą zapachem fiołków noc, zdradził go już dawno ktoś, kto od dwóch lat obserwował generała i jego rodzinę z polecenia kontrwywiadu. Kiedy sprawy wreszcie tak dojrzały, że nagonka objęła również jej osobę, było już zupełnie obojętne, skąd będzie telefon do generała w jego willi na stoku Góry Gellérta. Jego wrogowie od dawna wiedzieli, do czego się przygotowuje, i także nie wpłynął na bieg wydarzeń fakt, że ów wydział kontrwywiadu z pewnego listu już od świąt Bożego Narodzenia znał jej kryjówkę w

Árkodzie. Nagonka, w której centrum się wówczas przez kilka dni znalazła, nie z jej powodu została rozpętana. Jakież bowiem sens miało jej istnienie dla wojennych wydarzeń? Sam zaś generał był już wówczas więźniem i nawet nie na Węgrzech trzymano go pod strażą, lecz dziewiętnastego marca natychmiast został wywieziony przez Niemców. Gina tylko po to była potrzebna, aby konfrontując ją z ojcem, mogli zmusić generała, żeby powiedział, kim byli jego współtowarzysze (kontrwywiad jeszcze ich nie znał) w owym przedsięwzięciu, którego w końcu nie udało mu się zrealizować. Generał jednak zginął, nikogo nie zdradziwszy. Zginąłby zresztą i wówczas, tłumaczono jej, gdyby nawet musiał poświęcić swoje dziecko, nie tylko siebie, ale do tego na szczęście nie dopuścili członkowie ruchu oporu w Árkodzie. Ojciec, żegnając się z życiem, wiedział przynajmniej, że jego córka jest bezpieczna.

Wszystko to jednak dopiero miało się zdarzyć, było jeszcze bardzo odległe w nieskończonym czasie. Na razie nadeszła zima, puszysta zima ze straszliwymi wichurami i obfitymi opadami śniegu. Im bliżej było do świąt, tym trudniej Gina znosiła to, że nie ma żadnej wiadomości od ojca. W internacie dziewczęta szeptały już o tym, kiedy, jakim pociągiem pojedą do domu, przygotowywano również z zapalem prezenty gwiazdkowe dla rodziny, a siostra Zuzanna wypłaciła nawet wstrzymywane dotąd kieszonkowe, aby mogły kupić i takie upominki, których same nie są w stanie

zrobić. Wprawdzie ojciec wspomniał, że być może nawet w święta nie będą się mogli spotkać, Gina jednak była przekonana, że przyjedzie. Jeśli twierdza stanowi dobrą ochronę dla niej, to będzie nią także dla generała. Dyrektor z pewnością pozwoli, aby ojciec zamieszkał na pensji w pokoju gościnnym, w którym zwykli nocować odwiedzający szkołę duchowni albo inni oficjalni goście. W związku z tym i ona przystąpiła do szykowania gwiazdkowego upominku, który byłby jej własnym dziełem. Nie wybrała jednak żadnego z modnych u nich w szkole prezentów, jak haftowana okładka na książkę czy poduszka z ludowymi motywami. Miała zamiar zrobić zakładkę do Biblii i nie zwlekając, przystąpiła do pracy. Co prawda nie była zbyt pewna, czy generał będzie jej używał, ponieważ nieczęsto widywała w jego ręku Biblię, ale sądziła, że jeśli od niej otrzyma ten podarek, to przynajmniej używać go będzie do innych książek. Nie potrafiła tylko rozstrzygnąć, jaki tekst ma wyhaftować na zakładce. Zwróciła się więc o pomoc do siostry Zuzanny. Diakonisa, która od czasu wizyty biskupa rozmawiała z nią zawsze z pewną rezerwą, odpowiedziała, że i tak przed przerwą świąteczną odbędzie się konkurs ze znajomości Biblii, więc Gina, przygotowując się do niego, z pewnością natknie się na jakiś fragment, który wyrazi to, co chciałyby przekazać od siebie ojcu.

Gina słyszała o tych systematycznie co roku urządzanych konkursach i gdy tylko o nich pomyślała, zaraz traciła humor. Jej znajomość Pisma Świętego była

żadna w porównaniu z innymi matulankami Wprawdzie utkwilo jej juz w pamieci mnostwo powiedzen i cytatuw, ale nie potrafila jeszcze okreslic, skad pochodza, czyje to sa slowa, mylilo jej sie, co powiedzial Jezus, a co apostoł Paweł, co zaś ewangelisci. A przeciez kazda wolna chwile wykorzystywala na czytanie Biblii. Ktoregoś wieczoru znalazła w Księdze Psalmów slowa, które chciala wyhaftowac na zakladce ksiazki. Kiedy zglosila sie do siostry Zuzanny po koraliki i material na zakladke, diakonisa narysowala jej na tkaninie: „Psalm 140,8” i nie zagladajac do Biblii, powiedziala zaraz, jak brzmi osmy wiersz sto czterdziestego Psalmu: *O Panie, Panie mocy zbawienia mego, który przykrywasz glowe moja w dzien bitwy!*

Grudzien uplywal szybko i jednoczesnie powoli. Gdy pomyslala, jak dawno nie widziala ojca, zdawalo jej sie, ze to nie tygodnie uplynely od czasu ostatniego spotkania, lecz miesiace. Kiedy zaś uprzytomnila sobie, ile ma pracy, to dzien mial jak jedna chwila, ledwo cos zaczela robic, a tu juz byl wieczor. Przygotowania do konkursu tak bardzo absorbowaly dziewczeta, ze zdarzalo sie, iz prosily Zuzanne, aby pozwolono im nie isc tego dnia na spacer, ale diakonisa spogladala na nie, jakby mowily w jakimś obcym jezyku, i przynosila kapelusze i plaszczce. Nie zezwolono im rowniez, aby kladly sie spac pozniej, niz zezwala regulamin, albo zeby sie uczyly w czasie przeznaczonym na odpoczynek. Wszystko musialo byc tak jak zawsze i nikogo nie obchodzilo, ze oprócz

codziennych zajęć muszą jeszcze przygotować się do konkursu. Jedynym ustępstwem było to, że w czasie przeznaczonym na czytanie lektury mogły przeglądać Pismo Święte. Dyrektor, jeśli akurat wtedy zajrzał do świetlicy, z zadowoleniem kiwał głową, tak mniej więcej bowiem wyobrażał sobie spędzanie wolnego czasu przez swoje wychowanki. Na szczęście godziny, w których miał zajęcia König, również mogły spędzać na czytaniu Biblii, gdyż po owym pamiętnym nabożeństwie profesor przez cały tydzień leżał w łóżku przeziębiony, z wysoką gorączką. (O tym nabożeństwie długo jeszcze szeptano na pensji, ponieważ i u dyrektora byli funkcjonariusze policji. Tej sensacyjnej wieści woźny Suba nie był w stanie przemilczeć i wyjawił swojej ulubienicy Aradi z ósmej klasy. Powiedział, że sprawa jakoś przyschła, kantor też oczyszczony został z podejrzeń i wszyscy zgodzili się co do tego, że przed owym tajemniczym szpiegiem, czy lichem wie kim, nawet dom Boży nie jest w stanie obronić Árkodu, a przecież szukają go dniem i nocą). Königa zastępowały to siostra Zuzanna, to Elżbieta, oczywiście niefachowo, zamiast zajęć z języka węgierskiego czy łaciny pozwalały im studiować Biblię.

Z piątej klasy najlepiej Pismo Święte znała Bánki i wszystkie dziewczęta ją zameczyły, aby przepytowała je z tekstu. Początkowo Bánki chętnie wszystkim pomagała, później zaś któregoś wieczoru wściekła się, stała się nerwowa, opryskliwa, odpychająca. Jej zachowanie o tyle było jeszcze mniej zrozumiałe, że tego dnia odwiedziła ją

matka, a po odwiedzinach rodziców każda uczennica bywała radosna, szczęśliwa i szczególnie miła dla wszystkich. Tymczasem Bánki nie. Kiedy jedna z dziewcząt podeszła do niej z Biblią, krzyknęła, aby zostawiły ją w spokoju i wybiegła ze świetlicy. Gina akurat była w łazience, szorowała palce umazane atramentem, gdy wpadła tam Bánki i jak ktoś, kto nie potrafi już powstrzymać nagromadzonej goryczy, rozplakała się, zachłystując łzami. Gina rzuciła szczoteczkę i zaczęła pocieszać koleżankę, nalegając przy tym, aby powiedziała, co ją gnębi. Bánki jednak słowa nie rzekła, tylko łkała nadal, po czym i stamtąd wybiegła, jakby nie mogła znieść wypytywania. Przez jakiś czas chodziła tam i z powrotem po korytarzu, potem jakoś się uspokoiła i wróciła do świetlicy. Cziller zapytała, co jej matka przyniosła, Bánki zaś westchnęła, że nic. Cziller wzruszyła z pogardą ramionami, nie było jeszcze takich rodziców na świecie, którzy odwiedzając swoje dzieci na pensji, nie przynieśliby im czegoś z tego zewnętrznego, cudownego świata. Bánki oszalała, nigdy czegoś takiego nie robiła, schowała gdzieś te słodycze czy co? To godne potępienia. Oláh była druga w klasie, która najlepiej znała Biblię, teraz ją zaczęły zamykać. Dla Giny również zachowanie Bánki było niezrozumiałe. Dziewczyna siedziała wśród nich i to otwierała, to zamykała Biblię. Patrzyła na zegar i widać było, że ledwo może się doczekać, kiedy położą się spać. „Coś się z nią stało – myślała Gina. – Z nią albo z nimi. Mogło się przecież coś

zdarzyć, mimo że Cziller nie potrafi sobie tego wyobrazić. Przecież Bánki bardzo płakała w łazience, może jakieś nieszczęście spotkało ich rodzinę i dlatego matka zapomniała jej przynieść upragnione smakołyki”.

Ginę ciągnęło coś do Bánki, w ostatnim okresie szczególnie się zaprzyjaźniły. Bánki była nieco poważniejsza niż reszta piątoklasistek, odrobinę doroślejsza, często pogrążała się w marzeniach, zamyślała. Gina wyczuwała, że jakkolwiek nie dręczą jej problemy materialne jak większość dziewcząt czy brak bliskiej rodziny jak Tormę, to jednak i Bánki dźwiga jakiś smutny ciężar, tylko nie mówi o nim, tak jak i Gina milczy o tym, co jej powiedział ojciec. Kiedy w sypialni zapadła cisza, Gina długo nie zasypiała, nadstawiała uszu, czy nie usłyszy płaczu Bánki. Ale nie usłyszała. Może więc przetrwała w sobie to, co ją tak poprzednio wzburzyło. Już prawie miała zasnąć, gdy doleciał ją odgłos jakiegoś ruchu. W świetle małej lampki nad drzwiami widać było, jak Bánki wstaje, bierze z wieszaka szlafrok, wkłada kaptur i się wymyka. Gina również pochwyciła szlafrok i podążyła za przyjaciółką.

Bánki była w łazience. Gdzie zresztą mogłaby się podziać? Przysiadła na skrzyni na śmieci i kiedy Gina zajrzała, nagle poderwała głowę. Nie płakała, ale lepiej byłoby, gdyby to zrobiła. Miała taki pełny rozpaczy wyraz twarzy, jaki widuje się u dorosłych.

– Czy coś cię boli? – spytała Gina.

Bánki pokręciła głową.

– Stało się coś złego?

Przytaknięcie.

– Mama rzeczywiście nic ci nie przyniosła?

Teraz Bánki się uśmiechnęła. Jej uśmiech mówił:
Och, słodki Boże, gdzieżby teraz myślała o łakociach!

– Czy mogę ci pomóc?

Bánki znów pokręciła głową.

– Powiesz mi?

– Nie mogę – odparła Bánki cicho.

– Nie możesz czy nie wolno?

– Nie wolno.

– Czy to poważny kłopot?

Bánki skinęła, że tak.

– Kto mógłby ci pomóc?

Przyjaciółka gestem ręki dała do zrozumienia, że nikt.

– Nawet Abigél? – to pytanie Gina zadała tak naturalnie, że aż sama się zdziwiła. Jakby to była łatwo dostępna osoba, na której pomoc stale można liczyć.

Bánki się zamyśliła. W jej oczach malowało się wszystko, ale po raz pierwszy błysnęła odrobina nadziei, po chwili jednak znów pokręciła głową. Powiedziała, że do Abigél można tylko pisać, a ona tego, co ją gnębi, nie śmie napisać, nie może. Gina nie wiedziała, co jej powiedzieć, pogłaskała ją tylko po ramieniu. Bánki rzuciła jej się nagle na szyję, nie płakała, tylko przycisnęła twarz do twarzy Giny i szeptała, że jej dziękuje za to, że przyszła tu za nią, powtarzając przy

tym: „Niech cię Bóg błogosławi!” – jakby chciała się z nią pożegnać. Nim Gina zdążyła zapytać, czy przypadkiem nie po to przyjechała wczoraj jej matka, aby oznajmić, że ją stąd zabierze jeszcze przed świętami i Bánki już tu nie wróci, otworzyły się drzwi i na progu stanęła siostra Zuzanna.

Przebywanie nocą w łazience we dwójkę było najsurowiej zabronione. Przerazona Bánki wyprostowała się, Gina zaś pomyślała z goryczą, że przecież chciała tylko ją pocieszyć i znów napytała i jej, i sobie biedy. Zuzanna była łagodna, ale potrafiła też być straszna.

– Idźcie spać – rzekła cicho. – Anno, nie siedź w łazience i nie rozmyślaj, lecz połóż się i odpocznij, abys jutro była wypoczęta. Obserwowałam cię wieczorem, widziałam po twojej twarzy, że musiałaś otrzymać złą wiadomość. Załamanie i rozpacz to porażka wiary. Sądziłam, że z większym pożytkiem wertowałaś Biblię, którą tak dobrze znasz.

Bánki spuściła głowę. Dobrze jej teraz zrobiły te wyrzuty Zuzanny.

– Proroctwo Danielowe to dobra lektura – mówiła dalej diakonisa. – Wracaj do sypialni i nie zwieszaj nosa na kwintę. Vitay też niech idzie. Doprawdy nie wiem, czego i ona tu szuka w nocy. Może i ją coś dręczy?

Gina miała ochotę krzyknąć w twarz siostrze, że właśnie tak i co ona na to. Cóż ona sobie wyobraża, że jej świat jest taki sam jak ten prawdziwy na zewnątrz? Że poza pensją nic już nie istnieje? I ona ma kłopot, jakżeby

nie, i Bánki także. Byłoby bardzo dobrze, gdyby wszystko można było załatwić lekturą Proroctwa Danielowego. Teraz przyszło jej na myśl przezwisko, jakim uczennice z państwowego gimnazjum ochrzciły matulanki i po raz pierwszy w duchu sama nazwała Zuzannę świętoszką.

Diakonisa odprowadziła obydwie dziewczynki do drzwi sypialni i oznajmiła, że tym razem ona pełni nocny dyżur i często obchodzi korytarze. Gdyby więc znów nabrały chęci wstać i przesiadywać w łazience, zamknie je na drugi dzień za karę i wówczas będą mogły do woli spowiadać się sobie ze swoich zmartwień. Nie śmiały nawet pisać. W sypialni też nie rozmawiały, Bánki przewracała się na łóżku. Gina ze współczuciem słuchała tych cichych szmerów. Torma, gdy była smutna, zawsze jęczała, Cziller popłakiwała, Bánki zaś przewracała się z boku na bok, milcząc jak nieszczęśliwy dorosły człowiek, który nie chce martwić swoich dzieci własnym bólem.

Abigél. Czyniąca cuda Abigél!

Bánki ma taki kłopot, o którym nie może pisać. Ale Abigél zawsze wie o wszystkim, co tu się dzieje, więc może wie i o tym, co powiedziała Bánki jej matka. Trzeba by pomóc Annie, żeby nie była tak nieszczęśliwa. Żadnych przyborów szkolnych, kartek z zeszytów czy ołówka nie mogły trzymać w sypialni, więc tylko w myśli układała to, co jutro napisze do Abigél.

„Droga Abigél! Rodzina Bánki ma wielkie kłopoty, ale nie wiem jakie, Anna nie śmie o tym pisać ani mówić. Jeśli wiesz, co się stało i możesz to załatwić, pomóż jej,

ale szybko, ponieważ Bánki jest tak bardzo smutna. Vitay”.

Nazajutrz, jeszcze przed rozpoczęciem porannej modlitwy, zajrzała z ciekawości do Proroctwa Danielowego, ale niewiele jej to dało. Występował w nim jakiś król Joakim z wieloma młodzieńcami, których imiona trudno było wymówić. Kiedy poszły do świetlicy po swoje przybory, szybko napisała na kartce to, co chciała powiedzieć Abigél, jakby uzupełniała jeszcze coś z lekcji. I nim skierowały się do skrzydła szkolnego, wybiegła do ogrodu. Płaszczka nie wzięła, zresztą zaraz by zauważono, że się dokądś wybiera, wypadła więc tylko w fartuchu i modliła się, aby nikt nie zobaczył, że wrzuca kartkę do amfory Abigél. I oczywiście nie udało się, ale chociaż pod tym względem miała szczęście, że nie zobaczył jej nikt inny, tylko König. Zamykał właśnie kluczem drzwi od części zamieszkannej przez nauczycieli, kiedy Gina wracała od Abigél. Niechętnie stanęła na baczność i powiedziała „dzień dobry”. König popatrzył na nią, zauważył, że pantofle ma oblepione śniegiem.

– Ejże – odezwał się zakatarzonym głosem. – Co pani robi w ogrodzie o tej porze, kiedy wszystkie klasy zbierają się na korytarzu? I dlaczego bez płaszczka?

König tak dalece się nie liczył, że z całym spokojem można było wymyślić cokolwiek. Powiedziała więc, że właśnie wyjrzała, aby stwierdzić, jaka jest pogoda.

– O tej porze? – zdziwił się König. – Przecież i tak siedzicie cały czas w budynku aż do spaceru. Nie prościej

byłoby wyrzeć przez okno?

Na tym na szczęście się skończyło, König nawet nic nie powiedział, gdy Gina wytarła nogi na ich wycieracze. Zresztą dobrze się stało, że go spotkała, bo weszli razem i siostra Zuzanna, a nawet cała klasa, myślały, że może König ją do siebie wezwał na kilka minut, tylko one tego nie zauważyły czy nie usłyszały. Nic nikomu nie wyjaśniała, a tym bardziej Annie. Bánki tego dnia była spokojniejsza, ale bardziej milcząca niż kiedykolwiek. Gina obserwowała ją, a ponieważ teraz obydwie miały tajemnice, które odbiegały od przeciętnych szkolnych problemów, dziwiła się, że pozostałe dziewczęta przeszły do porządku dziennego nad dziwnym zachowaniem Bánki, że interesują je tylko błahe kłopoty i wcale się nie zastanawiają, co też mogło być powodem, że matka nie przyniosła Annie ciastek, a jeśli przyniosła, to dlaczego Bánki stała się naraz egoistką, łakomczuchem i sama wszystko zjadła. A przecież Bánki, mimo że nie płakała, to jednak zachowywała się dziwnie. Kiedy tylko mogła, stale gdzieś znikwała. Gina widziała ją na przerwie, jak szeptała z Krieger z ósmej klasy, i zauważyła, jak twarz tej ostatniej nagle się zmienia, na kolejnej przerwie rozmawiała z Zelemér z szóstej, której twarz także pociemniała. Zauważyła też, że po obiedzie Bánki zagadnęła Kun z trzeciej klasy, a przecież nie było u starszych w zwyczaju zadawać się ze smarkulami z niższych klas. Przy kolacji i w czasie modlitwy, gdy wszystkie klasy były razem, Gina obserwowała Bánki,

Krieger, Zelemér i Kun, które w niewytłumaczalny sposób nagle zaczęły być do siebie podobne, na twarzy każdej z nich pojawił się nowy, spotykany tylko na twarzach dorosłych cień.

Przerwa świąteczna zaczęła się dwudziestego drugiego, ostatnim dniem nauki zaś był dwudziesty. Gina podczas całego pobytu na pensji nie zebrała tylu słabych stopni co w tę sobotę. Zgodnie bowiem z tradycjami Matuli przepytywanie tego dnia było wyjątkowo surowe, gdyż mimo bliskości świątecznych wakacji dziewczęta musiały udowodnić, że dopóki są zajęcia, to one zajmują się wyłącznie pracą. Gina jednak o niczym innym nie potrafiła myśleć, jak o tym, że w sobotnie południe teoretycznie rozpocznie się przerwa, a ponieważ ojciec wie, kiedy w szkołach średnich kończy się nauka, to jeśli ma przyjechać, powinien zjawić się dziś lub jutro, najpóźniej pojutrze. Dziewczęta dopiero na ostatniej lekcji gimnastyki należycie wykonywały ćwiczenia, jakby całe nagromadzone napięcie chciały zlikwidować skokami czy ćwiczeniami na przyrządach. Gertruda Truth przypomniała im na wszelki wypadek, aby zabrały ze sobą i oddały do prania stroje gimnastyczne.

W szatni, w oddzielnych szafkach oznaczonych numerami, gdzie każda miała półeczkę i wieszak, trzymały swoje gimnastyczne wyposażenie: bluzkę, spodenki, pantofle i pończochy. Gimnastykowały się bowiem w pończochach, ponieważ na pensji uważano za rzecz niemoralną pokazywanie gołych nóg. (Było to jedno

z tych szkolnych wspomnień Giny, w które jej dzieci nigdy nie chciały uwierzyć). Co dwa tygodnie oddawały do prania stroje gimnastyczne, w części szafki przeznaczonej na obuwie trzymały worek, również oznaczony numerem, do którego wkładały brudne rzeczy. Kiedy Gina przebrała się i właśnie chciała wsadzić do worka kostium gimnastyczny, poczuła, że nie jest on pusty, coś w nim było, jakiś papier, i to nie jeden. Łamała sobie głowę, kto mógł ją obdarować w tak tajemniczy sposób. Zdarzyło się już bowiem, że nawzajem w swoich rzeczach chowały to i owo. Pewnego razu Oláh znalazła w bucie mysz-zabawkę i tak krzyknęła, że natychmiast za karę została zamknięta razem z ofiarodawczynią myszy, czyli z Gáti.

Gina pomyślała więc, że i jej splątano figla, ale postanowiła nie zdradzić się z tym tutaj, gdzie nawet do woli nie będą się mogły pośmiać. Później, w internacie, przed opróżnieniem worka do skrzyni na brudne rzeczy, zobaczy, co dostała, może to jakiś wierszyk satyryczny, żartobliwy rysunek, ewentualnie karykatury wychowawców.

Trzeba dobrze uważać, aby Gertruda Truth nic nie zauważyła. Obserwowała skrycie twarze koleżanek, kiedy się ustawiały w trójki, ale wszystkie były poważne. W tym ostatnim przedświątecznym tygodniu żadna nie chciała narazić się na uwagi ze strony nauczycieli.

Dziewczęta próbowały jakoś ukryć swoje podniecenie, choć z trudem im to przychodziło, gdyż

program coraz bardziej się zapełniał. Po południu miał się odbyć ów konkurs ze znajomości Biblii, następnego dnia uroczysta wieczerza Pańska, a po nabożeństwie te, po które przyjechali już rodzice, mogły wyjechać do domu i do siódmego stycznia rozkoszować się wakacjami.

Gina ostatnia podeszła do skrzyni, odczekała, aż zostanie sama, aby wrzucić do niej strój gimnastyczny. Opróżniając worek wyciągnęła wreszcie te papiery. Patrzyła na nie, obracała w rękę ze zdziwieniem, w pierwszej chwili nie zrozumiała, co to jest. Były to bowiem dokumenty, akty chrztu i metryki Bánki, Krieger, Zelemér i Kun, stare papierzyska, gdzieniegdzie naddarte, tu i ówdzie pokryte kleksami. Dołączona była do nich kartka, której proste litery dobrze już знаła.

Tej nocy, kiedy spadło akwarium dyrektora, ktoś przejrzał papiery uczennic i wyjął dokumenty tych, których pochodzenie w myśl pewnego niemoralnego zarządzenia może stanowić dla nich zagrożenie. Gdy kierownictwo się zorientuje, że w papierach uczennic są braki, poprosi o uzupełnienie dokumentów i wówczas te dokumenty należy dostarczyć w miejsce dawnych. Przekaż świadectwa zainteresowanym dziewczętom i powiedz Bánki, aby po świątecznych wakacjach wszystkie tutaj powróciły. Jest to bowiem jedyne miejsce, gdzie są bezpieczne, o wiele bardziej bezpieczne niż w domu rodzinnym. I powiedz jeszcze, że ci, którzy te nowe dokumenty dla nich zdobyli, zatroszczą się później i o rodziców. Bądź bardzo uważna, bo jeśli nie będziesz dość

zrećzna, sprowadzisz niebezpieczeństwo na Bánki, Krieger, Kun oraz Zelemér i nie wiadomo, czy jeszcze raz będę mogła pomóc. Abigél Gina zamarła w bezruchu. Teraz nie myślała już o swoich problemach i smutku ani o tym, jak się jej ułoży tutaj to Boże Narodzenie. Nagle pojawiły się w jej umyśle pojęcia, które gdzieś tkwiły w podświadomości, tylko że nigdy nie łamała sobie nad nimi głowy, ponieważ nie dotyczyły jej osobiście. Ależ naturalnie, to teraz ogromnie ważne, jakiego wyznania są rodzice, i nie jest wszystko jedno – jeśli rodzice są chrześcijanami – kiedy ten chrzest przyjęli, bo jeśli niedawno albo któreś z rodziców w ogóle go nie przyjęło, to jest to nawet niebezpieczne. Z pewnością tak, bo tak napisała Abigél. Zajrzała do dokumentów. Wszyscy, których tam wymieniono – rodzice i dziadkowie – byli wyznania ewangelicko-reformowanego.

Gina wpadła do sypialni, szukała Bánki, potem przypomniała sobie, że przecież ona ma teraz dyżur w jadalni, a zatem dopiero po obiedzie będą mogły porozmawiać bez przeszkód. Włożyła przesyłkę Abigél do zeszytu, który zawsze ze sobą zabierały na lekcje, żeby notować w nim to, co mają do zrobienia: zadanie domowe albo jakieś niespodziewane polecenie. Co prawda ten zeszyt po zakończeniu zajęć aż do rana następnego dnia powinien leżeć w świetlicy, ale Gina bała się włożyć gdzie indziej te dokumenty, bo jeśli Zuzannie przyjdzie do głowy skontrolować szafki czy łóżka, to wówczas wpadną jej w ręce. Także ukrycie ich w skrzyni z

kwiatami o tej porze dnia było niebezpieczne, w każdej chwili ktoś mógł wejść do łazienki. Wsunęła więc zeszyt pod bluzkę szkolnego mundurka i dobrze zapięła fartuch. Jej piersi wyglądały nieco nienaturalnie, ale fartuch był tak niewydarzony i obszerny, że niemożliwe było, żeby ktoś zauważył.

Nie miała pojęcia, co śpiewały i jaką modlitwę mówiły przed posiłkiem. Zresztą czuła już przesytną na myśl o tych pobożnych przeżyciach. Od kiedy zaczął się tydzień żalu za grzechy, stale musiały zaglądać do wnętrza swojej duszy i badać jej stan. Zamiast pograć się w bogobojnych myślach, odczuwała teraz tylko zniecierpliwienie i napięcie – niech wreszcie zaczną jeść i pójść sobie stąd. Tego dnia Bánki musiała jeszcze pomagać przy zmywaniu. Ubierały się już do wyjścia na spacer, kiedy wreszcie wyszła z kuchni. Gina poprosiła Mari Kis i Tormę, aby oddzieliły je od reszty, ponieważ musi o czymś pomówić z Bánki. Dziewczęta już wówczas się domyślały, że pewnie matka powiedziała Bánki o jakimś rodzinnym nieszczęściu, o czym Bánki nie chce mówić, bo to ją boli. Mari Kis była zawsze genialna w wykonywaniu tego rodzaju zadań, więc i teraz przed otwartą szafką Giny chwyciła Tormę za rękę i stanęły przy sobie, stykając się ramionami, jakby tworzyły jedno ciało, jakiś żywy parawan, oddzielający Ginę od reszty uczennic. Tymczasem Gina przywołała Bánki i omal nie weszła do szafki, rozpinając bluzkę i wyciągając zeszyt z dokumentami. Mówić nie mogła, bo Mari i Torma stały

zbyt blisko, więc tylko wcisnęła go Bánki w rękę, otwierając w miejscu, gdzie były papiery, aby Anna natychmiast zobaczyła, co dostała, i mogła przeczytać kartkę od Abigél.

Jak tyle innych epizodów z życia na pensji, na zawsze wyryła jej się wówczas w pamięci twarz Bánki, powoli pokrywająca się rumieńcem. I później często myślała o tym, jakich to niezapomnianych przeżyć i chwil dostarczyły jej owa zima, wiosna, życie w twierdzy i Abigél, która wciągnęła ją w kierowanie ludzkimi losami, i generał, który ukazał jej prawdziwy sens wydarzeń, na co ówczesna piętnastoletnia dziewczyna, nieznajdująca się bezpośrednio w niebezpieczeństwie, nie potrafiłaby sama wpaść. Bánki nie mogła odpowiedzieć, tylko skinęła głową na znak, że zrozumiała i wie, o co chodzi, po czym zaczęła drzeć na całym ciele, aż musiała się oprzeć o szafkę. Gina odczekała chwilę, żeby jej przyjaciółka się uspokoiła i mogła złożyć dokumenty, jakoś ukryć je pod bluzą, tak jak ona to przedtem zrobiła. Zjawiła się siostra Zuzanna i zapytała, kiedy wreszcie zechcą włożyć płaszcze, dzisiaj spacer odbędzie się wcześniej, ponieważ niedługo rozpocznie się konkurs. Mari Kis i Torma natychmiast odsunęły się od siebie, gdy tylko ukazała się diakonisa. Zuzanna pozostała z nimi aż do wyjścia. Dziewczęta nawet podczas spaceru musiały iść noga w nogę. Bánki szła w następnej trójce za Giną, mając po prawej stronie Szabó, a po lewej Murai. Podczas całego spaceru Gina słyszała mamrotanie Szabó, żeby Bánki

zmieniła nogę, bo stale myli krok i później dostanie im się za to. „Dzisiaj zrobiłam dobry uczynek – myślała Gina. – Właściwie nie ja, lecz Abigél, ale jest tu i trochę mojej zasługi. Kiedy pisałam kartkę, nie wiedziałam, że Abigél już była w biurze i przejrzała papiery, aby dowiedzieć się, komu trzeba pomóc. Może jak wrócimy ze spaceru, w nagrodę będzie już tu mój ojciec albo przynajmniej telefon od niego”.

Jednakże ani nie było wiadomości, ani nie wezwano jej do telefonu, ani też generał nie zjawił się osobiście. Po powrocie natychmiast musiały się przebrać w odświętne mundurki. Zuzanna denerwowała się, bo Bánki, ta zawsze spokojna Bánki, stale gdzieś się wałęsała, to zapędziła się do sypialni trzeciej klasy, to szeptała coś z Zelemér, to z Krieger przed szafką w korytarzu. Kiedy diakonisa zagroziła, że ją ukarze, Bánki takim szczęśliwym wzrokiem na nią popatrzyła, jakby dostała pochwałę. „Ewa Kun – myślała Gina – trzecioklasistka, nie ma jeszcze trzynastu lat, a musi nauczyć się milczeć, milczeć o tym, że znalazła się w niebezpieczeństwie i że ją uratowano. Ale co się stanie z tymi, których pochodzenie nie jest w porządku, a którym Abigél nie może pomóc? Na czym właściwie polega owo niebezpieczeństwo?” Nie miała pojęcia. Dowiedziała się kilka miesięcy później, gdy przed tymi, których dotyczyła ustawa antyżydowska, otworzyło się piekło. Abigél uratowała od śmierci Krieger, Zelemér, Kun, Bánki i ich rodziców.

Gdyby Gina nie wypadła tak marnie na owym

konkursie ze znajomości Biblii, to może Bánki nie żałowałyby jej tak bardzo, że zostanie sama w czasie świąt. Może nie starałaby się sprawić jej za wszelką cenę przyjemności czymś takim, o czym była przekonana, że może to być dla Giny najpiękniejszy podarunek. Gina po prostu nie była w stanie współzawodniczyć z tymi dziewczętami, które od początku chodziły na pensję Matuli, jej występ był więc słabszy, niż mogła sobie wyobrazić. Otrzymały pięćdziesiąt pytań, dyrektor czytał pięćdziesiąt cytatów z Biblii, a one w ciągu pół minuty musiały odgadnąć, kto wygłosił te słowa i w której księdze należy ich szukać. Pytania nie były łatwe, znalazły się nawet pytania z Apokalipsy i Proroctwa Jeremiaszowego. W pewnym momencie przerwano im, woźny Suba otworzył drzwi i zajrzał do sali. Rozgniewany Gedeon Torma skinął, aby im nie przeszkadzał, ale on mimo to wszedł i szeptał coś do ucha dyrektorowi. Ten przytaknął, powiedział, że rozumie, ale teraz nie ma czasu, niech Suba nie przeszkadza uczestniczkom konkursu.

Bánki odgadła wszystkie pięćdziesiąt cytatów i prawie wszystkie, bo czterdzieści osiem, odgadła Oláh. Aradi odgadła czterdzieści siedem, a czterdzieści pięć jedna z uczennic szóstej klasy. Dwie najniższe klasy jeszcze nie brały udziału w konkursie, ale trzecioklasistki tak. Jak wykazało podsumowujące zestawienie, nawet uczennice trzeciej klasy miały więcej rozwiązań od Giny, która znalazła się na szarym końcu ze swoimi

dwudziestoma sześcioma trafnymi odpowiedziami. Kiedy ogłoszono wyniki, Zuzanna spojrzała na nią z wyrzutem. Ginę zaś jeszcze bardziej dręczyła świadomość, że poza tymi dwudziestoma sześcioma dobrze odgadła chyba z dziesięć cytatów, których jednak nie śmiała wpisać, ponieważ nie była całkowicie pewna. Dotychczas nigdy nie była ostatnią uczennicą w szkole. Oczywiście nie robiono jej z tego powodu wyrzutów, Zuzanna nie powiedziała ani słowa, a nieznośny König nawet podszedł do niej, mamrocząc, że wszyscy przecież wiedzą, iż dotychczas chodziła do szkoły świeckiej, niech się więc nie martwi, w przyszłym roku na pewno znajdzie się wśród pierwszych. Tak ją jednak rozwścieczył tym swoim współczuciem, że rzuciłaby się na niego z pięściami. Jeśli już tak się stało, że zajęła ostatnie miejsce, to niech przynajmniej ten człowiek nie składa jej kondolencji. Kalmár nie pocieszał jej. Wprost przeciwnie, powiedział, żeby się zachowała po sportowemu, niech pójdzie teraz pogratulować Bánki, która właśnie otrzymuje wyznaczoną nagrodę, dzieło Ferdynanda Zieglera *Życie miłe Bogu* we wspaniałym ozdobnym wydaniu w języku niemieckim.

Z pewnością przez jakiś czas Bánki będzie się mogła bez niego obyć i chętnie pożyczycy Ginie. To była chwila, kiedy się o mało co nie uśmiechnęła, jakież kochany ten Kalmár. Jak zręcznie, subtelnie dał jej do zrozumienia, co za okropne książki otrzymuje się tutaj w nagrodę i że z powodu całego tego konkursu nie warto się smucić.

Podeszła więc do Bánki, która natychmiast rzuciła książkę na stół i gorąco Ginę ucałowała. Zuzanna bez słowa zdjęła jej rękę z szyi Giny, nie lubiła takich spontanicznych wybuchów.

– Na przyszły rok lepiej się postaramy, Vitay – powiedział dyrektor, podchodząc do niej. Gina nawet głowę spuściła, aby nie musiała na niego patrzeć. „Ty nie umiesz przegrywać – stwierdziła kiedyś Marchelle podczas jakiejś gry towarzyskiej – a przecież to należy do dobrego wychowania, by nie pozbawiać zwycięzcy radości widokiem swojej smętnej twarzy. Musisz się tego nauczyć”.

Do dziś się nie nauczyła. Niemiłe to było uczucie, że teraz trzeba będzie jeszcze wysłuchać łaskawych upomnień dyrektora. Złagodziła je tylko świadomość, że Gedeon Torma nie ma pojęcia o tym, o czym wiedzą ona, Bánki, Kun, Zelemér i Krieger, że owej nocy, gdy zniszczone zostało akwarium, jednak coś zginęło z jego biura. Jeśli kolejno przejrzy wszystkie teczki, to zauważy, że cztery uczennice muszą uzupełnić swoje dokumenty. Te, które później otrzyma, nie będą jednak identyczne z tymi, które zniknęły z szafy. Myśl jej się urwała, ponieważ dyrektor coś jeszcze mówił. Woźny odebrał dla niej wiadomość – usłyszała Gina – akurat trwał konkurs, kiedy zadzwonił telefon, nie można więc było jej poprosić. Dzwonił ojciec, życzył szczęśliwych świąt i prosił o przekazanie wiadomości, że Gina otrzyma na święta pieniądze. Kiedy bowiem ostatnio był u nich,

zostawił całą sumę u siostry Zuzanny, niestety, teraz nie może zabrać córki do domu na wakacje zimowe, ponieważ w ich willi eksplodował kocioł od centralnego ogrzewania.

W ich domu były kominki, a w mniejszych pokojach piece węglowe. Gina zrozumiała, co ojciec chciał jej przekazać i dopiero teraz uświadomiła sobie, że właściwie przez cały czas nie brała poważnie tego, co przy ostatnim widzeniu jej powiedział, a mianowicie, że chyba nie będą mogli razem spędzić świąt. Całkowita porażka w konkursie, smutne Boże Narodzenie na pustej pensji bez ojca i dziewcząt tak bardzo ją rozgoryczyły, że się rozplakała. Dyrektor kazał jej natychmiast wyjść z sali, mówiąc, że urządzenie historycznych scen nie uchodzi prawdziwej wyznawczyńi kościoła ewangelicko-reformowanego, a już tym bardziej w tygodniu żalu za grzechy. Za pięć minut niech się zgłosi u swojej diakonisy uspokojona, z suchymi oczami. Nie minęło jeszcze pięć minut, gdy Gina wróciła, opanowała się, nie chciała nikomu okazywać swego smutku i rozczarowania. Później, gdy nie będzie już świadków, wypłacze się razem z Tormą, tylko one dwie bowiem zostaną na pensji.

Po konkursie piąta klasa długo coś szeptała między sobą, po czym Mari Kis podeszła do Giny. Powiedziała, że skoro u niej w domu eksplodował kocioł i nie może pojechać do ojca, niech więc spędzi świąteczne wakacje u którejś z nich, serdecznie ją zapraszają. Nie ma wśród

dziewcząt takiej, której rodzice chętnie by jej nie przyjęli, zabrałyby i Tormę, ale nie zgodzi się na to dyrektor, który będąc jej jedynym krewnym, pragnie w tym czasie prowadzić życie rodzinne i cały czas spędza z Tormą, tak że nieszczęsna dziewczyna na początku stycznia jest zupełnie wyczerpana nerwowo. Niech więc Gina rozstrzygnie, u której chciałaby spędzić święta, zaraz poproszą siostrę Zuzannę, aby ją zwolniła i jutro po wieczery Pańskiej mogą razem pojechać.

Wzrok Giny wędrował po twarzach koleżanek, które uśmiechały się serdecznie. Murai z takim entuzjazmem ją zapraszała, że aż dawała jej znaki, aby koniecznie do nich jechała. Gina najchętniej pojechałaby do Bánki, ale wiedziała, że to niemożliwe. Obiecała, że nie opuści pensji bez ojca, najwyżej tylko z tym kimś, kogo ojciec po nią przyśle. Dziewczęta trochę się zachmurzyły, kiedy powiedziała im, że nie może z nikim pojechać. Oczywiście żadnych wyjaśnień nie mogła dać prócz tych, że jej ojciec tak sobie życzy. Było to tym bardziej nieprzyjemne, że natychmiast wyczuła, co myślą koleżanki. Pewnie sądziły, że dumny generał uważa ich domy za nieodpowiednie otoczenie dla swojej córki.

Żałowały jej jeszcze trochę, po czym własna radość okazała się silniejsza, zaczęły snuć plany, jak spędzą święta, i radziły nad niespodziankami. Tylko Torma i Bánki pozostały przy niej. Bánki, ponieważ łączyło je coś zupełnie innego, nowego, Torma zaś, która nie miała nic poza swym sieroctwem, w takim okresie najbardziej

dotkliwie odczuwanym, pragnęła podzielić z nią swą samotność. Gina starała się ukryć rozgoryczenie, ale i tak widać to było po niej i wszystkie koleżanki milkły w środku wypowiedzanego zdania, gdy tylko na nią spojrzały, aby jeszcze bardziej nie zasmucać jej swoją radością.

Następnego dnia w czasie wieczerzy Pańskiej matulanki nie bardzo myślały o pięknej obietnicy, jaką pastor składał w ich imieniu, pełne były zaciekawienia, czy ktoś z rodziny już przyjechał i znajduje się w rozmównicy. Gina przyjmowała komunię wraz z innymi, tak jak wymagał tego obrządek, ale nie czuła nic z podniosłości chwili poza ciężkim, bezradnym smutkiem.

Połowa dziewcząt jeszcze przed obiadem opuściła pensję, wśród nich dużo piątoklasistek. Za plecami Zuzanny wyjeżdżające ścisnęły i całowały Ginę i Tormę, obiecywały napisać oraz podawały swój adres z nadzieją, że może diakonisa się zlituje i pozwoli, aby wyjątkowo do nich wysłały listy. Również Bánki wyjechała przed obiadem. Wychodząc, wróciła jeszcze od drzwi, podbiegła do Giny i powiedziała, że stale będzie o niej myśleć, także w Wigilię, a później ofiaruje jej na gwiazdkę coś, z czego Gina bardzo się ucieszy, jest tego pewna. Gina słuchała w milczeniu, wymusiła na twarzy uśmiech i machała wyjeżdżającym przyjaciółkom. Druga połowa uczennic odjechała przed kolacją. Obydwie z Tormą krążyły po pustych, głuchych korytarzach niczym dwa duchy.

Boże Narodzenie

Były to szczególne dni.

Nie zawsze złe. Zdarzały się chwile, które przynosiły trochę emocji, a nawet radości, tak dalece inne stało się teraz życie w twierdzy. Część personelu zwolniono do domu na święta, wyjechała również większość nauczycieli i diakonis. Skrzydło szkolne i część pomieszczeń w internacie zamknięto. Ponieważ z wychowanek pozostały tylko Gina i Torma, przeniesiono je razem z rzeczami na czas przerwy do dwuosobowego pokoju w części szpitalnej, aby specjalnie dla nich nie opalać ogromnego skrzydła, w którym mieścił się internat. Stanowiło to też pewne urozmaicenie. Przede wszystkim pokój był bardziej oddalony od pokoju Zuzanny, mogły więc czasem ryzykować i później zasypiać, czytać w łóżku czy obserwować część zamieszkaną przez nauczycieli. Jakkolwiek Zuzanna co pewien czas zaglądała i tutaj, to jednak nie mogła ich tak łatwo zaskoczyć, ponieważ pokój szpitalny miał jeszcze oddzielny korytarzyk, od którego drzwi skrzypiały i z daleka już sygnalizowały, że ktoś się zbliża.

Poza siostrą Zuzanną zostali w szkole na okres ferii siostra Elżbieta, a także dyrektor, profesorka Gigus, Kalmár i König. Nawet kucharka otrzymała urlop,

wyjechała też lekarka, a opiekę nad ewentualnymi chorymi miał sprawować lekarz rejonowy. Zuzanna zapytała dziewczęta, czy zechciałyby pomagać w pracy personelowi. Wprawdzie była przerwa i aż do rozpoczęcia zajęć szkolnych nie miały obowiązku nic robić, to jednak – ponieważ dni były takie długie i wprost odczuwało się potrzebę działania – zarówno Gina, jak i Torma chętnie się na to zgodziły. I tak zresztą zostawało im jeszcze dość wolnego czasu.

Gotowaniem zajmowała się teraz siostra Elżbieta, czyniła to z zapałem i dobrze. Obydwie dziewczynki kuchcikowały przy niej, nakrywały do stołu, zbierały naczynia po posiłkach i zmywały, ale tylko w dni parzyste, w dni nieparzyste pomagały przy sprzątaniu, co było bardzo pasjonującym zajęciem, ponieważ nie tylko musiały sprzątać swój nowy pokój, ale i pokoje profesorskie. U diakonis nie miały prawie nic do roboty, gdyż nim wstały, zjadły śniadanie, Zuzanna już dawno wysprzątała pokój swój i siostry Elżbiety. Ale było jeszcze mieszkanie dyrektora i trójki profesorów. I chociaż główne sprzątanie, zmiatanie, wietrzenie, wykonywała jedna z trzech sprzątaczek, która została na pensji, to jednak do nich należało ścieranie kurzu. Nie było lepszej okazji, żeby w tych pokojach trochę pomyszkować. Profesorka Gigus miała wspaniałą starą porcelanę, a w ozdobnej kasetce modną biżuterię, różne broszki, bransoletki, kolczyki. Dziewczęta łamały sobie głowę, kiedy ona to wszystko nosi, dokąd w tym

wychodzi. W pokoju Kalmára znalazły interesujący album ze zdjęciami, były to naprawdę bardzo piękne fotografie, które przypomniały nagle Ginie lata spędzone z Marchelle za granicą, i Torma tylko słuchała z nabożnym zdumieniem, gdy Gina objaśniała jej, co które zdjęcie przedstawia. Kalmár oparty o rzeźbę lwa stoi w Londynie na Trafalgar Square, budynek, na który patrzy, mrużąc oczy, to paryska Sorbona, uniwersytet, a ta wybrukowana kamieniami droga, niech Torma się nie wygłupia i nie mówi, że ją zna, że to ruiny rozebranych koszar kawalerii za dworcem, które widziały podczas spaceru, bo to są przecież ruiny Pompejów. Chyba w Árkodzie nie dymi Wezuwiusz? Na zdjęciach Kalmára były również kobiety, nawet dość ładne, dziewczęta patrzyły jednak na nie ze wstrętem. Torma jednej z nich zrobiła kropkę na twarzy, żeby ją oszpecić.

König miał ogromną bibliotekę, widocznie dużo czytał i w różnych językach. Kalmár zaś zbierał książki o historii Węgier. Salon w mieszkaniu dyrektora także był czarny. Czarne rzeźbione głowy spoglądały na dziewczęta z szafy bibliotecznej, wśród owych ozdób znajdowały się też rzeźbione jabłka i gruszki. Dowiedziały się również, jak spędza swój wolny czas Gedeon Torma, gdyż ścierając kurz, znalazły na jego biurku wypracowania z języka węgierskiego wszystkich ośmiu klas. Torma przytaknęła, że owszem, wuj ma taki zwyczaj, tym zabawia się podczas ferii, że zielonym atramentem zaznacza błędy, które sprawdzający wypracowania

profesor zapomniał podkreślić, a na dole czarnym atramentem wypisuje swoją ocenę, pragnąc widocznie, aby nowy rok kalendarzowy człowiek zaczynał od ataku serca. W pokoju dyrektora zawsze panował ład, nawet wówczas, gdy sprzątaczką nie zasłala jeszcze łóżka, zupełnie jakby Gedeon Torma sypiał wyłącznie pod absolutnie gładką kołdrą i na równej, niewygniecionej poduszce. U Kalmára i profesorki Gigus był naturalny, miły nieład, u Königa ani jedno, ani drugie, coś nieokreślonego, jakby wcale nie używał swoich rzeczy. König chyba nic więcej nie robił, tylko wyglądał przez okno i słuchał muzyki, bo znalazły u niego gramofon wraz z mnóstwem płyt. Przy tym on był jedynym, którego szuflada zawsze była zamknięta na klucz, a przecież chętnie by do niej zajrzały, czy nie ma tam pamiętnika. Można było przypuszczać, że König pisze długie rozważania o pełni księżyca i jakości kolacji. Nauczyciele przeważnie znikali ze swoich pokoi, kiedy one przychodziły ścierać kurz, i zjawiali się dopiero na posiłki. Co w ciągu dnia robili, nie potrafiły odgadnąć, tylko włosy profesorki Gigus świadczyły któregoś dnia, że była przed południem u fryzjera. Najczęściej jeszcze spotykały się z Kalmárem, który zawsze kręcił się tam, gdzie była Zuzanna. Königa i dyrektora prawie nigdy nie widziały poza jadalnią i salą modlitw.

Ginie i tak się wydawało, że mają za mało zajęć. Teraz wprost szukała pracy. Skoro już jest tutaj uwięziona, to niech przynajmniej nie ma czasu na

zastanawianie się, jakie święta będą mieli inni. Zuzanna jednak starała się, aby więcej przebywały na powietrzu, więcej czytały, bawiły się, czuły, że to są wakacje, nawet częściej zabierała je w tych dniach na spacer, i to zupełnie nowymi trasami. Kieszonkowe, z którego dotychczas diakonisa wydzielala pieniądze wyłącznie na znaczki i ofiary kościelne, wypłaciła dziewczętom jeszcze przed ich wyjazdem, aby mogły zakupić prezenty. Ale Torma i Gina dopiero teraz otrzymały swoje pieniądze. Kieszonkowe dla Tormy dyrektor przekazywał co miesiąc z własnych poborów, deponując je u diakonisy. Gina niespodziewanie dostała jeszcze oddzielną kopertę, którą widocznie w czasie ostatniego pobytu na pensji ojciec przekazał Zuzannie zamiast prezentu dla córki, na wypadek gdyby nie mogli razem spędzić świąt. Diakonisa, wręczając pieniądze, zwróciła jej uwagę, aby rozumnie je wykorzystwała: pan generał zostawił wprawdzie dla niej dużą kwotę, ale bezmyślna rozrzutność tylko chwilowo może sprawić radość, potem następuje zwykle przykry post.

Któregoś przedpołudnia Zuzanna zabrała obie dziewczynki na zakupy i aby nie mącić ich radości i swoją obecnością lub krytycznym spojrzeniem nie wywierać wpływu na ich decyzje, nie weszła z nimi do środka dużego magazynu, tylko czekała na ulicy i przez okno wystawowe próbowała je obserwować. Czekala spokojnie w padającym śniegu i Gina poczuła, że znów bardziej ją lubi, prawie tak jak przed wizytą biskupa.

Torma wykonała w warsztacie szkolnym podstawkę do książek na biurko dla wuja. Główny prezent miała już więc gotowy, ale przypuszcza – wyjaśniła Ginie – że wszyscy, którzy na pensji razem będą spędzać Wigilię, nawzajem przygotowują dla siebie upominki, a zatem i ona musi kupić jakieś drobiazgi dla profesorów i obu diakonis. Kupiła kalendarzyki, małe, tanie kalendarzyki na 1944 rok, postanowiła oprawić je później w ładny błyszczący papier i nakleić monogramy z barwnego kartonu. Ginie radziła, aby kupiła igły, nici i guziki koszulowe, ponieważ wartościowszych prezentów nikt od wychowanek nie przyjmie. Starczy jeszcze czasu, aby dla mężczyzn zrobić pudełka na guziki, a dla kobiet poduszcзки do igieł, ale nie mogą one przypominać kształtem ludzkiej postaci, bo dyrektor by się wściekł. W jego oczach każda rzeźba lub lalka to nawrót do bałwochwalstwa, poduszcзка powinna mieć zwykły, niewymyślny kształt, może to być na przykład zmniejszona kopia prawdziwej poduszki na tapczan.

Gina z trudem dostała owe igły, nie było to jednak nic niezwykłego, ponieważ od kiedy trwała wojna, brakowało czasami w sklepach najzwyklejszych towarów codziennego użytku. Chciała właśnie poradzić się Tormy, czy ma też kupić igły do szycia worków – bo właśnie były – gdy obejrzawszy się, zauważyła, że przyjaciółka odeszła od niej i w dziale porcelany kupuje gipsowego pieska o smętnym pyszczku. „To dla mnie” – pomyślała Gina i serce jej ogarnęło uczucie ciepła, a brzydki piesek

z przewiązanym czerwoną chustką łebkiem, jakby go bolał ząb, wydał jej się tak piękny jak któryś z cennych przedmiotów w jej dawnym mieszkaniu. Torma miała bardzo małe kieszonkowe, właściwie same grosze, na gipsowego pieska wytrząsnęła ostatnie fillery z wytartej portmonetki.

Gina przemknęła się bokiem do działu z bielizną damską. To, co dotychczas kupiła, naruszyło niewielką część jej kieszonkowego, a przecież w kopercie od ojca było jeszcze sto pengó. Patrzyła, co by można dostać bez kartek, i znalazła wspaniałą nocną koszulę. Była to koszula z głęboko wyciętym dekoltem, niezwykle frywolna, pasująca do wesołej młodej kobiety, ale Gina kupiła ją, choć była dość droga. Biedna Torma nie ma żadnego świeckiego ubrania ani bielizny, wyrosła przecież w tej okropnej twierdzy. Gdzie schowa ten prezent, jak go będzie nosić – to inna sprawa, ale przynajmniej i ona będzie miała taką koszulkę nocną, w jakich widzi się czasami kobiety w czasopiśmie teatralnych. Torma oszaleje ze szczęścia.

Wracając do Zuzanny, starały się ukryć swoje paczki. Torma oświadczyła, że wydała wszystko do ostatniego grosza. Gina zwróciła pozostałe dziesiątki. Diakonisa spojrzała na nią z powagą, uważała, że Gina zbyt dużo wydała, więc dziewczynka szepnęła jej do ucha, że nie dla siebie kupowała – i nie dla wychowawców, podkreśliła, aby Zuzanna nie sądziła, że chce jej coś dać w prezencie, lecz domyśliła się, że chodzi o Tormę, która

poza wujem nie ma nikogo. „Nie pytaj tylko, co kupiłam – sugerowała w myślach – bądź raz ponad to wszystko i nie każ pokazać prezentu!” Zuzanna bez słowa ruszyła z powrotem na pensję i nie wypytywała ich, co kupiły. Gina odetchnęła. Był to jednak miły dzień. Zuzanna – co jej się rzadko zdarza – jest dziś całkiem ludzka. To wpływ świąt.

Dni mijały na gorączkowych przygotowaniach, aby oprawki kalendarzy, pudełka na guziki i poduszki do igieł były gotowe na czas. Zuzanna często wyganiała je z pracowni na dwór, bawiły się więc w śnieżki jak małe dzieci, czasami słuchały muzyki z płyt, drząc, by którejś nie uszkodzić, bo miałyby później do czynienia z profesorem Hajdu. Rankiem dwudziestego czwartego znów spadł ogromny śnieg, w korytarzu przy kuchni rozchodził się zapach goździków i wanilii, który natychmiast wycisnął z oczu Giny łzy. Był to zapach świąteczny, zapach Wigilii. Co się mogło stać w domu, gdzie jest ojciec, kiedy znów go zobaczy?

Wieczór wigilijny był właściwie wigilijnym popołudniem. Mieli nawet choinkę, ustawiono ją w jadalni; nie była wprawdzie zbyt strojna, niemniej jednak ładna i wzruszająca. Siostra Elżbieta zapaliła świece, Gina zapatrzyła się w małe płomyki i pomyślała, że nie będzie miała okazji wysłać ojcu tej haftowanej koralikami zakładki do książki. Zuzanna nie zabierała głosu w tej sprawie, sądziła pewnie, że Gina osobiście będzie chciała wręczyć prezent generałowi. Odśpiewali *W dniu narodzin Pana naszego Chrystusa*, później Zuzanna odczytała

rozdział z Ewangelii według świętego Łukasza o narodzeniu Chrystusa, odmówili modlitwy, po czym Kalmár zapalił światło, a siostra Elżbieta zgasiła świeczki. Byli tu wszyscy, którzy nie wyjechali na święta. Profesorowie ubrali się odświętnie. Profesorki Gigus nigdy jeszcze nie widziano w tej sukni, którą włożyła na tę okazję, była prześliczna, na rękawach i wokół szyi ozdobiona futerkim. Zuzanna długo i z powagą jej się przyglądała. W modlitwie brali również udział sprzątaczką i woźny, ale zaraz później poprosili o pozwolenie odejścia, gdyż święta obchodzili u siebie w domu i czekali na zaproszonych z miasta krewnych i ich dzieci.

Prezenty leżały pod choinką, na każdym był bilecik z nazwiskiem wypisanym drobnym pismem siostry Elżbiety. Gina po raz pierwszy ujrzała tu swoje imię wypisane zdrobniale: „Gina”, i już sam fakt tego niewielkiego odstępstwa od przyjętych na pensji zasad był dla niej upominkiem – przecież w normalnych warunkach nikogo tu nie wołają zdrobniałym imieniem. Do Tormy też tylko w święta Bożego Narodzenia zwracają się po imieniu, które jest wypisane na bileciku: „Piroska”. Rozglądała się za gipsowym pieskiem, ale nie znalazła go i wówczas się domyśliła, że Torma trzyma w tajemnicy swój prezent, podobnie jak Gina ukryła starannie nocną koszulkę. Jak się okazało, Torma także dla niej przygotowała kalendarzyk, Gina zaś w tajemnicy zrobiła dla Piroski poduszczkę na igły. Zuzanna, która

przygotowywała stół, nie odezwała się ani słowem i żadnej z nich nie pytała, na co wydały w sklepie pieniądze, dając tym samym do zrozumienia, że domyśla się, iż chcą sobie urządzić prywatną gwiazdkę.

Gina dostała nową Biblię, o wiele ładniejszą niż ta przywieziona z Pesztu, z dedykacją: „Georginie Vitay w Wigilię Bożego Narodzenia 1943 roku od dyrektora i wychowawców”. I każdy z obecnych tego wieczora wpisał swoje nazwisko. Jako pierwszy figurował Gedeon Torma, na samym końcu zaś Zuzanna. Gina ucieszyła się z prezentu, chociaż domyśliła się, że jest on jakby upomnieniem, by na przyszły rok nie wypadła tak słabo na konkursie. Torma również dostała w upominku książkę, pasjonującą lekturę – z pewnością wuj wybierał – pod tytułem *Historia instytucji diakonis*. W niej także były podpisy wszystkich obecnych. Profesorowie i Gedeon Torma z uznaniem przyjęli i podziękowali za pudełka na guziki, podstawkę na książki, pięknie oprawione kalendarze, a kobiety za poduszeczki do igieł. Wychowawcy i diakonisy obdarowali się nawzajem książkami, z których jedna nudniejsza była od drugiej i każda miała okropny tytuł.

Wieczera była prawdziwie świąteczna, siostra Elżbieta przeszła samą siebie, Torma podawała do stołu, Gina nakrywała i zbierała nakrycia. Dyrektor wkrótce usunął się do swojego mieszkania, zabierając Tormę, która szła za nim ze smutnym wzrokiem, wiedząc, że przez cały wieczór będzie musiała wysłuchiwać

opowieści o nigdy niewidzianych krewnych, dopóki wuj nie uczyni zadość swojej słabości. Reszta nauczycieli została. Kalmár usiadł przy Zuzannie, König próbował zabawiać profesorkę Gigus, ale nie bardzo mu się to udawało. Stale spoglądała na zegarek, w pewnym momencie zaś wstała i pożegnała się, mówiąc, że idzie do pokoju dyżurnego do telefonu, ponieważ czeka na rozmowę międzymiastową. Wszyscy popatrzyli na nią, gdyż na jej twarzy malowała się niepasująca do tej pensji radość. König zaproponował, aby w coś zagrać i przywołał do siebie Ginę, która samotna stała przy choince i już nawet Tormie zazdrościła, że przynajmniej z kimś rozmawia i nie sterczy tu taka opuszczona. Siostra Elżbieta pokręciła głową, gry nie pasują do nastroju Wigilii, w sylwestra to owszem, zresztą wtedy i tak będzie wielka zabawa, ponieważ za zgodą dyrektora będą się bawić u Mici Horn, z wyjątkiem dyżurnego. Tam jest zawsze tak przyjemnie i wesoło, mimo że muszą wrócić przed północą. Do Mici Horn pójdą bowiem ostatniego dnia starego roku, zaraz po nabożeństwie popołudniowym, i zostaną do dziesiątej wieczorem. Tyle czasu naprawdę wystarczy, aby się dobrze uśmieć i zabawić. Gina nawet myśleć nie chciała o Mici Horn, siostra Elżbieta nudziła ją, a na Königa też ledwo mogła patrzeć, Kalmár tłumaczył coś Zuzannie, nie było zupełnie sensu kręcić się tutaj, gdzie nikomu nie była potrzebna. Poprosiła o pozwolenie pójścia do pokoju, chciałyby trochę poczytać. Ku jej zdziwieniu Zuzanna

wstała, oznajmiła, że czuje się zmęczona i jeśli nawet nie położy się jeszcze spać, to chce trochę odpocząć. Jakoś nagle nastąpił koniec tego i tak zresztą mizernego świątecznego nastroju. Kiedy Zuzanna wstała, pozostali również zaczęli zbierać się do wyjścia. König wymamrotał, że ma jeszcze gdzieś pójść tego wieczoru, Kalmár stał się jakiś sztywny, podenerwowany, siostra Elżbieta skrycie ziewała. König ulotnił się pierwszy, Elżbieta udała się na portiernię. Powiedziała, że zajrzy do mieszkania woźnego, zobaczy, jak się tam bawią, a potem pójdzie do swojego pokoju. Gina szła za Kalmárem i Zuzanną i chociaż wychowawca starał się mówić jak najciszej, ale nie szeptem, który na pensji też był zabroniony, to jednak Gina usłyszała, że powiedział coś do Zuzanny, na co ona odpowiedziała: „Nie!”. Wówczas Kalmár pożegnał się z nimi i poszedł do świetlicy. „Samotnie spędzi ten wieczór – pomyślała Gina. – Pewnie będzie słuchać radia albo muzyki z płyt. Chciał chyba rozmawiać z Zuzanną, a może nawet pójść do niej, ale widać diakonisa nie była ciekawa tego, co jej powie, a mężczyzny w swoim pokoju i tak nie może przyjmować. Bardzo musi być ten Kalmár zakochany, na nic już nie zważa”.

Teraz szły tylko we dwie, obcasy ich odświętnych bucików stukały głośno na korytarzu, gdyż z okazji Wigilii Zuzanna także włożyła pantofle na skórzanej podeszwie. Kiedy Gina szła w stronę swojego pokoju, przypomniało jej się nagle peszteńskie mieszkanie. Gdy w

piecach wygasł ogień, wyraźnie się czuło, jak stygną mury. Jasno zdawała sobie teraz sprawę, że oto znajduje się w zupełnie obcym świecie, podporządkowuje się obcym prawom, że zakłócono rytm jej życia, które było prawdziwie jej, do którego nieodłącznie należała, że wszystko to jest daleko i właściwie tego wieczoru wcale nie znajduje się w lepszej sytuacji niż sierota Torma. Zwiesiła głowę i szła tak obok Zuzanny, aż w pewnym momencie podniosła wzrok, gdyż diakonisa cicho krzyknęła. Był to bardzo cichy okrzyk – ponieważ Zuzanna objawiała zawsze w jednakowo zdyscyplinowany sposób zarówno smutek, jak i radość – brzmiało w nim teraz zaskoczenie. Gdy Gina spojrzała, poznała powód. Na klamce drzwi do pokoju Zuzanny wisiała mała paczuszka. Dziewczynka często w swoim życiu otrzymywała biżuterię, to od ojca, to od ciotki Mimó, i po eleganckim opakowaniu domyśliła się kształtu etui.

– O Boże – szepnęła Zuzanna i zaraz się zaczerwieniła, gdyż zabro – nione było wymienianie imienia Boga nadaremno – tutaj ktoś był.

Marchelle byłaby tym razem zadowolona z Giny, ponieważ natychmiast pożegnała się z siostrą i poszła dalej korytarzem, zostawiając diakonisę samą z jej gwiazdkowym przeżyciem. Od kogo pochodził prezent i co mogło się w nim znajdować, było z pewnością większą zagadką dla Zuzanny niż dla Giny, która tyle razy widziała już w wyobraźni na pracowitej dłoni diakonisy

obrączkę zaręczynową od Kalmára, że kiedy weszła do swojego pokoju, mimo smutku i tęsknoty natychmiast zapisała na wyrwanej z zeszytu kartce: „Narzeczeni: Péter Kalmár i Zuzanna Molnár”. Jak dobrze byłoby, gdyby Torma już wróciła, gdyby mogły porozmawiać o tym, co się stało, zakraść się pod drzwi pokoju Zuzanny i nasłuchiwać. Gina nie mogła wprost sama wysiedzieć, wymknęła się więc i czatowała w pobliżu kraty oddzielającej mieszkania profesorskie. Czekwała z nadzieją, że może dyrektorowi już się znudziło życie rodzinne, ale Torma nie wychodziła, nie ruszała się również ze swojego pokoju Zuzanna, tylko od strony świetlicy dolatywał słaby dźwięk melodii *Cicha noc* nadawanej w radio. W tym momencie minęły nagle całe podniecenie i ciekawość Giny, przestali ją interesować Zuzanna i Kalmár. Jest przecież Wigilia i każdy żyje własnym życiem, smuci się i raduje, tylko ona j edna miota się tu samotnie, bez ojca, opuszczona. Gdyby przynajmniej mogła usłyszeć jego głos. Zrobiło jej się ogromnie smutno, tak smucić się potrafią tylko dorośli, bez jednej łzy, z uczuciem całkowitej beznadziei i bezradności.

Od strony pokoju dyżurnych dały się słyszeć kroki, Gina się poruszyła. Pewnie profesorka Gigus skończyła rozmowę telefoniczną, gdyż spieszyła z powrotem do swojego pokoju i teraz wyglądała tak, jak któraś z przyjaciółek cioci Mimó, ładna, smukła, ciemnowłosa młoda kobieta. I uśmiechała się tajemniczym uśmiechem

ludzi szczęśliwych. „Rozmawiała z mężczyzną – stwierdziła Gina. – Profesorka Gigus wyjdzie za mąż”. W części profesorskiej i w skrzydle zajmowanym przez diakonisy mogą mieszkać tylko nieżonaci mężczyźni i panny, profesorka Gigus wyprowadzi się więc na przyszły rok i będzie miała mieszkanie w mieście, a wszystko to stanie się dlatego, że dzisiaj wieczorem z kimś rozmawiała. Centrala telefoniczna nawet nie wie, ile radości może dać taka jedna rozmowa.

Myśl, która nagle przyszła jej do głowy, wstrząsnęła nią. Pokój dyżurnych, do którego podłączono miejską linię, był przecież pusty. Zuzanna ogląda z pewnością etui z biżuterią, siostra Elżbieta się położyła, König może już wyszedł, a Kalmár czeka w świetlicy, co powie diakonisa na jego prezent, dyrektor zajęty jest z Tormą życiem rodzinnym. Nikogo nie było w pobliżu i Gina zakradła się do pokoju.

Z przejęcia aż zdrętwiały jej palce, ledwo znalazła kontakt. Obok telefonu na oddzielnym małym kartonie naklejone były ważniejsze numery: pogotowie, policja, straż pożarna, międzymiastowa, telegramy. Zadzwoiła na główną pocztę i poprosiła o połączenie pensji Matuli z numerem budapeszteńskim 557-599. Usiadła obok aparatu i czekała. „Kochany ojciec – powtarzała w myślnym modlitwę – sam musisz odebrać ten telefon, bo w taki dzień u nas wszyscy mają wolny wieczór, więc ty musisz podejść do aparatu. Obiecuję, że nie będę nic paplać, że nic nie powiem. Nawet się nie odezwę. Nie

powiem swojego imienia ani tego, że to ja jestem. Tylko usłyszę, jak oddychasz, jak chrząkasz i mówisz: «Halo». Kiedy podniesiesz słuchawkę, ja natychmiast położę swoją. Wszystko będzie wyglądało na omyłkowe połączenie, przecież z tej strony nikt się nie odezwie. Jest Wigilia Bożego Narodzenia. Zrozumiesz to”.

Czekała. Mijały minuty, aż nagle usłyszała odgłos kroków na korytarzu, które zatrzymały się właśnie przed jej drzwiami. „Boże – pomyślała przerażona – z dwóch stron zbliżają się kroki i zatrzymują. Idźcie sobie stąd, nie rozmawiajcie tutaj”. Chyba nie będzie miała takiego pecha, że akurat ktoś zechce teraz telefonować?

Za drzwiami odezwała się jedna ze stojących osób, Gina słyszała wyraźnie każde wypowiedziane słowo.

– Czy to pan dał? – spytał głos Zuzanny.

– Co? – zainteresował się König.

Teraz odpowiedzi nie było. Gdyby nie czuła się tak zmęczona i całej jej świadomości nie zajmowało oczekiwanie na telefon, bardziej zainteresowałaby się tym, co mówiono za drzwiami. Wstyd jej było za siostrę, iż nie mogła się domyślić, że to nie König ofiarował jej ową paczuszkę. König, trzeba to przyznać, od czasu wycieczki i odwiedzin biskupa wyraźnie unikał diakonisy.

Cisza. Cóż oni tam robią? Zuzanna milczy. Chyba nie pokazuje tego etui Königowi?

Ależ tak. Pewnie to zrobiła, ponieważ König się roześmiał i powiedział:

– Obrączki? Ja? I właśnie siostrze Zuzannie?

Straszne było uczucie, że to, czego jest świadkiem, dzieje się akurat teraz, kiedy nie może całkowicie oddać się zachwytowi, iż oto wysłuchuje scen zupełnie nieprzeznaczonych dla uszu wychowanek pensji Matuli. Musi uważać na co innego, zamiast się tym wszystkim rozkoszować. Modli się, żeby już prędzej skończyli rozmowę i poszli sobie stąd.

Diakonisa milczała. Gina wyobraziła sobie, jak twarz jej nabiega krwią, jak się musi wstydzić. Ale zasłużyła na to. König, tchórzliwy i sentymentalny, potrafi też być chamski i odpychający. Jak widać, nie wystarczyła jej nauczka jesienią przy pociągu.

– Jediną kobietą, którą pojąłbym za żonę, jest Mici Horn – powiedział König – ale niestety, ona za mnie nie wyjdzie. Teraz też do niej idę na choinkę. Niech lepiej siostra pójdzie do świetlicy i pocieszy Pétera Kalmára. On zamówił te obrączki, widziałem, jak wchodził do sklepu jubilerskiego. Naprawdę powinna to siostra docenić, że udało mu się skądś zdobyć złoto na obrączki.

Słysząc jakiś szept, tak cichy, że Gina nie mogła zrozumieć i tylko ze słów Königa wywnioskowała, co to było.

– Gdzieżbym miał się gniewać. Nawet nie żałuję, że zaszło to nieporozumienie. Przynajmniej mogę powiedzieć siostrze, aby zostawiła mnie w spokoju, nie chodziła za mną i nie była dla mnie taka dobra. Nie zasługuję na to, nie ma więc najmniejszego sensu.

Na jego słowa nie było odpowiedzi, a właściwie była, ale nie słowna: Gina usłyszała oddalający się stukot pantofli Zuzanny. Mimo że serce jej było pełne własnych trosk i problemów, aż zbladła z wściekłości. Ten nędznik, to zero, ten gbur, jak on rozmawia z Zuzanną, że też jej przyszło do głowy, aby wybrać sobie właśnie Königa, co za wstyd! Aż cała sprężyła się w nasłuchiwanie, czy König odszedł spod drzwi. Niech już sobie stąd idzie, niech się wynosi do wybranki swojego serca, Mici Horn, i w ogóle niech się nie pokazuje więcej ludziom na oczy. König w końcu ruszył korytarzem, naprawdę było to zupełnie niezrozumiałe, na co dotąd czekał. Czyżby chciał zebrać myśli i siły, żeby móc pójść dalej? Ścisnęło jej się serce, bo nagle zadzwonił telefon.

Sygnał był głośniejszy, niż sobie wyobrażała. Przerazona pochwyciła słuchawkę. „Pensja Matuli? – pytał jakiś głos. – Czy to pensja? Łączę Budapeszt, proszę mówić!”

W słuchawce słychać było szum, jakieś trzaski. Kiedy do pokoju wszedł König, nie widziała, gdyż całą uwagę skoncentrowała na słuchawce. I dopiero wtedy go zauważyła, gdy wyrwał jej słuchawkę z ręki i nacisnął widełki. Wiele lat później, gdy kiedyś z nim o tym rozmawiała, powiedział, że może uwierzyć albo nie, ale krzyczała wówczas tak, jakby ją bito.

– Ejże – odezwał się König – co to ma znaczyć? Vitay, proszę iść natychmiast do swojego pokoju.

Jak szalona zaczęła się z nim szarpać. Gina była

silna, König zdziwił się, nie liczył na opór, na dodatek w lewej ręce trzymał bukiet. Gina w tej zupełnie nierealnej chwili zauważyła nawet, że z delikatnego opakowania wygląda biały bez. Wyrwała go Königowi z ręki i rzuciła na ziemię. Kiedy profesor schylił się, by go podnieść, złapała słuchawkę, ponieważ centrala nieprzerwanie dzwoniła, nie wiedząc, co się stało. Wówczas König odrzucił na bok kwiaty. Prawą ręką przytrzymał Ginę, a lewą chwycił słuchawkę. Jego głos był taki spokojny i naturalny, jakby akurat znajdował się na towarzyskim spotkaniu. Powiedział centrali, aby skreślono rozmowę, ponieważ nikt z pensji jej nie zamawiał. Gdy dzwonek telefonu w końcu umilkł, König puścił dziewczynę.

Nie spostrzegła też, kiedy, w którym momencie, zjawiała się na jej krzyk Zuzanna. Wyrosła nagle przy niej i wyprowadziła ją za rękę. Gina milczała, pozwoliła się prowadzić. Nienawiść, jaką czuła do Königa, była tak wielka, że wspierała się na niej niczym na lasce. König kroczył obok nich i wyjaśniał diakonisie, że biedaczka Vitay widocznie chciała dzwonić do Budapesztu, ale to przecież uczennicom jest zabronione, zakazuje tego regulamin. Zuzanna zaprowadziła Ginę do jej pokoju, usiadła obok i ujęła ją za rękę. Dziewczyna poczuła, że zaczyna się uspokajać, że zauważa nawet mimo wzburzenia, jak zimne są ręce Zuzanny.

Pierwsze słowa, jakie powiedziała, to nie było „przepraszam”, lecz:

– Nienawidzę profesora Königa.

– Chrześcijance obca jest nienawiść – odpowiedziała diakonisa i nagle puściła jej rękę. Zaczęła mówić niczym automat: – Opanuj się, tak nie można się zachowywać.

– Nie wytrzymam – rozplakała się Gina i nawet nie przyszło jej do głowy, że mądrzej uczyni, jeśli będzie milczeć – ja już nie wytrzymam w tej Matuli!

– A jednak musisz. I teraz będzie ci jeszcze trudniej doczekać się końca ferii, ponieważ ukarzę cię i za telefonowanie, i za twoje zachowanie wobec pana profesora. I nie spodziewaj się, Georgino, że będzie on mógł coś dla ciebie zrobić, na próżno ci przebaczy, tak jak to czynił już wielokrotnie. Przez całą przerwę nie wypuszczę cię z pensji i nie pójdziesz również na sylwestra do Mici Horn, sama pozostaniesz z osobą dyżurującą. Kiedyś musisz się wreszcie nauczyć poskramiać swoje nerwy.

– Z całego serca nienawidzę Mici Horn – łkała Gina – i nie obchodzi mnie, czy profesor mi przebaczy, czy nie. Niech nie przebacza, ja też mu nigdy nie przebaczę!

– Połóż się, Georgino. Przykro mi bardzo, że akurat coś takiego stało się w Wigilię i że muszę być taka surowa wobec ciebie w twoim własnym interesie. Żal mi ciebie i siebie również.

Wstała, szykując się do wyjścia. Myśl, że zostanie sama jak palec, była dla Giny tak samo nieznośna jak wymówki czy zapowiedziana kara. Nie ma Tormy, nie ma nikogo. Żeby choć telefonowanie się powiodło, przynajmniej nie na próżno by ją ukarano. Ale nigdy nic

jej się nie udaje. I to zawsze z powodu Königa. Gdyby Zuzanna naprawdę ją żałowała, nie zostawiałaby jej teraz samej. Ale gdzie tam, ona bierze stronę Königa, Zuzanna też jest fałszywa. Nienawiść, jaką Gina czuła do Königa, rozchodziła się w niej jak trucizna. Sama już nie wiedziała, co mówi.

– Dlaczego siostrze sprawia przykrość, że nienawidzę Mici Horn czy profesora Königa? Siostra by miała więcej ku temu powodów, więc dlaczego ich broni? Pan profesor kocha Mici Horn, a nie siostrę. Niósł jej bez, ale go zdeptałam.

Zuzanna stała w drzwiach i patrzyła na nią. Twarz diakonisy była tak nieruchoma, jakby Gina mówiła do głuchej. Ale ona słyszała, skinęła głową, po czym powiedziała cicho:

– Wybaczam ci, Georgino, ze szczerego serca. Ale to, co nastąpi, musisz znieść dzielnie, tak jak miałaś odwagę obrażać dorosłych, o których życiu nic nie wiesz...

Kiedy wróciła Torma, zastała Ginę w ciemnościach. Torma, która przez cały wieczór ogromnie uważała, aby na pytania wuja dawać takie odpowiedzi, którymi by go nie rozgniewała, była zupełnie wyczerpana. Zdziwiła się, że w pokoju jest ciemno. Zapaliła światło i kiedy zobaczyła, że Gina nie śpi, postawiła jej na nocnej szafce gipsowego pieska. Gina była już wówczas spokojna, wyplakała się i mogła z Tormą rozmawiać. Powiedziała, aby przyjaciółka zajrzała pod kołdrę, bo chyba Jezusek

coś jej tam przyniósł. Torma ściągnęła kołdrę i kiedy ujrzała frywolną nocną koszulkę, uklękła przed łóżkiem i swą miłą buzię przytknęła do jedwabiu. Nie mogła wymówić słowa, tylko głęboko oddychała i głaskała śliczny prezent. Gina obserwowała ją tak, jak poprzednio Zuzanna przyglądała się jej, czyli jak przepełniona smutkiem osoba dorosła patrzy na małe dziecko. W tej chwili nie mogła sobie darować nie tylko tego, że upokorzyła Zuzannę, przyznając się do podsłuchania jej rozmowy z Königiem, ale przede wszystkim tego, że złamała dane ojcu słowo, próbując szukać z nim kontaktu, że uległa niebezpiecznemu nastrojowi świąt. Dokonała rozrachunku z wydarzeń w przerwie świątecznej, rozliczyła się ze wszystkim, tylko jednego była pewna, że nigdy w życiu nie przeprosi Königa. Torma z przerażeniem wysłuchiwała, w co się znów wplątała Gina i tylko głową kręciła nad bezprzykładną bezczelnością Königa. Potem przymierzyła nocną koszulę – była na nią dobra, tylko trochę za długa – i spacerowała w niej niczym w sukni balowej. Jeśli w ten wigilijny wieczór było coś, czego się Gina mogła uchwycić, to właśnie ta promieniejąca szczęściem Torma. Na razie koszula miała kryjówkę. Torma zostawiła ją na sobie, przewiązała w pasie sznurowadłem i nałożyła na wierzch zwykłą, przydziałową. Później postanowiła schować ją w magazynku przyborów rysunkowych, teraz przynajmniej i ona będzie miała coś do ukrycia. Gina trzyma swoje skarby w skrzyni z pelargoniami? Nigdy by jej to nie

przyszło do głowy, łazienka to niebezpieczne miejsce, ale oczywiście Gina nie mogła wówczas znaleźć nic odpowiedniejszego. W jednej z brył geometrycznych wykonanych z drewnianych płytek można odkręcić bok, Mici Horn też tam trzymała jedwabny szalik, prezent od narzeczonego. Lekkie przedmioty spokojnie można ukryć w owych bryłach, a ta koszulka nocna jest tak lekka, delikatna, że całkiem dobrze się pomieści we wnętrzu rombu. Gina aż zazdrościła Tormie, że taka jest szczęśliwa, ona sama nie czuła nic oprócz ciężkiego, bezradnego smutku.

Następnego dnia Zuzanna zabroniła jej sprzątać i pomagać w kuchni. Gina miała teraz tyle czasu, że czuła się wprost niewolnicą bezczynności. Cały dzień, jeśli chciała, mogła czytać, grać na fortepianie, ale nie wolno jej było uczestniczyć w życiu pensji, we wspólnych troskach i radościach. Na spacer mogła wychodzić jedynie do ogrodu. Siostra Elżbieta dwukrotnie zabrała Tormę do teatru, a raz na koncert, Gina pozostała w twierdzy, a przecież Torma dowiedziała się od siostry Elżbiety, że König osobiście prosił Zuzannę, aby zapomniała o tym nieszczęsnym epizodzie i naruszeniu regulaminu przez małą Vitay. „O niczym więcej z pewnością nie wspomniał siostrze Elżbiecie – z goryczą myślała Gina – tylko o tym, że chciałam telefonować. Nawet się na mnie nie gniewa i choć go nie przeprosiłam, grzecznie odkłania się przy spotkaniu. I takiego człowieka kocha Zuzanna, a nie Kalmára”.

Zresztą Kalmár również nie dawał poznać po sobie, że chociaż słowo zamienił z Zuzanną. Ani na jego ręce, ani na ręce diakonisy nie było obrączki, co wystarczająco tłumaczyło ich wzajemny stosunek. Widać w końcu zrozumiał, że nie ma szans u Zuzanny, trwało to jednak dość długo. Gina była cicha i spokojna, nie skarżyła się już Tormie, nie zbliżała się do telefonu, nie pytała o nic, na nic nie narzekała. Sylwester spędziły obydwie z Zuzanną, ponieważ tym razem siostra Elżbieta towarzyszyła Tormie wraz z innymi zaproszonymi. Zuzanna cały czas czytała i nie odzywała się do Giny.

Torma wróciła do domu w ekstazie, przyniosła jej paczkę od Mici Horn. Opowiadała, że nawet Gedeon Torma brał udział w grach towarzyskich, było wspaniale! Gina zwróciła Tormie ciastka, mówiąc, że nic nie może przyjąć od Mici Horn, tak jej nie cierpi. Torma usiadła obok przyjaciółki zasepiona, w żaden sposób nie potrafiła Giny rozweselić, a przecież robiła wszystko, aby chociaż gdy są we dwie, trochę się rozchmurzyła. Próżne jednak były jej wysiłki. Gina wprawdzie przyjmowała jej starania serdecznie, ale z jakimś pełnym rezygnacji spokojem osób dorosłych, czasami nawet się śmiała, gdy Torma przebierała się w nową koszulę nocną i wykonywała przed nią taniec bajadery, ale tak na nią patrzyła, jak starsza siostra zwykła patrzeć na młodszą.

Dziewczęta, powróciwszy po przerwie na pensję, stwierdziły, że Gina ogromnie spoważniała i nie jest już taka fajna jak przedtem. Bánki przyjechała ostatnim

pociągiem popołudniowym w przeddzień rozpoczęcia zajęć. Tego dnia był duży mróz, zarumieniona, uradowana, rzuciła się Ginie na szyję i zapytała, czy otrzymała od niej prezent. Gina powiedziała, że nie wie, o czym Anna mówi. Zaskoczony wyraz twarzy przyjaciółki świadczył, że musiała rzeczywiście przygotować dla niej jakąś niespodziankę i sama jest najbardziej zdziwiona, że jeszcze, jak widać, nie dotarła do Giny. „Pewno zaginęła na poczcie albo Zuzanna ją zatrzymała” – pomyślała Gina. Nie udało się. Dlaczego się nie udało? Ostatnio nic jej się nie udaje.

Mijały dni i Gina nie miała żadnych wiadomości o generale. Na lekcjach Königa rzadko odpowiadała, jakby profesor bał się, że między nim a Giną dojdzie do jakichś scysji, a przecież dziewczyna postanowiła, że będzie bardzo na siebie uważać i nie da poznać po sobie, co czuje do Königa. Twarz jej zmizerniała, malował się na niej wyraz napięcia, jakby stale nasłuchiwała, czy nie doleci z oddali jakiś dźwięk, ale sobotnie telefony nie powtórzyły się, nie miała od ojca żadnej wiadomości. Zuzanna kazała jej zrobić prześwietlenie, lekarka też kilkakrotnie ją badała, nie wykryła jednak żadnej choroby, tylko stwierdziła, że Gina schudła. Zapisła jej żelazo, kazała dużo spacerować, zażywać więcej ruchu. Koleżanki z klasy rozmawiały na jej temat, zastanawiały się, jak by jej pomóc, żeby odzyskała humor. Torma ku zdziwieniu dziewcząt robiła tajemnicze uwagi na temat obrzydliwych, niewiernych mężczyzn. Mici Horn często

zaglądała na pensję, któregoś dnia w lutym nawet została na obiedzie, siedziała wśród profesorskiego grona, a podająca do dyrektorskiego stołu dyżurna słyszała, że znów coś mówiła o tym tajemniczym człowieku z ruchu oporu. Przynajmniej on mógłby dać jakiś znak, jeśli już ojciec się nie odzywa. Nic się jednak nie zdarzyło, tylko Abigél czasami się odzywała, ale do innych, dziewczęta po cichu wymieniały ich nazwiska. Zawsze do innych. Pod koniec lutego Gina była kompletnie załamana, czuła, że chyba nigdy więcej nie ujrzy ojca. Wiele pomagał jej Kalmár, poważny, zamknięty w sobie Kalmár.

Jak widać, po męsku postanowił zamknąć sprawę Zuzanny, ale Gina nadal pozostała bliższa jego sercu od innych z powodu jej często powtarzających się konfliktów z Königiem. Jego antypatia do kolegi nie zmniejszyła się, a przecież naprawdę nie musiał się obawiać, że pewnego razu König pojawi się jako zwycięski narzeczony. Poza nieuniknionymi służbowymi spotkaniami diakonisa i König w ogóle nie stykali się ze sobą. Kalmár stale obarczał Ginę jakimiś dodatkowymi obowiązkami, które nieraz wchodziły nawet w zakres obowiązków profesorskich. Dziewczyna była mu wdzięczna i zamiast przy Zuzannie, która odnosiła się do niej z chłodną rezerwą, całkowicie stanęła po stronie Kalmára – tak wielką odczuwała potrzebę, by kogoś lubić, by mieć kogoś przyjaznego wśród dorosłych.

W tym roku wiosna zawitała wcześniej, szybciej wydano im wiosenne płaszcze, piętnastego marca złożyły

wieńce pod pomnikiem Petőfiiego i na grobach żołnierzy. Na cmentarzu wojskowym kwitły już fiołki. Mari Kis szepnęła, że cmentarz otoczony jest policją, niech Gina tylko zauważy, o, ci, co tam stoją, mimo że są przebrani za cywilów, widać po nich, że to policjanci, tak dziwnie wyglądają. Aradi z ósmej klasy wyciągnęła z woźnego Suby wiadomość, że najnowszą rozrywką owego nieznajomego bojownika ruchu oporu jest nakładanie na pomniki „kołnierzy”. Wczoraj również na karku lwa przy pomniku poległych bohaterów wisiał w kształcie papierowego „kołnierza” komunikat o strasznej treści. Gina patrzyła na groby żołnierzy, myślała o ojcu i już nie płakała.

Dziewiętnastego marca była niedziela, taka sama jak zawsze. Dwudziestego rano natomiast coś się wydarzyło. Podczas dużej przerwy dyrektor wezwał do siebie całe grono pedagogiczne, a kiedy na czwartą lekcję Kalmár wszedł do klasy, po wyrazie jego twarzy domyśliły się, że ma jakąś ważną wiadomość do zakomunikowania. Od czasu gdy dostał kosza od Zuzanny, nigdy nie był tak radosny.

– Od tej pory nasi niemieccy sojusznicy będą stacjonować na Węgrzech – oznajmił z entuzjazmem. – Dzięki temu lepiej potrafimy się później obronić. Jest to wielce uspokajające. Wkroczyliśmy w nowy etap wojny!

„Jeśli tak jest – myślała Gina – to musiała nastąpić jakaś istotna zmiana. Niemcy nie mogli tu wkroczyć bez przyczyny”. Czowała, że właśnie teraz powinna otrzymać

jakaś wieść o ojcu. Coś musi się teraz zacząć albo już się zaczęło, miała nadzieję, pierwszy raz od wielu miesięcy, że nastąpi koniec bezruchu i milczenia.

Nie omyliła się. Dwudziestego szóstego marca, w tydzień po zajęciu przez Niemców Węgier, podczas niedzielnego nabożeństwa pastor mówił o wiele piękniej i z większym zapałem niż zwykle, Gina jednak słuchała go jednym uchem, splatając i rozplatając palce, aż w pewnym momencie poczuła, że ją ktoś obserwuje. Było to dość niezrozumiałe, bo jeśli nawet tak jest, to przecież w tym okropnym pensjonarskim przebraniu nie jest chyba tak zachwycająco piękna, żeby jakiś nieznajomy nie mógł oderwać od niej wzroku. Miała uczucie, że ktoś przygląda jej się z góry, z chóru naprzeciwko. Podniosła wzrok i zadrżała. Obok tablicy numerów pieśni stał i spoglądał na nią porucznik Feri Kuncz.

Nocne spotkanie

Twarz, której rysy tylekroć odtwarzała w pamięci, ujrzała teraz w rzeczywistości. Wydawało jej się, że jeśli któraś z piątoklasistek zerknie do góry, natychmiast go pozna, przecież powiedziała o nim wszystko, opisała kolor jego włosów, wykrój oczu, figurę. Nie było w klasie takiej, która by nie wiedziała, że porucznik Ferenc Kuncz ma dwadzieścia cztery lata, jest brunetem o piwnych oczach, mieszka w Budapeszcie blisko domu cioci Mimó, przy ulicy Zapor 44.

Dobrze byłoby teraz krzyknąć, wbiec na chór, przytulić się do piersi Feriego, skoro nie może rzucić się w ramiona ojca. „Uważaj! – zabiło ostrzegawczo jej serce. – Nie ryzykuj! Pensja Matuli nawet wtedy ma cię na oku, gdy tego nie widać”. Zdawała sobie sprawę, że nawet drgnięciem rzęs nie może dać odczuć, że go poznała, musi Feriemu pozostawić zorganizowanie ich spotkania, bo co do tego, że porucznik z jej powodu znalazł się w białej świątyni, nie miała żadnej wątpliwości. A nad tym, czy został tutaj przeniesiony służbowo, czy przyjechał tylko, żeby z nią porozmawiać, nie warto było się zastanawiać. Skoro Feri przyszedł do kościoła, to musi wiedzieć o tym, że ona jest na pensji Matuli, a tego od nikogo innego jak od ojca nie mógł się

dowiedzieć. „Przyniósł wiadomość” – myślała Gina. Łańcuch, którego ogniwa po ostatniej wizycie generała się zerwały, teraz znów się scalił, życie nabrało barw i niosło nadzieję.

Automatycznie wykonywała wszystkie ruchy, które po wielomiesięcznej tresurze weszły jej już w krew, wstawiała, siadała, jak tego wymagał porządek nabożeństwa, śpiewała i nawet zaznaczyła tekst, ponieważ tak sobie życzyli siostra Zuzanna i pastor, tylko że ani jednego słowa nie słyszała z tego, co pastor mówi, i nie rozumiała nawet *Ojciec nasz*, mimo że razem z innymi powtarzała. Patrzyła na porucznika Kuncza, a on na nią, nie byli zresztą tak bardzo oddaleni.

Po raz pierwszy widziała go w cywilu. Zastanawiała się, dlaczego nie włożył munduru, ale zaraz wytłumaczyła to sobie tym, że nie chciał widocznie swoim wyglądem i obcą twarzą budzić zainteresowania mieszkańców Árkodu. Gina знаła bowiem z widzenia wszystkich tych, którzy brali udział w nabożeństwach szkolnych. Ktoś, kogo jeszcze nigdy nie widziała, natychmiast zwróciłby na siebie jej uwagę. Wyraz twarzy Feriego również nic nie zdradzał. Feri nie dawał żadnych znaków, że ją dostrzegł, i nie starał się przemawiać do niej spojrzeniem, ale obserwował Ginę i dziewczyna, westchnąwszy głęboko, oparła się o ławkę, jakby się przebudziła z ciężkiego snu.

Nie śmiała stale patrzeć na Feriego, więc co pewien czas spuszczała wzrok z tą błogą świadomością, że za

parę minut znów na niego spojrzy. Biedny pastor, jaki ma zachrypnięty głos, musi go męczyć mówienie. Ale co pastor mówi, o tym Gina nie ma pojęcia. Słyszy co prawda słowa, ale nie dociera do niej ich sens, jedyne, co wie, to to, że głos pastora jest jakiś przygaszony. O, tam siedzi dyrektor, jaką ma wielką okrągłą głowę, dlaczego Piroska tak bardzo się boi tego niskiego człowieka w czerni? A ci tutaj – to wychowawcy, właściwie postacie bez znaczenia. Jak ta Zuzanna śpiewa. Biedna, naiwna Zuzanna. Upokorzona Zuzanna, która ma tak zły gust, że uganiała się za Königiem, dopóki nie dał jej do zrozumienia, żeby się kim innym zainteresowała. Przy Ferim nawet Péter Kalmár wydawał jej się teraz niezbyt godnym uwagi młodym mężczyzną, ubranym z prowincjonalną elegancją. Oto Hajdu o głębokim głosie, zawsze pełny ironii Éles, Kerekes od matematyki.

I ona się ich bała? To ich tak na początku nienawidziła? Dobrze przyjrzała się znów Königowi, który aż zmarszczył czoło, tak wsłuchiwał się w kazanie. Ty stary tchórze, ty gburze, który wydzierasz dziewczynie z ręki słuchawkę, wzdychasz do Mici Horn, ale i jej nie jesteś potrzebny, ty nic nieznaczące zero! Patrzyła na wychowawców i diakonisy, na tych, którzy do tej chwili stanowili jej otoczenie, z pożałowaniem, czując, że prędzej czy później stąd odejdzie, a oni zostaną i tutaj się zestarzeją wśród czarno-białych praw Árkodu i nie ma dla nich ucieczki ani żadnej odmiany. Ale dla niej tak, była tego tak pewna jak tego, że widzi porucznika. Jeśli

Feri tu przyjechał, to znaczy, że generał złożył jej dalszy los w jego ręce, później z pewnością się dowie dlaczego.

Zabrzmiała ostatnia pieśń, Gina nigdy jeszcze nie śpiewała tak czysto i swobodnie. Feri również trzymał w ręku śpiewnik. Gdy tylko przebrzmiały słowa błogosławieństwa, wstał i zniknął z chóru. Gina była pewna, że zobaczy go później przed kościołem. Na ulicy wychowawcy i diakonisy, odwrócenii plecami do chodnika, na którym stał Feri, ustawiali dziewczęta w rzędach. Gina słyszała, że Torma coś do niej mówi, ale nie rozumiała, patrzyła na Feriego, który nawet tutaj jej nie pozdrowił. Musiał mieć ku temu jakiś powód. Nagle podniósł do góry śpiewnik, jakby go Ginie pokazywał. Nie mogła odgadnąć, co jej chce powiedzieć tym ruchem, może to, że w przyszłą niedzielę również się tutaj spotkają? Byłby to nieskończenie długi okres, gdyby nic się w tym czasie nie miało wydarzyć. Jak ona wytrzyma do niedzieli?!

– Głucha jesteś czy co – zaszepotała Torma – już trzeci raz cię pytamy, czy widzisz tego mężczyznę, który tak się gapi na Mari Kis.

Mari Kis? Niezły żart! Jakże chciałyby odpowiedzieć, że owszem, widzi, tylko że on nie patrzy na Mari, lecz na nią. Wiedziała jednak, że musi milczeć, jeśli nie chce zaprzepaścić tego, czego się spodziewa.

Ruszyły. Feri też szedł za nimi. Kiedy przeszły przez jezdnię i skręciły w ulicę Jánoša Matuli, porucznik kroczył już obok nich, ale nie patrzył na dziewczęta, tylko

starał się utrzymać krok z Tormą, Mari Kis i Giną, koło których szła również Zuzanna. Diakonisa zauważyła mężczyznę, lecz tylko prześliznęła się po nim wzrokiem, był dla niej zwykłym przechodniem niosącym w ręku śpiewnik. Widocznie Feri chciał przejść na drugą stronę ulicy, gdyż dość niegrzecznie wtargnął naraz między dziewczęta i zaczął się przepychać, jakby mu się ogromnie spieszyło. Z ręki Giny wytrącił śpiewnik, a Tormie nadepnął na nogę. Zuzanna spojrzała na niego surowo, Torma zachichotała, Gina stanęła w pąsach, a Mari zrobiła ważną minę. Feri uniósł kapelusza, podniósł śpiewnik Giny i poprosił o wybaczenie nie dziewczęta, lecz siostrę Zuzannę, wyjaśniając, że bardzo spieszy się na ważne spotkanie. Potem oddał Ginie śpiewnik, jeszcze raz poprosił o wybaczenie za nieuwagę, znów uniósł kapelusza i szybko oddalił się w boczną ulicę, nawet się nie oglądając. Gina patrzyła za nim zdumiona, aż Zuzanna zwróciła jej uwagę, żeby tak nie wypatrywała oczu za nieznanym mężczyzną, ale szła prosto przed siebie. Gina nic z tego nie rozumiała, wydarzenia jakoś zupełnie do siebie nie pasowały. Feri nawet nie próbował zbliżyć się do niej, nie odezwał się, nie pozdrowił, nawet nie dał poznać, że się znają. Czegóż więc chce? I jak się będą spotykać? Sądziła, że umyślnie się potknął i wytrącił jej śpiewnik z ręki, ale jak widać, było to całkiem przypadkowe, tylko ona myślała co innego. Zupełnie niezrozumiałe, jaki też on może mieć plan.

Ojej, śpiewnik! Mimo że całą jej świadomość

opanował Feri, to jednak nie zapomniała o regulaminie pensji. Jeśli śpiewnik się zabrudził, będzie miała nieprzyjemności. Podniosła go bliżej oczu, aby się mu przyjrzeć i natychmiast opuściła, przyciskając do płaszcza z taką siłą, jakby to była ręka Feriego, która zaprowadzi ją do ojca. Śpiewnik bowiem nie był jej, trzymała w ręku cudzą książkę, z za tylnej okładki wystawała jakaś kartka. Feri zamienił śpiewniki, a na kartce była pewnie wiadomość od niego. Nie docierało do niej, o czym mówią Mari Kis i Torma, które coś szeptały. Kiedy wróciły na pensję, nawet płaszcza nie powiesiła, tylko zaraz pobiegła do łazienki i otworzyła śpiewnik.

Zsini – czytała słowa Feriego (nikt tak jej nie nazywał od chwili, gdy Marchelle od nich wyjechała) – pan generał jest ciężko chory, muszę Panią do niego zawieźć, tylko że to nie jest łatwe. Od wielu dni próbuję dostać się do Pani, ale do tego przekłętogo kalwińskiego klasztoru nikogo nie chcą wpuścić. Dzisiaj po południu znowu spróbuję, ale jeśli nie pozwolą mi z Panią rozmawiać, niech Pani będzie o północy przy małej ogrodowej furtce, która nie ma klamki, tylko zamek. Tam będę czekać, po drugiej stronie muru. Całuję rączki. Feri Podarła karteczkę na drobne kawałki. Serce jej wprawdzie krwawiło z tego powodu, ale zbyt wiele już się nauczyła na pensji, żeby cokolwiek ryzykować. Jacyż oni tutaj są fałszywi, jacyż obłudni, słowem jej nikt nie wspomniał, że Feri chce ją już od kilku dni zobaczyć. Ojciec. Co mogło się stać z ojcem? Jeśli jest ciężko chory, to znaczy,

że nie owo tajemnicze i niebezpieczne przedsięwzięcie przeszkodziło im się spotkać w święta, lecz zwyklesza i smutniejsza okoliczność. Jeżeli ojciec poprosił Feriego, aby ją przywiózł, to widocznie dawny zakaz nie obowiązuje, tylko tym upartym świętoszkom trzeba wytłumaczyć, że ona natychmiast musi stąd wyjechać do ojca, który Bóg wie jak bardzo cierpi i nie ma przy sobie swego jedyne go dziecka.

Tylko czy to się uda?

Feri nie zna pensji Matuli, to nie są ludzie, oni nie mają serca, zamiast serca mają przepisy i regulamin szkolny. Nie miała wielkiej nadziei, że uda im się spotkać po południu, jak pisał porucznik, ale na spacer nie poszła, skłamała Zuzannie, że ma zawroty głowy. Diakonisa zaprowadziła ją do lekarki, która oczywiście nie znalazła żadnej przyczyny jej dolegliwości poza ewentualnymi zaburzeniami okresu dojrzewania, i współczując wielce, zostawiła ją w domu. Nawet do głowy jej nie przyszło, że Gina mogłaby kłamać, gdyż spacer był zawsze najbardziej wyczekiwany przez matulanki. Gina siedziała w świetlicy, na rozłożone do nauki książki nie zwracała uwagi, cała sprężona w oczekiwaniu. Prawie każdy nauczyciel zajrzał raz czy dwa razy do świetlicy, widziała też dyrektora, w pokoju dyżurnych bez przerwy dzwonił telefon, ale jej nikt nie wołał, nikt nie prosił do rozmównicy, gdzie zwykle przyjmowano gości. Klasa wróciła ze spaceru i Mari Kis ciągle jeszcze mówiła o tym nieznanym mężczyźnie, znów go bowiem widziały, stał

po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko pensji, i przyglądał się im. Czy to nie wspaniałe, że ktoś tak się w niej od razu zakochał?

„Widocznie nie udało mu się – pomyślała Gina. – A więc teraz na mnie kolej, muszę wkroczyć na tę skomplikowaną szachownicę, muszę być o północy przy furtce, która nie ma klamki, tylko zamek”. Teoretycznie zadanie było nie do wykonania, ponieważ diakonisa zaglądała w nocy do sypialni o najbardziej nieprawdopodobnych porach, a poza tym mogło się coś jeszcze zdarzyć, na przykład ćwiczenia z obrony przeciwlotniczej, niespodziewany alarm. Ale gdyby nawet ta noc była taka jak zawsze, to w jaki sposób mogłaby wymknąć się o północy z sypialni do ogrodu przynajmniej na piętnaście minut, aby nikt tego nie zauważył? Jak zresztą wydostać się przez zamknięte drzwi korytarza? Jeśli zaś wyjdzie przez okno, nie potrafi go za sobą zamknąć, a poza tym w jaki sposób wróci? Jeżeli ktoś zauważy, że okno jest otwarte, pomyśli, że zapomniano je zamknąć i zamknie, a ona będzie musiała sterczeć w ogrodzie do rana.

Jednak świadomość, że ma przyjaciółki, gotowe dla niej do wszelkich poświęceń i ryzyka, złagodziła jej zdenerwowanie, a później nawet zupełnie ją uspokoiła. Kiedy Zuzanna zarządziła wolny czas, Gina odciągnęła na bok Tormę, Bánki i Mari Kis, szepnęła, że muszą się teraz wyteńczyć i pomóc jej wynaleźć sposób, aby mogła się spotkać z kimś o północy w ogrodzie. Wrażenie, jakie

wywołała, przeszło wszelkie oczekiwania: zawsze gadatliwa Mari Kis nie mogła wydusić słowa, tylko przelykała ślinę, Torma zaczęła się trząść i bełkotała: „Z kim? Z kim?”. Najdziwniej zachowała się Bánki, ponieważ nie krzyknęła i nawet się nie zdziwiła, lecz spokojnie zapytała: „Czy to przypadkiem nie zgłosił się wreszcie Feri Kuncz?”.

Gina wlepiła w nią zdumiony wzrok. Wprawdzie dużo o Ferim opowiadała, ale przecież to wcale nie takie oczywiste, że tym nocnym gościem miałby być właśnie porucznik. Mogła też być nim ciocia Mimó, pasuje to do jej romantycznej natury, czy któraś z jej peszteńskich przyjaciółek lub nawet sam generał. Dlaczego właśnie pomyślała o Ferim? Wprawdzie dzisiaj wszystkie widziały młodego mężczyznę, ale były przekonane, że on patrzy na Mari, żadna nie zauważyła zamiany śpiewników. Bánki nie pozwoliła jednak, by długo się nad tym zastanawiała i sama wyjaśniła. Powiedziała mianowicie: „A więc jednak otrzymał mój list”.

Teraz wszystko stało się jasne. Mari Kis i Torma wprost nieprzytomne słuchały tej niespodziewanej opowieści, której bohaterką była Gina-Julia. Jej Romea, gdyby się wszystko wydało, czeka prawie takie samo przyjęcie jak szekspirowskiego bohatera w domu Kapuletów. Piastunką ich miłości była Bánki, której żal się zrobiło nieszczęsnej dziewczyny, spędzającej samotnie święta w Matuli. Kiedy więc przyjechała z matką do domu, do tego małego miasteczka, gdzie

mieszkają, napisała list do porucznika Ferenca Kuncza na adres: Budapeszt, ulica Zapor 44:

Wielce Szanowny Panie Poruczniku! Informuję, że Georgina Vitay przebywa w Árkodzie na pensji imienia Jánoša Matuli, jest bardzo nieszczęśliwa, ponieważ nie wolno jej nawet korespondować z Panem i na święta nie zabrano jej do domu. Z pewnością ucieszyłaby się, gdyby Pan znalazł sposób, aby ją odwiedzić. Z pozdrowieniami Ktoś życzliwy Nazwiska nie śmiała podać – wyjaśniła Bánki – ponieważ bała się, że gdyby Feri Kuncz nie okazał się dość dyskretny, to później wszystkie nici prowadziłyby do niej i dyrektor by ją wyrzucił z pensji. Miała jednak nadzieję, że list skłoni może porucznika do zjawienia się w Árkodzie – to był właśnie ów prezent gwiazdkowy, do którego uczyniła aluzję po powrocie na pensję. Bardzo była rozczarowana, gdy po wakacjach okazało się, że Feri Kuncz nie przyjechał. Nie wspomniała Ginie o owym liście, ponieważ początkowo myślała, że widać mężczyźni są niewierni i Kuncz pewnie już inną kocha, a później – i dlatego tysiącokrotnie prosi Ginę o wybaczenie – że Gina może tylko tak mówiła, iż porucznik ją uwielbia, a Kuncz po prostu gwizdże na nią, bo przecież jest to jeszcze uczennica. Teraz sama widzi, że sprawa jest poważna.

Torma była wprost wzruszona, słysząc o takiej przedsiębiorczości i pomysłowości, również Mari Kis cieszyła się i gratulowała, nie wyglądając w ogóle na zmartwioną tym, że to jednak nie jej się przyglądał ów

nieznajomy przed kościołem, lecz przyjaciółce. Gina opowiedziała, co jej napisał porucznik i w jaki sposób przekazał jej wiadomość, sama zaś była szczęśliwa, że na owej karteczce było napisane, iż Feri musi ją zawieźć do chorego ojca, czyli nie list Bánki sprowadził tu porucznika, ale polecenie generała. Nie ma powodu zatem czuć wyrzutów sumienia, że Bánki niechcący, w dobrej wierze zdradziła jej miejsce pobytu, które przed wszystkimi, niestety również przed Ferim, musiała utrzymać w tajemnicy. Ale jak widać, jego wizyta nie ma związku z listem Bánki. Porucznik prosił, powtórzyła dziewczętom, aby się spotkali o północy w ogrodzie, a tego może dokonać, jeśli jej pomogą, gdyż sama nie da rady.

Później, kiedy już i to popołudnie było tylko wspomnieniem, Gina często myślała, jaka kochana była ta trójka dziewcząt – Bánki o jasnych włosach ze śmiejącą się twarzą, Mari Kis pełna entuzjazmu, chętnie podejmująca się każdego zadania, Torma o dużych błękitnych oczach i małych, nieco drżących ze strachu ustach. Plan, który wspólnie wymyśliły, był prosty i możliwy do wykonania. Ponieważ Torma była najbardziej bojaźliwa, miała w nocy odegrać rolę chorej. O wpół do dwunastej Bánki obudzi Zuzannę, zawiadamiając, że Torma źle się czuje. Diakonisa zabierze Tormę do pokoiku szpitalnego. Torma będzie tam cierpiała do wpół do pierwszej, lekarka i Zuzanna pozostaną przy niej, bo chora będzie jęczeć i krzyczeć. Do wieczora Torma musi

zdecydować, co ma ją boleć, w każdym razie coś takiego, czego nie można tak łatwo obejrzeć jak na przykład gardła. Może mieć skurcze żołądka, czy choćby objawy zapalenia ślepej кишки. Ślepą kishkę zaproponowała Bánki, która już miała usunięty wyrostek. Na kilka minut przed dwunastą Gina wyjdzie do ogrodu przez okno w korytarzu, Mari Kis zamknie za nią okno i będzie stała na straży przy drzwiach sypialni. Bánki w tym czasie będzie czatować przy korytarzu wiodącym do szpitalnego pokoiku i da znak, gdyby Zuzanna mimo wszystko wróciła, ewentualnie przeszkodzi jej w tym. W razie potrzeby symulować będzie kurcze, rzuci się na podłogę, jakby ją powaliła jakaś okropna choroba. Natomiast Mari Kis piętnaście po dwunastej otworzy okno i wpuści Ginę z ogrodu, która musi koniecznie o tej porze być pod oknem, ponieważ dłużej nie będą mogły ryzykować. Wszystkie cztery, gdy wymyśliły i omówiły już szczegóły przedsięwzięcia, nie miały ochoty ani na rozmowy, ani na śmiech, nawet wiecznie roześmiana Mari Kis była teraz poważna. Kolację jakoś przełknęły, ale żadna z nich nie miała apetytu. Podczas wieczornej modlitwy Zuzanna aż im się baczniej przyjrzała, wszystkie bowiem piątoklasistki się modliły, ale żadna tak gorąco jak te cztery. Bánki miała nawet łzy w oczach.

Światło zgaszono o dziewiątej, ale piąta klasa długo jeszcze nie mogła usnąć. W niedzielę, kiedy to podczas nabożeństwa stykały się z osobami z zewnątrz, zawsze były bardziej niespokojne niż w pozostałe dni. Jednak

przed jedenastą wszystkie zasnęły i poza czterema spiskowczyniami, które czuwały, żadna się nie obudziła, gdy o wpół do dwunastej Bánki poszła do Zuzanny zameldować, że Torma źle się czuje. Zuzanna była jeszcze w ubraniu i natychmiast przysłała do sypialni, skinęła na postępującą Tormę, aby za nią poszła, a Annie przykazała, żeby nie zbudziła przypadkiem tych, które już śpią.

Gina i Mari Kis przyczały się pod kołdrą. Teraz wszystko zależy od tego, jak się zachowa Torma, czy stanie na wysokości zadania. Bánki wymknęła się po kilku minutach, ale wkrótce wróciła z wieścią, że dotarła aż pod drzwi pokoju szpitalnego i słyszała, jak biedna Torma okropnie jęczy, chyba dadzą jej coś na wymioty. Mari Kis mimo zdenerwowania zaśmiała się cicho – dla losów nieszczęsnej Tormy było to charakterystyczne, że zawsze dają jej środki na wymioty lub przeczyszczenie. Chichotały na łóżku Giny, przytulone do siebie, reszta dziewcząt spała, żadnej nie obudziło wyjście Tormy. W świetle palącej się nad drzwiami maleńkiej lampki patrzyły na wskazówkę zegara, po czym dwie minuty przed dwunastą wstały z łóżka. Nie było czasu ani możliwości, by porządnie się ubrać. Gina, kładąc się wieczorem, nie zdjęła bielizny ani pończoch, tylko naciągnęła na nie koszulę. Teraz Mari Kis oddała jej jeszcze swój szlafrok, aby nie zmarzła w ogrodzie. Wymknęły się z sypialni. Bánki zajęła miejsce przy zakręcie korytarza. Mari Kis otworzyła okno, Gina

wdrapała się na parapet, wyciągnęła rękę, po cichu ucałowały się z Mari Kis, po czym już Gina była na dole w ogrodzie, a zasłonięte czarnym papierem okno zamknęło się za nią. Zegar właśnie wybijał dwunastą. Kiedy rozbrzmiało ostatnie uderzenie, Gina biegła właśnie koło posągu Abigél. Świecił księżyc, była jasna wiosenna noc, dobrze więc widziała drogę. Dotarła do furtki bez klamki i nie wiedziała, co ma dalej robić, czekała na jakiś znak. Nie czekała jednak długo. Kiedy zegar na wieży zamilkł, ktoś lekko zastukał w żelazną furtkę. Ona cicho odstukała, nie mogła wykrztusić słowa.

Po drugiej stronie ktoś manipulował przy zamku, odsunął klapkę zakrywającą dziurkę od klucza. To samo uczyniła Gina od swojej strony i przyłożyła ucho do maleńkiego otworu. Teraz już usłyszała szept:

– Zsini, maleńka Zsini, czy to pani? Dobrze mnie pani słyszy?

– To ja – szepnęła w odpowiedzi do dziurki od klucza. Własny szept wydał się jej jakiś zupełnie nieznan, jakby to jakaś obca osoba przemawiała jej ustami. – Co jest z moim ojcem?

– Serce – odpowiedział głos z drugiej strony – ale niech się pani nie martwi, największe niebezpieczeństwo jest już za nim. Tylko koniecznie chce panią zobaczyć i prosił mnie, abym zabrał ją z pensji i natychmiast przywiózł do domu.

Serce. Nigdy nie chorował na serce. Ale jeśli powiedział Feriemu, aby ją odszukał i zabrał stąd, to w

takim razie i porucznik również jest w ruchu oporu. Och, co za szczęście, że walczy razem z jej ojcem! Chociaż żywiła ogromny szacunek dla tego tajemniczego człowieka z Árkodu, to jednak lepiej, że Feri ją zabierze. A może i on będzie im towarzyszył? Może też tu jest? Stoi obok Feriego, tylko ona nie może go zobaczyć?

– Czy jest pan sam? – zapytała.

– Oczywiście, a z kim mógłbym być?

– Ojciec powiedział, że jeśli sam nie będzie mógł przyjechać, to przyśle po mnie tego przywódcę ruchu oporu w Árkodzie. Myślałam, że on tu jest.

– Przywódca ruchu oporu? – zaszeptał głos.

– Ten, co pozamieniał numery na tablicy psalmów w kościele. Ten, co nakleja plakaty w mieście. Ojciec mówił, że tylko z nim mogę opuścić pensję.

– Ależ to ja jestem – szepnęła dziurka od klucza.

Gina nie potrafiła odpowiedzieć. Po drugiej stronie przez sekundę panowała cisza, po czym głos się odezwał.

– Od miesiący jestem tutaj, pan generał mnie przeniósł, abym był w pobliżu pani i na nią uważał. Ja robiłem tutaj to, co on robił w Peszcie. Nie czuła pani mojej bliskości?

Gina obydwoma dłońmi oparła się o żelazną furtkę, zdawało jej się, że nie ustoi na nogach. Przecież ojciec powiedział, że ona zna tego tajemniczego człowieka, tylko nie wie, że to właśnie on, ale to był Feri... Więc nawet nie mógł do niego dotrzeć list Bánki, skoro od miesiący Feri służy w Árkodzie. Zawsze sądziła, że tym

bohaterem, tym dzielnym człowiekiem może być tylko woj skowy. Więc to był jej Feri! Jakież to wspaniałe! Żeby tylko ojciec wyzdrowiał. Musi wyzdrowieć. Feri twierdzi, że niebezpieczeństwo minęło.

– Od listopada nie widziałam ojca – szepnęła w dziurkę od klucza. – Początkowo się nie martwiłam, gdyż zapowiedział, że być może przez dłuższy czas nie będzie mógł przyjechać. Ale potem zaczęłam się niepokoić, że stało się jakieś nieszczęście związane z jego pracą. Ale w takim razie ta sprawa jest w porządku, prawda, Feri?

Głos zza furtki szepnął:

- Tak.
- Powiódł się ich plan?
- Oczywiście – zabrzmiała odpowiedź.
- Dlaczego są tutaj Niemcy?
- Nie zostaną tutaj. Szybko pójdą dalej. Niech pani sobie nad tym głowy nie łamie.

Nie zostaną tutaj. Nie ma zatem niebezpieczeństwa.

– Zsini, niech pani słucha! Jutro o tej samej porze będę tu i proszę być przygotowaną, że natychmiast stąd wyjedziemy. Na jutro postaram się o klucz do tej furtki, otworzę z zewnątrz i rano będziemy już w Peszcie u pana generała. Dlatego zabieram panią w takich romantycznych okolicznościach, że ci wariaci nie chcą ze mną rozmawiać, nawet nie udało mi się dotrzeć do dyrektora. Tłumaczyłem portierowi, że przybyłem z polecenia pani ojca, ale on powiedział, że go to nie interesuje. W życiu nie widziałem takiej szkoły. Przecież

to więzienie.

I to jeszcze jakie! W dodatku dla kogoś, kto tu mieszka od września.

– Samochód będzie stał tutaj, przed furtką. Jak tylko pani wyjdzie, natychmiast ruszamy. Po kwadransie zapomni pani, że tu była.

„Nigdy nie zapomnę” – pomyślała dziewczyna i zdziwiła się, dlaczego o tej niezwyklej porze w delikatnym świetle księżyca, w zimnym, ale roztaczającym wiosenne wonie ogrodzie czuje, że nigdy nie zapomni pensji Matuli. Czekala, co jeszcze powie porucznik, i chociaż wstydziła się przyznać do tego przed samą sobą, to spodziewała się, że Feri powie wreszcie coś, co nie będzie dotyczyło polecenia ojca czy szczegółów ucieczki. Ale może mężczyźni, którzy biorą udział w ruchu oporu i stale dokonują bohaterskich czynów, nie zwykli mówić w takich chwilach o miłości?

– Jutro o tej samej porze, Zsini. Niech pani będzie punktualna – zaszeptał głos i Feri odszedł bez pożegnania, słysząc było jego oddalające się kroki. Poczekała jeszcze chwilę, licząc, że może wróci, ale porucznik nie odezwał się więcej. Wkrótce jednak zrozumiała dlaczego. Po drugiej stronie znów rozległy się kroki, ktoś przeszedł koło ogrodzenia pensji, jakiś spóźniony przechodzień o twardym kroku. Jego zbliżanie się z pewnością spłoszyło porucznika. Wszystko jedno, najistotniejszą sprawę omówili. Gina z powrotem przebiegła przez ogród, zastukała w okno, które

natychmiast się otworzyło i Mari Kis wyciągnęła rękę, pomagając jej wejść. Za minutę były już w sypialni.

Nie położyły się, czekały na Bánki. Gina drżała z emocji i od chłodu marcowej nocy.

– Pocałował? – spytała gorączkowo Mari Kis, ale zaraz się zawstydziła, bo jakże mógł pocałować, kiedy od Giny oddzielało go ogrodzenie. – Czy przyjechał z powodu listu Bánki? Uwielbia cię? Zareczyliście się? Opowiedz wszystko dokładnie!

Gina nie śmiała wyznać, że Feri nie mówił o miłości, że myśli o ojcu i ruchu oporu, że płynący z serca uczynek Bánki był właściwie zbyt cenny, bo Feri już od chwili przybycia Giny do Árkodu służył w tym mieście, tylko z pewnością do tej pory nie wolno mu było zgłosić się do niej. Nawet podczas tego pamiętnego nabożeństwa nie widziała go wśród wojskowych z garnizonu, a przecież to on pozamieniał numery pieśni na tablicy. Dziewczętom powiedziała jednak, że to list Bánki go sprowadził, niech się Anna cieszy. Pomyślała przy tym, że oto jutro ostatecznie je porzuci, ale w tę sprawę już nikogo nie wtajemniczy. Nie chce, żeby miały później przykrości, gdy jej ucieczka się wyda. Jutro o północy furka będzie otwarta i nawet gdyby Zuzanna wyszła akurat ze swego pokoju, kiedy ona będzie wyskakiwała przez okno, to i tak jej nie dogoni. W swojej długiej sukni diakonisa nie potrafi się tak szybko poruszać.

Bánki wróciła o wpół do pierwszej i oznajmiła, że z pokoiku szpitalnego nie słychać już żadnych odgłosów.

Torma wprawdzie nie jęczy, ale Zuzanna i lekarka są cały czas przy niej. Gina musiała znów skłamać, że z Ferim rozmawiali o miłości i że wszystko jej zawdzięcza, aby przyjaciółce nie było przykro, iż na próżno strażowała tak długo na korytarzu. Wielokrotnie musiała powtarzać pełne miłości zdania, które nigdy nie zostały wypowiedziane, aby zadowolić swoje koleżanki, które tyle ryzykowały dla niej tej nocy. Kiedy wreszcie zasnęły, Gina jeszcze długo leżała i zastanawiała się, jak dziwne i niespodziewane rzeczy dzieją się w życiu ludzkim. I to nie tak i nie wtedy, kiedy człowiek ich oczekuje, lecz zupełnie inaczej, w innych okolicznościach, jakoś nielogicznie. Ktoś pojawia się na chórze w kościele, człowiek spojrzy na tego kogoś, ten ktoś odwzajemni spojrzenie i nagle zmienia się całe życie.

To jej ostatnia noc na pensji. Jutro pozostaną już tutaj bez niej w tym świecie szczególnych czarno-białych przepisów ze swoimi marzeniami, ona rano będzie już w domu u ojca. Kiedy znajdzie się przy jego łóżku, generał na pewno poczuje się lepiej. Jak to on wtedy powiedział: że jeśli nie będzie mógł po nią przyjechać, to gdy ujawni się ten, którego opiece ją powierzono, sama się zdziwi, że zna go przecież od dawna. Jakżeby miała nie znać Feriego, swojej miłości!

Z jak wielką ostrożnością i tajemnicami jest związana praca jej ojca. Oto z pozoru wydawało się, że generał nie lubi porucznika Kuncza, nawet do swojego domu nie chciał go wpuścić. A tu okazuje się, że to jego najlepszy

przyjaciel, najwierniejszy współpracownik i właśnie jemu powierzył ją, swój największy skarb. Drzwi się uchyliły i przez szparę zajrzała Zuzanna. Gina spod na wpół przymkniętych powiek widziała, jak diakonisa rozgląda się, a stwierdziwszy, że wszystko jest w porządku, zamyka drzwi i odchodzi. Teraz Ginie wydawało się, że to ona jest osobą dorosłą, a Zuzanna ze swoim czarno-białym regulaminem to dziecko, pensjonarka. Ale już wszystko jedno, minął czas jej wygnania, od jutra świat znów stanie dla niej otworem i ona wkroczy do niego, a dziecko – naiwna Zuzanna – pozostanie tu jak niewolnica na wieki.

Bohater z Árkodu

Poprzedniego dnia, kiedy opracowywały plan spotkania z Ferim, długo dyskutowały nad tym, czy wtajemniczyć całą klasę w to, co ma się zdarzyć w nocy. Głównie Mari Kis była za tym, twierdziła, że nie może być wśród nich zdrajczyni, już piąty rok żyją razem jak prawdziwe siostry, należałoby więc opowiedzieć wszystko dziewczętom, w końcu to przecież ogromna sensacja, że Bánki udało się sprowadzić Feriego Kuncza. I jakże tu milczeć o tym romantycznym spotkaniu, które szykuje się o północy? Jednak bojaźliwa Torma sprzeciwiła się, powiedziała, że udzielanie koleżance pomocy w schadzce to sprawa gardłowa. Nie można mówić o tym wszystkim dziewczętom. Są wśród nich takie, które mają na pensji siostry, tylko w innych klasach, i co będzie, jeśli im wypalają i wieść rozniesie się po szkole? Co się wówczas z ich czwórką stanie? One same dochowają tajemnicy, ale innych nie mogą w to wciągać. Bánki również uważała, że Torma ma rację. Następnego dnia zaczął się od kłamstwa, i to nie dlatego, że o niczym nie poinformowały klasy, ale dlatego, że spiskowczynie znów chciały usłyszeć historię nocnego spotkania i Gina musiała powtarzać zmyśloną opowieść, że obydwójce z porucznikiem wyznali sobie miłość, że

Feri obiecał czekać na nią, ponieważ ją kocha i innej dziewczyny nie chce. Szybko się jednak nie spotkają, ponieważ Feri dzisiaj już wyjechał z Árkodu. Nie będzie mógł pisać, ale gdy uda mu się znów przyjechać, zjawi się wówczas na niedzielnym nabożeństwie. Na lekcjach Bánki i Mari Kis stale spoglądały na siebie znacząco, przypominając sobie, jakiego to wydarzenia były w nocy świadkami.

W dzieciństwie zdarzało się Ginie, że gdy miała jakieś przewinienia na sumieniu, to czuła potem nieprzeparte pragnienie, aby być niezwykle miłą i dobrą dla wszystkich. Wówczas schodziła do kuchni, pytała, czy nie mogłaby w czymś pomóc, z zapałem sprzątała, bez upomnienia porządkowała oszkloną szafkę, odkurzała książki w biblioteczkę i, co było największym poświęceniem, proponowała generałowi, aby odwiedzili jego starą ciotkę, którą generał bardzo kochał. Ginę oczywiście nudziły te wizyty i z trudem siedziała w salonie pełnym szczególnych woni, gdzie prawie zawsze paliło się elektryczne światło.

Gina zdawała sobie sprawę, że zgrzeszyła przeciw regulaminowi pensji, choć wątpiła w potrzebę jego istnienia i to, co zrobiła i co miała zrobić, uważała za nieuniknione. Dlatego też potrzeba „bycia miłą dla wszystkich” znów w niej odżyła i tak dalece ją opanowała, że zaraz na pierwszej lekcji, kiedy pisały wypracowanie z francuskiego i profesorka Gigus jak zwykle posadziła ją oddzielnie przy katedrze, aby nie

pomagała dziewczętom, przygotowaną ściągaczkę z prawdziwie straceńczą odwagą wsunęła do kieszeni samej profesorce na oczach klasy, w tym grubaski Szabó, która miała trudności z uczeniem się języków. Szabó z wytrzeszczonymi oczami, niczym zahipnotyzowana, towarzyszyła wzrokiem ruchowi ręki Giny. Tymczasem profesorka Gigus z zamyślnym spojrzeniem wędrowała między rzędami ławek, niosąc ze sobą ściągaczkę, i kiedy zbliżyła się do Szabó i jak zwykle nachyliła, by zobaczyć, jak jej idzie pisanie, dziewczyna drżącą ręką wyciągnęła karteczkę wystającą z kieszeni obok chustki do nosa. Przekład Giny zawierał tego dnia zadziwiające rozwiązania językowe. Jej francuski, którego uczyła się od Marchelle, sposób wyrażania się, był bardziej codzienny, naturalny niż jej koleżanek, które wykształciły się na klasykach, a najlepsza spośród nich uczennica mówiła i pisała w stylu z czasów rewolucji francuskiej. Gina właśnie teraz naśladowała ten nieco przestarzały styl i posłała Szabó taki tekst, jakby go sama profesorka Gigus tłumaczyła. O tym, jak wielkie ogarnęło ją pragnienie, żeby być dla każdego miłą, najlepiej świadczy fakt, że nawet na lekcji Königa zachowywała się spokojnie, nie posyłała liścików, nie rysowała, nie bazgrała, nie ziewała i nie gapiała się przez okno. Po raz pierwszy w życiu uważnie wysłuchiwała jego objaśnień i zdziwiła się, że tak ciekawie prowadził zajęcia, barwnie i przekonująco, i nawet, z czego naprawdę można się było uśmieć, trochę żałowała, że na jutrzejszej lekcji już nie będzie słyszała

zakończenia przerabianego tekstu. König musiał odczuć, że tym razem Gina słuchała go uważnie, gdyż po raz pierwszy od początku pobytu na pensji sama na ochotnika zgłosiła się, by wziąć udział w przygotowaniu fragmentu tekstu do tłumaczenia na następny dzień. Łacina zawsze łatwo jej przychodziła z powodu znajomości francuskiego. Na sens słów, których nie знаła, naprowadzało ją podobieństwo obydwu języków. König pochwalił ją i kilkakrotnie przyjrzał jej się w zamyśleniu, jakby dziwiąc się w duchu, co też się stało tej Vitay. Następną była lekcja śpiewu, Gina uczestniczyła w niej całą duszą. Tego dnia odpowiadała u Hajdu na stopień, uszczęśliwiona śpiewała zadaną jako ćwiczenie pieśń pochwalną numer 186 i profesor zadowolony wpisał jej najlepszy stopień, natomiast Bánki i Mari Kis natychmiast trafiły do kąta, ponieważ przez cały czas pękały ze śmiechu, a Hajdu nie lubił żartów. Gina śpiewała z powagą, chociaż i ona czuła cały komizm wypływający z łączenia tekstu pieśni z wiadomymi im nocnymi wydarzeniami. *Słońce już zgasło, niebo pociemniało, przyroda do snu się układa i wszystko ucisza się, mnie także odświeży sen i ciało moje znajdzie spoczynek, a umysł ukojenie.* Profesora o mało szlag nie trafił, że ta nikiemna Bánki i bezczelna Mari Kis, nawet stojąc w kącie, nie przestają chichotać. Co w tym śmiesznego, że Vitay po raz pierwszy w życiu potrafiła bezbłędnie odśpiewać tę piękną wieczorną pieśń? Ale Bánki i Mari Kis wiedziały, co się działo w ogrodzie Matuli, gdy

słońce zgasło. To prawda, że umysł i zmęczone ciało Georginy Vitay nie bardzo mogły odpocząć około północy, a one również, gdyż Bánki strażowała na korytarzu przy pokoiku szpitalnym, a Mari Kis w samej koszuli warowała przy oknie, ponieważ szlafrok pożyczyła Ginie.

Czwartą lekcję miały z Kalmárem. Gina pragnęła być dla niego szczególnie miła, ale nie miała okazji, bo profesor nie przepytывał i nie odzywał się do niej, lecz do samego dzwonka objaśniał lekcję. Tyle tylko mogła uczynić, że zachowywała się wzorowo i kiedy był koniec lekcji, schowała na pamiętkę do kieszeni kawałek kredy, którą właśnie posługiwał się Kalmár. Na piątą godzinę przyszedł Kerekes. Profesor od początku września złościł się na Ginę, że brzydko, nieprzepisowo pisze cyfrę cztery. Gina choćby dlatego nie próbowała pisać jej inaczej, że uważała za bezsensowne i irytujące, aby najważniejszym życiowym problemem był kształt takiej marnej cyfry. Jednak teraz, gdy podczas błyskawicznych ćwiczeń przyszła na nią kolej i stanęła przed tablicą, narysowała najpiękniejsze czwórki świata. Kerekes patrzył na nią niedowierzająco i zaraz poprosił o dziennik kontrolny, gdzie wpisał: „Georgina Vitay narysowała dziś przepisowe w kształcie czwórki, za co udzielam pochwały. András Kerekes”. Profesor Kerekes prawie nigdy nikogo nie chwalił. W innych okolicznościach Gina bardziej by się z tego cieszyła, ale i teraz zarumieniła się z radości, chociaż nie miało to już żadnego znaczenia. Po

piątej lekcji, jak zawsze, Kalmár jeszcze raz przyszedł do klasy i zapytał, która spośród dziewcząt spisała się tego dnia najlepiej. Dyżurna zameldowała: Vitay. Zdarzyło się to po raz pierwszy w tym roku szkolnym. Kalmár przejrzał stopnie i uwagi w dzienniku klasowym i w dzienniku kontrolnym, po czym z zadowoleniem skinął głową. To znaczy, że dyrektor wyczyta dzisiaj głośno również jej nazwisko. Na pensji panował zwyczaj, że oprócz uszlachetniającej lektury podczas obiadu ogłaszano nazwiska tych uczennic, które osiągnęły tego dnia najlepsze wyniki. Dyrektor Gedeon Torma wymieniał także te uczennice, które coś nabroily. Ile razy Gina musiała się z tego powodu rumienić! Obecnie po raz pierwszy zostanie pochwalona. Jest to i smutne, i zabawne jednocześnie.

Teraz, gdy wiedziała, że jeszcze tylko godziny spędzi tu na pensji, pragnęła zostawić po sobie same dobre wspomnienia. Chciała, aby każdy wspominał ją później jako mądrą, wykształconą, miłą dziewczynę, prawdziwie dobrą przyjaciółkę, osobę o szerokim geście, uczynną. Przed obiadem zastukała do siostry Zuzanny i poprosiła, aby pozwoliła jej podczas spaceru kupić prezent dla klasy z pieniędzy pozostałych z gwiazdki, a po południu odwiedzić biedną chorą Tormę. Zuzanna bez słowa wyciągnęła z szuflady kopertę z napisem „Prezent na gwiazdkę” i podała Ginie. Obok tej koperty dziewczyna zauważyła jeszcze inną z jakimś napisem, z czego wywnioskowała, że generał, kiedy ją tutaj przywiózł,

opłacił nie tylko chesne za cały rok, ale i z góry zostawił kieszonkowe. Zuzanna powiedziała, że może odwiedzić Tormę, ale wolno jej być u niej tylko kilka minut, ponieważ biedaczka przechodzi badania. Jeśli do wieczora stan jej się nie pogorszy, to być może było to tylko podrażnienie wątroby, ale jeśli będzie się czuła gorzej, to następnego dnia zawiozą ją do szpitala na prześwietlenie żołądka. Zatem niech jej nie męczy zbyt długo, bo Torma miała złą noc i musiała zażyć dużo nieprzyjemnych w działaniu lekarstw.

Podczas obiadu dyrektor rzeczywiście wymienił nazwisko Giny. Zwyczaj wymagał, aby pochwalona uczennica wstała, podeszła do stołu nauczycielskiego, ukloniła się najpierw pedagogom, a potem klasom. Tylko na samym początku, kiedy tu przyjechała, uważała, że to śmieszne, później przywykła i te dwa ukłony już nie wydawały się jej takie komiczne, raczej godne zazdrości. Teraz, gdy szła między stołami, przyłapała się na tym, że nawet w tym ostatnim dniu cieszy się z pochwały. Składając ukłon przed stołem nauczycielskim, zobaczyła, że König aż jej się przyjrzał uważniej, gdy uprzejmie, bez ironii i gniewu uśmiechnęła się do niego. Gina była tego dnia szczęśliwa, swobodna i prawie nieprzytomna. Wiedziała, że wieczorem się wyzwoli, że Feri zabierze ją do domu. Tam zresztą pewnie wszystko już jest w porządku, kryzys choroby ojca minął. Starła się więc być łagodna i wesoła, jak to potrafią tylko bardzo szczęśliwi ludzie. Przez cały czas trwania posiłku czuła na swojej

twarży spojrzenie Königa. König po prostu nigdzie indziej nie patrzył. Z pewnością się zdumiał, że może też być uśmiechnięta Vitay, którą chwala.

Po południu siostra Zuzanna i piąta klasa cierpliwie czekały przed cukiernią pana Hajdy, podczas gdy ona kupowała ciastka. Czekały na nią po raz drugi, gdy z resztą pieniędzy weszła do kwiaciarni obok i kupiła hiacynt w doniczce.

– Jesteś dzisiaj w dobrym humorze – powiedziała Zuzanna, gdy siedziały przy podwieczorku. Klasa dostała ciastka od pana Hajdy, a koło nakrycia diakonisy stał biały, jakby uśmiechający się hiacynt. Zuzanna pochyliła się nad nim, wciągając zapach. – Dzisiaj musisz być bardzo szczęśliwa, Georgino, że w końcu udało ci się znaleźć wśród wzorowych uczennic. Pewnie dlatego chcesz wszystkich obdarowywać. Jednak ja tego kwiatu nie przyjmę, bo nie ma powodu, żebyś mi go dawała. Natomiast panu dyrektorowi z pewnością byłoby miło, gdybyś zrobiła mu niespodziankę i jako przedstawicielka piątej klasy złożyła życzenia imieninowe. Jutro, dwudziestego ósmego, są bowiem jego imieniny.

Zuzanna w ten subtelny sposób dała Ginie do zrozumienia, że nic od niej nie przyjmie. Wprawdzie wybacza jej, tak jak nakazuje wiara, lecz nie przyjmie od Giny nawet zwykłego hiacynta w doniczce. Dobrze, może to i lepiej, pójdzie do czarnego człowieka, wręczy mu kwiat, a w nocy zniknie. Oni zaś niech szukają, gdzie się podziała. Nic po niej nie zostanie, tylko hiacynt na biurku

dyrektora. W powrotnej drodze zajrzy do Tormy. Postanowiła bowiem uczynić Piroskę swoją spadkobierczynią, ponieważ lubiła ją nawet bardziej od Bánki. Oczywiście nie z powodu gipsowego pieska czy spędzonej wspólnie przerwy świątecznej, ale dlatego że Torma była sierotą i Gina wiedziała, jak bardzo czuje się osamotniona. Przeczesała włosy i włożyła odświętne ubranie. Inaczej przecież nie wypadało iść do dyrektora. Tymczasem Bánki i Mari Kis wprost skręcały się ze śmiechu na myśl, co by się działo, gdyby Gedeon Torma dowiedział się o jej nocnym wyczynie. Pewnie martwy runąłby z krzesła. Kiedy Gina kontrolowała fryzurę w małym lusterku w łazience, pomyślała, że w domu, w szufladce nocnej szafki, zostały jej lokówki. Jakże dawno nie kręciła sobie włosów, wiele czasu jej zajmie, nim się znowu nauczy.

Złapała się na tym, że nuci jakąś melodię, idąc z ładnie opakowanym hiacyntem w kierunku części zamieszkałej przez nauczycieli. Drzwi w kracie były wprawdzie zamknięte, ale nie musiała dzwonić, Gertruda Truth stała akurat na korytarzu i zobaczywszy Ginę, otworzyła jej. Dyrektor nie był sam. Siedzieli u niego König, Kalmár i profesorka Gigus. Nie wyglądali na zbyt szczęśliwych, wszyscy pochyleni byli nad otwartymi dziennikami klasowymi. „Jakie to charakterystyczne – pomyślała – będzie to moje ostatnie wspomnienie o nich: dyrektor strofuje profesorów. Profesorka Gigus i Kalmár często zapominają wpisać lekcji do dziennika klasowego,

König zaś jest tak nieuważny, że prawie zawsze wpisuje swoje nazwisko do rubryki z innym przedmiotem”.

Patrzyła na nich tak jak dorosła osoba na trzech chłopców i dziewczynkę, którzy bawią się w szkołę. Dyrektor spojrział zdumiony, kiedy bez najmniejszej tremy życzyła mu w imieniu piątej klasy wszystkiego najlepszego. Wstał, podał jej rękę, a Gina zaskoczona zauważyła, że się zaczerwienił. Już dawno wyrobiła sobie o nim zdanie: Gedeon Torma, krępy czarny stróż idiotycznych zakazów. Kto mógłby przypuszczać, że wzruszą go życzenia imieninowe i wręczony kwiat. Na dodatek, o co go już w ogóle nie podejrzewała, poprosił, aby usiadła. Odpowiedziała jednak, że nie chce mu zabierać cennego czasu, przyszła bowiem tylko złożyć życzenia, zresztą i tak musi się spieszyć, bo ma jeszcze zajrzeć do chorej Tormy.

Każdego ranka dyrektor otrzymywał wykaz chorych uczennic, wiedział więc, że jego bratanica rozchorowała się w nocy. Poprosił Ginę, aby powiedziała Tormie, że i on odwiedzi ją później, ale naprawdę dziwi się, że Piroska źle się czuje, bo od kiedy mieszka tu na pensji, ani jednego dnia nie opuściła w nauce, zawsze miała żelazne zdrowie. Gina się pożegnała. Gedeon Torma – to było zdumiewające! – znów jej podał rękę. Dziewczyna raz jeszcze ogarnęła wzrokiem ten czarny pokój i smętnie siedzących nad dziennikiem nauczycieli, potem się ukloniła, tak jak nauczyła ją Zuzanna, i pospieszyła do pokoiku szpitalnego.

Torma była sama. Gdy tylko zobaczyła Ginę, natychmiast usiadła i zapytała, czy przyniosła jej coś do jedzenia, bo tutaj morzą ją głodem i umrze z wycieńczenia. Przyjaciółka wyciągnęła z torby ciastka, które kazała dla niej oddzielnie zapakować w cukierni pana Hajdy, i dała Piroscie. Biedna chora rzuciła się na nie jak wygłodzony wilk i połykała, prawie nie gryząc. Jednocześnie z pełnymi ustami prosiła Ginę, by, na Boga, opowiedziała po kolei, co się działo w nocy, bo wprawdzie Mari Kis i Bánki były u niej, ale tylko chichotały i nim zdążyły wszystko porządnie opowiedzieć, weszła pielęgniarka i kazała im wracać do siebie. Gina powtórzyła jeszcze raz całą historię w wersji, jaką opowiedziała Mari Kis i Bánki. Torma tylko westchnęła, że jednak nie na próżno łykała te wszystkie obrzydliwe leki, po których naprawdę źle się czuje.

Widać to było po niej. Ta miła buzia, która w ciągu paru miesięcy stała się dla Giny droższa od którejkolwiek peszteńskiej przyjaciółki, zrobiła się mizerna. Wszystkie skarby Giny kryły się teraz w jej torbie, zarówno rzeczy przechowywane w skrzyni z pelargoniami, jak i te, które w czasie ostatniej swojej wizyty przekazał jej ojciec od cioci Mimó. Przedmiotami tymi cieszyły się wszystkie piątoklasistki, ale oczywiście należały one do Giny i bez jej pozwolenia żadna nie mogła z nich korzystać. Były tam perfumy, których nie śmiały używać, tylko wachały, broszka w kształcie wiewiórki ze wspaniałymi markazytowymi ślepkami, szminka oraz przedmiot

stałego zachwyty klasy – automatyczny ołówek, który miał grafity w kilku kolorach: niebieskim, zielonym, czerwonym i czarnym. Można by go wykorzystać z ogromnym pożytkiem, gdyby nie przepis zabraniający, by uczennice różniły się między sobą chociażby ołówkiem. Gina więc męczyła się na zajęciach, używając do rysunków złej jakości węgierskich kredek wyprodukowanych w czasie wojny.

Torma patrzyła, jak owe drobiazgi pojawiają się na jej kołdrze i nie rozumiała, co Gina chce z nimi zrobić. Bawić się nimi i tak by nie mogła, do tego pokoju stale ktoś zaglądał.

– Przyniosłam je tobie – oświadczyła Gina. – Wszystko tobie oddaję. Na zawsze.

– Masz chyba gorączkę? – spytała zdumiona Torma. – Oszalałaś? Te skarby? A tobie co zostanie?

Nie mogła jej powiedzieć, że zostają jej wolność, Budapeszt, miłość ojca, dawny dom. Musiała milczeć, cieszyła się tylko, że przed wyjazdem przyszło jej jeszcze do głowy, aby wyciągnąć swoje skarby i ofiarować tej, która poza frywolną nocną koszulką nie ma nic. Torma jest najbardziej samotna.

– Już mi nie są potrzebne – odpowiedziała. – Żadnego z nich już nie chcę. Tobie je daję, niech ci służą z pożytkiem.

Gdyby Torma, zawsze tak bojaźliwa i ostrożna, na widok grzebyka w srebrnej oprawie, szminki, automatycznego ołówka i innych skarbów nie straciła

głowy, gdyby nie sprzeciwiła się Ginie, gdy ta chciała zawiązać te wszystkie skarby w dużą chusteczkę i schować do owego rombu obok nocnej koszulki, gdyby nie posprzeczały się o to, wówczas wcześniej usłyszałyby, że drzwi za nimi się otwierają. A tak zauważyły, że za plecami Giny stoją König i pielęgniarka dopiero wtedy, gdy profesor chrząknął. Torma uniosła wzrok, a Gina się odwróciła. König trzymał w ręku talerzyk z jabłkiem, pielęgniarka zaś spoglądała na nie wzrokiem przypominającym niebo podczas burzy.

– Jabłko dobrze robi na chory żołądek – powiedział König. – Wszyscy to mówią. Jak się pani czuje, Pirosko?

Torma nie mogła słowa wykrztusić. Obydwoma rękami osłaniała skarby, które pstrzyły się na jej kołdrze. König jako krótkowidz nizej pochylił się nad łóżkiem. Wziął do ręki otwartą szminkę, obejrzał, nawet powąchał, po czym podniósł grzebyk, bardzo mu się podobał, przesunął paznokciem po jego białych zębach. Gina pomyślała, że König chyba po to się urodził, aby życie ludzkie zamieniać w piekło. Pielęgniarka wciąż jeszcze milczała i tylko oddychała głęboko jak ktoś, kto nie może złapać powietrza.

– Proszę tego nie zabierać – odezwała się Torma i jej głos, słaby, płaczliwy głos, często powracał w pamięci Giny nawet wtedy, kiedy była już dorosła i jej własna córeczka lekceważąco rzucała na stół jakiś naprawdę wartościowy przedmiot, z którego wcale się nie cieszyła, ponieważ przywykła, że od urodzenia miała wszystko. –

Proszę tego nie zabierać, panie profesorze, bardzo proszę!
Proszę tego nie zabierać, siostró!

Königowi drgnęły usta, położył grzebyk i szminkę. Pielęgniarka zaś chwyciła ręcznik z oparcia łóżka, zacisnęła wargi, aby zdenerwowanie nie przyniosło jej na język jakiegoś brzydkiego, niepodobającego się Bogu słowa, i nie zwracając uwagi na łkającą Tormę, zgarnęła weń wszystko i wybiegła z pokoju.

„Zaniosła Zuzannie – pomyślała Gina. – Teraz nie jest już ani moje, ani Tormy. I znów będą kłopoty. Ale jeśli będą karać, to chcę, aby mnie ukarali, bo mnie już i tak jest wszystko jedno”. Torma naciągnęła na głowę kołdrę i płakała. König natomiast nie spuszczał oczu z Giny, która stała obok zupełnie pogodna. Żal jej było tylko Tormy, biedaczka ledwo zaczęła się cieszyć otrzymanymi skarbami i już je straciła. Wkrótce zjawiała się Zuzanna, trzymając w ręku ręcznik z dowodami winy. Spojrzała na Königa, który powinien był wyczytać z jej wzroku, że ma wyjść, ale on nie pojął nic i nadal pozostał w pokoju, co już samo w sobie było nieprzyzwoite według przepisów obowiązujących na pensji. Mężczyźnie, nawet jeśli jest profesorem, nie wypada przebywać w pokoju chorej uczennicy.

Zuzanna chciała najpierw przesłuchać Tormę, ale ta nie się odzywała, nawet głowy nie wysunęła spod kołdry. Gina odpowiedziała za nią. Przyznała się, że wszystkie te rzeczy są jej, przyniosła je przyjaciółce do zabawy. Torma jest zupełnie niewinna. Na pełne zdumienia

pytanie Zuzanny, dlaczego dotąd nie widziała tych wszystkich niemiłych Bogu błyskotek, odparła, że trzymała je dotychczas w różnych schowkach. König tylko obserwował Ginę, z jakim spokojem i butnie odpowiada diakonisie. Zuzanna była zagniewana, zawsze szczególnie denerwowało ją, gdy się przekonywała, że została oszukana. Powiedziała Ginie, że jeszcze nie wie, jak ją ukarze, postara się jednak, by dobrze to sobie zapamiętała. Gina z pogodną miną przytaknęła, zupełnie jakby ją pochwalono. König ciągle nie spuszczał oczu z jej twarzy. Diakonisa pewnie by już poszła, gdyby nie Torma, która właśnie poczuła, że byłoby hańbą, gdyby jeszcze miano ukarać tę nieziemsko dobrą Ginę, i po raz pierwszy w życiu przewyciężyła strach. Nagle wyjrzała spod kołdry i wyjąkała, że Vitay bierze winę na siebie, a to przecież nieprawda. Vitay jest najbardziej bezinteresowną uczennicą w całej szkole, wszystko, co tylko miała, podarowała jej dzisiaj po południu.

I niech wiedzą, że to ona jest nową właścicielką tych przedmiotów, więc ją powinni ukarać, a nie koleżankę, która jej te rzeczy oddała.

Diakonisa była już tak oburzona na dziewczęta, że ledwo mogła nad sobą zapanować. Powiedziała Tormie, że jeśli i ona życzy sobie być ukaraną, to nic nie stoi na przeszkodzie, po czym tak spojrzała na Königa, iż wreszcie zrozumiał i ruszył do wyjścia. Zuzanna skinęła na Ginę, aby również wyszła, ale ona tylko patrzyła na Tormę, wiedziała bowiem, że pewno nigdy więcej w

życiu już jej nie zobaczy. Pochyliła się więc nad nią, objęła za szyję i serdecznie pocałowała, co nawet w świetlicy byłoby postępkim oburzającym, a co dopiero mówić o pokoiku szpitalnym. Szepnęła przy tym: „Niech Bóg cię błogosławi, kochanie”. Diakonisa nie mogła wprost z siebie słowa wydobyć, pokazała tylko drzwi. Gina z całym spokojem ducha wyszła, nie zapomniawszy pozdrowić oddzielnie Königa i oddzielnie Zuzannę. Tak grzecznie i zgodnie z regulaminem jeszcze się nigdy nie kłaniała.

Wróciła do świetlicy i zasiadła do lekcji, jakkolwiek dobrze wiedziała, że więcej już nikt nie będzie jej pytał. Co chwila zerkąła na zegar i ze zdumieniem stwierdzała, że dzisiaj czas szybko leci. O wydarzeniu w pokoju szpitalnym nie mogła opowiedzieć dziewczętom, ponieważ nie było jeszcze wolnych zajęć. Zresztą nie miała ochoty zdawać sprawozdania z tego, co się znów stało. Zuzanna obiecała ukarać ją dopiero nazajutrz, a wtedy ona będzie już bardzo daleko, po co więc ma sprawiać koleżankom przykrość, opowiadając, że wszystkie swoje rzeczy chciała ofiarować Tormie.

Podczas wolnych zajęć Mari Kis i Bánki ciągle na nowo wracały do wydarzeń z nocy i Gina była już trochę zmęczona stałym powtarzaniem tego samego kłamstwa. Ucieszyła się, gdy nadeszła pora kolacji. Spojrzenie Königa czuła na sobie również podczas posiłku. Odpowiedziała na nie prawie zadziornie. „Teraz pewnie łamiesz sobie głowę, dlaczego nie jestem zdenerwowana

czy smutna mimo czekającej mnie kary – myślała Gina. – Dowiesz się jutro, co dało mi siłę i napełniło dobrym humorem”. Podczas wieczornej modlitwy, ostatnich wspólnych modłów, w których uczestniczyła, sama się zdziwiła, jak wielkie ogarnęło ją wzruszenie. Jej wewnętrzny bunt przeciwko surowości tego czarnobiałego świata znów jakby złagodniał. Tego wieczoru Zuzanna była szczególnie piękna, piękna i smutna. A te miesiące od jesieni? Jakie one właściwie były? Nie tylko pełne goryczy, o nie, było też dużo blasku, radości, miłości i śmiechu.

Kiedy już położyła się do łóżka, nie musiała długo szeptać z dziewczętami, klasa była senna, a Bánki i Mari Kis szczególnie. Po dziesiątej wszystkie już spały i Gina zabrała się do przygotowań. Nie czuła żadnych emocji. Tak wierzyła Feriemu, że nawet nie przyszło jej do głowy, że mogłoby się to, co ustalili, nie udać. Sukienkę i płaszcz ukryła pod materacem jeszcze wówczas, gdy dziewczęta myły się w łazience. Teraz musi się normalnie ubrać, gdyż nie może jechać do Pesztu w szlafroku, i to na dodatek z Ferim. Za piętnaście dwunasta była już ubrana. Kiedy sznurowała obrzydliwe buciki o wysokiej cholewce, zastanawiała się, co też powie porucznik, gdy zobaczy ją w tym pensjonarskim stroju. Nim wyszła na korytarz, powiodła wzrokiem po sypialni, przyglądając się śpiącym koleżankom. Tak dobrze byłoby pożegnać się z nimi, ucałować je, tak bardzo wszystkie lubiła. Ale nie wolno ryzykować.

Wyjrzała przez uchylone drzwi, zerkając w stronę pokoju Zuzanny i części zamieszkaną przez profesorów. Było pusto i spokojnie. Człowiek czasami potrafi wyczuć, że to, co przedsięwziął, się uda. Gina była dziwnie pewna, że nikt jej nie zatrzyma i bez przeszkód wydostanie się z budynku. Otworzyła okno i wyskoczyła do ogrodu, po czym przymknęła je na tyle, aby przepuszczało jak najmniejszy snop światła. Co prawda, jeśli ktoś zauważy, że Giny nie ma w łóżku, to najpierw będzie jej szukał w budynku, nie przyjdzie mu do głowy biec za nią do ogrodu. Czego bowiem mogłaby szukać matulanka w ogrodzie o tak późnej porze?

Właśnie odezwał się głęboki, uroczysty głos zegara, gdy Gina biegła przez ogród skąpany w świetle księżyca przed posągami Abigél. Biegła do dawnego życia, do domu, do cioci Mimó, Feriego i ojca: do świata, który był za murem. Dotarła do furtki i czekała, aż się otworzy. Mimo iż nie słyszała z drugiej strony żadnego szmeru, czuła, że nie jest tu sama. Zegar kościelny uderzył po raz ostatni, Gina obrzuciła pożegnalnym spojrzeniem śpiący budynek i ogród, od którego napływał chłodny marmowy zapach ziemi i fiołków. Jej twarz i postać były dobrze widoczne w świetle księżyca.

Od zewnątrz ktoś zastukał w żelazną furtkę i Gina odpowiedziała lekkim stuknięciem.

– Zsini – zaszeptał Feri. – Musi pani zaczekać. Są przechodnie na ulicy. Czy pani mnie słyszy?

– Słyszę – odparła cichutko.

– Dwóch mężczyzn rozmawia po drugiej stronie, akurat na wprost pensji. Całe szczęście, że latarnie się nie palą.

Nie odezwała się, ale ogarnął ją jakiś niepokój i napięcie. Wiedziała, że nie może jeszcze stąd wyjść, ale instynkt kazał uciekać, popędzał.

– Samochód czeka w poprzecznej ulicy. Bałem się zaparkować pod furtką, mógłby ktoś zauważyć. Nie zwykły tu chyba parkować samochody. Jak dobrze, że tak zrobiłem. Cóż to za miejsce, ten Árkod, takiego miasta jeszcze nie widziałem. Jak pani tu wytrzymała, moje biedactwo.

– Z trudem – szepnęła. – Możemy już iść?

– Zaraz. Tamci już się żegnają, słyszę ich głosy. Nigdy bym nie przypuszczał, że w takim małym prowincjonalnym mieście ktoś może wałęsać się o tej porze po ulicach. No, chyba już idą. Niech pani uważa, Zsini, otwieram furtkę.

Gina prawie przylgnęła do żelaznych drzwi. Słyszała, jak Feri wkłada klucz w zamek, jak z trudem go przekręca. Dziewczyna całym ciałem napierała na drzwi. Nie drgnęły, były zamknięte na dwa spusty. Klucz znów zazgrzytał, a potem zgrzyt jakby nagle zamarł. Gina stała przytulona do furtki, na zewnątrz słychać było pospieszne kroki dwu osób. Zabłyśło światło latarki.

– Ejże – odezwał się obcy głos. – A cóż to takiego? Proszę się nie ruszać! Co pan tu robi z tym kluczem? Po co pan otwiera tę furtkę?

– Zabierz światło z mojej twarzy, idioto! Zwróci pan uwagę ochrony przeciwlotniczej. Niech pan odłoży tę latarkę – wyszeptał Feri. – Czego panowie tu szukają?

– Czego szukamy? – oburzył się obcy głos. – Czego pan tu szuka? Kto pana przysłał? Kim pan jest? Ktoś z państwowego gimnazjum?

A może włamywacz? No, niech pan poczeka. Zaraz pójdziemy do dyrektora. Ejże, jeszcze się bije?! Chodź no tu, kumie, potrzyмай go, a ja zaalarmuję pensję.

Dzwonek, którego nikt nigdy nie używał, mimo że od stuleci wisiał przy furtce bez klamki, teraz nagle przemówił. Gina stała w miejscu, jakby wrosnięta w ziemię, a dzwonek rozpaczliwie dzwonił. Później usłyszała przekleństwa, czyjeś pospieszne kroki, i nagle nastąpiła cisza, przeraźliwa, śmiertelna cisza. Jej umysł przez chwilę był jak sparaliżowany, póki nie zadziałał instynkt samoobrony. Gina pobiegła spiesznie z powrotem, znów koło uśmiechniętego posagu Ábigel, do okna, przy którym tym razem nie było Mari Kis. Bez niczyjej pomocy musiała wdrapać się na parapet. O mało serce jej z piersi nie wyskoczyło, gdy wreszcie stanęła w korytarzu. Drzwi pokoju Zuzanny były otwarte, paliła się lampa, diakonisa pewnie dokądś wybiegła, może do głównej bramy, może do części profesorskiej. Chyba nie pobiegła do sypialni? Oby tylko dziewczęta się nie obudziły!

Na szczęście wszystkie spały. Zrzuciła ubranie, naciągnęła nocną koszulę, a sukienkę i płaszcz wrzuciła

pod łóżko. Drżała na całym ciele, póki nie skryła się pod kołdrą. Coś uciskało ją w plecy, ale nie zwróciła na to uwagi, łzy płynęły jej strumieniem. Przychwycono Feriego na gorącym uczynku, zmuszono do ucieczki, teraz już nie ma dla niej ratunku. Ponieważ próbował dostać się od strony ogrodu, to pewnie od jutra będą pilnować tej furtki albo założą żelazne sztaby z kłódką, tutaj wszystko jest możliwe. Płakała gorzko i tak głośno, że Mari Kis się przebudziła, ale tylko mruknęła coś pod nosem i przekręciła się na drugi bok.

Osobą, która z daleka wyczuła, że z Giną coś się dzieje, była Zuzanna. Weszła do sypialni w swoim dziennym stroju, jakby to nie była noc. Poprawiła krzywo stojące krzesło i usiadła obok łóżka Giny. Przytknęła rękę do czoła płaczącej dziewczyny, jej chłodne palce o zapachu mydła przyniosły pewną ulgę.

– Postaram się wymyślić coś, aby ci było tutaj lżej – powiedziała cicho Zuzanna. – Obawiam się, że nie mam dość cierpliwości do ciebie, ale taka jesteś inna niż wszystkie dziewczęta, z którymi miałam do czynienia, taka dzika, nieposłuszna. Choćby dzisiejszy twój postępek, ten cały zbiór zabronionych przedmiotów. Bądź w końcu dobra, Gino. Bardzo się na ciebie rozgniewałam, ale teraz już się nie gniewam i jeśli nawet dyrektor cię ukarze, to nie będzie to taka straszna kara, abyś z tego powodu w nocy nie mogła spać i aż tak łkała z rozpacz.

„Chyba sobie nie wyobrażasz, że ciebie się boję i dyrektora – myślała Gina, a łzy jej płynęły i płynęły. – Co

się stanie z Ferim? Co będzie ze mną?”

Diakonisa jakby wyczuła, o czym Gina myśli, i znów się odezwała:

– Słyszałaś poprzednio ten dzwonek? Dzwonił pan Mráz, ktoś chciał się do nas przedostać przez ogrodową furtkę, jakiś złodziej, ale przestraszył się szklarza i jego przyjaciela. Nie wolno powiedzieć o tym pierwszoklasistkom, są jeszcze za małe, zaczną się bać, a przecież nam nie może się przytrafić żadne nieszczęście. Dobrzy ludzie opiekują się nami.

Odczekała chwilę, pewnie spodziewając się, że i Gina coś powie, podziękuje za to, że Zuzanna jej wybaczyła. Ale Gina milczała, była śmiertelnie zmęczona, pozbawiona wszelkiej nadziei. Diakonisa poradziła jej jeszcze, by się pomodliła, i wyszła z sypialni.

Dziewczynie nagle przestały płynąć łzy, powróciły siły. Wstała, aby przemycić do szafki płaszcz i sukienkę, nim ktoś zauważy je pod łóżkiem, gdy zabrzmiał poranny dzwonek. Wróciła z korytarza ogromnie zmęczona i odrzuciwszy kołdrę, zabrała się do poprawiania prześcieradła, gdyż przedtem coś ją w plecy uwierało. I naraz w świetle nocnej lampki zobaczyła, co to było. Patrzyła, długo nie wierząc własnym oczom. Oto na jej prześcieradle błyszczy srebrna popielniczka, ta sama, którą kupiła ojcu w drodze do Árkodu. Pod nią leżała kartka ze znajomym pismem. Kiedy ją przeczytała, zapatrzyła się niemo przed siebie. Ani łzy, ani krzyk nie

mogły wyrazić tego, co czuła.

Tę popielniczkę, którą kupiłaś mu u jubilera w Szolnoku, w rewanżu za wisiołek z księżycem, ojciec mi pozostawił, abyś wiedziała, że ze mną rozmawiał i mojej opiece powierzył twoje życie. Począwszy od dziś, ja decyduję o twoim losie, ponieważ twój ojciec był jednym z pierwszych, których Niemcy aresztowali 19 marca. Porucznik Kuncz 20 marca przyjechał do Árkodu, aby cię wywabić z pensji i wykorzystując miłość ojca do ciebie, zmusić go, by zdradził swoich współtowarzyszy. Gdybym na ciebie nie uważała, byłabyś już ich zakładniczką i szantażowano by tobą generała. Odtąd ja ustalam, co i kiedy masz zrobić, a to, co ci przekażę, powinnaś przyjąć tak, jakby to ojciec ci rozkazywał. Nie szarp się, nie rozpaczaj, będę czuwała nad tobą. Bądź spokojna i czekaj, dopóki znów się nie odezwę. Abigél

Feri Kuncz na pensji

Poranek był taki sam jak każdy inny. Spieszyły się, biegały, wpadały na siebie w łazience, poganiały się, nie miały więc czasu zauważyć, że Vitay jest blada i ma dziwną minę. Gdyby nie lekarka, która przechodząc korytarzem jeszcze przed poranną modlitwą, przyjrzała się Ginie, to być może do samego obiadu nic by nie zauważono z powodu mnogości zajęć i zaaferowania lekcjami. Lekarka zatrzymała ją, zbadała puls, obejrzała gardło, zapytała, czy przypadkiem Gina źle się czuje i kazała jej przyjść do swojego gabinetu podczas dużej przerwy, aby ją mogła zbadać. Dopiero wówczas Mari Kis i koleżanki zauważyły, jak bardzo ich przyjaciółka jest blada. Na ich pytania kręciła jednak głową i mówiła to samo, co lekarce, że nie czuje się źle. Tymczasem lekarka rozmawiała w pobliżu z siostrą Zuzanną i słyszały na własne uszy, jak martwiła się, że biedna Torma dostała w nocy gorączki. Zupełnie nie wiadomo od czego. Przecież wczoraj przez cały dzień piła tylko herbatę i doskonale się czuła, a dzisiaj ma jak najbardziej ostre objawy rozstroju żołądka, nie ma mowy, aby ją puścić na lekcje.

Gina słuchała bez uśmiechu, jak obie dorosłe kobiety zastanawiają się nad niezrozumiałym nawrotem

dolegliwości Tormy, a przecież ona wiedziała, że przyjaciółka na wygłodzony żołądek połknęła prawie bez gryzienia ciastka z kremem z cukierni pana Hajdy. Teraz wszystko wydawało się jej jakieś odległe, nawet sama twierdza, w której nadal musi żyć, a dorośli nie byli dla niej bardziej realni od cieni. Diakonisa nie czyniła żadnych aluzji do ich nocnej rozmowy ani wczorajszej historii w pokoiku szpitalnym u Tormy, sama Gina też o tym nie myślała, było to bowiem wydarzenie bez znaczenia w porównaniu z jej obecnym, prawdziwym nieszczęściem. Dopiero po modlitwie, kiedy zobaczyła, że pielęgniarka podchodzi do dyrektora i coś mu mówi, a zdumione spojrzenie czarnego człowieka kieruje się na nią, przypomniała sobie, na jakim to gorącym uczynku ją przyłapano, i pojęła, że Zuzanna chciała zataić to, co się stało, albo przynajmniej w odpowiednim naświetleniu i przy innej okazji powiadomić o tym Gedeona Tormę. Tymczasem urażone poczucie sprawiedliwości siostry pielęgniarki domagało się natychmiastowego ukarania winowajczyni, tak więc dzień zacznie się od kary. Polecenie, aby po modlitwie udała się prosto do gabinetu dyrektora, a nie na lekcję, prawie Ginę ucieszyło. Wszystko wydawało jej się teraz lepsze od pozostania sam na sam ze swoimi myślami, z rozwiązywaniem zagadki, która dotychczas nie wydawała jej się zagadką lub może ona sama nie była ciekawa jej rozwiązania. Nie wiedziała, jak ma wyjaśnić klasie to, co się jej znów przydarzyło. Dziewczęta odprowadzały ją przestraszonym

wzrokiem, kiedy szła w stronę dyrektorskiego gabinetu. Z faktu, że Gedeon Torma poprosił do siebie również Kalmára, który zawsze tego dnia między ósmą a dziewiątą miał okienko, wnioskowała, że będzie ją chciał przesłuchać w obecności wychowawcy i wspólnie rozstrzygną, jak należy ukarać winną. Było jej wszystko jedno, nawet dobrze, że zostanie ukarana, będzie to przynajmniej coś konkretnego, zwykłego w tej przerażającej, niepewnej sytuacji.

Z dziwnym, nigdy niedoznanym uczuciem przywiązania spoglądała na drzwi gabinetu, czekając, aż ją poproszą. Surowe oceny Kerekesa, wymagania Hajdu, aby dokładnie zaznaczała takt w pieśniach kościelnych, regulamin, którego musiały przestrzegać, zakazy, których nie wolno było naruszać, w ogóle cały codzienny tryb życia na pensji wydał jej się teraz czymś miłym i napawającym poczuciem bezpieczeństwa. Ten czarno-biały surowy świat był przynajmniej uczciwy, nie miał nic wspólnego z podłością, zdradą, hańbą, śmiercią lub niebezpieczeństwem. Georgina Vitay, uczennica piątej klasy, oczekuje na zasłużoną karę, ponieważ ukrywała na pensji różne zakazane przedmioty i naruszyła obowiązujący regulamin. Jest nieposłuszną pensjonarką, którą szkoła musi krótko trzymać. Jeśli się zachowuje dobrze, zostaje pochwalona, a jeśli nie – wymierza się jej karę. Ta oczekująca tu gimnazjalistka pragnie zapomnieć o Zsini, bratanicy cioci Mimó, próżnej, głupiutkiej dziewczynie, która w towarzystwie dorosłych wyobraziła

sobie, że i ona jest już dużą panną. Tamta Zsini nie miała rozeznania w sytuacji i gdy z polecenia kontrwywiadu pewien przystojny porucznik zaczął ją emablować i prawić jej komplementy – aby w ten sposób znaleźć się bliżej generała Vitayego i trafić na ślad tych, którzy razem z nim walczą o to, by położyć kres wojnie, masakrze żołnierzy i zniszczeniu kraju – Zsini uwierzyła, że porucznik Kuncz wpadł w zachwyt na widok jej angielskich loków. Uwierzyła, że chodzi za nią dlatego, że jest naprawdę zakochany, a największym jego pragnieniem jest zaręczyć się z nią. Ojciec słusznie się obawiał, że mogą ją obserwować, dlatego przywiózł córkę do Árkodu, a ona bezmyślnie narażała się na niebezpieczeństwo swoimi ucieczkami i nieznośnym zachowaniem. Nieszczęsna Bánki, niczego nieświadoma, zdradziła miejsce jej schronienia, skąd ubiegłej nocy wywabiłby ją Feri Kuncz, gdyby Abigél mu nie przeszkodziła.

Kiedy ją wezwano do gabinetu, ujrzała na biurku dyrektora ręcznik z dowodami winy. Gedeon Torma rozłożył cały ten zakazany kramik, aby Kalmár, który stał ponury przy oknie, też go zobaczył. Nie te drobiazgi go martwiły, ale fakt, że znów musi ukarać swoją ulubioną uczennicę Vitay. Pokręcił głową z wyrzutem, kiedy Gina weszła i, jak to było przyjęte na pensji, spuściła wzrok.

Dyrektor uniósł oprawiony w srebro grzebień, po czym rzucił go z obrzydzeniem i zaczął prawić kazanie. Na wstępie odmalował naturę Tormy, swojej nieszczęsnej

siostrzenicy, którą i tak trudno jest utrzymać w karbach z powodu słabego charakteru. Szczególnie ma jednak za złe Georginie Vitay, że płocho i zawsze o marnościach tego świata marzącą Tormę naraziła na pokusę. I dlatego otrzyma jeszcze surowszą karę, niż normalnie by otrzymała. Do tego właśnie punktu dotarł, wygłaszając okrągłe cycerońskie zdania, kiedy zadzwieczał telefon. Kalmár już chciał uprzejmie chwycić za słuchawkę, ale Gedeon Torma pokręcił głową – niech zostawi. Nie lubił, gdy mu przerywano mowę. Telefon się jednak nie uspokoił, brzęczał i brzęczał. Ktoś, kto dzwonił, nie chciał zrezygnować i uniemożliwił dyrektorowi rozwinięcie talentu krasomówczego, uniemożliwił mu wyjaśnienie Georginie Vitay, jaką widzi przyszłość dla upartej, zakłamanej, obłudnej, nieposłusznej, ukrywającej świecidełka uczennicy. Skinął w końcu Kalmárowi, niech odprawi z kwitkiem telefonującego, niech wreszcie zapanuje cisza. Kalmár wysłuchał, o co chodzi rozmówcy, po czym rzekł:

– Tak jest, natychmiast daję! – Wyciągnął słuchawkę do Gedeona Tormy.

– Nie mam czasu – powiedział dyrektor. – Niech zadzwonią później. Mówiłem, abyś tak załatwił.

– Ależ to Kázmér Szenttamássy – szepnął Kalmár. – Chce z tobą rozmawiać osobiście.

Dyrektor mruknął pod nosem, że nie ma mowy, aby w budynku pensji urządzono tymczasowy szpital. Od tego mają gimnazjum imienia Pála Kokasa, które nie jest

instytucją kościelną, po czym niechętnie podniósł słuchawkę do ucha. Gina przyjrzała się jeszcze raz swoim byłym skarbowi na biurku i pomyślała, że przed wiekami, kiedy w tym budynku kształcili się młodzi księża, był karcer dla nieposłusznych wychowanków. Do dzisiaj zachowało się to miejsce, tylko że nie jest więzieniem, lecz hoduje się w nim pieczarki, które wykorzystywane są w kuchni na potrzeby pensji. Gdyby z powodu tej szminki i innych drobiazgów zamknięto ją w karcerze, to wcale nie byłoby źle. Tam nikt by jej nie znalazł. Być może bałaby się, ale dziewczęta coś by wymyśliły i Abigél także potrafiłaby tam dotrzeć. Karcer to przynajmniej bezpieczna kryjówka przed Ferim. Dziwne było, że właśnie o karcerze myślała jak o najbardziej upragnionym miejscu.

Dyrektor odpowiadał zdawkowo i nie można było wywnioskować, o czym prowadzą rozmowę, poza tym, że na coś się zgodził. Ginę to jednak zbytnio nie interesowało. Co innego miała na głowie, niż zastanawiać się, kto mógł dzwonić do Gedeona Tormy. Dyrektor kolejno podtykał jej pod nos poszczególne przedmioty, owe nieszczęsne skarby, a Gina musiała opowiedzieć historię każdego z nich, gdzie, kiedy i jaką drogą dostały się one na pensję, co ze sobą przywiozła, a co dostała później od ojca, i gdzie to wszystko dotychczas ukrywała. Powiedziała tylko o skrzyni z pelargoniami, o bryłach geometrycznych milczała, niech pozostanie Tormie przynajmniej nocna koszulka. Długo wypytywał ją o to,

jaką w tym rolę odegrała Piroska. To widać najbardziej go obchodziło. Kalmár nie stawiał żadnych pytań, tylko patrzył na nią smutno. Dyrektor indagował ją właśnie o broszkę przedstawiającą wiewiórkę z markazytowymi oczkami, kiedy znów odezwał się telefon. Tym razem też Kalmár podniósł słuchawkę i powiedział, że dzwoni portier. Dyrektor mruknął do słuchawki, że wie o wizycie tego człowieka, niech go zatem wpuści. Ginie kazał wyjść z gabinetu, wyjaśnił, że zmuszony jest przerwać przesłuchanie, ponieważ musi natychmiast kogoś przyjąć. Niech więc Gina zaczeka na korytarzu, do klasy niech nie wraca, bo jak skończy sprawę z tym człowiekiem, to ją znów wezwie.

Kalmár pozostał w pokoju, a Gina wyszła. Oparła się o ścianę i patrzyła na tablice ze zdjęciami maturzystek. Wisiały one pod herbem pensji. Wszystko, co jeszcze wczoraj było dla niej nudne, dziecinne, znienawidzone, teraz wydawało się wspaniałe, promieniujące spokojem i bezpieczeństwem. Zastanawiała się, kim może być ten człowiek, którego dyrektor zgodził się natychmiast przyjąć, pewnie jakaś ważna osoba. Przestraszyła się, że może to być ktoś z wyższych władz szkoły, może ją spytać, dlaczego sterczy pod drzwiami, a nie jest na lekcji. Przeszła więc dalej w stronę magazynów, od których oddzielały korytarz drzwi wahadłowe. Stała za tymi drzwiami i przez szparę obserwowała wejście do gabinetu. Jeśli ktoś ją zawoła, to usłyszy i natychmiast przybiegnie, ale gość lepiej niech jej nie widzi, niech się

przed nim nie musi wstydzić.

Ten ktoś szedł właśnie po schodach. Kiedy go zobaczyła, omal nie puściła uchwytu przy drzwiach. Porucznik Kuncz był teraz w mundurze. Nim zapukał do drzwi, poprawił na sobie pas. Nie patrzył ani w prawo, ani w lewo, spieszył się.

Gdyby nie wiadomość od Abigél, Gina biegłaby teraz do niego jak na skrzydłach, uczepiłaby się jego ręki i żadna siła nie mogłaby jej od niego oderwać. Ufnie by za nim poszła, gdyby ją zwolniono. Teraz kurczowo trzymała się drzwi, dopóki porucznik nie wszedł do dyrektora. Potem podbiegła pod sam gabinet i przyłożywszy ucho do dziurki od klucza, z bijącym sercem nasłuchiwała, o czym rozmawiają. Widocznie było już po pierwszych słowach powitania i prezentacji, ponieważ dyrektor mówił:

– Komendant miasta Szenttamássy poinformował mnie, że pan po – rucznik ma rozkaz odwiedzić mnie w naszej szkole. Na wstępie chciałbym zwrócić pana uwagę na to, że pensja Matuli zajmuje zabytkowe pomieszczenia i w związku z tym jest zwolniona od dawania kwater. Jeśli więc interesuje się pan tego rodzaju możliwościami, to przykro mi, ale mogę powiedzieć tylko tyle, iż choć w myśl zarządzeń o obronie kraju zobowiązany jestem udzielić naszym siłom zbrojnym wszelkiej pomocy, to w tym wypadku zwalnia mnie od tego obowiązku pismo ministerstwa.

– Proszę się uspokoić, panie dyrektorze – odezwał się

głos, ten sam głos, który ubiegłej nocy szeptał przez dziurkę od klucza: „Zsini, maleńka Zsini, czy pani mnie słyszy?” – O co innego chodzi. Mam rozkaz, aby jedną z pana uczennic, Georginę Vitay, zawieźć do ciężko chorego ojca.

„Boże – myślała dziewczyna – nawet jego uśmiech i oddech kłamią. Co będzie, jeśli mu uwierzą?” Gedeon Torma, w którego oczach szczytem ludzkiej nikczemności było ukrycie szminki, nie będzie w stanie pojąć, do jakiej to gry chcą użyć jej osobę. Dlaczego miałby podejrzewać, że ów porucznik, oficer, który przyszedł do niego z rozkazem, nie mówi prawdy – wszak w świecie otaczającym dyrektora najwyższej wychowanki mogły kłamać.

– To naprawdę przykre – usłyszała głos Kalmára. – Co się stało panu generałowi?

– Miał wypadek – wyjaśnił Ferenc Kuncz. – Wypadek samochodowy. Stan jest ciężki, powiedziałbym: krytyczny.

„To wyjątkowo prawda – pomyślała Gina. – Stan każdego więźnia jest krytyczny. Wczoraj chorował na serce, a dziś miał wypadek samochodowy. Ciekawe, co będzie dolegało mojemu ojcu, gdy będzie o nim mówił po raz trzeci?”

Jeśli dyrektor wezwie ją i przekaże Feriemu, to koniec. Gdyby się teraz ukryła gdzieś w budynku, to i tak ją znajdą. Nie ma tu przecież takiego kąta, którego Gedeon Torma by nie znał. Z terenu pensji się nie

wydostanie, zresztą gdzie by mogła się schronić w tym mieście, gdyby ją nawet wypuszczono? Na Abigél nie może teraz liczyć, Bóg wie gdzie jest i co robi w tej chwili, pewnie nie podejrzewa nawet, w jakim niebezpieczeństwie Gina się znalazła, na próżno w nocy obiecała jej pomoc. Dyrektor zaraz powie, że właśnie owa uczennica jest na korytarzu, każe ją zawołać, a gdy Gina wejdzie i oznajmi, że porucznik kłamie, gdyż ojciec jej jest więźniem, to i tak nie potrafi tego udowodnić. Bo czym? Listem Abigél?

– Obawiam się, że nie będzie to możliwe – usłyszała znów głos dyrektora. Gedeon Torma zawsze mówił wolniej niż każdy zwykły śmiertelnik, ale tak wolno jeszcze nigdy. – Z generałem Vitaym uzgodniliśmy, że córkę mogę wydać tylko jemu osobiście, oczywiście gdy nasz regulamin na to zezwoli. W tej chwili sprawa i tak nie byłaby aktualna, ponieważ rok szkolny jest w toku i nie mamy zwyczaju udzielać dodatkowych wakacji.

– Ale jeśli pan generał jest tak chory? – wtrącił się Kalmár.

– Poważnie chory – potwierdził Feri Kuncz. – Powtarzam, stan jego jest tak ciężki, że osobiście nie mógłby po córkę przyjechać. Pan dyrektor nie może brać za to odpowiedzialności, że dziecko nie zobaczy więcej ojca... gdyby pan generał nie wyzdrowiał.

– Byłoby mi bardzo przykro, gdyby tak się stało – mówił dalej dyrektor. – W tym wypadku będę musiał później odpowiadać przed sądem Bożym. Jednakże

generał Vitay dał mi takie polecenie, że nawet wówczas, gdyby on konał, nie mogę wydać nikomu jego córki ani zwolnić jej na pogrzeb. Tak sobie życzył i taką zawarliśmy umowę. Dziewczyna za trzy lata i trzy miesiące zda maturę i wtedy może po raz pierwszy sama opuścić pensję bez towarzystwa ojca. Zresztą na taki okres opłacone zostało chesne.

„Ojczy – powiedziała w myślach Gina i przeraziła się, gdyż po raz pierwszy pomyślała o ojcu jako o zmarłym, o którego testamencie właśnie nadeszła wiadomość – więc zatroszczyłeś się nawet o to, bym miała schronienie, gdy nasz dom legnie w gruzach?”

– Pan dyrektor zdaje się zapominać o tym, że ja otrzymałem rozkaz przywiezienia córki generała Vitayego do Pesztu.

– Nie zapomniałem – odpowiedział Gedeon Torma, a jego głos, którego czasem się bała, czasem ją śmieszył, a często nudził, był teraz poważny, niezłomny jak Árkod, jak sama pensja Matuli. – O niczym nie zapomniałem, panie poruczniku. Tylko że pana rozkaz nie jest dla mnie rozkazem. Moją ziemską władzą nadrzędną jest biskup Árkodu i minister do spraw wyznań i oświaty, niewidzialną zaś, która każe mi się rozliczyć z dotrzymania obietnicy, jest nasz Zbawiciel Chrystus.

– Niech się pan zastanowi – mówił głos, taki miękki i przymilny owej nocy przy furtce w ogrodzie, obecnie zaś szorstki, prawie niegrzeczny – nie chciałbym uciekać się do mocniejszych środków. Córkę generała Vitayego

muszę stąd zabrać za wszelką cenę.

– Nie zabierze pan, panie poruczniku – odparł Gedeon Torma i Gina wywnioskowała z szelestu, że podnosi się z krzesła. – Nie zabierze pan, dlatego że nasza pensja w mojej osobie zagwarantowała jej ojcu, iż nie wyda córki nikomu obcemu. Tym bardziej panu, ponieważ w ostatnim czasie powstało jakieś niezwykle zainteresowanie osobą dziewczyny, od wielu dni portier nieustannie jest nękany telefonami w związku z Georginą Vitay. Przykro mi, ale jestem bardzo zajęty, prowadzę właśnie dochodzenie dyscyplinarne, pozwoli pan więc, że skończymy jałową rozmowę.

– Panie dyrektorze, niech pan sobie zapamięta, co powiem: pan wyda mi Georginę Vitay. Nie mogę też obiecać, że pensja nie odczuje w przyszłości tego, iż jej dyrektor utrudniał pracę organom obrony kraju.

– Dotychczas sądziłem, że tylko chorego człowieka pozbawiam widoku córki – powiedział Gedeon Torma. – Jeśli jeszcze na dodatek utrudniam pracę organom obrony kraju, to jest to nowa i godna pożałowania okoliczność. Ale nawet w tym wypadku nie wydam dziewczynki, ponieważ nie mogę wydać. I jeśli uczynił pan aluzję, że ja osobiście jestem za wszystko odpowiedzialny, to też jest prawdą i wówczas muszę ponieść konsekwencje tego, co sobie na głowę ściągnąłem. Chociaż ze mną tylko to może się dziać w przyszłości, co Bóg zarządzi. Cieszę się, że miałem okazję pana poznać, panie poruczniku. I jeszcze coś.

Gina już chciała uciekać, skryć się za drzwiami wahadłowymi, ale to zdanie ją powstrzymało. Miała ochotę krzyknąć ze szczęścia i czuła jakąś nagłą gorącą miłość do Árkodu i czarnego człowieka, czego się w ogóle po sobie nie spodziewała.

– Chciałbym jeszcze panu powiedzieć, że byłbym najszczęśliwszym człowiekiem, gdybym mógł wydać panu Georginę Vitay, ponieważ bardziej nieokiełznanej i nieprzyjemnej uczennicy nie miałem w ciągu całej mojej trzydziestopięcioletniej kariery pedagogicznej. Tylko że nie mogę tego uczynić, ponieważ dałem słowo. Do widzenia.

Odpowiedzi Feriego już nie słyszała, ukrywając się za załomem korytarza. Widziała go jednak, jak wychodził, jak gniewnie poprawiał pas. Gdy spieszył w stronę schodów, Gina, drżąc ze strachu, patrzyła za nim, jakby go widziała po raz pierwszy. Kiedy na dole zaskrzypiała brama, wróciła przed drzwi gabinetu. Gdyby nie to, że słyszała wszystko, o czym rozmawiano za drzwiami, sądziłaby, że nic się nie stało. Kalmár był nieco bardziej zarumieniony niż zwykle, dyrektor zaś taki jak zawsze. Krótkimi, grubymi palcami dotykał leżących na biurku dowodów winy.

– Czy myślała już pani nad tym, w jaki sposób naprawi to, co zawiniła? – zapytał Gedeon Torma. Przyglądał się jej z największym zainteresowaniem, tymi oczami, którymi zwykł dopatrywać się winy, jakby go zupełnie nic innego nie interesowało, tylko to, że Vitay

ukrywała Bóg wie gdzie wiewiórkę o markazytowych oczach. – Oczywiście nie. To charakterystyczne. Panie profesorze, Georgina Vitay aż do dalszego mojego zarządzenia nie może opuszczać pensji. I, co jest największą karą, jaka może spotkać naszą uczennicę, zabraniam jej nawet uczestniczyć w niedzielnych nabożeństwach szkolnych. Vitay jest więźniem.

„Rozumiem cię – myślała dziewczyna – gdybyś wiedział, jak bardzo cię rozumiem. Dopóki nie opuszczę budynku, nie ma niebezpieczeństwa. Zamknij mnie chociażby i do karceru, nie wiadomo jak głębokiego i ciemnego. Pieczarki to lepsi towarzysze niż Feri Kuncz”.

– Może pani wrócić na lekcję, niech pani znika z moich oczu. Obniżam pani stopień ze sprawowania. Panie profesorze, niech pan będzie tak uprzejmy i zaznaczy sobie, że gdyby nawet Georgina Vitay zachowywała się nie wiem jak wzorowo do końca roku, nie może mieć dobrego stopnia ze sprawowania.

– Zaznaczę – przytaknął Kalmár, nie patrząc na Ginę.

– Niech już pani stąd idzie – powiedział Gedeon Torma – patrzeć nie mogę na kogoś takiego jak pani. – Zmiotł skarby Tormy i razem z ręcznikiem wrzucił do kosza na śmieci. – Szkoda, że mamy centralne ogrzewanie. Kazałbym pani samej spalić te paskudztwa, ale i tak dostaną się do kotła, może być pani pewna. Kto mi znów przeszkadza?

Po raz trzeci zadzwonił telefon i Kalmár podniósł słuchawkę. Skrzeczący głos portiera rozbrzmiewał tak

głośno, jakby portier znajdował się w pokoju.

– Proszę pana dyrektora, pan porucznik pytał mnie, gdzie mieszka jego wielebność biskup i którądy tam najszybciej dotrze.

– Mam nadzieję, że pan go poinformował – warknął Gedeon Torma.

Wychodząc, Gina słyszała jeszcze, jak dyrektor mówi do Kalmára:

– Biskup wizytuje rozrzucone w sąsiednim komitacie skupiska wiernych naszego kościoła, do pojutra nie będzie go w mieście. Mogą za nim jechać od wsi do wsi, o ile zostawił marszrutę.

Co Kalmár na to odpowiedział, nie dowiedziała się, biegła już do klasy.

Sala, do której weszła, była spokojna jak raj. Profesorka Gigus spojrzała na nią z wyrzutem, że przeszkodziła jej w lekcji, i zapytała, dlaczego tak się spóźniła.

– Byłam u pana dyrektora i mnie ukarał – oznajmiła Gina – zakazał mi chodzić na wszelkie spacery i do kościoła.

– Ona chyba zwariowała – szepnęła Mari Kis do Bánki – na mózg jej padły te ciągłe kary. Jest nieprzytomna z radości, że stary czarny kocur tak ją urządził.

Dzień imienin Gedeona

Na lekcjach chciała się skupić, ale nie była w stanie. Zastanawiała się, czy napisać do Abigél, czy to jest zbyt wiele. Być może Abigél już wie o wizycie porucznika. Chwilami układała w myślach, co napisze na kartce, którą później wrzuci do amfory, chwilami znów dochodziła do wniosku, że to nie miałoby sensu. Nim nadeszła pora obiadu, nauczyciele już dowiedzieli się widocznie od Kalmára, kto jej szukał i dlaczego, ponieważ w trakcie posiłku oczy wychowawców były zwrócone w jej stronę, jak również poważne, pełne niepokoju spojrzenia diakonis siedzących obok swoich klas. Razem z innymi ukaranymi tego dnia dziewczętami musiała stanąć przed całą pensją i dyrektor oznajmił, że została przyłapana na poważnym przewinieniu, na ukrywaniu zakazanych przedmiotów. Gina w milczeniu, bez najmniejszego zdenerwowania wysłuchiwała mowy dyrektora, jakby to nie o nią chodziło. Koleżankom z klasy, które dopiero teraz dowiedziały się o tym, co wydarzyło się poprzedniego dnia w pokoiku szpitalnym, wyjaśniła po obiedzie, że owe drobiazgi ofiarowała Tormie i że na tym zostały przyłapane. Połowa dziewcząt była wprost nieprzytomna z żalu i smutku, że przepadły tak wspaniałe rzeczy, i szczerze współczuła Ginie, druga

zaś połowa była na nią wściekła i zrugła ją ostrzej niż sam dyrektor. Dlaczego naraziła na niebezpieczeństwo taki skarb, stanowiący dla nich wspólną radość i rozrywkę? Dlaczego wpadła na głupi pomysł ofiarowania go Tormie i w dodatku zaniosiła to wszystko w tak niebezpieczne miejsce jak pokój szpitalny?

Kiedy nadeszła pora spaceru, Gina pozostała sama w świetlicy. Powtarzała lekcje. W budynku panowała cudowna, błogosławiona cisza. Czytała tekst lekcji, lecz nic z niego nie rozumiała. Myślała o ojcu, próbowała odgadnąć, czego może sobie teraz od niej życzyć, bo to, że o niej myśli, wyczuwała tak jak ciepło promieniujące z kaloryferów. „Bądź silna – zdawała się słyszeć słowa ojca płynące Bóg wie skąd, może już spoza granicy kraju – bądź silna, moja najdroższa i najbliższa mi na świecie istoto. Bądź mocna, abym i ja mógł być tak mocny, jak powinienem. Nie trwoń się na głupstwa, upór i fantastyczne plany, lecz słuchaj mądrych rad i panuj nad sobą, dziecino, aby mogli pomóc ci ludzie, których opiece cię powierzyłem. Jeśli będziesz płakać, jeśli pod ciosem, który cię spotkał, ugniesz się, to próżna była cała nasza miłość! Nie smuć się! Zjedz normalnie kolację. Bądź odważna! Bądź wesoła! Może się jeszcze zobaczymy, więc nie narażaj na niebezpieczeństwo tego przyszłego spotkania i mnie samemu dodaj sił i nadziei, żebym mógł w ciebie wierzyć”.

Mari Kis i dziewczęta wróciły ze spaceru z wiadomością, że w sklepie obok cukierni pana Hajdy

można dostać zaskakująco piękne szaliki. Są tak wspaniałe, że człowiek zaczyna wątpić w to, że jest wojna. Gina słuchała ich i nawet przytakiwała w milczeniu. Jej małomówność tłumaczyły sobie przygnębieniem z powodu nieszczęsnego pecha. Po południu na pensji panował wielki ruch, profesorowie i diakonisy kolejno znikali w części zamieszkaną przez nauczycieli. Szabó tłumaczyła, że powodem są imieniny dyrektora, dwudziestego ósmego marca bowiem wszyscy składają życzenia czarnemu potworowi. Gdy Gedeon Torma ma tego dnia dobry humor, to zwykle po kolacji zostaje z nimi trochę dłużej, również wieczorna modlitwa odbywa się później. A gdy wyjątkowo się wzruszy, to nawet zezwala, by recytować niektóre najbardziej udane wiersze religijne, wygłoszone w ramach kółek samokształceniowych. Oczywiście dziś wieczorem nie wiadomo jak będzie, ponieważ podczas obiadu miał dość ponurą minę, no i Gina również nie poprawiła mu zbytnio humoru swoim zachowaniem. Głównym warunkiem takich imieninowych rozrywek jest, by nic nie mąciło pogody ducha solenizanta. Nie jest więc prawdopodobne, by dyrektor po wczorajszym odkryciu w pokoju szpitalnym miał nastrój świąteczny. Już sam fakt, że ujrzał szminkę, wpędzi go na długie dni w melancholię.

Kolacja przebiegała w ciszy, rzeczywiście nic nie wskazywało na to, by mogła się przerodzić w uroczysty wieczór. Dyrektor prawie się nie odzywał. Tego dnia tekst przy kolacji czytała siódmoklasistka. Czytała źle i

monotonnie, więc czasami nerwowo ją poprawiał i to była cała jego konwersacja. I oto w pewnej chwili otworzyły się drzwi jadalni i jakby wiosenny powiew wiatru zakręcił się po sali – rozległ się czyjś śmiech. Wszyscy się poruszyli, dziewczęta zerwały się z miejsc i stanęły na baczność. W wypadku wizyty niespodziewanego gościa powitać go powinna tylko dyżurna czytająca tekst, tak więc siódmoklasistka Huszar natychmiast przerwała czytanie i nabierającym barwy głosem wykrzyknęła w imieniu całej pensji:

– Dobry wieczór, niech Bóg błogosławi!

Na progu jadalni stanęła Mici Horn z naręczem bazi, a za nią stara gosposia z wielkimi paczkami i ogromnym gąsiorem w rękach.

Gedeon Torma kazał klasom usiąść. Sam zaś wstał, by się przywitać z Mici Horn.

– Niech Bóg da panu długie lata! – wykrzyknął gość i na ręce dyrektora złożył pęk bazi. – Przyszłam, aby uczcić ten uroczysty dzień! Jestem dziś w szczególnie dobrym humorze.

– Ja niestety nie – powiedział dyrektor – dzisiaj, Mici, nie obchodzę imienin.

– Jak to nie? – Mici Horn się zaśmiała. – Z resztek mąki upiekłam po południu ciastka dla dziewcząt. Dzisiaj, Gedeonie, cała pensja będzie się bawić, jeść dobre ciasteczka i hulać. Proszę pięknie o kolację!

Gedeon Torma chciał coś odpowiedzieć, ale nim zdolał się odezwać, gość z nieprzyzwoitą wprost

szybkością przebiegł przez salę i pięścią zadudnił w okienko do kuchni, na co dyżurująca diakonisa – nie wiedząc, co się dzieje – przerażona uniosła drewnianą klapę i wyjrzała. Mici Horn krzyknęła do niej:

– Nie jadłam kolacji, proszę mi dać jeść!

Zapanował ogólny rozgardiasz, dziewczęta biegły po talerze, diakonisy ledwo mogły całe towarzystwo utrzymać na miejscu. Sama Zuzanna przyniosła Mici Horn nakrycie owym powolnym, pełnym godności krokiem, jakim porusza się każda diakonisa. Przy dyrektorskim stole zsunięto krzesła, aby zrobić miejsce gościowi. Profesor Hajdu przesiadł się na koniec, aby Mici Horn mogła znaleźć się obok dyrektora. Usiadła między Gedeonem Tormą a Königiem. Zuzanna podeszła do nich z tacą i kładąc nakrycie przed Mici Horn, nie patrzyła na gościa, lecz na Königa. Profesor jednak jakby tego nie widział. Było to tak zaskakujące, że Gina mimo smętnego stanu ducha nie mogła nie zwrócić na to uwagi. Jak dalece dla tego Königa nie istnieje nikt poza Mici Horn, teraz właśnie zaczął jej szeptać coś do ucha. Kiedy Zuzanna wróciła do ich stołu, była czerwona, jakby ją kto spoliczkował. „Zuzanna właściwie nie lubi tej kobiety – pomyślała Gina – jest o nią zazdrosna i z pewnością wstydzi się tego, stara się zwalczyć to uczucie, ale na próżno”.

Wszystko nagle stanęło na głowie. Mici Horn krzyknęła, że dyżurna również powinna uczcić pana dyrektora, niech więc przerwie ową umoralniającą

historię szwajcarskiej dziewczyny i pobiegnie do kuchni rozłożyć na talerzyki wszystkie ciastka z wyjątkiem tortu. Mici przygotowała go bowiem specjalnie dla pana dyrektora, prosi więc, by tort podać tutaj, na stół profesorski, i to natychmiast. Siódmoklasistka uszczęśliwiona pomknęła do kuchni, a dyrektor patrzył na Mici Horn jak zdumiony lew, któremu na łbie usiadł koliber i wyśpiewuje, że nie ma pojęcia, dlaczego wszyscy się boją lwa i że życie mimo licznych okropności jest przecież wspaniałe, ale najwspanialsza jest młodość. Stał się cud, Gedeon Torma dwukrotnie otwierał usta, by zwrócić uwagę Mici Horn i kazać dyżurnej powrócić do czytania historii szwajcarskiej dziewczyny, ale w końcu nic nie powiedział. Czuł, jak atmosfera w sali nabiera ciepła i radości, widział, jak dziewczętom rozbłysły oczy i jak nawet krnąbrna Vitay pozbyła się na chwilę zatroskanego wyrazu twarzy. Prawdziwa czarodziejka z tej Mici Horn. Teraz właśnie przemawia, w dodatku na stojąco jak mężczyzna. Stara gospodyni, którą ze sobą przyprowadziła, chodzi z gąsiorem i napełnia kieliszki winem. Wychowanki też dostaną po naparstku.

– Niech Bóg da panu długie lata życia, panie dyrektorze. Wiele, wiele szczęśliwych dni! I żeby pan do ostatecznej granicy ludzkiego wieku stał na czele tej instytucji, która tyle daje swoim wychowankom, że pamięć o latach szkolnych zachowują aż do śmierci.

Z pewnością jest czarownicą, bo nawet potrafi człowieka wzruszyć. Ale ostateczna granica ludzkiego

wieku to lekka przesada. „Ciekawe, jak długo utrzymam się na swoim stanowisku – myślał Gedeon Torma – jeśli nie wydam Georginy Vitay?” Podniósł kieliszek i podziękował Mici Horn, po czym skinął wychowawcom, a nawet uczennicom, i wówczas cała pensja jednakowym ruchem uniosła i wychyliła kieliszki. Wszyscy uroczyście milczeli, nikt się nie uśmiechał, nawet największe śmieszki z pierwszej klasy. Oczywiście wzruszenie trwało tylko do chwili, gdy Mici Horn nie wykrzyknęła, żeby się wszyscy pospieszyli z jedzeniem, bo ona zaplanowała jeszcze na ten wieczór różne rozrywki. Dziewczęta wprost połykały kolację, tak że diakonisy nie nadały z ich ruganiem. Mici Horn dyktowała tempo, machając ręką i wołając niczym na zawodach sportowych: „Szybciej, szybciej!”. Lekarka o mało się nie udławiła, tak uwijała się z jedzeniem, a przecież na lekcjach higieny i zdrowia długo im sama tłumaczyła, dlaczego należy jeść powoli i dlaczego tak ważne dla żołądka jest dokładne pogryzienie tego, co się je. Mici Horn nie przestawała wszystkich poganiać. Zabawny to był widok, jak całe grono pedagogiczne pochłaniało kolację.

König już zupełnie nie taił uczuć, bez przerwy coś szczebiotał swojej wybrance. Zuzanna prawie nie podnosiła wzroku, a jeśli to robiła, wówczas starała się nie patrzeć w stronę profesorskiego stołu. Gina, która tego wieczoru była bardziej wrażliwa niż normalnie, pragnęła pogłaskać ją po ramieniu i szepnąć, że ma serce przepełnione smutkiem i bardzo jej żałuje, ale nie mogła

jej przecież dotknąć. Cóż bowiem powiedziałaaby Zuzanna na to, że ta nieznośna, znów dzisiaj ukarana Vitay próbuje ją pocieszać? Mici Horn przez chwilę słuchała Königa, po czym znów zwróciła się do dyrektora i cały stół profesorski zatrzęsł się ze śmiechu, widocznie opowiadała jakieś zabawne historie. Oczywiście otrzymała zgodę na to, o co prosiła. Czegóż zresztą nie potrafiłaby uzyskać, jeśli akurat tego zapragnęła? Na jej prośbę zsunięto na bok stoły, a Zuzanna z pochyloną głową pomagała w przygotowaniu sali do zabawy. Hajdu, którego Mici również oczarowała, przytaskał na jej życzenie gramofon, a profesorka Gigus pożyczyła swoje płyty z muzyką taneczną. Gedeon Torma wprost osłupiał, gdy wydało się, że profesorka coś takiego przechowuje w swoim pokoju. Mici Horn natomiast powiedziała na cały głos: „Jest wojna, kto wie, co biedaczki jutro czeka”. Dyrektor nie wiedział, co na to odpowiedzieć i wkrótce zabrzmiała świecka muzyka. Diakonisy i nauczyciele patrzyli zdumieni, jak dobrze potrafią tańczyć uczennice starszych klas. Młodsze były trochę bezradne, plątały kroki, aż Gertruda Truth oddzieliła je i zaprowadziła do świetlicy, by tam się bawiły, dopóki starsze dziewczęta balują. Stojąc już w drzwiach, zwróciła jeszcze uwagę starszym dziewczętom, aby tańczyły ze swoimi partnerkami z lekcji gimnastyki, w przeciwnym razie będzie zamieszanie i bałagan.

Z piątej klasy brakowało tego dnia tylko Tormy, która ostatnio była partnerką Giny na zajęciach

wychowania fizycznego, ponieważ Bánki niespodziewanie bardzo podrosła. Było to teraz na rękę Ginie, nie miała bowiem ochoty tańczyć, skryła się w kącie i stamtąd obserwowała salę. Wcale im nie zazdrościła, nie chciało jej się w niczym brać udziału. Obydwie z Zuzanną stały z boku przy odsuniętych stołach i krzesłach niczym dwie dziewczyny, które życie ominęło i nie ma nadziei, aby wróciło i porwało je ze sobą.

– O, tamta matulanka nie tańczy – powiedziała Mici Horn. – Ta z Pesztu. Gdzie jest jej partnerka?

– Chora – odpowiedział, pochmurniejac nagle, Godeon Torma. – Ale nawet gdyby nie była chora, to i tak nie wolno byłoby Vitay tańczyć. Ukaralem ją.

– Jutro ją pan ukarze, panie Gedeonie! – zawołała Mici Horn – dzisiaj jest święto! Niech pan przymknie oczy, jeśli nie chce na to patrzeć, ale ja zatańczę z biedaczką, skoro nie ma partnerki.

„Nie chcę tańczyć – pomyślała Gina. Ale równocześnie czuła ową szczególną przyciągającą siłę, jaka promieniowała z Mici Horn. Broniła się jednak przed jej urokiem. – Nie chcę, żeby mnie dotknęła, próbowała rozbawić”. Godeon Torma coś odpowiedział, ale co – tego nikt nie słyszał. Mici Horn już biegła w stronę Giny od stołu profesorskiego i zabawnie się jej ukloniła, zapraszając do tańca.

– Georginie Vitay nie wolno tańczyć – powiedziała cicho Zuzanna. – Słyszała pani.

– Ejże, dlaczego jesteście surowsi od samego Jezusa

Chrystusa? -zapytała Mici Horn. – Zakrećę się tylko raz, najwyżej dwie minuty. Chodź, ty mała pesztenko.

Już ją ciągnęła za sobą. Mici Horn była silna i zręczna, przy dźwiękach angielskiego walca odciągnęła ją daleko od innych. Gina nie patrzyła na swoją partnerkę. Wiedziała, że Mici Horn bawi się nią, tak jak zresztą bawiła się wszystkimi i wszystkim niczym zabawkami.

– Dzisiaj wieczorem musisz stąd uciec – szepnęła Mici Horn, a przy tym się uśmiechnęła i lewą ręką pomachała w stronę stołu profesorskiego. – Dziś wieczorem, kiedy my tu będziemy się bawić. O dziewiątej, jeszcze przed wieczorną modlitwą, idź do pokoju Zuzanny i ubierz się w jej świąteczny strój diakonisy. Wyjdiesz z budynku nie przez portiernię, lecz przez furtkę w ogrodzie, gdzie w nocy czekał porucznik Kuncz. O dziewiątej furtka będzie otwarta. Gdy wyjdiesz na ulicę, idź powoli i omijaj latarnie. Nie przystawaj, tańcz i nie gap się na mnie! Uśmiechnij się!

Nie potrafiła się uśmiechać, tylko wpatrywała się w Mici Horn z otwartymi ustami.

– Ci poczciwcy najwyżej przez parę dni potrafią cię obronić przed porucznikiem Kunczem, potem komendant miasta zmusi biskupa, aby kazał otworzyć pensję przed wojskiem. Powiedzą, że jest wojna, a interes wojny i narodu wymaga, aby cię wydano Niemcom, którzy zabrali twojego ojca. Nie można się będzie sprzeciwić. Jeśli dyrekcja szkoły będzie stawiała opór, zamkną pensję, usuną Gedeona i rozpędzą cały zespół

pedagogiczny. Uśmiechnij się!

Teraz też nie potrafiła się uśmiechnąć, tylko gapiła się na Mici Horn. Hajdu zmienił płytę, jakiś kobiecy głos zaczął śpiewać głębokim altem: *Do widzenia, panie poruczniku, do widzenia, panie poruczniku, ja proszę jedynie o to, byś o mnie pomyślał na placu boju.*

– Nie wolno dopuścić, by porucznik cię znalazł, byś pomnożyła jeszcze nieszczęścia ojca. Musisz natychmiast zniknąć, i to tak, aby nie ściągnąć na Gedeona kłopotów. Jeśli po prostu uciekniesz i cię nie znajdą, to nikogo nie będzie można winić. Ty zawsze byłaś niespokojnym duchem, nieposłuszną uczennicą. Udasz się więc do mojego domu. Nikogo tam nie będzie, gdyż ja pozostanę tu z gosposią, aby kryć twoją ucieczkę. Sama musisz otworzyć sobie bramę. Tu masz klucz. Teraz włożyłam ci go do ręki. Trzymasz?

Skinęła głową.

– Bądź zręczna, ostrożna, zależy bowiem od tego nie tylko twoje bezpieczeństwo, ale i innych. Wyjdź z sali kilka minut przed dziewiątą, ja już dopilnuję, aby nie zwracano na ciebie uwagi. Drzwi od pokoju Zuzanny są zawsze otwarte, zrób więc tak, jak mówiłam, swoje rzeczy wrzuć pod jej łóżko, aby nie zorientowała się od razu, że ukradłaś jej ubranie. Powiedziałam, żebyś się tak na mnie nie gapiła.

– Czy pani jest Abigél? – szepnęła dziewczyna.

Mici Horn roześmiała się głośno, aż wszystkie spojrzenia się ku niej zwróciły, a Gedeon Torma

zmieszany przełknął ślinę, no bo przecież Mici Horn była wychowywana według tych samych surowych zasad co dzisiejsze matulanki, i oto proszę, jak się zachowuje. Ma czterdzieści osiem lat i maluje usta. Mici Horn nie odpowiedziała na pytanie Giny. Zbliżywszy się do krzesła, skinęła jej głową i zostawiła dziewczynę samą. Gina aż musiała się oprzeć na poręcz, nie mogła ustać na nogach. Mici Horn natomiast wróciła do stołu profesorskiego i stamtąd chciała porwać kogoś do tańca, ale tym razem dyrektor stanowczo zaprotestował, więc ze śmiechem zrezygnowała. Przez jakiś czas rozmawiała z wychowawcami, po czym niespodziewanie zaczęła klaskać w ręce tak głośno, aż tańczące pary przystanęły. Oświadczyła, że wystarczy już tego ruchu, zabawią się teraz w gry towarzyskie.

– Ustawcie krzesła w dwa duże koła, niech któraś pobiegnie do dyżurnej diakonisy i poprosi o kilka arkuszy czystego papieru, ale szybko, szybko, gdyż czas ucieka.

Czarny człowiek chciał powiedzieć wybiegającej z sali Murai, że zabawa skończona, papier jest niepotrzebny, niech nie przynosi, ale nim zdołał się odezwać, piątoklasistka już zniknęła i oczywiście drzwi zostawiła otwarte. Wstał, nakazał ciszę i na dźwięk jego przerażającego głosu umilkła cała pensja. Ale wówczas zamiast śmiechu Mici Horn usłyszano coś innego. Dyżurna diakonisa widać z nudów słuchała wiadomości przez radio, Murai, wybiegając, zapomniała zamknąć drzwi i oto głos spikera dotarł do jadalni. „Dokonaliśmy

przegrupowania naszych sił na froncie i wyrównaliśmy jego linię” -oznajmił spiker, a Gedeon Torma nie patrzył na wychowawców, tylko uważnie przyglądał się swoim paznokciom. Tak jak wszyscy dorośli w tej sali wiedział, że zdanie to oznacza, iż armia jest w odwrocie i zbliża się front.

– Bawimy się dalej! – powiedział wbrew swojej woli i twarze rozpromieniły się, a czarny człowiek opadł na krzesło. Spojrzenie, którym obrzucił Mici Horn, nie było już ironiczne, patrzył na nią z prawdziwie głęboką sympatią. Widocznie doszedł do wniosku, że budynek pensji nie ma ani tak grubych murów, ani tak bezpiecznego schronu, które by ich ustrzegły przed okropnościami wojny, gdy do Árkodu dotrze linia frontu.

„W porządku, stary Gedeonie” – pomyślała Mici Horn, lecz nie wypowiedziała tego. Sprawdziła, czy ustawiono już krzesła w koła, i dwie najstarsze klasy oddzieliła od piąto – i szóstoklasistek. Sama też zajęła miejsce w środku pierwszego koła z młodszymi dziewczętami, w drugim jako prowadzącą zabawę posadziła Zuzannę. Diakonisa niechętnie, z obojętnym wyrazem twarzy podeszła do krzesła, które jej wyznaczyła Mici Horn. Gina pomyślała, że Zuzanna czyni to z pokory i dlatego stara się w sobie stłumić porywy zazdrości. Sądzi, że Mici Horn chce wykazać swoją przewagę tym dyrygowaniem. Diakonisa nigdy się nie dowie, że Abigél dlatego prosiła ją, żeby kierowała zabawą dwóch starszych klas, aby przypadkiem nie

zajrzała do swojego pokoju, nim Gina nie znajdzie się za furtką.

Mici Horn dobrze się przygotowała do tego wieczoru. Miała przy sobie podręcznik gier towarzyskich, który wręczyła diakonisie. Były to niezbyt pasujące do surowości pensji zabawy. Zadaniem Zuzanny było prowadzenie gry w pytania i odpowiedzi ze swoim kołem. Pytania i sto opatrzonych numerami odpowiedzi znajdowały się właśnie w tej książce. Uczestnicy zabawy musieli wymienić tylko jedną liczbę, a w książce obok tej liczby była wydrukowana odpowiedź na postawione pytanie. Często wychodziły z tego przedziwne historie. Pierwsze pytanie brzmiało:

– Czym można zdobyć pana (pani) serce?

Duża Aradi powiedziała pierwszą lepszą liczbę, jaka jej przyszła do głowy:

– Dwadzieścia dziewięć. – Tyle lat miał bowiem jej Piesek.

Zuzanna zajrzała do książki i odczytała odpowiedź:

– Sosem szczawiovym.

Ósmoklasistki zasłaniały sobie usta ręką, by pohamować wybuch śmiechu, nawet kucharka, przyglądająca się zabawie przez okienko, roześmiała się głośno. Nie było bowiem na pensji osoby, która by nie wiedziała, jak bardzo Aradi nie cierpi tego rodzaju sosów.

– Czym można zdobyć pani serce? – spytała cicho i smutno Zuzanna przyjaciółkę Aradi, Tenk.

Tenk wymieniła cyfrę dziewięć. Zuzanna wyszukała

odpowieź.

– Pociągiem towarowym.

Nauczyciele i diakonisy patrzyli zdumieni, jak Tenk się zarumieniła, a cała ósma klasa prawie pokłada się ze śmiechu. Co w tej odpowiedzi tak je rozśmieszyło, tego nawet piątoklasistki nie potrafiły odgadnąć. Starsze dziewczęta nie wciągały bowiem młodszych w swoje tajemnice, więc tylko one wiedziały, że w świecie za murami pensji, gdzie istnieją młodzi ludzie, sympatia Tenk jest kolejarzem.

Piąta i szósta klasa znalazły się w drugim kole, z nimi bawiła się Mici Horn. Murai przyniosła papier i przybory do pisania z pokoju dyżurnej diakonisy i jednocześnie przekazała pytanie siostry Elżbiety: czy będzie można prosić pana dyrektora do telefonu, ponieważ dzwoni pan dyrektor Ruppert. Gdy Murai powtórzyła szeptem pytanie Gedeonowi Tormie, wszyscy wychowawcy siedzący przy stole spojrzeli na nią, jakby oznajmiła, że zbliża się meteor. Ruppert był dyrektorem gimnazjum świeckiego i zawsze, gdy dzwonił do dyrektora pensji Matuli, wynikało z tego coś złego. Przeważnie o czymś donosił, wnosił skargi, że któraś z uczennic Matuli źle się zachowała i temu podobne. Od kiedy istniało państwowe gimnazjum, zawsze były tarcia między obydwoma szkołami. Murai kazano przekazać odpowiedź siostrze Elżbiecie: pan dyrektor dzisiaj wieczorem jest zajęty, jutro rano zadzwoni do gimnazjum Pála Kokasa. „Dzisiejszy wieczór – myślał Gedeon Torma – niech

będzie taki, jaki zaplanowała ta miła czarodziejka. Dzisiaj niech mi nie przeszkadzają i niczym mnie nie denerwują”.

Gra zaproponowana przez Mici Horn była tak zabawna, że również wychowawcy zapragnęli wziąć w niej udział. Aby jednak i grupa Zuzanny nie czuła się poszkodowana, cały zespół pedagogiczny podzielił się na dwie części i wszyscy bawili się razem z wychowankami, z wyjątkiem dyrektora, który został sam przy stole i z sympatią spoglądał na roześmiane towarzystwo. König dostał się do grupy Zuzanny razem z Élesem i Kalmárem. Kerekes zaś, Hajdu i profesorka Gigus do grupy Mici Horn. Gra prowadzona przez Mici Horn była oparta na przewrotnym pomysle: uczestnicy podawali sobie z ręki do ręki arkusz papieru. Zadaniem pierwszej osoby, która puszczała kartkę w obieg, było napisać na niej cokolwiek i przekazać sąsiadce. Sąsiadka nie musiała już nic pisać, miała narysować jakąś ilustrację do tekstu. Aby jednak nikt nie wiedział, jaki to był tekst, należało zagiąć papier aż do linii, gdzie zaczynał się rysunek, i podać następnej osobie, a ta z kolei musiała odgadnąć, co przedstawia rysunek i opisać go słowami. Czwarta osoba znów ilustrowała otrzymany tekst, piąta odgadywała rysunek i tak dalej.

– Zobaczycie później, gdy kartka się zapełni – powiedziała Mici Horn – co wymyśli ostatnia osoba odgadująca rysunek ilustrujący pierwotny tekst.

Pierwszy arkusik podała Ginie, która napisała: „U stóp wysokiego zamku przechodzi mała drużyna”. Kartka

przeszła następnie do Mari Kis, która narysowała górę, na niej zamek, a na dole u jego stóp małe ludziki, jakie zwykły malować dzieci: ręce i nogi podobne były do zapalek. Zakryła tekst Giny i podała papier Annie Bánki, która długo się przyglądała obrazkowi i po pewnym czasie, sądząc, że odgadła, napisała pod spodem: „Idziemy na wycieczkę w góry”. Szabó, która musiała zilustrować zdanie, narysowała dwie dziewczynki z nieproporcjonalnie dużymi głowami, aby były na nich dobrze widoczne kapelusze matulanek, pod ich nogami narysowała szyny kolejowe i jeszcze tablicę z kierunkowskazem, na którym widniał napis: „Góry Mátra”. Salm długo dumiała nad rysunkiem, po czym twarz jej się rozpromieniła, ponieważ przypomniała sobie, iż Cziller i Gáti, gdy były jeszcze w pierwszej klasie, obydwie zostały ukarane, gdyż żadna z nich nie potrafiła odpowiedzieć na lekcji geografii, jak przedstawia się orografia i hydrografia łańcucha górskiego Mátra. Napisała więc: „Cziller i Gáti źle odpowiedziały”. Profesorka Gigus, na którą właśnie przyszła kolej, nie miała wcale łatwego zadania. Teraz ona powinna zilustrować ten tekst. Długo przyglądała się Cziller i Gáti, aby jakoś uchwycić ich charakterystyczne rysy. W ich grupie panowała względna cisza, gdyż albo musiały rysować, albo łamać sobie głowę nad tym, co wyraża dany rysunek. W grupie Zuzanny natomiast co chwila wybuchał śmiech. Diakonisa zadała właśnie pytanie Königowi.

– Czym można zdobyć pana serce?

I König odpowiedział:

– Pięćdziesiąt.

Głos Zuzanny nie zająknął się, gdy odczytała odpowiedź pod numerem pięćdziesiątym:

– Nigdy, niczym.

Siostra Elżbieta wetknęła głowę przez szparę w drzwiach i oznajmiła, że pan Ruppert nie daje spokoju i bardzo prosi, aby jednak pan dyrektor Torma pofatygował się do telefonu. Ale czarny człowiek nadał się i powiedział:

– Jutro.

Elżbieta zniknęła.

Właśnie tak utrwały się na długi czas w pamięci Giny te wszystkie osoby, ponieważ minął dokładnie rok, nim znowu zasiadła w dawnej ławce między Mari Kis a Tormą. Byli wśród nich tacy, których nigdy już więcej nie ujrzała. Ich bożyszczę i ulubieniec Kalmár kilka dni później został powołany do wojska i padł gdzieś w Karpatach. Nie zobaczyła też dużej Aradi, ponieważ duża Aradi, która z taką gracją niosła sztandar szkolny, zginęła latem podczas bombardowania. Nie spotkała się więcej z siostrą Elżbietą – diakonisa spłonęła we wschodnim skrzydle budynku szkolnego, gdy próbowała ratować bibliotekę. Kiedy Gina była już dorosła, często przypominał jej się ten ostatni wieczór, nie tylko dlatego że zależała od niego jej wolność. Dopiero jako dorosła naprawdę odczuła szczególną dwoistość tego dnia –

rozbrzmiewający w grubych ścianach pensji śmiech, a na zewnątrz ciemność i grozę czające się na młodą dziewczynę, która musi dotrzeć do domu Mici Horn.

Siostra Zuzanna zadawała właśnie kolejne pytanie:

– Co może panią uszczęśliwić?

Igger z siódmej klasy odparła:

– Czterdzieści cztery.

Zuzanna przeczytała odpowiedź:

– Ruletka.

W grupie Mici Horn profesorka Gigus narysowała dwa całkiem znośne portrety i podała kartkę sąsiadce. Szabó oczywiście nie odgadła rysunku i napisała, że są to dwie główki dziewczęce z muzeum w Árkodzie. „Boję się – myślała Gina. – Boję się, mimo że mi pomaga sama Abigél”.

Jeszcze nigdy czas nie mijał tak nierealnie szybko. Było już wpół do dziewiątej. Zaraz będzie za kwadrans dziewiąta, naturalnie bez żadnej obawy może wyjść na chwilę. Nie trzeba się denerwować, nikt na nią nie zwraca uwagi, wszyscy są zajęci zabawą. Arkusz papieru z tekstem „U stóp wysokiego zamku.” zawędrował już daleko, teraz dotarła do niej nowa kartka, z tekstem wpisanym przez Salm. Narysowała coś bardzo niezręcznie i nieuważnie i podała dalej. Ponieważ Gina i dyrektor byli jedynymi, których nie absorbowwała zabawa, tylko oni zauważyli, że ktoś wszedł do sali. Inni spostrzegli gościa dopiero wtedy, kiedy Gedeon Torma wstał, z charakterystyczną dla pensji Matuli wewnętrzną

dyscypliną opanował zdenerwowanie i ruszył w stronę drzwi. Gina nie wiedziała, kim może być ten szczupły mężczyzna, który stał właśnie na progu. Z wyrazu twarzy dyrektora domyśliła się, że jest to niecodzienny gość. Serce ścisnął jej strach: czy to nie po nią przyszli?

– Matula, baczość! – krzyknął Gedeon Torma. W jego głosie czuło się gorycz. Zawsze żelazną ręką kierował swoim królestwem, a tymczasem gdy po raz pierwszy w życiu odwiedził go odwieczny przeciwnik, dyrektor państwowego gimnazjum Ruppert, właśnie wtedy czarownica Mici Horn wywróciła cały dom do góry nogami. W kącie kryje się wstydliwie gąsior po winie, a diakonisy i wychowawcy uczestniczą we frywolnych grach towarzyskich. Musiał aż dwukrotnie powtórzyć: „Baczość!”, nim zaabsorbowane zabawą dziewczęta oprzytomniały i zerwały się z miejsc. Mici Horn również się podniosła, nie spuszczając z przybysza mądrych błyszczących oczu.

– Serwus, dyrektorze! – odezwał się Ruppert. – Jak tu u was pogodnie i miło, prawdziwa Wyspa Szczęśliwości po tych ciemnościach na dworze. Widzę, że wszystko już wiesz i zorganizowaliście sobie wieczór pożegnalny, a zatem niepotrzebnie dobijałem się do ciebie, a twoja sekretarka – czy kto to był – prosiła, abym ci nie przeszkadzał. Sądziłem jednak, że nie słyszałeś, co się stało, i dopiero jutro otrzymasz wiadomość, dlatego pomyślałem, że... – urwał.

W tym momencie chyba nawet najbardziej

nieuważna piątoklasistka zrozumiała, co miało być dalszym ciągiem: .wiem coś takiego, wobec czego nie ma znaczenia fakt, iż od wielu pokoleń nasze szkoły znajdują się na stopie wojennej, że my jesteśmy gimnazjum świeckim, a wy kościelnym.

– Proszę cię, wejdź – powiedział Gedeon Torma. – Czy mogę cię czymś poczęstować? Jadłeś już kolację?

– Ależ tak – odpowiedział Ruppert. – Dziękuję, nic mi nie trzeba. Gdyby jeszcze moja szkoła istniała, zaprosiłbym cię, abys jak najszybciej złożył mi rewizytę, rozejrzał się, bo u nas też jest porządek. Zresztą to wszystko przecież...

Umilkł i znów każdy wiedział, co chciał dalej powiedzieć: .przecież zupełnie nie ma sensu ten cały nasz konflikt. Czy pamiętasz, kto zaczął te boje i o co poszło? Bo ja nie. Było to tak dawno, że nie pamiętam.

– Jak to, gdyby szkoła istniała? – zapytał czarny człowiek, a w sali zapadła cisza jak podczas modlitwy.

– No, skoro zorganizowaliście pożegnanie, to chyba i ty wiesz, z jaką nowiną wróciłem z Budapesztu. Chyba już cię poinformowano, że pan minister z dniem trzydziestego pierwszego marca kazał zamknąć wszystkie szkoły, za dwa dni kończymy naukę. Rozdanie świadectw nastąpi czwartego kwietnia, wszyscy uczniowie z internatów wyjeżdżają do domów i tylko ósma klasa zostanie do matury.

Gedeon Torma ujął Rupperta pod ramię i w milczeniu wyszli z sali. Nie pozdrowił klas, a dziewczęta

również zapomniały o zwyczajowych słowach pożegnania. Nikt nic nie powiedział, nikt nic nie zarządził. Uczennice stały. I choć przez cały rok szkolny prawie wszystkie marzyły, aby znaleźć się wreszcie w domu, teraz z bezradnym przerażeniem patrzyły za wychodzącymi.

„Koniec ze mną – pomyślała Gina. – Właśnie minęła za kwadrans dziewiąta, teraz powinnam się wymknąć. A tymczasem zabawa została przerwana, wszyscy stoją, słuchają, uważają. Jak stąd wyjść? Jak?”

– Ejże! – zawołała Mici Horn. – Nie poznaję was! Cóż to, źle wam będzie w domu u mamy? Co za głupiutkie stworzenia!

Twarze zwróciły się w jej stronę. Nie było na nich uśmiechu, lecz obawa.

– Później, jak już znajdziecie się w domu, to będziecie się cieszyć – ciągnęła Mici Horn. – Dlaczego robicie takie smutne miny? Jeśli już tak szybko mamy się rozstać, to przynajmniej dzisiaj się zabawmy. Jutro i tak nie będzie można, do jutra pan dyrektor oprzytomnieje!

Jej spojrzenie przemknęło po profesorach i diakonisach i dorośli zrozumieli, co chciała powiedzieć: „Pomóżcie, zróbmy coś, żeby te dzieciaki nie były takie przerażone”.

– Nowe pytanie! – zawołała Zuzanna. – Zadaję nowe pytanie! Co pan najbardziej lubi, panie profesorze Éles?

– Trzydzieści – odparł nauczyciel chemii.

Zuzanna z wielką powagą odczytała:

– Pięknie haftowane halki! – I zaczerwieniła się.
Nikt prawie się nie śmiał.

– Coś podobnego – rzekła Mici Horn – jesteście okropne! Za moich czasów, gdyby oznajmiono, że już koniec szkoły, że upiekły się egzaminy i stopnie wystawią za darmo, no bo w takich okolicznościach inaczej nie można, wszystkie moje koleżanki byłyby nieprzytomne z radości, a wy nosy zwieszacie na kwintę. Zdegenerowana młodzież! Czyż nie lepiej bawić się w domu, niż przesiadywać tutaj całymi dniami i się modlić?

Było to straszne, że żaden z nauczycieli nie zwrócił jej uwagi: „Ejże, Mici, co też pani mówi!”.

„Na próżno – myślała Gina. – Wszystko na próżno. Nie ma już nastroju, wszyscy stali się czujni, uważni. Nie uda mi się wykonać tego, co powiedziała Abigél. Przepadłam. Koniec”.

Głowy dziewcząt zwróciły się ku sobie, matulanki zaczęły szeptać.

– Matula, baczność! – zawołał Hajdu. To podziałało. Znany, pewny siebie, ostry głos Hajdu, rozkaz, surowość, do której przywykły. Wstały, wyprężyły się, profesor popatrzył na nie z dezaprobatą, jak zawsze wtedy, kiedy źle śpiewały psalmy. Gina rozumiała teraz Hajdu, jakby sama była dorosła, jakby obserwowała pensję z oddali, z jakiejś odległej planety: wszystko jest lepsze od paniki. Udawać raczej gniewnego, gburowatego, aniżeli dopuścić, aby stały takie przestraszone i bezradne. – Kto wam pozwolił paplać?

Cała pensja milczała, ręka, w której Zuzanna trzymała podręcznik gier towarzyskich, zwisała bezwładnie.

– Ale szybko się wszystko nudzi tym pannicom – powiedziała Mici Horn. – Na przykład Vitay, stoi, jakby wrosła w ziemię. Oczywiście, jak trzeba coś zbroić, to i biegać potrafi. No, jeśli już was nie interesuje zabawa w pytania i odpowiedzi oraz rysowanie, to bawmy się w co innego.

– Pensja Matuli, bawimy się! – zarządził Kerekes ostrym głosem jak na lekcji matematyki.

Mici Horn zaczęła się kręcić wśród dziewcząt. Teraz będą się bawiły w taką grę – wyjaśniła – że wszyscy podejda do ściany i odwrócą się do sali plecami. Jednej z dziewcząt zawiąże się oczy chusteczką, zbliży się ona do stojących przy ścianie i na oślep dotknie kogoś, bo przecież nic nie widzi. Osoba, której dotknęła, musi wydać jakiś dźwięk, a ta z zawiązanymi oczami powinna odgadnąć, kto się odezwał. Jeśli zgadnie, zamienią się rolami, jeśli nie, to dotąd musi próbować, aż kogoś nie pozna. Nikt się nie uśmiechnął. Profesorka Gigus zapytała, dlaczego wszyscy muszą stać odwrócenii twarzą do ściany, przecież osoba zgadująca i tak nie może zobaczyć, kto jest naprzeciwko niej.

– Ale może poznać z kształtu nosa, czoła – wyjaśniła Mici Horn. – A gdy dotknie tylko tyłu głowy czy ramion, nie tak łatwo będzie jej odgadnąć.

– Matula, ustawić się w szeregu i w tył zwrot! –

zawołał Éles. To jednak już znów była szkoła ze swoim rygorem. Pełny rozbawienia nastrój prysnął wraz z pojawieniem się dyrektora Rupperta. Klasy w milczeniu się ustawiały, Mici Horn biegała tu i tam, poprawiała, przestawiała, i nawet wychowawców poprosiła, aby wzięli udział w zabawie. A więc i dorośli stanęli w szeregu. Gina niepewnie odwróciła się od ściany i spojrzała na Mici Horn. Ta zaś krzyknęła na nią, dlaczego się kręci, na co czeka, tylko czas zabiera, przecież zaraz będzie dziewiąta. „To wszystko z twojego powodu – przetłumaczyła sobie Gina jej słowa na ich nowy, wspólny język – dlatego ustawiłam wszystkich twarzą do ściany, aby nikt nie widział, jak wyjdiesz. Czas mija, ruszaj, jak tylko będzie można!” Patrzyła więc na ścianę zgodnie z poleceniem i nie miała pojęcia, jak się stąd wydostanie. Dyrektora wprawdzie nie było, ale stały koło niej dziewczęta z prawej i z lewej strony, niewątpliwie zauważą, gdy odejdzie. Po jednej stronie była Mari Kis, a po drugiej Bánki.

– Kto to jest ta czarnowłosa dziewczynka obok pesztenki? Jak się nazywa? – zapytała Mici Horn. – Jej zawiążemy oczy.

Mari wściekła odwróciła się i wymieniła swoje nazwisko. Nie cierpiała tej zabawy, w którą zwykły się bawić najmłodsze dziewczynki, i irytowała ją myśl, że będzie się tu kręcić z zawiązanymi oczami kto wie jak długo. W jakież, u licha, sposób pozna, kim jest ten ktoś, kto miauczy albo porykuje. Mici Horn mogłaby dać im

spokój z tą zabawą, pozwolić wszystkim iść na wieczorną modlitwę i się położyć. Mają przecież milion spraw do omówienia, za dwa dni koniec roku, będą musiały się rozstać. Stała nadal w miejscu, miała nadzieję, że może się wymiga.

– No – odezwała się Mici Horn – jak długo trzeba pannę prosić, by się tu pofatygowała?

– Mari Kis, niech wystąpi – zarządził Kalmár. – Cóż to za zwyczaj opóźniać zabawę?

„Piękna mi zabawa” – wściekała się w duchu Mari Kis, podchodząc do Mici Horn. Teraz Gina zrozumiała plan działania: z lewej strony nie miała już sąsiadki, Mari odeszła z szeregu. Ostrożnie, centymetr po centymetrze odsunęła się od Bánki na taką odległość, że przyjaciółka nie mogła już wyczuć jej ruchów. Mici Horn oznajmiła, że i ona też weźmie udział w zabawie, żeby było śmieszniej. I podbiegła do profesora Élesa po chusteczkę, ponieważ swoim szalem okutała głowę Mari Kis. Zawiązawszy sobie oczy pożyczoną chusteczką, zakomenderowała:

– Zaczynamy!

Na to słowo ruszyły wszystkie trzy, Mari Kis skierowała się niepewnym krokiem w stronę dziewcząt, Mici Horn zaś ruszyła prosto do Bánki, i to tak pewnie, że zachodziło podejrzenie, iż chusteczka profesora Élesa niezbyt dokładnie zakrywa jej oczy. Zaczęła pociągać dziewczynę za warkocze, podczas gdy Gina wycofywała się z szeregu. Obok pustego po niej miejsca stała teraz

Mici Horn. Po którymś pociągnięciu Bánki kilkakrotnie powtórzyła nieziemskim głosem:

– Ko, ko, ko! Ko, ko, ko!

Mari Kis dotarła do końca szeregu i dotknęła kogoś, kto nie wydał konkretnego dźwięku, tylko chichotał. Gina na palcach doszła do drzwi.

– Powtórz jeszcze raz! – poprosiła Mici Horn.

Bánki znów zagdała:

– Ko, ko, ko!

Gina otworzyła drzwi, czego nikt nie zauważył w chwili wybuchu śmiechu. To był ostatni obraz pensji, jaki zachowała w pamięci – wychowawcy, wychowanki, wszyscy odwróceni plecami, Mari nie było nawet widać twarzy i włosów. Chichocząca matulanka odezwała się wreszcie, naśladowując chrząkanie świni. Ta okropna dwoistość sytuacji, do której zrozumienia Gina jeszcze nie dorosła, ale którą wyczuwała, sprawiła, że serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi, gdy tak biegła korytarzem, omijając pokój dyżurnej diakonisy. Matula, baczność! Matula się bawi! Wojna. Śmierć. Ko, ko, ko!

Dyrektor z gościem są zapewne w gabinecie albo w części mieszkalnej profesorów. Wystarczy zręcznie się przemknąć. Chyba nie będzie miała takiego pecha, żeby akurat w czasie jej wychodzenia przez okno dyrektor odprowadzał Rupperta przez ogród do bramy. Bez przeszkód dotarła do pokoju Zuzanny. Wewnątrz zastała przyjemny ład, szafka na ubranie nie była zamknięta, w zamku tkwił kluczyk. Gina zrzuciła fartuch i sukienkę,

wepchnęła je pod łóżko. Ze zdenerwowania miała wprost sztywne, drewniane palce, ledwo mogła nimi poruszać. Zdjęła z wieszaka odświętny strój diakonisy i zaczęła się ubierać. Suknię włożyła dosyć szybko, natomiast zupełnie nie umiała sobie poradzić z czepkiem. Omal się nie rozpląkała. Że też nigdy nie widziała ubierającej się Zuzanny, nie zauważyła, jak przypina do włosów ten nieszczęsny czeppek. Znalazła dwie spinki i próbowała go przymocować, z trudem udało jej się wepchnąć pod niego warkocze. Suknia była na nią trochę za długa, w pokoju diakonisy nie było lustro, nie mogła nawet zobaczyć, jak w tym wszystkim wygląda.

Teraz, w momencie gdy powinna już była wyjść, ogarnęło ją takie drzenie, że nogi się pod nią uginały. Aż musiała przysiąść. Siedziała na brzegu łóżka Zuzanny i płakała. Powinna już być na ulicy, ale nie mogła się zmusić, by wyjść na korytarz w stroju diakonisy. A nuż ktoś zauważył już jej nieobecność i zaczęto jej szukać? Spróbowała odmówić *Ojcze nasz*, ale po słowach ...*święć się Imię Twoje...* zapomniała dalszego ciągu modlitwy. Zdziwiła się tym tak bardzo, że nagle przestała płakać, podniosła się i ruszyła do drzwi.

Na korytarzu nie było nikogo. Drzwi prowadzące do ogrodu oczywiście zamknięto. Musiała więc znów wyjść przez okno, co w długiej sukni Zuzanny było o wiele trudniejsze. Już trzeci raz z zamiarem ucieczki przebiegała wieczorem przez zimny, pachnący fiołkami ogród, obok posągu Abigél. Trzeci raz biegła do furtki,

przy której tak miło i pięknie czarował ją wczoraj głos porucznika. Co zrobi, jeśli furтка nie będzie otwarta, jak to obiecywała Mici Horn? Może ktoś zauważył i zamknął ją. Co będzie, jeśli nie uda jej się wydostać? Zegar na białym kościele wybił dziewiątą. Ostrożnie pchnęła żelazne drzwi, które poruszyły się pod jej dotknięciem i otworzyły bezszelestnie. Gina wyszła i nagle zdrętwiała w bezruchu. Za murem, na ulicy Matuli, przy ogrodowej furtce stał mężczyzna, zagradzając jej drogę.

Załkała, chciała zawrócić, niech już przynajmniej tam, wewnątrz, dokona się to, co jest nieuniknione. Niech stamtąd ją zabiorą przyjaciele Feriego Kuncza. Ale nie udało jej się uciec, mężczyzna chwycił ją za rękę, a porażka i świadomość, że „wszystko na próżno” powstrzymały nagle jej łkanie. Teraz już było wszystko jedno, zupełnie wszystko jedno. Stała nieruchoma, milcząca, czekała, aż ją zabiorą, wsadzą do jakiegoś samochodu albo pieszo zaprowadzą na komendę wojskową, do Feriego.

– Proszę nie wracać, siostrzyczko – szepnął nieznajomy mężczyzna. – Ejże, czy to wypada bogobojnej diakonisie tak się przestraszyć? Stoję tu dlatego, że musi pani udać się inną drogą do domu Mici Horn, gdyż porucznik i jego ludzie kręcą się koło pensji. Teraz właśnie myszkują na ulicy Telekiego, którą miała pani iść. Proszę więc pójść prosto i na prawo, w pierwszej bocznej ulicy, znajdzie pani karcznię, tam stoi mój przyjaciel, który skieruje panią dalej. Życzę szczęścia.

Gina ruszyła ulicą Matuli do pierwszej bocznej ulicy na prawo, tak jak polecił nieznajomy. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że idzie, lekko się zataczając, jak ktoś, kto długo leżał w łóżku. Wallner z fabryki wagonów popatrzył za oddalającą się postacią dziewczyny, uśmiechnął się i w końcu sam ruszył w kierunku ulicy Telekiego, wyśpiewując głośno:

– *Hej, dziewiątą zegar wybił...*

Porucznik Kuncz ze wstrętem odsunął się na bok, dziwiąc się w duchu, dlaczego tacy pijani robociarze włączają się nocą po cichej ulicy, zamiast walczyć na froncie.

Abigél

Gina знаła tylko tę drogę do Mici Horn, która wiodła koło pomnika Cierpiącej Hungarii. Teraz musiała iść inną i - na ile strach pozwalał jej myśleć - zauważyła, że droga ta jest bardziej określona. Karczmę znalazła łatwo, przed budynkiem oparty o drzwi stał młody mężczyzna i palił papierosa. Nie spojrzał nawet na nią, tylko jakby mówiąc do ciemności i cieni, powiedział:

– Dalej prosto, aż do samej apteki, ale wolno, o wiele wolniej.

To była najcięższa próba - walczyć z instynktem, który nakazywał biec, i stąpać w stroju Zuzanny tak, aby spojrzenie przechodnia prześliznęło się po niej obojętnie. Na drzwiach apteki żaluzja była już spuszczone i tylko mały rozświetlony kwadracik wskazywał, którądy wydaje się lekarstwa. Gina zbliżyła się niepewnie, nie widziała nikogo i nie miała odwagi stanąć przed tym małym okienkiem i czekać, co dalej się stanie. Ale również ten problem sam się rozwiązał. Kiedy dotarła do apteki, z bramy domu odezwał się ktoś, kogo w ogóle nie było widać w ciemności:

– Teraz skreć w drugą boczną ulicę na lewo i pójdziesz aż do samego końca, na wprost znajdziesz dom Mici Horn. Nie spiesz się tak!

Spróbowała iść wolniej. Druga ulica na lewo była niezwykle długa, ale wreszcie dotarła do jej końca i ujrzała cel swojej wędrówki: w blasku księżyca wyłonił się mansardowy dach domu Mici Horn, błyszcząły wąskie okna. Postanowiła zaczekać, dopóki się nie upewni, że nikogo w pobliżu nie ma. Dopiero potem, jak nakazała Mici Horn, otworzy sobie bramę i wejdzie.

Nagle przystanąła, przerażenie obezwładniło jej nogi. Poczowała tak ogromną słabość, jakby za chwilę miała upaść. Klucz ze śmiejącą się ludzką główką, klucz do domu Mici Horn zostawiła w kieszeni fartucha pod łóżkiem Zuzanny!

Zegar na białym kościele wybił akurat wpół do dziesiątej. Gina nie była w stanie ruszyć się z miejsca. Oparła się o ścianę jakiegoś domu i patrzyła na niebo, na rzadkie chmury zasłaniające księżyc. Zdziwiło ją odkrycie, którego dokonała, żal jej było już nie siebie, tylko Mici Horn i tych wszystkich, którzy próbowali ją ratować. Zamiast rozpaczyci poczuła gorycz. Nadzieja wyswobodzenia znów przepadła, znów wszystko było pełne ryzyka. Nie widziała możliwości rozwiązania tego problemu. Gdyby lepiej umiała panować nad sobą, gdyby była bardziej przytomna, nie zapomniałaby klucza i siedziałaby już bezpiecznie ukryta u Abigél. Co ma teraz robić? O tej porze na ulicy w stroju Zuzanny prawie tak samo rzuca się w oczy, jakby spacerowała w stroju balowym. Diakonisy bowiem nie zwykły wałęsać się samotnie o wpół do dziesiątej wieczorem po ulicach

Árkodu. Dokąd ma pójść? Gdzie się skryć, gdzie zaczekać na Mici Horn? Aradi z ósmej opowiadała, że teraz w mieście często chodzą po nocy patrole wojskowe, słyszała od portiera, że ciągle poszukują tego, co zawiesza tabliczki na pomnikach, i legitymują każdego, kto im się nawinie. Jeśli ją tu znajdą, jeśli latarką oświetlą jej twarz, to natychmiast zauważą, że to nie osoba dorosła, lecz młodzianka dziewczyna w za dużym przebraniu. Dokumentów żadnych nie ma, może wprawdzie milczeć i nic nie mówić, ale niewiele tym osiągnie. Strój diakonisy noszą w tym mieście tylko wychowawczynie z pensji Matuli, w ciągu kwadransa zostanie skonfrontowana z dyrektorem.

Dom, przed którym się zatrzymała, miał głęboką niszę w bramie. W oknach się nie świeciło, jak zresztą wszędzie w mieście, od chwili gdy obowiązywało zaciemnienie. Nie można się było zorientować, czy mieszkańcy są, czy też nie ma ich w domu. Skryła się więc w tej bramie i stąd obserwowała dom Mici Horn. Ruchu na ulicy nie było, nie widziała ani jednego pojazdu, tylko z oddali dobiegał czasami warkot motoru i gwizd lokomotywy od strony stacji. Pomyślała, że może pójść na dworzec. Uda, że ma zamiar dokądś pojechać. Naraz przypomniała sobie, że jest tam przecież posterunek wojskowy i być może kręci się po stacji któryś z ludzi Feriego Kuncza. Bała się ryzykować. Stała więc nadal nieruchomo, aż usłyszała kroki od strony, z której tu przyszła. Szła jakaś samotna osoba. Po chodzie

poznała, że to mężczyzna. Przywarła całym ciałem do muru. Mężczyzna spokojnie przeszedł tuż koło niej, minął dom i nagle się zatrzymał. Zaczął rozglądać się dokoła. „Niemożliwe, żeby usłyszał mój oddech – pomyślała. – To niemożliwe, żeby z tak daleka mógł usłyszeć”. Chciała, żeby ten człowiek zniknął jej z oczu i równocześnie pragnęła, aby zawrócił, odkrył jej obecność i najlepiej od razu zabił, bo nie jest już w stanie ani znieść strachu, ani podtrzymać w sobie nadziei.

Mężczyzna schylił się i podniósł coś z ziemi. W blasku księżyca dostrzegła, co trzymał w ręce. „Boże, zaraz zemdleję” – pomyślała dziewczyna i zdrętwiała ręką próbowała dotknąć czoła, ale ręka opadła bezwładnie. Wiedziała już, co znalazł przechodzień i co ogląda z takim zainteresowaniem. Był to czepek Zuzanny tak niezręcznie przypięty do włosów, że zgubiła go tu, na ulicy przed domem.

Mężczyzna zawrócił i Gina była pewna, że to jej szuka, że jeszcze sekunda, dwie i ją znajdzie. Ów mężczyzna był bardzo dokładny, zaglądał do niszy bramy w każdym domu. Kiedy stanął wreszcie przed nią, dziewczyna nie odezwała się słowem, nie próbowała też uciekać. Pozwoliła, aby ją wziął za rękę i wyciągnął z bramy.

– Zwariowałaś, Vitay! – wykrzyknął głos, który ona już kiedyś słyszała, ale nie potrafiła uzmysłowić sobie, gdzie to i czyj to był głos. – Zostawiasz na ulicy czepek, aby go ktoś znalazł i zaniósł w prezencie Gedeonowi? A

w ogóle dlaczego, dziecko, nie jesteś jeszcze w domu?

Prowadził ją za rękę. W blasku księżyca twarz jego wydała jej się znajoma, ale nie mogła się domyślić, kto to może być. Z jego słów zrozumiała, że jest uratowana, że ten nieznajomy to przyjaciel, nie wróg. Jednak nie była w stanie odezwać się i zapytać, kim właściwie jest ten ktoś, kto ją prowadzi do domu Mici Horn. Gdy doszli do wylotu ulicy, obcy się rozejrzał i stwierdziwszy, że ani z jednej, ani z drugiej strony nikogo nie widać, przeszedł z Giną przez ulicę i otworzył bramę. „I on też ma klucz – pomyślała dziewczyna. – Ile właściwie kluczy jest do domu Mici Horn?”

Weszli. Nieznajomy zapytał ją, dlaczego stała na ulicy.

– Bałam się – szepnęła Gina.

– Bałaś się wejść, a stać na ulicy nie? – pokręcił głową mężczyzna. – Wpadłaś na wspaniały pomysł, nie ma co. Ciekawe, kiedy byś w końcu raczyła wejść do środka. Może mi powiesz, co? Czy wtedy, kiedy wróciłaby Mici i zemdląła, widząc, że cię nie ma? Proszę, oto twoje dokumenty. Naucz się na pamięć, kim jesteś.

Wcisnął jej w rękę fałszywą metrykę. Nazywała się teraz Anna Makó. Rok urodzenia był taki sam jak jej, ale miesiąc i dzień inne. Ojciec nazywał się Antal Makó, a matka Rozalia, z domu Tirpák. Ojciec był z zawodu ślusarzem narzędziowym, matka zaś bez zawodu, obydwójce wyznania rzymskokatolickiego, urodzili się w Bolicie, w komitacie Csongrád.

Mężczyzna otworzył w pokoju barek, wyjął butelkę koniaku i nalał sobie. Wiele lat później, gdy szklarz Mráz był już starym, zgarbionym człowiekiem, a Georgina Vitay piękną młodą kobietą, powiedział jej, że w życiu nie widział kogoś, kto by wyglądał tak wzruszająco jak Gina. Siedziała wówczas w salonie Mici Horn z oczami mokrymi od łez i potarganymi warkoczami, które tak kontrastowały z uroczystym, surowym strojem diakonisy. Mężczyzna nie zamknął drzwi prowadzących do holu i co pewien czas nasłuchiwał. Nagle przyłożył rękę do ust, nakazując ciszę. Teraz i Gina usłyszała czyjeś głosy przy wejściu. Nieznajomy zamknął drzwi salonu i jeszcze raz gestem nakazał milczenie. Z holu dolatywała rozmowa, to wróciła Mici Horn z gosposią.

– No, to na dzisiaj koniec – usłyszała Gina. – Niech się pani zaraz kładzie spać, Rózo. Dzisiejszej nocy niczego już nie będę potrzebowała. Dziękuję za pomoc. Prawda, że to był miły wieczór?

– Tak – potwierdziła gospodyni. – Na pensji zawsze się dobrze bawimy. Te obecne wychowanki niewiele się różnią od tych z pani szkolnych czasów. Gdzie się mogła podziać ta nieznośna pesztenka?

– Może ukryła się na strychu, a może w piwnicy. Później się znajdzie, gdy się dobrze wypłacze. Dla dzieci ze stolicy życie tutaj nie jest takie łatwe. Trzeba mieć mocne nerwy, by wytrzymać regulamin Matuli. Dobranoc, pani Rózo.

– Dobranoc, Mici.

Słysząc było kroki starej gospodyni, gdy schodziła do sutereny. Mici Horn odczekała chwilę w holu, po czym weszła do salonu. Twarz miała zarumienioną, wielkie oczy pełne blasku.

– Serwus, Mráz! – pozdrowiła mężczyznę i w świadomości Giny okruchy wspomnień złożyły się nagle w jednolity obraz: złote rybki na dywanie, stłuczone akwarium, zamienione dokumenty Bánki, Kun, Zelemér i Krieger oraz Mráz, ów szklarz, który wszedł do gabinetu, kiedy ona akurat zbierała ścierką rozlaną wodę. – Kto tu wcześniej dotarł? Ty czy siostra? Serwus, robaczku! – zwróciła się do Giny.

– Przyszliśmy jednocześnie – powiedział Mráz. – Siostra jest strachliwsza od zajaca. Ja otworzyłem jej bramę. Stała przed domem na ulicy Árpáda, na dodatek zgubiła jeszcze ten czepek.

– No, nie każdy jest takim starym spiskowcem jak ty i ja. Chodź tu do mnie, robaczku.

Ile to już razy walczyła Gina z tym uczuciem sympatii, które ją ciągnęło do Mici Horn. Ileż razy wydawało jej się, że jej nienawidzi. Teraz podbiegła i rzuciła się jej w ramiona. Mici poczuła, że Gina drży i przytuliła ją do siebie. Dziewczyna oczami wyraziła to wszystko, czego nie miała siły sformułować w zdania. „Abigél – złota nitko w labiryncie zakazów, Abigél – strażniczko dziecięcych radości, Abigél – dzielna sojuszniczko mojego ojca. Cudowna Abigél, dziękuję ci! Dziękuję!”

– Kiedy ją zabierzesz, Mráz? – spytała Mici Horn.

– Może jutro wieczorem, kiedy już o jej ucieczce wszyscy będą wiedzieli, a przede wszystkim policja i pan porucznik. Córka Wallnera dotarła pewnie teraz na dworzec, za parę minut pojedzie do Pesztu. Jej zdenerwowanie przy kupowaniu biletu na tyle będzie się rzucało w oczy, że kasjer na pewno ją zapamięta. Obiecała, że nawet spróbuje płakać, co będzie z jej strony wielkim wysiłkiem z uwagi na fakt, jak ogromnie jest szczęśliwa, że za twoje pieniądze wysyłamy ją do jej chrzestnej matki i że po raz pierwszy w życiu zobaczy Budapeszt. Oczy ma szare, włosy nie za ciemne, teraz skończyła czternaście lat i Kuncz z pewnością pogoni za nią do stolicy. Chciałbym tylko widzieć jego minę, gdy nie znajdzie jej w willi Vitaych. Zatem gdy tylko otrzymam wiadomość, że Kuncz opuścił Árkod, natychmiast wyruszę z Anną Makó.

– No to teraz położę ją spać – powiedziała Mici Horn. Zaprowadziła dziewczynę na piętro. Gina nigdy jeszcze tu nie była. Pomieszczenie, do którego z nią weszła Mici, było kiedyś pokojem jej syna. Na parapecie kominka leżały rękawice szermiercze. Niczym w muzeum w oszklonej szafie pstrzył się różnobarwny zbiór minerałów, na środku pokoju zaś w miedzianej obręczy stał ogromny globus, a przy nim dwa krzesła o nogach przypominających łapy z pazurami.

– Masz tutaj oddzielną łazienkę – rzekła Mici Horn. – Możesz się swobodnie poruszać, nikt cię nie usłyszy.

Mojego syna również nigdy nie słyszeliśmy.

Nawet koszula nocna i szlafrok leżały na przygotowanym już do spania łóżku. Koszula nocna była prawie taka sama jak ta, którą Gina kupiła Tormie.

– Rozbierz się i wypocznij. Jutro rano cię obudzę i dopóki po ciebie nie przyjdę, nie pokazuj się. Gosposię o świcie wyprawię do winnicy, pozostanie tam przez cały dzień. Dobranoc.

Gina stała bez ruchu i patrzyła na nią.

– Nic nie mów, i tak wiem – powiedziała cicho Mici Horn i zostawiła Ginę samą.

Dziewczyna usiadła na krześle koło globusa i zapatrzyła się na wielką kulę ziemską. W tej chwili tylko jedno wiedziała na pewno: że ciężko jej być samej. Mimo iż jest tutaj bezpieczna, tęskni za obecnością Abigél. I naraz poczuła dotkliwy głód. Zjadła dzisiaj tylko połowę obiadu, podwieczorku nawet nie tknęła, kolacji też prawie nie spróbowała. Głód dał o sobie znać teraz, kiedy wreszcie nie musiała się bać. Uśmiechnęła się na myśl, że ci ludzie, którym zawdzięcza ocalenie i którzy tak szczegółowo wszystko zaplanowali, zapomnieli zostawić dla niej choćby jedno jabłko. „W wielkim literackim dziele zawsze szczegóły są najbardziej interesujące – uczył je König na lekcji węgierskiego. – Proszę, nie zapomnijcie nigdy zwracać uwagi na szczegóły”. König, tchórzliwy, pocieszny König, gdyby wiedział, kim jest ta, którą uwielbia, gdyby wiedział, jak beznadziejne są jego marzenia o Mici Horn. Abigél może tylko bohatera

wybrać sobie na męża, nie takiego niezdarnego, sentymentalnego nauczyciela. Ale z tymi szczegółami to jednak miał rację, teraz dopiero zrozumiała naprawdę, co chciał przez to powiedzieć. Bo to, że jest głodna, było rzeczywiście szczegółem, drobiazgiem w porównaniu z tym, co przeżyła. Ale jednak ten szczegół zmusił ją do zejścia po schodach i zapukania do otwartych drzwi salonu. Rozmowa w salonie umilkła i Mici Horn wyjrzała do holu. Gina ze wstydem wyjąkała, że dzisiaj prawie nic nie jadła. Czy mogłaby wobec tego dostać kawałek chleba? Mici Horn roześmiała się i poprosiła ją do salonu. Mráz siedział przy małym nakrytym stoliku i jadł kolację. Położyła przed Giną drugie nakrycie.

– Jedz i ty, robaczku.

– Dzisiaj jeszcze będziemy mieli gościa – powiedział ostrzegawczo Mráz.

Mici Horn oświadczyła, że o tym wie i dlatego kazała iść małej spać, ale przecież biedaczka jest głodna. Zresztą nie miała dziś łatwego dnia, niech posiedzi tu z nimi i się pożywi, potem z pewnością spokojnie zaśnie. Mráz poradził Ginie, by się pospieszyła, i Gina tak się uwijała, że prawie nie gryzła tego, co jadła. Miała jeszcze kęs w ustach, gdy szklarz nagle przyłożył palec do ust: usłyszeli przez otwarte drzwi salonu, że znów ktoś otwiera bramę od ulicy.

– Mówiłem – rzekł Mráz. – Zmykaj teraz na górę!

– Pospiesz się – powiedziała Mici Horn i Gina wbiegła po schodach.

Kiedy dotarła do swojego pokoju, usłyszała, że ktoś wchodzi do holu i że Mici Horn krzyknęła. Gina przeraziła się tak, że nie śmiała się ruszyć od drzwi. Przyłożyła ucho, żeby lepiej słyszeć. Jeśli Mici krzyknęła na widok tego kogoś, kto wszedł, to widać nie była to osoba, na którą czekali. Ktokolwiek to był, co z nim robi Abigél? W salonie siedzi pan Mráz, a ona jest tutaj, na górze.

Abigél w końcu przemówiła.

– Skąd ma pani klucz do mojego domu? – zapytała.

– Znalazłam w kieszeni fartucha – odpowiedział głos Zuzanny, tak samo zimny i spokojny jak zawsze. – Fartuch i sukienka były pod moim łóżkiem. Może zechce pani łaskawie oddać mi mój odświętny strój?

– Czy pani piła, Zuzanno? – spytała Mici Horn i nawet się roześmiała. – O jakim fartuchu pani mówi?

„O Boże, nie powiedziałam jej o tym – pomyślała Gina. – Panu Mrázowi nie śmiałam tego wyznać, a później wyleciało mi z głowy. Nic nie wie, że zapomniałam zabrać ze sobą klucz. Co ja znów narobiłam?”

– Wiedziałam, że coś się szykuje. Przez cały wieczór łamałam sobie głowę, co to może być. Stałam przy ścianie i nie rozumiałam, dlaczego muszę być odwrócona plecami. A kiedy się okazało, że Vitay zniknęła, wówczas pani żartowała, że nie ma po co szukać, sama się znajdzie, i starała się pani robić zamieszanie. To pani przyczyniła się do ucieczki tego dziecka, pani w tym maczała palce.

Przyszła pani uczcić dzień Gedeona, ładne imieniny sprawiła pani panu dyrektorowi.

– Powiedziała już, że chyba pani piła – rzekła Mici Horn. – Takiej świętej dziewczynie jak pani nawet naparstek wina uderza do głowy. Nie może pani mi wmówić, że pomogłam w ucieczce Vitay, kiedy jeszcze przed kwadransiem byłam razem z wami i razem się bawiłam. Mój klucz znalazła pani w kieszeni jakiegoś fartucha, więc Vitay go nie wykorzystała, jeśli nawet mi ten klucz skradziono.

– Nie mam pojęcia, jak pani pomogła jej w ucieczce, ale wiem, że to pani dzieło – stwierdziła z goryczą Zuzanna. – Już ktoś rozwiązał w Matuli kilka problemów. Wiem, do czego może być zdolna Abigél.

Na sekundę zapadła cisza, po czym Mici Horn się roześmiała.

– Posąg odstawił amfore, znudziło mu się ją trzymać. Zszedł z cokołu i wzięwszy Vitay za rękę, wyprowadził z pensji. No, no, Zuzanno, nie miałam pojęcia, że słyszała pani o tych dziecinnych wymysłach. A może pani w to wierzy? Jak pani to godzi ze świętym powołaniem?

– Od ośmiu lat wiem, że za tym kryje się ktoś, jakaś osoba – powiedziała Zuzanna. – Trzeci rok pracowałam na pensji, a ubiegłoroczna maturzystka Gabi Sarkadi była wówczas w pierwszej klasie. Właśnie ciężko się rozchorowała i ja czuwałam przy niej w nocy. Któregoś dnia nad ranem rozplakała się, prosiła o papier i ołówek. Na kartce napisała: „Mamo, mamó” i błagała, bym ją

wrzuciła do amfory posagu, ponieważ Abigél prześle to jej matce. Nie było najmniejszego powodu, żebyśmy mieli niepokoić rodziców, lekarka mówiła, że dziewczynka wyzdrowieje. Ale miała tak źle się czuć, miała gorączkę, była ogromnie niespokojna, że wrzuciłam tę kartkę do owej amfory, chociaż naprawdę się tego wstydziłam. Dziewczynka się uspokoiła i zaraz usnęła. Drugiego dnia wieczorem zjawiała się matka. Otrzymała telegram z podpisem „pensja Matuli”, w którym żądano, by natychmiast przyjechała, bo córka jest chora. Pan dyrektor sądził, że to ja ją powiadomiłam i czynił mi wyrzuty. Ja zaś się nie usprawiedliwiałam, bo czułam, że słusznie się gniewa. Gdybym nie okazała się tak ustepliwa, to telegram nigdy by nie został wysłany, niezależnie od tego, kto go wysłał.

Gina czuła, że umrze, jeśli nie zobaczy ich w tym momencie, gdy wazą się ludzkie losy. Losy nie tylko jej, lecz także Abigél, i może nawet Zuzanny. Uchyliła drzwi. Przez szparę widziała plecy Mici Horn, a Zuzannę naprzeciw siebie, twarz diakonisy płonęła.

– Ja nie zdradzę Abigél, może być pani tego pewna. Przyszłam tylko po mój strój i po dziewczynkę, za którą jestem odpowiedzialna, i zaraz stąd idę. Jak mam się później wytłumaczyć z braku odświętnego stroju?

– Dziecko – powiedziała Mici Horn prawie takim głosem, jakim poprzednio rozmawiała z Giną. – Pani tak mnie nie cierpi, że zupełnie postradała rozum. Nie mogę powiedzieć, mam fantazję i humor, ale to, co mi tu pani

naplotła o posagu i chorobie małej Sarkadi, to jednak duża przesada. Abigél! Niech pani się wstydzi, Zuzanno. Powiedziałem już, że pani stroju u mnie nie ma. A tym bardziej nie ma Vitay. Ja o niczym nie wiem, a jeśli już pani znalazła mój klucz, to byłabym wdzięczna, gdybym go dostała z powrotem. Moja torebka przez cały wieczór leżała na krześle, a gdy się bawiliśmy, każdy, kto chciał, mógł do niej zajrzeć. Ale po co go wyciągnął, skoro potem wrzucił z jakimś fartuchem pod pani łóżko, tego naprawdę nie wiem. Niech pani wraca do domu, Zuzanno, nie wypada takim świętym dziewczynom włóczyć się nocą po ulicach.

Diakonisa rzuciła klucz na stół. Przez szparę dobrze było widać jej twarz i Gina zauważyła, że dwukrotnie otwierała usta, aby coś powiedzieć, po czym jednak zrezygnowała. Skinęła głową i ruszyła do wyjścia.

– Zuzanno! – zawołała za nią Mici Horn. Diakonisa się zatrzymała. Gina znów widziała tylko jej twarz. – Nie widziałam Vitay od wieczora, gdy wraz z innymi bawiła się na pensji. Sprawa klucza jest dla mnie zagadką, wszystko, co pani tu naopowiadała, to niedorzeczność, ale już od dawna chciałam pani coś powiedzieć. Nie mam absolutnie nic wspólnego z osobą, z którą podejrzewa pani, że coś mnie łączy.

– Dobranoc.

– Niech pani zaczeka! Absolutnie nic, rozumie pani? Jeśli on kłamie, że tak, to nie jest prawda. Panią kocha od lat, niech więc pani poprosi go o rękę, ponieważ tak

bardzo się o panią lęka, że po prostu nie śmie tego wyznać.

Zuzanna nie odpowiedziała, tylko patrzyła badawczo na Mici Horn. Nagle drgnęła, ale drgnęła również obserwująca ją przez szparę Gina. Na dworze strzelano.

– Muszę iść – rzekła Zuzanna. – Już bardzo późno. Jak ja wrócę do domu? Co tam się dzieje na zewnątrz?

– Strzelano, słyszała pani – powiedziała Mici Horn.- Pewnie patrol strzelał. Naprawdę bardzo nie chciałabym pani teraz wypuścić, chociaż nie sądzę, by ktokolwiek zaczepił diakonisę. Ale jeśli nie chce pani u mnie przenocować, to jednak będzie pani musiała pójść.

– Wie pani przecież, że nie mogę nocować poza pensją – zauważyła Zuzanna. – Może nic mi się nie stanie. Pan Bóg dopomoże.

– Pani z pewnością – odparła Mici Horn i Gina wyczuła, że jej zawsze śmiejący się głos jest teraz poważny. – I niech pani nie zapomni o tym, co powiedziałam. Nie mam z nim nic wspólnego. Czy pani w końcu zrozumiała? Gdyby jednak na pensji musiała pani powiedzieć o zaginionym stroju, proszę nie wspominać o kluczu. Byłoby mi przykro, gdyby pani zakłóciła tym spokój Gedeonowi. Schowam ten klucz i nie dostanie się więcej w niepowołane ręce. I niech pani nie zatruwa nim życia Vitay, gdy ona się później odnajdzie.

– Nie wspomnę tylko w tym wypadku, jeśli nie zapytają mnie, czy czegoś nie było w ubraniu

dziewczynki. Jeżeli tak, powiem. Muszę powiedzieć. Mnie nie wolno kłamać.

Diakonisa ruszyła do wyjścia, Mici Horn szła za nią, żeby jej otworzyć drzwi. Było to jednak zbyteczne. Nim doszły do schodów, małe drzwi korytarza otworzyły się i na progu stanął König z kluczem w ręku. Przed chwilą właśnie otworzył sobie drzwi do domu Mici Horn. Wprost wrósł w ziemię, gdy stanął twarzą w twarz z Zuzanną.

„Abigél skłamała” – pomyślała Gina i zdziwiła się, jak bardzo zrobiło jej się przykro. Przecież Abigél stale jej pomagała i teraz też tylko dzięki niej jest uratowana, Zuzanna natomiast potrafiła ją tylko karać, więc nie powinno jej boleć, że Mici Horn próbowała oszukać diakonisę. Szkoda jednak, że Mici wmawiała Zuzannie, iż nic jej nie łączy z Königiem. Oto, proszę, i on ma klucz do jej domu. Trudno zrozumieć tę Abigél. Jak ona się nie boi, że König zdradzi ją, Mráza i wszystkich. Przecież gdy tylko na niego krzykną, padnie plackiem i rozpłacze się – taki jest strachliwy.

W tym jednak jest coś żenującego, że Abigél może być w tak poufałych stosunkach z Königiem i zalicza go w poczet mężczyzn, pozwala, by dniem i nocą mógł wchodzić bez przeszkód do jej domu.

Przez chwilę wszyscy stali, milczący i nieruchomi, wreszcie König zamknął za sobą drzwi holu. Był zaczerwieniony, bez kapelusza, gęste, siwiejące włosy spadały mu na czoło. Zuzanna wpatrywała się w podłogę,

po czym nagle podniosła wzrok na Mici Horn i powiedziała cicho:

– Nic nie szkodzi, Mici.

– Co pani tu porabia? – zapytał König i zastąpił jej drogę, gdy diakonisa chciała wyjść. – Teraz nie może pani pokazać się na ulicy. Ktoś przyczepił ulotkę na pomniku Kossutha przy stacji, patrol zauważył sprawcę, gdy ten zeskakiwał z cokołu, i strzelano za nim. Nierozsądnie byłoby teraz wychodzić na dwór. A w ogóle, co to był za pomysł opuszczać o tej porze pensję? Torma przecież zarządził, aby tylko mężczyźni szukali Vitay po mieście.

– Ja też szukałam – odparła Zuzanna. Nie patrzyła na Königa. – Ja byłam jej opiekunką. Niech pan mnie puści, nie zostanę tu ani minuty dłużej. Niech pan mnie puści, powiadam!

– Nie.

– Na litość boską, niech mi pan pozwoli wyjść.

I Zuzanna rozplakała się jak dziecko. Mici Horn wzruszyła ramionami, potem sięgnęła do kieszeni, wyjęła papierośnicę i zapaliła. König natomiast stał w miejscu i Gina widziała, jak o coś pyta wzrokiem panią domu. Mici Horn wskazała brodą w górę, a potem w stronę salonu. Gina się przeraziła. Teraz już i König wie wszystko, teraz Abigél zdradziła mu, że poza nią są jeszcze inni w domu, że i ona jest. Na to König powiedział:

– Teraz już wszystko jedno. – Wziął papierosa z ręki Mici Horn i sam zaczął palić.

Nim jednak ktokolwiek zdążył się odezwać, zaczęto dobijać się do bramy i zabrzmiał dzwonek. „Boże! – Gina zadrżała. – Co będzie, jeśli to Feri? Co będzie, jak mnie tu znajdzie? Co się stanie z nami wszystkimi? Z Abigél, która mnie ukryła?”

– Otwórz drzwi – rzekł König do Mici Horn.

Mici zeszła po schodach i otworzyła bramę. Wpadli żołnierze, ale nie prowadził ich Feri, tylko jakiś starszy wiekiem, lecz niższy rangą wojskowy, kapral.

– Proszę wybaczyć, że niepokoimy panią, ale mamy rozkaz przeszukać dom. Moi żołnierze widzieli, że tutaj gdzieś zniknął ten drań, który nalepił bezwstydną napis na pomniku Kossutha koło stacji. Mieliśmy rozkaz pilnować pomnika i prawie byśmy go złapali, zabrakło dosłownie paru sekund. Wbiegł w tę ulicę, przez jakiś czas słyszeliśmy jego kroki, po czym wszystko umilkło, musiał gdzieś się skryć, w którymś z domów tu, na początku ulicy. Pozwoli pani, że się rozejrzemy?

– Proszę. – Mici Horn się uśmiechnęła. – Chociaż nikt tutaj nie wszedł, stoimy w holu już dość długo z siostrą Zuzanną i panem profesorem. Rozmawiamy i się martwimy, oni bowiem również kogoś szukają, z pensji Matuli uciekła uczennica. Nie widział pan gdzieś przypadkiem dziewczynki w pensjonarskim ubraniu?

– Nikogo – odpowiedział kapral – tylko tego mężczyznę, który uciekł. Jak długo jest siostra w tym domu?

– Dobry kwadrans – odparła cicho Zuzanna.

– A pan profesor?

Zuzanna chwilę milczała, po czym rzekła:

– Przyszliśmy razem.

– I cały czas stoją tu państwo i rozmawiają w holu, przy drzwiach?

– Tak, tutaj – odpowiedziała Zuzanna.

– Zauważyliśmy duże okno od piwnicy. Czy możemy tam zejść?

– Ależ proszę – rzekła Mici Horn. Podeszła do schodów prowadzących w dół i zawołała: – Pani Rózo, niech się pani nie przestraszy! Mamy gości, żołnierzy, kogoś szukają. Niech pani im otworzy drzwi, jeśli zechcą zobaczyć pani pokój.

Zuzanna stała oparta o ścianę, przymknęła oczy. König ziewnął jak ktoś, kto jest zmęczony. Twarzy Mici Horn Gina nie widziała, tylko tył głowy i proste plecy. „Abigél – biło serce dziewczyny. – Co będzie, jeśli wejdą na górę? Co mam powiedzieć? Co robić? Ratusz, Abigél!”

Żołnierze wkrótce wrócili z piwnicy. Zameldowali, że wszędzie pusto, nikogo nie ma poza starą kobietą, która akurat wstała z łóżka. Kapral ciągle jeszcze nie chciał wyjść.

– Bardzo mi wstyd, że zakłócam spokój, ale musimy zajrzeć jeszcze na strych i do innych pokoi. Ten, kogo szukamy, to wysoki mężczyzna o jasnych włosach. Trochę podobny do pana profesora, który przyszedł z siostrą.

– Proszę sobie nie przeszkadzać – zachęciła kaprala

Mici Horn. – W salonie znajdują panowie mojego szwagra, właśnie je kolację, ale jest niski i czarnowłosy. Na piętrze zaś w jednej z sypialń jest druga diakonisa. Siostrze, czy pani mnie słyszy? Niech się pani pokaże, proszę nie być taka wstydliva. Niech panowie żołnierze spokojnie przeszukają pokoje. Obiecuję, że nie będą się do siostry zalecać.

– Ależ, proszę pani – obruszył się kapral – do diakonisy! Nic podobnego. Naprawdę bardzo mi nieprzyjemnie. Co siostra tam robi na górze?

Zwrócił się do Zuzanny, która zwilżyła językiem usta. („Mnie nie wolno kłamać” – Gina przypomniała sobie z przerażeniem słowa diakonisy. A zatem zaraz się wszystko wyda. Zuzanna nigdy nie kłamie).

– Odpoczywa – szepnęła Zuzanna. – Jest jeszcze bardzo młoda, nie wytrzymuje naszej ciężkiej pracy.

Gina wyszła z pokoju, zatrzymała się w drzwiach i teraz spojrzenia wszystkich stojących w holu zwróciły się w jej kierunku. „Ejże – pomyślał kapral – przecież to prawie dziecko. Jak można było ubrać ją w te czarne szaty?” Nie był również zadowolony ze szwagra pani domu. Rzeczywiście siedział przy kolacji w towarzystwie dużej butelki koniaku i miał na sobie coś w rodzaju jedwabnej bonzurki. Gdyby jednak to przypuszczenie nie było absurdem, można by było pomyśleć, że włożył jakiś damski szlafrok. Ale bez wątpienia był niski i czarnowłosy. Nie przypominał człowieka, do którego strzelali.

Kapral pożegnał panią domu i wyszedł ze swoimi ludźmi. Gina słyszała, jak zaczął się dobijać do sąsiedniej bramy z taką samą siłą, jak poprzednio do bramy Mici Horn. König, który wyjrzał za nimi, powiedział, że przed obydwooma sąsiednimi domami stoi straż i że widać także żołnierzy u wylotu ulicy. Gina oparła się o futrynę, ze wzruszenia i ulgi ugięły się pod nią nogi.

Ci na dole nie zwracali na nią uwagi, przyglądali się Zuzannie i w dziwny sposób wyraz twarzy Mici Horn i Königa był identyczny – oczy im się śmiały, choć byli wzruszeni.

– Dzień dobry – powiedziała Mici Horn i to jej odezwanie się nie miało najmniejszego sensu. – Z trudem do tego doszło, lecz w końcu doszło. Ale teraz i pan wreszcie wpadł i nie może już twierdzić, że sprowadzi na pana kłopoty, gdy pojmie ją pan za żonę.

Zuzanna tak drżała, że aż Gina to dostrzegła. Mráz znów włożył marynarkę i wyszedł do nich do holu, niosąc napęczniony kieliszek. König wyjął mu go z ręki i podał Zuzannie. Diakonisa wypięła, po czym zakasłała.

– Koniak dobra rzecz – rzekł Mráz. – Szczególnie po kłamstwie, łatwiej je przełknąć. Będzie siostra miała z czego się spowiadać przed następną wieczerzą Pańską. Mam nadzieję, że po powrocie na pensję nikt nie poczuje, że siostra piła, boby owi święci ludzie zemdleli.

– Chodź, Mráz – odezwała się cicho Mici Horn i pociągnęła za sobą szklarza do salonu, zamykając drzwi.

Gina czuła, że i ona też powinna teraz się wycofać,

tak jak to zrobiła Abigél, ale nie mogła. To było takie piękne i wzruszające, że Zuzanna jednak kochała ją na tyle, że jej nie zdradziła. Poczucia czasu to ona wcale nie ma, gdyż König chyba dopiero minutę był w domu, gdy przyszli żołnierze. I przecież wcale nie przyszła z Königiem, ale to wszystko jedno. Najważniejsze, że jej nie zdemaskowała. Droga, kochana Zuzanna! Oni wcale na nią nie zwracają uwagi, zupełnie jej nie widzą, patrzą tylko na siebie, diakonisa i ten König.

– Połowę wiedziałam – powiedziała Zuzanna i Gina nigdy nawet sobie nie wyobrażała, że siostra potrafi mówić takim głosem. – Od wielu lat już wiedziałam, że ktoś się ukrywa w naszych murach i wszędzie tam, gdzie stąpnie, obsychają łzy dziewczęce. Tak, połowę tej historii znałam już od dawna.

Teraz pewnie myśli o Mici Horn, o Abigél.

– I zna już pani drugą połowę – odparł König. – Ta pierwsza to była po prostu zabawa. Zabawa wśród tych waszych wszystkich zakazów. Zaczęła się dawno, na samym początku mojej pedagogicznej kariery, jeszcze w pierwszym roku mojej pracy, a miałem wówczas dwadzieścia dwa lata. Wtedy właśnie zrozpaczona ośmioklasistka Mici Horn wzdychała o pomoc do starej rzeźby w ogrodzie. To Mici wynalazła Abigél, zasłużyła więc, by ten posąg przybrał ludzkie ciało. Później oczywiście rozszerzył się zakres pracy i nie ograniczał do tego, co znały dzieci. A i ryzyko nie polegało tylko na tym, że pewnego razu Gedeon Torma może to wszystko

wykryć. Posąg nie śmiał wciągnąć do tej działalności siostry Zuzanny: zbyt ją kochał, i to od dawna. Chciał ją uchronić przed niebezpieczeństwem i przed sobą samym. A właściwie to co pani sobie pomyślała, widząc, że w nocy przychodzę do Mici Horn?

Zuzanna nie odpowiedziała. Spuściła głowę.

– Niech się pani wstydzi – powiedział König. – Do śmierci będzie pani za to pokutować.

Milczał chwilę, po czym się odezwał:

– Ponieważ obydwójce bezskutecznie szukaliśmy Georginy Vitay, to chodźmy, siostrzo Zuzanno. Odprowadzę siostrę na pensję. Idziemy już, Mici.

Mráz i Mici Horn wyszli do holu. Mráz zawiązał z powrotem krawat, był gotów do wyjścia.

– Kawalek drogi możemy iść razem – powiedział szklarz. – Nas wypuszczą z ulicy, cały cyrk mamy już za sobą. Po dziewczynkę zgłoszę się jutro wieczorem, przyniosę jej ubranie córki Wallnera.

– Pospiesz się, Vitay! – zawołała Mici Horn. – Zdejmij ten strój diakonisy, siostra Zuzanna go zabierze. Na łóżku leży mój szlafrok, włóż go i zejdź pożegnać się z panem profesorem i siostrą.

Schodziła po schodach z przewieszoną przez ramię suknią diakonisy i z uwielbieniem patrzyła na Mici Horn. „Abigél, wszechwiedząca Abigél, która potrafisz wszystko rozwiązać i załatwić. Potrafiłaś nawet odmienić tego nieznośnego Königa. Dziękuję tobie, panu Mrázowi i siostrze Zuzannie, że stanęliście przy mnie i uchroniliście

przed Ferim Kunczem”.

Po raz pierwszy w życiu uprzejmie się pożegnała z Königiem. Profesor się nachylił i pocałował Mici Horn w policzek. Po nim kolejno pożegnali się Zuzanna i Mráz. Wszyscy wyszli. Gina zaś została z Abigél.

Pani domu zamknęła na zasuwę wyjściowe drzwi holu i opadła na krzesło. Z jej twarzy zniknął pogodny wyraz, dopiero teraz widać było, że skończyła już czterdzieści osiem lat i jest zmęczona. A może nawet Abigél tego wieczoru przeżywała strach? Gina przytuliła się do niej, chciała jej powiedzieć, jak bardzo ją kocha. W chwili gdy w myśli formułowała pierwsze zdanie, Mici Horn się odezwała:

– Najpierw straciłam męża, potem syna. Nie chcę, aby i inni stracili swoich najbliższych w tak głupi sposób i z takiego powodu jak ja. Wystarczy, że ja jestem samotna i nieszczęśliwa.

Jej ruchliwa, śmiejąca się twarz była teraz obca, pełna goryczy. Gina położyła jej rękę na ramieniu.

– Abigél nie jest samotna, jeśli nawet jej mąż... jeśli syn... jeśli nawet nie ma prawdziwej rodziny. Wszyscy kochają Abigél, a ja najbardziej.

Para wielkich zielonych oczu spojrzała na nią i Mici Horn się roześmiała. Był to jej dawny figlarny śmiech, którego Gina początkowo tak nie lubiła.

– Ty kochasz najbardziej? Pewna jesteś tego? Ty kochasz tylko bohaterów, moja mała Vitay, przystojnych młodych poruczników, wesołe, roześmiane kobiety, które

tańczą, bezczelnym tonem rozmawiają z dyrektorem i nikogo nie słuchają. Zuzanna kocha Abigél, Zuzanna, która wówczas już rozszyfrowała go i bała się o niego, podczas gdy wszyscy uwierzyli w odgrywaną komedię i uważali go za starego sentymentalnego osła.

Umilkła, wzburzenie nie pozwalało jej mówić. Gina stała przed nią. Prawda nareszcie dotarła do jej świadomości i była tak zaskakująca jak żadna inna podczas tych strasznych i wspaniałych siedmiu miesięcy.

– Ty kochasz Abigél? – spytała Mici Horn. – Przecież aż do tej chwili sądziłaś, że ja nią jestem. Ja, a nie ten najodważniejszy i najszlachetniejszy mężczyzna, jakiego w życiu znałam.

Wstała, przeciągnęła się i zrobiła parę kroków, jakby w jakiś sposób chciała rozładować swoje wzburzenie, które ogarnęło ją wbrew jej woli. Kiedy spojrzała znów na Ginę, uśmiechała się już jak dawniej.

– Idź spać, Anno Makó, to nie były łatwe chwile. Nie tylko dla ciebie. Dla nas również.

Odprowadziła Ginę tak jak za pierwszym razem. Kiedy chciała odejść, Gina stanęła przed nią. Stała i z rozpaczą łamała sobie głowę, jak wypowiedzieć to, co pragnęła.

– Nic nie mów. – Mici Horn pokręciła głową. – Nie zawsze wszystko trzeba wypowiadać. Spróbuj zasnąć.

Gina została sama. Zgasiła światło i uchyliła okno. Do pokoju napłynął chłodny marcowy zapach fiołków, taki jak w domu – w domu? -w ogrodzie pensji Matuli.

Księżyc znajdował się wysoko na niebie, dziewczyna patrzyła na niego i głęboko wdychała wonie tej wiele obiecującej i groźnej zarazem wiosennej nocy. „Ojciec – powtarzała w myślach – mój prawdziwy ojciec, którego nazwisko przestanę od jutra nosić. I ja napisałam o nim, że jest tchórzem i głupcem, śmiałam to o nim napisać w wypracowaniu, które odczytał biskup. Ojciec, mój drogi ojciec, obrażałam go na każdym kroku, tak często, jak tylko miałam okazję. Jak zdołam naprawić to, iż dopiero teraz dotarło do mnie, że profesor König to właśnie Abigél?”

¹ Cytat z listu św. Pawła Apostoła do Rzymian dokładnie brzmi: *Non est volentis, neque currentis...* („[N]ie zależy na tym, co chce, ani na tym, co bieży.” [Rz 9,16; wszystkie fragmenty biblijne cytowane są za Biblią gdańską, www.biblia.info.pl, dostęp: 11 marca 2012 – przyp. red.]).

² Gina dobrze określiła przypadek jako *genetivus*, pomyliła się jednak, podając imiesłów, chodzi tu bowiem o *participium praesentis* (w języku łacińskim nie istnieje zresztą *participium imperfecti*) [przyp. red.].

³ István Bocskai (1557-1606) – książę Siedmiogrodu, przywódca powstania węgierskiego przeciw cesarzowi Rudolfowi II w 1604 roku [przyp. tłum.].

⁴ *éles* (węg.) – ostry [przyp. tłum.]

⁵ Pomnik wzniesiony w czasach rządów Horthyego, przypominający okrojenie Węgier w wyniku traktatu trianońskiego (4 vi 1920 r.).

⁶ Poprawnie: *genus femininum* [przyp. red.].

⁷ Miklós Horthy (1868-1957) – regent Węgier w latach 1920-1944 [przyp. tłum.].

⁸ Mikołaj [przyp. tłum.]

⁹ Nadżupan – odpowiednik polskiego wojewody [przyp. tłum.].

¹⁰ Ps 52,3.7 [przyp. red.].